

# Barbara Rybałtowska



SAGA CZĘŚĆ VIII

## Co tu po nas zostanie



BARBARA RYBAŁTOWSKA  
CO TU PO NAS ZOSTANIE



## AXIS MUNDI

Projekt okładki: Borys Borowski  
Skład: Positive Studio  
Redakcja: Marta Szelichowska  
Redakcja i korekta: Elżbieta Makowska

Wydanie I  
ISBN: 978-83-64980-61-9  
EAN: 9788364980619

ISBN e-book: 978-83-64980-55-8

Copyright ©2018 by Axis Mundi, Barbara Rybałtowska

Wszelkie prawa zastrzeżone.  
Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.



Skład wersji elektronicznej: Marcin Kapusta

**virtualo**  
[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

## *Spis treści*

Rozdział pierwszy

Rozdział drugi

Rozdział trzeci

Rozdział czwarty

Rozdział piąty

Rozdział szósty

Rozdział siódmy

Rozdział ósmy

Rozdział dziewiąty

Rozdział dziesiąty

Rozdział jedenasty

Rozdział dwunasty

Rozdział trzynasty

Rozdział czternasty

Rozdział piętnasty

Rozdział szesnasty

Rozdział siedemnasty

Rozdział osiemnasty

Rozdział dziewiętnasty

Rozdział dwudziesty

Rozdział dwudziesty pierwszy

Przypisy

## ***Rozdział pierwszy***

Rodzinie Kalczyńskich udało się tej zimy spełnić ich wieloletnie marzenie. Boże Narodzenie i Nowy Rok spędzili na Mazurach! Co prawda nie w swoim domu, bo poza kominkiem nie mieli tam innego ogrzewania, ale w gościnnych pokojach Jeremiego i Marianny, zaprzyjaźnionych z nimi właściciele Parku Dzikich Zwierząt.

Gospodarze zaprosili też córkę Kalczyńskich z mężem i z dziećmi, no i oczywiście seniorkę rodu, Zofię, matkę Kasi. Marianna i Jeremi Wielopolscy de Grimmond uwielbiali ją, a jej obecność przydawała jeszcze więcej smaków świątecznym potrawom.

Udomowione szczenięta wilków i innych zwierzątek snuły się po korytarzach niezamieszkanego części domu. Dzieci więc spędzały tam czas to na śledzeniu zabaw wilcząt z borsukiem, to na głaskaniu trzech pięknych kotów lub przyglądaniu się podobnie jak one białym sowom.

Półtoraroczny Michałek zasypiał wczesnym wieczorem, lecz ośmioipółletnia Oliwka buszowała po domu do późna. Wywalczyła też sobie pozwolenie na uczestnictwo w powitaniu Nowego, 2003 Roku. I – o dziwo! – nie tylko wytrzymała do tego czasu, ale dopiero o pierwszej po północy udało się położyć ją do łóżka.

Dla niej cały pobyt w tym domu był cudem. Choinka na dziedzińcu, czyli rosnąca tam wysoka jodła ubrana i oświetlona, z jej perspektywy sięgająca do nieba, zwierzaki, które uwielbiała obserwować od rana do wieczora, spacer po parku – wszystko to miało wymiar niezwykły. Można było odnieść wrażenie, że są to najpiękniejsze święta w jej prawie dziewięcioletnim życiu.

Oczywiście Kalczyńscy wybrali się na wycieczkę do swojego domu, oddalonego o zaledwie pięć kilometrów, ale wrócili stamtąd zdeglustowani. Nie zdołali wjechać na podwórko, bo było zawiane śniegiem, a dom okazał się wyziębiony i nieprzyjazny, toteż z nosami na kwintę czym prędzej wrócili w gościnne progi Marianny i Jeremiego.

Ku radości dzieci Jeremi prawie przez cały okres świąteczny chodził w stroju świętego Mikołaja. Zresztą było mu w nim do twarzy. Tym bardziej że prezentował się w nim, jak to on, nadzwyczaj wytwornie. Doprawdy, były to

magiczne święta!

Upłynęło sześć dni od powrotu do Warszawy, gdy Kasia zdała sobie sprawę z ogromnych zaległości w swojej pracy nad tłumaczeniem. Takie były koszty świątecznej sielanki. Uznała, że jeśli nie uda się jej oswobodzić od prowadzenia domu i troszczenia się o matkę, nie zdąży wywiązać się z tej pracy na czas. I wtedy pomyślała o pensjonacie „U Jagi”.

– A co by było, gdybym sprawdziła zapewnienia Jagi, że jej pensjonat jest wymarzonym miejscem do pracy? – spytała Maćka. – Może wszyscy tam pojedziemy, pod warunkiem, że zamieszkamy w oddzielnych pokojach?

– Ja dziękuję – odpowiedział – mam akurat zjazd PZM-otu i inne sprawy, ale ty weź mamę i jedźcie.

Oczywiście, chcąc spokojnie pracować, musiała mieć matkę w pobliżu, żeby się o nią nie martwić.

– Daj mi spokój – zaprotestowała Zofia. – Jeszcze się w domu nie nabyłam.

– Ale tam nie będziesz musiała gotować ani sprzątać i będziemy chodziły na spacerzy pod tężnię. Przecież lubisz Konstancin. A ja będę spokojna, że nic złego się z tobą nie dzieje.

– Ale dlaczego u Jagi? W ZAiKS-ie jest chyba taniej.

– Nie ma wielkiej różnicy w cenie, a u Jagi przytulniej. Zobaczysz, spodoba ci się.

Jagę poznała Kasia prawie czterdzieści lat temu w Paryżu, kiedy ta jak zwykle towarzyszyła mężowi, profesorowi Kazimierzowi Szczuce, w jego podróży literackiej. To tam umawiał się z tuzami światowej literatury, którą tłumaczył na język polski. Podobnie jak Kasia, Szczukowie mieszkali wtedy w hotelu Akademii Nauk przy ulicy Lauriston.

Kobieta ta fascynowała ją niezmiennie. Podziwiała jej hart, urodę, wycucie mody i stylu, odwagę w wyrażaniu sądów o wszystkim, czym interesował się jej wielki mąż. Kasię zdumiewała jej gotowość do bycia mu niezbędnie potrzebną.

W swojej przepaścistej, acz stylowej (i z pewnością horrendalnie drogiej!) torbie z miękkiej skóry nosiła zawsze wszystko, co JEMU mogło być potrzebne. Był tam więc pojemnik z JEGO lekarami, lekki angorowy pledzik, którym przykrywała mu nogi w czasie poobiedniej drzemki w fotelu. Był egzemplarz książki, którą właśnie czytał czy tłumaczył i wiele mniejszych i większych rekwizytów podnoszących komfort JEGO

egzystencji. Jaga to wszystko zwykła mieć na podorędziu, czyli w swojej torbie. Kasia zastanawiała się, czy jest w niej miejsce na jej grzebień czy szminkę. Chociaż patrząc na nią trudno było w to wątpić.

Jednakowoż ta „Ruda”, jak ją powszechnie nazywano, przy swoim okazałym i potężnie zbudowanym mężu starała się być li tylko jego nieważnym dopełnieniem. I wiele osób udawało się jej zmylić. Jaga chętnie się śmiała, toteż brano ją za atrakcyjną oprawę rezonującego i wiodącego prym w każdym towarzystwie erudyty. Jeśli ktoś w trakcie rozmów kierował do tej pary pytanie: „Co u was?” – odpowiadała zazwyczaj ona, najczęściej tak lub podobnie:

– Dziękujemy, dobrze. Kazio po ostatniej grypie jest już zdrowy. Niedługo będzie promocja nowego Caldwell’a w jego przekładzie. Recenzenci rozplątują się w zachwytach nad mistrzowskim tłumaczeniem. Posłuchajcie zresztą, co mówi o tym prowadząca „Tele-Echo” i jak Kazio zaripostował...

Kazio to, Kazio tamto, a ona sama jakby nie istniała lub była jego rzecznikiem prasowym. W dodatku mówiła to wszystko nie przerywając zajęć przy swoim idolu, otulając go pledem, poprawiając mu poduszkę na fotelu, strącając niewidoczny pyłek z jego marynarki.

Kasia uświadomiła sobie nagle, że nigdy nigdzie nie widziała ich razem w innym układzie, gdy Jaga siedzi wygodnie, a on stoi w gotowości świadczenia jej jakiejś usługi lub udzielenia pomocy.

Zdumiewająca jest ta Jaga! – pomyślała. – Żeby tak dalece poświęcić swoje „ja” dla mężczyzny, tak mu się podporządkować, tak żyć dla niego na co dzień. Ileż trzeba na to hartu i pokory? W dodatku podkreślając nieustannie panujące w stadle hierarchie. Albo też – zastanowiła się w duchu – jak pięknie jest kochać i szanować swego partnera tak długo, bo ich staż małżeński liczył sobie już dobrych kilka dziesiątków lat. A on, wielki Szczuka, czy też tak ją kocha i szanuje, czy tylko darzy wdzięcznością za pielęgnowanie jego ego? Jestem okropna – pomyślała o sobie surowo. – Bo też kto jak kto, ale ona miała Szczuce wiele do zawdzięczenia. Przed laty był on wykładowcą na jej studiach podyplomowych, zresztą u niego obroniła też swoją pracę dyplomową. A najważniejsze było to, że poza wiedzą, którą jej przekazał, wzięła sobie do serca jego rady praktyczne dotyczące pracy tłumacza:

„Żeby nie wiem co się działo, tłumacz musi codziennie przełożyć sześć do ośmiu stron tekstu. Najlepiej z rana, jeszcze przed śniadaniem. Jeśli nie uda

mu się zrobić więcej w ciągu dnia, nie musi się tym dręczyć, bo systematyczność i tak przyniesie efekty”.

Kasia zapamiętała tę radę i trzymała się jej, przyznać trzeba, skutecznie. W sprzyjających warunkach oczywiście udawało się jej nieraz podwoić lub nawet potroić tę normę, ale to było dość dawno temu. Teraz, zwłaszcza od śmierci Hani, córki Mai Tarnowskiej, nie miała zbyt wielu propozycji ani potrzeby, żeby bez przerwy tyle pracować. Od czasu, kiedy zaczynała, minęło wiele lat, ale to już zupełnie inna historia.

Kazimierz Szczuka nie żyje już od prawie ćwierćwiecza, a wdowa po nim, jak się okazało, jest zdolnym architektem. Jednakże tylko od czasu do czasu robi jakiś projekt, którym zachwyca i o którym jest głośno. Bo mimo wszystko architektura stała się jej zajęciem ubocznym.

Przede wszystkim prowadzi swój pensjonat. Jego rezydentami są przeważnie ludzie podobni do jej zmarłego męża, przedstawiciele środowiska, z którym nie potrafiła i nie chciała się rozstać. Pokazała wprawdzie pazur zawodowy, kiedy to po półrocznej żałobie zaprojektowała nowoczesne osiedle obok centrum handlowego w zalesionej okolicy Warszawy. Zasłynęła jednak nie jako architekt, ale jako kreatorka i właścicielka renomowanego pensjonatu „U Jagi”. Przynajmniej w środowisku literatów i bohemy. Miejsce pobytu tam trzeba było zamawiać z dużym wyprzedzeniem.

Kasi udało się dostać pokoje okazyjnie, z powodu nagłego wyjazdu stamtąd jednego z pensjonariuszy. Wygody i kuchnia pensjonatu nie różniły od tego, co zapewniają Domy Pracy Twórczej ZAiKS-u. Jeśli już to na jego korzyść. Były więc śniadania do łóżka, doborowe towarzystwo, jednoosobowe pokoje. Nawet małżeństwa rezydowały rozłącznie w sąsiadujących z sobą pokojach, żeby być blisko, ale też trochę odpoczywać od siebie.

Kasia zajęła tym razem pokój narożny, z pianinem i tarasem, który łączył ją z pokojem matki. Miały komfort, spokój i przestrzeń. Żyć, nie umierać! Jedyne obowiązki to spacer po ogrodzie lub okolicy, aby obsługa mogła posprzątać pokoje, a także obecność o wyznaczonej godzinie na obiedzie i kolacji w jadalni. Reszta czasu należała do nich.

Któregoś dnia Zofia powiedziała do córki: – Nie wiem, po co ty mnie zabierasz z sobą, skoro masz tyle pracy? Tylko ci przeszkadzam.

– Ty przeszkadzasz, mamu? Wręcz odwrotnie – odpowiedziała Kasia. –



Cokolwiek robię w twojej obecności, staje się sukcesem. Jesteś moim talizmanem.

– Mówisz tak, by mnie pocieszyć. Zmuszasz się, żeby mnie wyprowadzić na spacer i...

– Zmyślasz, mamuś! Chętniej chodzę na spacer, niż ślęczę nad tym tłumaczeniem. A co, mnie się nie należy trochę powietrza?

– Wiem, wiem mądralo, jaki z ciebie łazik. Ale z tym, że sukcesy odnosisz tylko w mojej obecności, mocno przesadziłaś.

– Wcale nie! Przypomnij sobie teksty, które pisałam przy tobie – wszystkie stały się przebojami. A monodram? Cały napisałam w czasie naszych niedzielnych posiadów, a gram go i gram. Jesteś, mamuś, czarodziejką, masz jakąś magiczną moc i nie chcesz się do tego przyznać.

– A tam! Zawracanie głowy! Gdybyś nie miała talentu, nic by z moich domniemyanych czarów nie wyszło.

– A to, że potrafisz mnie swoimi wypowiedziami dowartościować jak nikt na świecie, to się nie liczy? Jesteś moim talizmanem i już! Dbanie o ciebie to czysty egoizm, bo bez ciebie przestanę być twórcza.

– Ale się rozkręciłaś. No to co, idziemy pod tę tężnię czy nie?

– Idziemy, idziemy, za pięć minut będę gotowa.

– Tylko nie zapomnij znów wziąć szalika, moje dziecko.

– No właśnie! Kto w moim wieku ma ten luksus, że słyszy przy okazji uwag dodatek „moje dziecko”.

– Skoro tak długo żyję, mam prawo zwracać się do dzieci, jak chcę.

– Na wieki wieków amen! Niech tak będzie jak najdłużej.

Pensjonat „U Jagi” mieścił się dokładnie naprzeciwko Domu Pracy Twórczej ZAiKS-u, usytuowanego przy równoległej ulicy. Toteż spacerowicze obydwu przybytków często się spotykali. Ponieważ na ogół wszyscy się znali, zawsze zamieniali ze sobą kilka słów. Nieraz również się odwiedzali.

– Tym razem chyba nie posiedzimy sobie na naszej ławeczce przy tężni. Mróz szczypie w policzki jak diabli – powiedziała Zofia.

– Zimno ci, mamuś? – zatroszczyła się córka. – Zawrócimy, jak będziesz chciała.

– Dam sobie radę, posmarowałam twarz kremem, postawię kołnierz i będzie dobrze. Popatrz no, popatrz, czy to nie twoja sąsiadka z klatki schodowej? Skąd ona tutaj?

– Rzeczywiście, Śliwińska ze swoim nieodłącznym wózczykiem. Czyżby i tutaj polowała na ciuchy?

Kobieta szybkim krokiem zbliżała się do nich.

– Dzień dobry paniom! Czy mnie wzrok nie myli? Ależ to pani Zofia z panią Kasią! Miło się spotkać! Panie pewnie w ZAiKS-ie?

– Tym razem w pensjonacie „U Jagi”. Ale pani skąd się tu wzięła? – zapytała Kasia.

– Ja tu mam drugi dom u córki. Zgarnęła mnie na kilka dni.

– Ach, prawda. Przecież córka mieszka w Konstancinie, zapomniałam.

– Idę na targ, dzisiaj przecież sobota – pochwaliła się pani Basia.

– Niech pani nie mówi, że córka wysłała panią po zakupy. Jak ją znam, wolałaby pani tego oszczędzić.

– Oczywiście. Jeśli chodzi o owoce i żywność, pojechała rano samochodem i wszystko kupiła. Ale tam są takie stoiska z ciuchami i wspaniałe okazje. Muszę zdążyć, zanim córka odbierze dzieci z zajęć w domu kultury.

– Tak myślałam – powiedziała Kasia, robiąc oko do matki.

Bo też pani Basia Śliwińska była niepoprawna w swoim uzależnieniu od ubraniowych zakupów. Odkąd zaistniały w Polsce sklepy z odzieżą „na wagę”, nie było dnia, żeby do nich nie zajrzała i nie wróciła z jakąś zdobyczą. Kiedy żył jej mąż, profesor Śliwiński, bardziej dyskretnie oddawała się swojej pasji, ale po jego śmierci poszła na całość. Aczkolwiek i za jego życia potrafiła zamienić swój dom w składowisko ubrań. Chuda jak patyk, zakupione szmatki wkładała na siebie w sklepie po kilka warstw i ukrywała pod paltem, żeby mąż nie widział, że przychodzi obładowana. Tak było w dni chłodne, ale na ciepłe też znalazła sposób. Ubierała się w luźne, lekkie wdzianka, pod którymi starała się ukryć nowo zakupione rzeczy.

Ta jej przypadłość była prawdziwym utrapieniem jej córki, bo w przypadku cięższej choroby matki, a te przydarzały się jej coraz częściej, pani Basia nie pozwalała wezwać do siebie lekarza. Wstydziła się tego, że jej dom, a zwłaszcza pokój, w którym spała, był pełen tłumoków i wieszaków z odzieżą. Jak w sklepie. Sprawiała sobie zresztą takie sklepowe stelaże na wieszaki.

– Gdzie tu logika, mamó? – denerwowała się córka pani Basi. – Wiesz, że tak być nie może i wciąż skupujesz łachy? Przecież jesteś mądrą kobietą, skąd ci się to wzięło? Większości z tego nigdy nie założyłaś, po co ci to?

Rzeczywiście, Basia Śliwińska do głupich nie należała. Całe swoje życie przepracowała na różnych stanowiskach w dyplomacji za granicą. Gdy wreszcie przeszła na emeryturę i przestała jeździć po świecie, stała się pilną bywalczynią bibliotek i... mnożących się jak grzyby po deszczu sklepów z używaną odzieżą na wagę.

Za czasów swojej aktywności zawodowej zawsze była elegancka, z pewnością nie miała kompleksu kobiet z demoludów, które ucierpiały z powodu braków w zaopatrzeniu. Szczerze mówiąc, niczego jej nigdy nie brakowało. Tym dziwniejsze więc wydawały się jej obecne nawyki.

Kiedy trzy lata temu zasłabła i trafiła do szpitala, jej córka postanowiła pomóc matce raz na zawsze uporządkować mieszkanie, gdy tylko do niego powróci.

– Tak dalej być nie może! – powiedziała. – Nikt nie potrzebuje tylu ubrań, przecież nawet nie jesteś w stanie niektórych rzeczy założyć. Likwidujemy to!

– To znaczy, co chcesz zlikwidować? – spytała przestraszona pani Basia.

– Cały ten kram, te stelaże, wieszaki razem z tym, co na nich wisi. Musisz mieć czym oddychać w swoim pokoju. Czy ty nie widzisz, że mieszkasz w przepełnionej szafie?

– Widzę, ale...

– Nie ma żadnego ale!

Po tych słowach Beata zaczęła zdejmować ubrania z wieszaków i pakować je do przygotowanych worków na śmieci. Oszczędzała tylko to, w czym widywała matkę od czasu do czasu. Z początku próbowała ona oponować:

– Daj spokój! To taka piękna marynarka!

– I dlatego nigdy jej nie widziałam na tobie?

– Fakt, że jeszcze jej nie nosiłam, ale...

– A wisi tu ze trzy lata.

Widząc, że nie uda się powstrzymać córki przed wyrzucaniem ubrań, Śliwińska usiadła jak zaklęta i patrzyła z niedowierzaniem na to, jak jej zdobycze znikają z wieszaków. Kasia zapamiętała jej przerażoną minę, bo zgodziła się, kiedy jeszcze Barbara była w szpitalu, pomóc córce oczyścić jej dom. To ona doradziła jej, żeby nie robić tego w czasie nieobecności matki, gdyż żal za jakąś ulubioną rzeczą może jej zaszkodzić. I miała rację. Bo chociaż obie sprzątające pytały, czy jest do tego czy owego łacha jakoś specjalnie przywiązana, pani Basia przeoczyła spakowanie jakiejś cennej

spódnicy sztruksowej w stylizowane kwiaty i dotąd nie przestała wspominać jej ze łzami w oczach. Podobno była wygodna, bo z kieszeniami, i piękna... Trzeba przyznać, że biedaczka gust miała znakomity, bo potrafiła w stertach łąchów na straganach i w sklepach z tanioczą znaleźć okazy znanych światowych firm. Od razu je widziała, takie miała wyćwiczone oko.

– Przynajmniej weźcie coś dla siebie, będę wiedziała, że się nie zmarnuje – powiedziała zrezygnowana pani Basia. – To takie piękne rzeczy!

– Piękne, ale nienawidzę ich, bo utrudniają ci życie – odpowiedziała jej córka.

– O, patrz! Ta długa marynarka jest w twoim stylu, świetnie będziesz w niej wyglądać – nie ustępowała pani Basia.

– Mama ma rację, niech pani przymierzy – wtrąciła się Kasia.

– A pani też mogłaby sobie trochę powybierać, bo skoro mam tego nie mieć, chciałabym wiedzieć, że komuś posłużą.

– Nie taka była moja intencja, kiedy postanowiłam pomóc pani Beacie.

– No to co? Szykowny ciuszek nikomu nie zaszkodzi.

Co prawda, to prawda. Sprzątające zapamiętałe kobiety dały się wciągnąć w zasadzkę. Teraz role się odwróciły i ubezwłasnowolniona właścicielka „skarbów” przejęła inicjatywę. To ona zaczęła buszować wśród wieszaków, wybierając co bardziej atrakcyjne rzeczy dla obu młodszych kobiet. Po pół godzinie każda z nich poza workami wystawionymi na korytarz miała też i swój.

Kiedy pod wieczór skończyły pracę, Kasia z lekkim podnieceniem, ale i niesmakiem niosła wielki worek zdobyczy do swego mieszkania.

Natomiast sterta worków do wyrzucenia zajęła cały korytarz wzdłuż czteropokojowego mieszkania Śliwińskich, aż do okna. Beata umówiła się z dozorcą, że o zmierzchu powynosi worki i ustawi je koło śmietnika. Ci, co o świcie szukają tam skarbów, będą mieli używanie. Kasia dziwiła się, że nie przekażą ich jakiejś fundacji czy potrzebującym, na co Beata zachnęła się:

– Nie poświęcę im ani sekundy dłużej, nie będę nigdzie jeździć, nienawidzę tych łąchów, bo zatruwają życie mojej mamy. A w okolicy kręci się wielu „nurdów śmietnikowych”, niech mają niespodziankę.

Kasia wychodząc rano z domu, z ciekawości zajrzała do wiaty śmietnikowej. Beata miała rację. Po workach nie było nawet śladu. Wszystko się komuś przydało! Zaś pani Basia Śliwińska z zapięklm żalem w sercu po utracie ukochanej spódnicy sztruksowej w egzotyczne kwiaty rozpoczęła w

opróżnionym pokoju nowe życie. Nie na zawsze niestety. W niedługim czasie prawie że uzupełniła braki.

Teraz też, zanim te myśli przebiegły przez głowę Kasi, z pustym plecakiem i wózkami na kółkach zniknęła im z oczu.

– Ciekawa jestem – powiedziała Zofia – czy zdąży wrócić do domu przed córką.

– Myślę, że tak – odrzekła Kasia. – Zauważyłam, że osoby od czegoś uzależnione odznaczają się dużym sprytem w ukrywaniu swoich niecznych poczynań.

– Nie próbowałaś z nią o tym porozmawiać? Przecież to mądra kobieta.

– Naturalnie, że próbowałam, nie raz.

– I co? Dociera do niej, że gromadząc tyle łachów bałagani sobie życie?

– Dociera i bardzo się tym martwi.

– Więc dlaczego to robi? To jakiś paradoks.

– Bo to nałóg, a z nim niełatwo zwyciężyć.

– Skąd jej się to wzięło?

– Sama się nad tym zastanawia. Może z wojennego dzieciństwa? Podobno była jak my z matką na Syberii. A może ze skąpstwa jej męża?

– Był skąpy?

– Tego nie wiem, ale na pewno wygodny. Szybko zorientował się, że małżonka zarabia więcej i nie śpieszył się z otwieraniem swojego portfela. Jeżeli zdarzyło mu się uczestniczyć w domowych wydatkach, bardzo je kontrolował. Basię to zniesmaczało i z czasem zaniechała proszenia go o cokolwiek. Jako że miał w ich stadle pozycję szefa, z czasem zaczął kontrolować też wydatki z jej portfela. Żeby się przed tym obronić, zaczęła lawirować. Nie przyznawała się do zakupów. A że zakazany owoc lepiej smakuje, nasilała się ich ilość.

– Prawdą jest, że każdy nowy zakup mnie odstresowuje. Toteż poprawiam sobie nastrój jak najczęściej – wyznała mi kiedyś. – Czy mnie się w życiu już nic nie należy?

– Argument nie do odrzucenia – odpowiedziałam – ale...

– Otóż to! – wpadła mi w słowo. – Te wszystkie „ale” i mnie spędzają sen z powiek, zwłaszcza gdy się obwieszę szmatami tak, że już nie daje się żyć. I co? Kiedy mam chandrę, zajrzę do sklepu z tanizną i znajdę coś wyjątkowego. Wiem, że jestem niepoprawna, ale nie umiem z tego zrezygnować. I tak żyję w bałaganie, którego nie mogę już opanować,

zupełnie inaczej niż kiedyś.

– I nie przeszkadza to pani? – zapytałam.

– Naturalnie, że przeszkadza, i to jak!

– Wobec tego po co...?

– Właśnie, po co? Sama się za to karzę i dalej jestem niepoprawna. Nie umiem, nie potrafię z tym skończyć, chociaż wiem, do czego to prowadzi. Nie jestem zresztą odosobniona w tym nałogu. Moja kuzynka z Krakowa cierpi na podobną dolegliwość, tylko na większą skalę, bo ma więcej miejsca. Ich duży dom stał się przez jej pasję wielkim składowiskiem ubrań. Dzwonimy do siebie czasem, żeby ponarzekać sobie na naszą przypadłość. Bo trzeba pani wiedzieć, że poza tą słabością moja kuzynka to osoba czarująca i niezwykle pracowita, dobra i kochana. Serce na dłoni. I utalentowana. Jakież ona planuje ogrody! Ten przy ich domu, z poprzycinanymi artystycznie drzewami, mnogością kwiatów i ziół, ptasich gniazd i tupiących jeży, wydaje się rajskim miejscem. Uwielbiam ją. Jej przynajmniej ta obfitość toalet się przydaje, bo ona i jej mąż często bywają między ludźmi. Są młodszy, lubią towarzystwo, teatr i operę.

– Pani też nie siedzi w domu, pani Basiu – rozwinęłam temat. – O ile wiem, nie stroni pani od teatru i towarzystwa ze swego środowiska. Mimo wszystko, ile można mieć strojów wizytowych?

– Zwłaszcza gdy się chodzi tylko w ulubionych – dodała.

– Czyli ona jest w pełni świadoma popełnianych przez siebie błędów i nadal je robi? Dziwne – podsumowała Zofia.

– I sama na tym najwięcej cierpi... Szkoda mi jej.

– Może gdyby się czymś zajęła, skończyłaby z tym. Przecież pracując na placówkach zagranicznych była niezwykle czynna, a teraz jej tego brakuje.

– Teraz też bezczynna nie jest. Zajęła się przekładami. Dostaje mnóstwo zamówień. Czasem mnie coś podrzuci, gdy nie może ze wszystkim nadążyć.

– No to już nie wiem, jak jej pomóc. Myślałam, że ona tak z nudów.

– Co jak co, ale nudzić się pani Basia nie ma kiedy. Może to jednak jakaś trauma z wojennego dzieciństwa.

I tak Kasia rozmawiając o przypadłości pani Basi zorientowała się, że dotarły do tężni.

– Ojej, ale się zagadałyśmy, nie jest ci zimno, mamuś?

– W porządku. Ale obejdziemy tężnię dokoła i nie będziemy przysiądać. Nie sądziłam, że aż tutaj dotrzemy.

– Ja też, żebyś tylko nie zmarła... Mróz szczypie w policzki. Czekaj, przewiążę ci kołnierz szalikiem, żeby osłonić twarz. I nie pójdziemy dookoła tężni, tylko wrócimy stąd.

– E tam, skoro doszliśmy aż tutaj, zrobimy całą trasę!

– Dasz radę? Nie ma sensu dopuszczać do tego, żebyś się, nie daj Boże, zaziębiła.

– A właściwie to od kiedy ona jest twoją sąsiadką, ta cała pani Basia? Dawniej nigdy jej nie spotykałam.

– Bo ona tu nie mieszkała. Dopiero kiedy jej córka wyszła za mąż, oddała jej dom pod Warszawą, a z mężem kupili sobie mieszkanie po Wiśniewskich w naszej kamienicy.

– Jaki dom pod Warszawą, ten w Konstancinie?

– Pewnie tak. Nie wypytywałam córki, gdzie mieszka, w końcu to znajomość zdawkowa. Aż dziw bierze, że aż tyle czasu poświęciliśmy pani Basi Śliwińskiej, jednej z moich sąsiadek, jakby była nie wiem jak ważna w moim życiu.

Wypowiadając te słowa Kasia nie miała jeszcze pojęcia, że ich stosunki towarzyskie z Basią ulegną zmianie. Nie przypuszczała, że mimo różnicy wieku staną się sobie bliskie i mocno się zaprzyjaźnią.

## Rozdział drugi

W pensjonacie „U Jagi” weekendowe obiady i kolacje różniły się od innych tym, że odbywały się w całej, nie przedzielonej kotarą sali, to znaczy brało w nich udział niemal dwa razy tyle osób, co w dni powszednie. Pensjonariuszy bowiem odwiedzały ich rodziny i przyjaciele. Kasia z matką tej soboty nie spodziewały się wizyty swoich bliskich, bo dzieci z wnukami były w Zakopanem, a Maciek na jakiejś swojej PZM-otowskiej imprezie. Toteż zdziwiły się na widok dodatkowych nakryć na ich stoliku.

– Mam nadzieję, że mogę przytulić się do pań na ten weekend – usłyszały głos Jagi. – Mój dyrektorski stolik zmuszona byłam oddać gościom.

– Ależ nam miło, czujemy się zaszczycone – odpowiedziała Kasia.

– A ja to robię z zazdrości – weszła jej w słowo Jaga. – Zazdroszczę ci, że masz mamę i cieszę się, że będę miała okazję z nią porozmawiać.

– Cała przyjemność po mojej stronie – włączyła się Zofia. – Doskonale panią rozumiem, bo ja sama straciłam mamę w dwunastym roku życia.

– Wobec tego Kasia jest nieprawdopodobną szczęściarą – stwierdziła Jaga i zwracając się do Kasi zapytała: – Tylko czy ty, moja droga, to doceniasz?

– Co prawda, to prawda... W tej materii czuję się naprawdę szczęściarą i możesz być pewna, że to doceniam. Słodko jest będąc babcią słyszeć z kochanych ust ten zwrot: „Kasiu, moje dziecko”.

– Wyobrażam sobie! – przyznała Jaga. – Tym bardziej że osoba, która to wypowiada, ma w sobie tyle ciepła, że chciałoby się do niej przytulić i wypłakać na jej piersi.

– A wiesz, Jaga, że nie jesteś pierwszą osobą, która tak określiła moją mamę? Dokładnie to samo powiedziała kilka lat temu inna moja koleżanka.

– A zatem dobrze panią Zofię wyczułam. Przepraszam za wścibstwo, ale co to za cuda pani haftuje? Dziewczęta, które u pani sprzątają, nie mogą się nachwalić.

– A, takie tam płócienne zasłony na jesienne dni. Chcę rozjaśnić pokój.

– Jakie znowu zasłony? Nic mi nie mówiłaś, mamuś.

– Bo dopiero tutaj wpadłam na ten pomysł.

– I po to kupowałyśmy ten ciężki, kilkumetrowy kawałek białego lnianego



płótna, którego nie mogłam donieść ze sklepu do pensjonatu, choć to zaledwie pięćset metrów? Nie mogłam zrozumieć, po co ci ta tkanina. Haftujesz to? Dwanaście metrów płótna?

– W dodatku ponoć pięknie – wtrąciła Jaga. – Mam nadzieję, że będę mogła to zobaczyć.

– Naturalnie, ale to nic nadzwyczajnego, rozczaruje się pani – powiedziała krygując się Zofia.

– Sama jestem ciekawa, co znowu wymyśliłaś. Że też nic o tym nie wiedziałam! – zdenerwowała się Kasia.

– Bo skroiłam i zaczęłam haftować te zasłony wtedy, gdy ty pracowałaś. Chciałam skończyć chociaż jedną, zanim komuś pokażę.

– A ile ich jest?

– Cztery, każda o szerokości trzech metrów, długości dwóch.

– Ojej, to nieprędko skończysz pierwszą!

– Właśnie ją skończyłam.

– Nie wierzę...

– A jednak...

– Pani Zofio, wobec tego pokażę nam pani swoje dzieło zaraz po obiedzie – zadecydowała Jaga.

Ponieważ były już na półmetku posiłku, szybko się z nim rozprawiły.

– A jakbyśmy tak deser zabrały do pokoju mamy? Tam zrobimy kawę i herbatę – zaproponowała Kasia.

– Też o tym myślałam – wyznała Jaga. – Tylko nie wypadało mi tego proponować.

Sprawczyni pośpiesznego jedzenia wycierała właśnie usta, bezkarnie zostawiając na talerzu połowę drugiego dania. Twierdziła, że porcje są dla niej za duże. Ale tym razem nie dostała od córki reprimendy, bo ta była ciekawa, co też matka nowego stworzyła. To, że ma niezwykły talent do robótek ręcznych, nie było dla niej tajemnicą, jak i to, że ich poziom odbiega od wytworów określanych tą nazwą. Zofia sama rysowała wzory i dobierała kolory tak, że jej dzieła przypominały raczej tkaniny artystyczne niż prace amatorskie. Poza tym rzeźbiła w drewnie i korze.

Zaczął się to na dobre wtedy, kiedy „nastał” przy niej Władzio. Jej życie, do tego czasu wypełnione ciężką pracą, zamieniło się przy nim w idyllę. Robił wszystko, aby Zosieńce usuwać sprzed nóg nie tylko kłody, ale też i pyłki. Pomagał jej we wszystkim, wyręczał w zakupach, a ponieważ nie

dopuszczała go do gotowania, ułatwiała to zajęcie, jak mógł: szatkował, kroił, obierał i tak dalej. Kiedy zobaczył, że w wolnych chwilach lubi rzeźbić, postarał się o miękkie drewno z lipy i korę. Kupił jej zestaw profesjonalnych narzędzi, a kiedy spytała, skąd je wziął, odrzekł, że dla chcącego nie ma nic trudnego. To on wyszukał ogłoszenie o Międzynarodowym Biennale Lalek w Krakowie, kiedy zauważył, że wyrzeźbione przez siebie figurki zaczęła malować i ubierać.

Kasia nie zapomni, jakie wrażenie zrobiły na niej te cudenka. Maleńkie, pełne wyrazu buzie (każda zupełnie inna!), miniaturowe peruczki i kostiumy kolorowe, z hafcikami, które gdy się na nie patrzyło, zdawały się być robione z użyciem lupy, tak były drobnutkie i precyzyjne. Ale Zofia mimo podeszłego wieku wciąż miała dobry wzrok. Władzio przyglądał się jej wytworom i rozmyślał, jak pokazać je światu. Najpierw więc poszedł do Zamojskiego Domu Kultury z ich fotografiami i propozycją urządzenia wystawy tych prac. Wiedząc o tym, że Zofia będzie się krygować, użył podstęp. Zaprosił panią dyrektor, żeby wpadła do nich na obiad jako bliska znajoma jego rodziny, co zresztą nie odbiegało od prawdy, bo była zaprzyjaźniona z jego siostrą. Przy okazji miała obejrzeć prace Zofii i jeśli jej się spodobały (w co nie wątpił), zaproponować ich autorską wystawę w miejskim Domu Kultury. Oczywiście, żeby zaproszonej było różnie, Władzio nie zapomniał o jej przyjaciółce, swojej siostrze, Irenie, dzięki czemu wizyta nowej „znajomej” wyglądała bardziej naturalnie.

– Jakże się cieszę, że mogę panią poznać, pani Zofio. Tyle dobrego o pani i tych magicznych pracach słyszę wciąż od Irenki, że zaproszenie przyjęłam z wielką radością. A szczerze mówiąc, to ja się tutaj wprosiłam – powiedziała pani Roma.

– Nie przesadzajmy! – zaprzeczył szarmancko Władzio.

Jak przewidział, zanim goście wyszli z ich domu, padła propozycja wystawy nie tylko lalek, ale i innych prac, w tym haftów Zofii. Pani Roma Gasiuk była nimi urzeczona.

Wystawa cieszyła się ogromnym powodzeniem, a zwiedzający ją pytali, czy można by z niej coś kupić. Autorka była zaskoczona i chciała wyrazić zgodę na sprzedaż niektórych lalek, haftów czy rzeźb, jednak Władzio ku jej zdziwieniu kategorycznie zaprotestował. Uknuli już bowiem z panią Romą nową intrygę. Załatwili Zofii udział w Międzynarodowym Biennale Lalek, na którym została uhonorowana jedną z trzech głównych nagród.

To były początki kariery artystycznej mamy – pomyślała teraz Kasia. – Inspirator jej sukcesów nie żyje już jedenaście lat... Biedny Władzio miałby obecnie, podobnie jak matka, dziewięćdziesiąt trzy lata! Żył stanowczo za krótko. Kasia po wielokroć wspominając tego dobrego człowieka wyobrażała sobie, jak nadal wspólnie gospodarują w nowym, warszawskim mieszkaniu Zofii, tak podobnym do ich zamojskiego mieszkania. Szkoda, że los chciał inaczej.

Teraz oto przyszyły razem z Jagą do jej pokoju i matka wyjęła z szafy swoje dzieło. Kiedy rozłożyła na tapczanie wielką zahaftowaną tkaninę, córka i ich gość dosłownie oniemiały.

Białe płótno ozdabiały regularnie porozkładane wianuszki i wiązanki polnych kwiatów. Dobór kwiatów i kolorów był dość żywy, ale i subtelny.

– Ależ to poruszająco piękne – wyszeptała Jaga... – Gdybym tego nie zobaczyła, nie uwierzyłabym, że ktoś to zrobił ręcznie. Wygląda jak najpiękniejsze wytwory Belle Époque, prawda Kasiu?

Zagadnięta tylko pokiwała głową. Myślała, że matka nie zdoła jej już zaskoczyć. A jednak!

Głośny śmiech Jagi wyrwał ją z zamyślenia.

– Co się stało? Dlaczego się śmiejesz?

– Bo jesteście z mamą tak podobne.

– My? Nikt nam tego nie mówił.

– Kiedy jesteście z siebie dumne, macie identyczne miny. Pani Zofia miała taką samą, kiedy się chwaliła tobą przy stole. Coś nieprawdopodobnego! Ale wróćmy do tego cudenka. Wyobrażam sobie, jak to będzie wyglądało w całości. Nie daruję sobie, jeśli nie zobaczę – mówiąc to pani dyrektor pensjonatu wdrapała się na krzesło i zaczęła zdejmować zasłonę z okna, żeby zastąpić ją tą wyhaftowaną przez panią Zofię.

Efekt był piorunujący. Rzeczywiście Belle Époque!

– O Boże, jakie to słodkie! I jak pasuje do tutejszych mebli. Chciałabym to mieć tu, w pensjonacie. Przynajmniej w jadalni. Ale... nie wypłaciłabym się pani. Taka robota musi słono kosztować.

– Dlaczego? – spytała Zofia.

– Bo jest piękna, wymaga talentu, cierpliwości i czasu.

– Dziękuję pani. A co do ceny, to nie mam pojęcia, bo nigdy nie robiłam nic takiego na sprzedaż. Nie! Kłamię! Na Syberii wyprzedzałam wszystko, co chcieli kupić. Ale wtedy chodziło o przetrwanie.

- Czyli mam się pożegnać z zamówieniem?
  - Tego nie powiedziałam.
  - Mamuś, nie wygłupiaj się. Wiesz, jak długo musiałybyś ślęczeć bez ruchu haftując te kilometry tkaniny?
  - Ale ja lubię haftować.
  - No nie! Nie gniewaj się Jago, ale ja protestuję. Mama powinna się ruszać, dla zdrowia, a jak już utknie przy takiej pracy, to jej na spacer nie wyciągnę i w ogóle... Jak zaczniesz coś robić, to nie dojdiesz z nią do ładu, póki nie skończy.
  - Sralis mazgalis – zaprzeczyła Zofia jednym ze swoich słynnych powiedzonek. – A teraz to nie chodziłam na spacer, jak mnie wyciągałaś?
  - Tego by jeszcze brakowało! Nie po to tu przyjechałyśmy, żeby unikać powietrza.
  - W niecałe trzy tygodnie, w wolnych chwilach, kiedy ty robiłaś te twoje tłumaczenia, ja wyhaftowałam jedną trzecią tego, co mam do zrobienia.
  - Brawo! Ale na potrzeby jadalni Jagi musiałybyś siedzieć i ścibolić kilka miesięcy. Nie dasz rady.
  - Głupio się czuję, że mi się tak zaświeciły oczy na widok tych piękności. Nie wiedziałam, że siedzenie nad haftem pani Zofii szkodzi.
  - E tam, szkodzi. Zawracanie głowy! Dlaczego ty, Kasiu, za mnie mówisz. A może ja chciałabym pani Jadze zrobić te zasłony. Zabronisz mi?
  - Oczywiście, że niczego ci nie zabronię, ale to wydaje mi się nierealne. Nie dasz rady.
  - Ja? Nie takim rzeczom dawałam radę. Mówisz, jakbyś mnie nie znała.
  - Och, mamuś! Wiem, do czego jesteś zdolna, ale teraz masz już dziewięćdziesiąt trzy lata i musisz na siebie uważać.
  - Sama wiem najlepiej, co mogę, a czego nie mogę. Nie musisz mną dyrygować, lepiej idź do tych swoich tłumaczeń, bo nie zdążysz wszystkiego zrobić.
- Kasia otworzyła usta ze zdziwienia.
- Chyba najlepiej będzie, jeśli rzeczywiście pójdę. Przepraszam cię, Jaga, nie bierz tej naszej sprzeczki do siebie. Muszę mieć kontrolę nad tym, co mama robi, bo bywa szalona.
  - Doskonale to rozumiem i też was przepraszam, że tak to się potoczyło.
- Kasia wyszła, a Zofia zatrzymała u siebie Jagę i obiecała jej, że wyhaftuje dla niej zasłony.

– Kochana pani jest – wzruszyła się Jaga – ale Kasia uświadomiła mi, że to zadanie jest naprawdę ponad pani siły.

– To potrwa, ale zrobię to.

– Byłoby to dziesięć razy tyle, ile pani zrobiła, proszę się zastanowić.

– Dam radę!

– Nie chciałabym, żeby przez mój kaprys...

– Ale dlaczego miałabym nie spełnić kaprysu sympatycznej osoby? Będę dumna, że moja praca zawiśnie w tak uroczym miejscu.

– A ile to by mogło kosztować? – zapytała Jaga.

– Na pewno się dogadamy – odpowiedziała machnąwszy ręką Zofia.

Kasia zażenowana tym, że przy Jadze nerwy jej puściły i napadła na matkę, zamiast usiąść do pracy położyła się na łóżku i postanowiła uciąć sobie drzemkę. Mróz panujący na spacerze i obfity posiłek pozbawiły ją energii. Zanim zdążyła zasnąć, usłyszała pukanie do drzwi. Zerwała się i przekręciła klucz w drzwiach.

– Przepraszam, że przerywam ci pracę, Kasiu – powiedziała Jaga. – Ale muszę cię powiadomić o decyzji twojej mamy. Obiecała, że postara się zrobić dla mnie te zasłony. Nie mogę jednak angażować jej bez twojej wiedzy.

– Wejdz, proszę. Jak się mama uprze, to nic jej nie powstrzyma. Ale czy da radę, to już inna sprawa. Powinnaś się liczyć z tym, że ona robi się coraz starsza i może w jakimś momencie nie móc tego dokończyć. Myślę, że bezpieczniej by było, gdyby mama to zaprojektowała, a inne hafciarki wykonały projekt.

– Masz rację, nie pomyślałam o tym. Tylko wolałabym, żeby zapłaty nie musiała z nikim dzielić.

– Porozmawiam z nią. Mam nadzieję, że da się przekonać.

– Jeśli ci się uda, nie będę miała wyrzutów sumienia, że jej szkodzę. Nie miej do mnie żalu, Kasiu. Gdyby chodziło o moją matkę, postąpiłabym tak samo.

– Ty też nie miej do mnie żalu. Przepraszam, że przedtem tak ostro zareagowałam.

– Rozumiem, przykro mi, że do tego doszło, ale mam nadzieję, iż między nami nic się nie zmieni.

– Na pewno – obiecała Kasia. – I przestańmy już o tym mówić! Napijesz się kawy?

– Z tego wszystkiego zapomnieliśmy o deserze. Ciastka są u pani Zofii, ale wystarczy nam kawa.

– Te twoje desery! Są pyszne, ale już mi się zaokrągliły boki, bo zabieram je do pokoju i pożeram przy pracy. Siedzącej!

– Nic ci nie będzie, masz świetną figurę. Od czasu do czasu trzeba dogodzić podniebieniu. Co innego, gdybyś tak jadała przez cały rok. A jak ci idzie praca?

– Nie najgorzej, chyba skończę do końca pobytu.

– A nie mówiłam? Nigdzie nie pracuje się tak, jak „U Jagi”.

– Co prawda, to prawda.

## ***Rozdział trzeci***

– Katastrofa! – wykrzyknął Maciek wchodząc do domu.

– Rany boskie, co się stało? – zapytała przestraszona Kasia.

– Nie oglądałaś wczoraj wiadomości, nie widziałaś, co podpisano w Atenach?

– No wiesz! Wczoraj się z tego cieszyłeś, a dziś uważasz to za katastrofę? Skąd taka nagła zmiana poglądów?

– Zwariowałaś? Jaka zmiana poglądów? To, że nas przyjęli do Unii Europejskiej, uważam za coś wspaniałego, ale katastrofą jest to, że nigdzie nie mogłem znaleźć unijnej flagi!

– A po co ci ona już teraz? Jeszcze nie jesteśmy przyjęci, tylko ustalono, że można i o nas Unię rozszerzyć, ma być referendum...

– W Warszawie znajdę, przywiozę. Powiesimy unijną flagę razem z polską na ganku.

Kalczyńscy przebywali aktualnie w swoim Letnim Domu. Jak zwykle przyjechali tu już na Wielkanoc. Kasia z mamą lubiły obserwować budzącą się do życia przyrodę. Od czasu do czasu sprawy związane z pracą zawodową zmuszały Kasię do pojawienia się w Warszawie, ale gdy tylko je załatwiła, szybko wracała na łono natury. Teraz chciał się wybrać do Warszawy jej mąż, bo miał problem z flagą.

– Jeszcze na nią za wcześnie – starała się go przekonać. – Poczekaj na referendum.

– Znam z góry jego wynik – zapewnił Maciek.

Był człowiekiem lubiącym demonstrować swoje uczucia patriotyczne, toteż niemożność spełnienia tego, co zaplanował, denerwowała go.

– Przecież i tak wracasz zaraz do Warszawy. Tam sobie powiesz flagi.

– Tu też muszą być.

– Przyjdzie na to czas, to zawisną – powiedziała spokojnie Kasia i puściła oko do Basi Śliwińskiej, którą zabrali z sobą tym razem do Leśnego Domu.

Ostatnio kobiety bardzo zbliżyły się do siebie. Zaczęło się od tego, że córka Kasi, Zosia, dostała list od hiszpańskiej przyjaciółki, napisany w jej ojczystym języku.

Dolores po prostu zapomniała o tym, że w Paryżu, gdzie się poznały, rozmawiały z sobą tylko po francusku. Zarówno znająca różne języki Zosia, jak i jej matka akurat hiszpański znały tylko jako tako. Napisała maczkiem epistoła Dolores była dla nich w większości tyleż niezrozumiała, co trudna do odczytania. Wtedy Kasia pomyślała o pani Basi, która przez kilka lat pełniła funkcję attaché kulturalnego w Madrycie.

Sąsiadka z Warszawy bez trudu odszyfrowała i przetłumaczyła list. Język hiszpański znała doskonale. Podobnie jak angielski, francuski i włoski. Przy okazji ucięły sobie z Kasią długą rozmowę, po której obie odkryły, że mają mnóstwo wspólnych upodobań. Zaczęły się odwiedzać w swoich mieszkaniach, chodziły razem do Zofii, którą Basia też oczarowała swoimi opowieściami z krajów, które odwiedzała nie tylko dzięki pracy, a także rozległą wiedzą. Tak się polubiły, że Kasia z mamą ani się obejrzały, jak zaprosiły ją na Wielkanoc i pobyt letni do Leśnego Domu. Dla Kasi taka sytuacja miała i to znaczenie, że w razie koniecznego wypadu do Warszawy nie musiała zamartwiać się o matkę. Basia mimo swojej osiemdziesiątki na karku była pełna wigoru i bardzo wobec Zofii opiekuńcza.

Oczywiście jak większość gości Leśnego Domu doceniła jego zalety i tak samo jak kiedyś Bernadette, paryska przyjaciółka Kasi, nazwała go „rajem”. Okazała się dobrym kompanem na leśne wyprawy i lubiła pływać. Ale nade wszystko gospodynie ceniły sobie rozmowy z nią. Była świetnym narratorem, miała mocno rozwinięty zmysł obserwacyjny. W czasie którejś z jej opowieści Kasia powiedziała nagle:

– A nie pomyślałaś, Basiu, żeby to, o czym opowiadasz, przenieść kiedyś na papier? Masz niezwykły dar opowiadania. Jeśli potrafisz pisać tak, jak mówisz, ludzie będą cię czytać jednym tchem.

– Muszę się przyznać, że nieraz przychodziło mi to do głowy, ale debiutować w tym wieku to szaleństwo.

– Dlaczego? Bardzo dużo ludzi będąc na emeryturze zaczyna pisać. Nie ma limitu wieku na debiut pisarski.

– Masz rację, może i ja spróbuję swoich sił w tej materii.

– I będziesz miała mniej czasu na zakupy w second-handach. Córka się ucieszy.

– Obyś dobrze wieszczyła. Wiesz, że to nie w pełni zależy ode mnie.

– Basieńko, bardzo dużo zależy od ciebie, tylko nie chcesz się temu poddać.



– Ja wiem, że trudno to zrozumieć, ale przychodzi taki moment, że muszę sobie czymś poprawić humor i wtedy klops z postanowieniami. *À propos*, pewnie nie zechcesz mnie zabrać w sobotę na „Radość o poranku”?

– Dlaczego? Jadę na zakupy żywnościowe, między innymi na targ. Z chęcią cię zabiorę. Tak okrutna to ja nie jestem. Nie chcę, żebyś przez cały następny tydzień chodziła z nosem na kwintę. Inna rzecz, że nie znajdziesz we mnie kompana do zachwywania się szmatami.

„Radość o poranku” to wielki targ staroci, odzieży, butów, wszelkich cudów z drugiej ręki. Tak tu jest w regionie: we wtorek i piątek w Piszcu, w środę i sobotę w Nidzie, w czwartki w Myszyńcu. Handlarze warzyw, nabiału i wszelkich innych poszukiwanych produktów przemieszczają się zgodnie z harmonogramem. Targi to również miejsce spotkań i wymiany poglądów. Dlatego cała miejscowa społeczność czuje się zobowiązana, by się tam pojawiać. Podobnie jak okoliczni letnicy.

Po kilku wycieczkach na „Radość o poranku” Kasia zauważyła, że przydzielone Basi miejsce w garderobie szybko się zapełnia. Co powie jej córce, gdy ta cały ten majdan zawiezie po sezonie do swojego przeładowanego mieszkania?

E tam! – powiedziała sobie. – W końcu to nie moje zmartwienie, Basia ma tyle zalet, że nie zaszkodzi jej jedno dziwactwo.

Ponieważ Kasia ostatnio zaczęła się skarżyć na bóle w kręgosłupie, Basia, która rokrocznie fundowała sobie pobyt w sanatorium w Busku Zdroju, zachwalając dostępne tam zabiegi i ich skutki, namawiała ją do wspólnego tej jesieni wyjazdu do kurortu.

– Byłoby cudownie, ale umarłabym z niepokoju o mamę. Przez te, jak mówisz, „przynajmniej” trzy tygodnie myślałabym tylko o tym, czy z nią nic złego się nie dzieje. Chyba żebym ją z sobą zabrała.

– Przesadzasz. Czemu akurat wtedy ma się coś dziać? Przecież Maciek i twoja córka mogą do niej zaglądać. Zabrać ją tam jest większym ryzykiem, niż zostawić ją w domu. Czekaliby na ciebie całymi dniami, aż wrócisz z zabiegów. W niektóre dni będziesz nimi zajęta od rana do wieczora.

– Przecież mamie też mogę wykupić jakieś zabiegi. Wiesz, ile ona ma drobnych dolegliwości.

– Tyle że zanim by jej pomogły, bardzo by ją osłabiły. Nie wiem, czy widziałam tam kiedykolwiek kogoś w jej wieku. Musiałbyś poradzić się jakiegoś lekarza. Zresztą gdybyście pojechały tam razem, ty byś wiele nie

skorzystała, ponieważ musiałabyś odprowadzać mamę na zabiegi, nie zdążając na swoje, pilnować, żeby odpoczęła i tak dalej.

– No więc sama widzisz, że nie mam szansy tam z tobą pojechać, a szkoda.

Rzeczywiście przebywanie z Basią sprawiało Kasi coraz większą przyjemność. Ta mądra, szalona i łagodna osoba, starsza od niej prawie o dwanaście lat, podbiła jej serce. Po śmierci Hani, córki Mai Tarnowskiej, los zbliżył ją do kogoś podobnego do zmarłej przyjaciółki. Przyłapała się na tym, że mówiąc z nią o niemożności wyjazdu do sanatorium, żałuje nie tyle dobroczynnych zabiegów, co przebywania tam w jej towarzystwie.

Z czasem wszystko tak się ułożyło, że zyskała szansę na tę kurację.

W czasie letniego pobytu na jeziorach jej siostra Pela–Ela, która co roku przyjeżdżała na kilka tygodni do Warszawy, żeby być z matką, zapowiedziała swoją wizytę w październiku.

– Przyjeżdżam do mamy na dwa tygodnie – oświadczyła.

– Z nieba mi spadasz! – odrzekła Kasia. – Ale chcę cię prosić, żebyś spędziła z nią całe trzy tygodnie.

– Oho, czuję, że moja siostrzyczka zatęskniła za Paryżem! Zgadłam? Chcesz popracować?

– Wręcz odwrotnie. Ponieważ moje kości się starzeją, chciałabym zafundować sobie sanatorium.

– Ty? Sanatorium? No, no. Na to bym nie wpadła. Już myślałam, że jesteś cyborgiem, którego nic się nie ima. Jednak normalniejesz.

– No to jak, wytarguję u ciebie jeszcze ten dodatkowy tydzień z mamą czy nie?

– Coś tam zaplanowałam na te dni, ale da się to przełożyć. Nic ważnego. Jednak Zygmus będzie zrzędził.

– Jeśli nie może bez ciebie wytrzymać, niech po ciebie przyjedzie i pobędzie z tobą w Warszawie przez ten ostatni tydzień, zobaczy się z synami...

– Synowie odwiedzają nas prawie w każdy weekend. Ale możesz sobie jechać do tego Buska, kuracjuszko. Ja przypilnuję mamę.

Po tej rozmowie Kasia natychmiast poszła do małego domku, gdzie mieszkała Basia, i zapytała:

– Zamówiłaś już sobie sanatorium?

– Dzisiaj to zrobię.

– Jeśli mogłabyś tam być od piętnastego października, pojechałabym z

tobą.

– Naturalnie, że mogłabym. Cieszę się, że przemyślałaś to i zmieniłaś zdanie. Mamie nic się nie stanie, zobaczysz.

– Mam taką nadzieję, zwłaszcza że moja siostra Pela w tym czasie do niej przyjedzie. Tak więc bądź łaskawa dokonać dwóch zamówień na trzy tygodnie, dla siebie i dla mnie. Przepraszam, bo może ty chcesz tam zostać dłużej?

– Zaraz do nich zadzwonię. Będziemy musiały wysłać im zaliczkę.

– To zrozumiałe. Jak już to załatwisz, od razu przyjdź na śniadanie. Czekamy na ciebie.

Rzekłszy to Kasia opuściła ganek małego domku, żeby na ganku dużego domu sprawdzić, czy na stole niczego nie brakuje.

Wiatr tego dnia, mimo słonecznej pogody, śmiało sobie poczynął, targając nietościwie symbolami patriotycznych uczuć Maćka i jego rodziny – flagami polską i unijną. Bowiem po wygranym referendum przez chcących należeć do Unii szef Kalczyński zdecydował, że zawisną za oknem werandy i pozostaną tam aż do oficjalnego przyjęcia Polski do Unii. Tak samo zapewne myślano w wielu różnych miejscach, nie tylko u nich, o czym świadczyły dekoracje domów.

Myśląc o tym z uśmiechem Kasia przymknęła szarpany wiatrem lufcik werandy i przykryła pokrywką patelnię z jajecznicą z kurkami uzbieranymi o świcie. Okrywając patelnię grubszą ściereczką, zawołała:

– Śpiochy! Spóźnialscy! Czekam ze śniadaniem!

Pierwsza przyszła wystrojona jak zwykle Zofia, ze swego pokoju miała najbliżej, a chwilę potem zjawił się przy stole Maciek, który skomentował jej koronkowy kołnierzyk.

– A mama dokąd w tych gipiurach się wybiera? Jakiś bal się szykuje?

– Daj spokój, Maciek! Wiesz, że mama lubi być zawsze zadbana. Wolałbyś patrzeć na abnegatkę?

– Ja przecież mamę właśnie komplementuję.

– Dziwną formę zatem wybrałaś.

– Kurki? Kiedy zdążyłaś nazbierać?

– No cóż, zawsze ktoś czuwa, żeby spać mógł ktoś!

– Zamówiłam nam Busko od piętnastego października do siódmego listopada włącznie – usłyszeli głos Basi, która właśnie przyszła na śniadanie. Pojedźmy dziś na pocztę wysłać zaliczki.

- Dobrze, załatwimy to. Dziękuję ci! – ucieszyła się Kasia.
- Uwielbiam te wasze śniadania na werandzie – powiedziała jej koleżanka.
- Chociaż mam pretensję, że frontowe szyby umieszczone są tak wysoko. Więcej można by widzieć, co się dzieje na ulicy, a ludzie z zewnątrz i tak nic by tu nie dojrżeli.
- Mnie to nie przeszkadza – rzuciła Kasia. – Może kiedyś to poprawimy. Smacznego, kochani.
- Pani Basiu – zagadnął Maciek. – Żona mówiła mi, że pani rodzina podczas wojny przebywała na kresach i że losy wasze były podobne do losów jej rodziny.
- Niezupełnie, bo po wkroczeniu Rosjan mieszkaliśmy wprawdzie w Baranowiczach, ale nie zawędrowaliśmy aż do Afryki. Okazało się, że tym samym transportem wywieziono nas na Sybir. Byliśmy tam znacznie dłużej, bo aż do roku tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego. Wieści o amnestii dotarły do nas dopiero po wojnie. W takiej dziurce pod Władywostokiem nas trzymali, że nikt o nas nie wiedział.
- Cztery lata w gułagu? Wobec tego macie szczęście, że udało się wam to przetrwać.
- Też tak uważam. Zawdzięczam życie bohaterstwu matki.
- To tak, jak ja – powiedziała Kasia, głaszcząc matkę po ręce.
- I *vice versa* – odpowiedziała jej Zofia. – Nie wytrzymałabym tego, gdyby ciebie tam ze mną nie było. To troska o ciebie dodawała mi sił i skrzydeł.
- Ach, te nasze mamy! Moja mówiła tak samo. Co by z nami było, gdyby nie one? – rozrzewniła się Basia.
- Po prostu by nas nie było – powiedziała Kasia. – Bo nie dość, że dały nam życie, to jeszcze ocalały je po stokroć.
- Maciek wyciągnął swoje długie nogi pod stołem i musiał dotknąć nimi Pirata, bo pies skwitował to ostrzegawczym warknięciem.
- Warczysz na mnie ty zbójcu jeden? Czeka, czeka, jeszcze będziesz mnie przepraszał, jak twoja pani zostawi cię na mojej łasce i pojedzie do sanatorium. Nie będzie mięska pokrojonego w plasterki ani pieszczotek. Będziemy wiedli surowe, męskie życie.
- Nie strasz go – wtrąciła się Kasia. – Do mojego wyjazdu zostały jeszcze dwa miesiące albo i więcej, a on zna cię doskonale i jedyne, czego się boi, to żebyś nie zagłaskał go do imentu. A jedzonka nagotuję mu na zapas i

zostawię odpowiednią ilość porcji w zamrażalniku.

– Nie ma to jak być psem w tej rodzinie – westchnął Maciek.

– Albo mężczyzną. Ty masz czelność narzekać? – oburzyła się jego żona.  
– Kiedyż to zostawiłam cię bez aprowizacji?

– Poważnie mówisz? – zdziwiła się Basia. – Czyżbyś nie wiedziała, że mężczyźni zawsze sobie poradzą?

– Nie Maciek. On poza jajecznicą i makaronem nie potrafi nic ugotować.

– Biedactwo. Ale i tak sobie poradzi.

– Przyjdzie do mnie – wtrąciła się Zofia. – Ja ich obu nakarmię, jego i Pirata.

– No właśnie! – rzuciła Basia. – I nawet wam nie przyjdzie do głowy, że dodawanie zajęć starszej osobie jest nie fair.

– Daj spokój – upomniała ją Kasia. – Mówisz tak, jakbyś wyjeżdżając z domu zostawiała męża bez zapasów. A ty wyjeżdżałaś więcej niż dużo razy.

– I nic mu nie zostawiałam. Przetrwał wszystkie rozstania w świetnej formie i był zadowolony. Chodził do znajomych i do ulubionej restauracji albo sam gotował, co chciał. Krzywdy nie miał.

– No, ale takich mężczyzn jest mało. Ilu z nich potrafi gotować? Na palcach można policzyć – odezwała się Zofia.

– Teraz to się zmieniło, zresztą już od dawna wygląda to inaczej. Kucharze to często mężczyźni. Moi siostrzeńcy, mój zięć gotują jak się patrzy – wtrąciła Kasia.

– Ja bym nie chciała, żeby mężczyzna plątał mi się po kuchni – stwierdziła Zofia.

– A twój Władzio zawsze ci się plątał. Siekał, mył i pomagał, jak umiał. I nie pamiętam, żebyś miała coś przeciwko temu.

– Władzio... On był wyjątkowy!

– Nie wiedziałem, że pani Basia jest taką feministką – włączył się do rozmowy Maciek.

– Ja feministką? Wyobraźcie sobie, że ja też o tym nie wiedziałam – odcięła się oburzona. – To już wystarczy z powodu zapracowania nie zdążyć dużemu chłopcu dać papu, żeby dorobić się takiego miana?

– Daj spokój, nie reaguj na głupie zaczepki – poradziła jej Kasia. – Zresztą określenie „feministka” to nie obelga. A w ogóle zakończmy już tę rozmowę. Każda z nas zna swoje miejsce w szeregu i nie ma o czym gadać. Jak widzicie, rano przyniosłam nie tylko kurki, ale też prawdziwki. Trzeba by

zajrzeć na łąkę. Co ty na to? – zapytała koleżankę.

– Prawdziwki na przełomie lipca i sierpnia? – zdziwiła się Basia.

– To się zdarza po takich deszczach, jakie teraz były – zapewniła ją Kasia.

– Nie wyeliminujecie mnie z tej wycieczki – oznajmiła Zofia.

– Czyli bierzemy samochód – oświadczył Maciek. – Bo tam i z powrotem mama nie da rady. A ma to i tę dobrą stronę, że będzie można zajrzeć jeszcze w kilka innych grzybowych miejsc. Ładujcie koszyki do bagażnika!

– Szef rozkazał, już się robi – zażartowała Kasia.

– A Pirat co? – zainteresowała się Basia.

– Pirat jedzie z nami, ma się rozumieć – poinformował ją Maciek.

– Chciałabym zapytać, skąd on wie, że jedziemy? Bo już ustawił się przy samochodzie. On aż tak wszystko rozumie?

– Jest dobrym kumplem i wyczuwa nasze intencje, prawda ty zbóju? – pochwalił psa Maciek klepiąc go po plecach.

– Czasem nawet pokaże mi grzyba, którego przegapiłam – dodała Kasia.

– To ja biorę go z sobą – powiedziała Basia. – Bo pewnie waszej kompanii bez jego pomocy nie dorównam.

Wczesny wysyp grzybów tego roku okazał się wspaniały. Mieszkańcy Leśnego Domu po obiedzie chwalili się swoimi zbiorami i trzeba było uruchomić suszarkę. Sama Basia znalazła dwadzieścia trzy prawdziwki, dużo podgrzybków i innych, mniej szlachetnych, ale smacznych grzybów. Była w euforii. Stwierdziła na koniec, że gdyby mogła przez cały rok zbierać grzyby, jej uzależnienie od ciuchów odeszłoby w siną dal.

– Jest na to rada – podpowiedziała jej Kasia. – Narób sobie zapasów, żeby po sezonie grzybowym wymyślać potrawy z grzybami i degustować je z przyjaciółmi. A jak jest teraz z twoją pasją, zobaczymy jutro na „Radości o poranku”.

– Chyba wolałabym pójść na grzyby. Musimy tam jechać?

– No wiesz! Nie poznaję cię! Nie chcesz iść na rynek? Ja muszę po aprowizację na najbliższe dni. Ty nie musisz. Tylko nie zabłądź będąc sama w lesie. Przy grzybobraniu to się zdarza.

– Wobec tego jadę z tobą, bo w błędzeniu jestem specjalistką, nawet bez grzybów.

Efekt grzybobrania jak na tę porę roku był imponujący. Ogólne zbiory były takie, że panie przez trzy dni nie mogły zająć się niczym innym, jak

tylko obieraniem, segregowaniem i przetwarzaniem grzybów. Oczywiście z przerwą na „Radość o poranku” w sobotę.

I tu zdarzyła się rzecz zdumiewająca: Basia nie kupiła nic oprócz jedwabnego szalika. Z pewnością miała podobnych bez liku, ale ta jej obecna wstrzeźliwość w kupowaniu ciuchów była czymś wyjątkowym. Dlatego Kasia postanowiła uczcić to wiecznym bankietem, naturalnie z daniami pełnymi grzybów. Maciek jako kronikarz rodziny zadbał o to, żeby sprawę odpowiednio zarejestrować. Jego żyłka reportera pchnęła go do uwiecznienia na zdjęciach i nagraniu rozmowy żony z przyjaciółką, kiedy wsiadały do samochodu po skończeniu zakupów.

– Zostawiłam miejsce w bagażniku na twoje torby. Gdzie one są? – spytała Kasia zwracając się do Basi.

– Jakie torby? – zdziwiła się zagadnięta.

– Z zakupami. Przecież cię znam.

– Nie ma żadnych toreb. Nic mi dzisiaj nie wpadło w oko, oprócz tego szaliczka. Włożyłam go do kieszeni. – Mówiąc to Basia wyjęła maleńkie, nie większe od jej dłoni zawiniątko.

– Nie wierzę! – zdumiała się Kasia. – Po prostu nie wierzę. Wyleczyłaś się?

– Ba! Gdybym to mogła wiedzieć. Tak wyszło...

– Szkoda, że to twoja córka tego nie widzi!

– Zobaczy – wtrącił się Maciek. – Wszystko zarejestrowałem. Mam całą waszą rozmowę i zdjęcia.

– Jesteś wielki! Sporządzimy reportaż – postanowiła Kasia. – Dostaniesz go od nas, aby ukoić serce swojej córki.

Przekazanie córce dobrych wieści o matce odbyło się wcześniej, niż się wszyscy spodziewali. Jeszcze tego samego dnia Beata zatelefonowała do matki z zapytaniem, czy ta nie zechciałaby zamiast siedzieć komuś na karku, wyjechać z wnukami nad morze.

– Przecież rodzice mieli tam jechać z dziećmi – zdziwiła się Kasia.

– Ale nie pojedą, bo Asiek się wyprowadza.

– A co się stało? Zdawało mi się, że są dobrym małżeństwem.

– Ależ skąd. To pozory. Mnie się od dawna to wszystko nie podoba. Nic nie mówiłam, ale ten Asiek... okropny egoista!

– Chyba nie musisz jechać zaraz? Miałaś tu pobyc jeszcze dwa tygodnie.

– Muszę jechać, czuję, że Beata mnie potrzebuje. Może powinnam

pomieszkać z nią jakiś czas w Konstancinie.

– Skoro tak uważasz... Będzie nam ciebie brakowało.



## **Rozdział czwarty**

Jesień tego roku dała się Kalczyńskim we znaki. Najpierw Zofia trafiła do szpitala w Pieszku z arytmią serca. Na szczęście po ośmiu dniach wróciła do domu z receptami na nowe leki – jak stwierdzono – „ustabilizowana”.

A pod koniec września Zosia zaalarmowana przez matkę opowieścią o niepokojącym zachowaniu Maćka, którym obie z Zofią były wstrząśnięte, zapowiedziała swój przyjazd autobusem do Rozogów jeszcze tego samego wieczoru.

– Starajcie się spakować co najważniejsze, zawiozę was jutro do Warszawy – powiedziała.

– Ty nas zawieziesz jutro? Przecież mamy wyjeżdżać w sobotę. Jutro biorę ojca do lekarza w Rucianem albo w Pieszku.

– O to właśnie chodzi. Jeśli go zostawię w szpitalu, będzie kłopot z odwiedzinami. My w Warszawie, on w Pieszku. Lepiej będzie, jak wróci na leczenie do Warszawy.

– Wobec tego nie przyjeżdżaj specjalnie, sami wrócimy pojutrze, jutro nie damy rady.

– Nie ma mowy. Ani jemu, ani tobie nie pozwolę prowadzić samochodu. Ty jesteś za nerwowa, a on jeszcze nie powinien prowadzić.

– Dobrze, że cię nie słyszy. Dopiero by się rozchorował.

– Jeśli tak było, jak mi opowiadałaś, trzeba mu zrobić szczegółowe badania, i to szybko.

– Też tak uważam. Ale...

– Nie ma żadnego „ale”. Przyjeźdź po mnie do Rozogów o dwudziestej – przerwała jej Zosia.

– Dobrze, oczywiście że przyjadę.

Kasia odłożyła słuchawkę telefonu i poszła do pokoiku matki, która właśnie zamierzała uciąć sobie drzemkę.

– Mamuś, nie obudziłam cię? – zapytała.

– Wejdz, moje dziecko. Jeszcze nie zasnęłam.

– Zosia wieczorem przyjeżdża, jadę po nią do Rozogów.

– I zabierze nas do Warszawy? Bardzo dobrze. Nie chciałam ci mówić, ale

wolałabym, żebyś sama nie jechała.

– Ale ona chce jechać jutro, bo nie ma z kim na dłużej zostawić dzieci. Nie damy rady zebrać się na jutro.

– Musimy.

– Skoro tak uważasz...

– Jak rozmyślam o tych dziwnych zachowaniach Maćka, upewniam się, że to coś poważnego.

– Teraz śpi jak suseł. Może jak się obudzi, wszystko mu się przypomni.

– Zdziwiłabym się.

A było tak: od rana tego dnia świeciło słońce i dzień był niezwykle ciepły, podobnie jak cała druga połowa września. Maciek jak zwykle pełen energii ustawił krzesła plastikowe i stół z werandy na środku trawnika, żeby je umyć szlauchem. Co też uczynił. Krzątał się jeszcze, schował do domku starą wiszącą wagę i poduszki z krzeseł, a potem zaczął namawiać żonę, żeby poszła z nim nad jezioro. W tym roku wciąż jeszcze woda była na tyle ciepła, że mogli się kąpać.

Ale Kasia zaczęła segregować przetwory. Robiła to jednocześnie z przygotowywaniem obiadu. Maciek nie doczekawszy się jej zgody na wspólną wyprawę, wziął swoje slipy, ręcznik, Pirata i poszli nad jezioro. Nie było ich dość długo, toteż Kasia gdy tylko skończyła swoje prace, postanowiła do nich dołączyć. Na górze koło kaplicy zobaczyła jednak swoich panów wracających powoli do domu. Gdy się zbliżyli, powiedziała:

– Szkoda, może jeszcze zawrócicie ze mną na małą plażkę? Jaka woda? Da się popływać?

Nie usłyszała odpowiedzi. Maciek szedł przed siebie z zaciętą miną. Tylko Pirat powitał ją serdecznie. Mąż przeszedł obok niej, jakby się nie znali. Ach, te jego dziecinne dąsy! – pomyślała i wzruszyła ramionami.

Bo Maciek był bardzo obraźliwy, tyle że nigdy nie trwało to długo. Przespał się i przechodziło mu.

Kąpiel była wspaniała, nie pamiętała, żeby woda w drugiej połowie września była tak ciepła, jak w tym roku. Odświeżona, pośpiesznie ruszyła do domu, żeby podać obiad. Kiedy otwierała furtkę, usłyszała zdenerwowany głos Maćka.

– I kto to wymyślił, żeby te krzesła wystawić na trawnik? O rany, i stół także! Będę teraz musiał targać to wszystko na werandę.

– Sam to zrobiłeś – tłumaczyła Zofia. – Myłeś je przecież.

– Co mi tu mama kit wciska? Byłem nad wodą, nic podobnego nie przyszłoby mi do głowy.

– Ależ umyłeś to wszystko, zanim wyszedłeś, nie pamiętasz? – wtrąciła się Kasia.

– Dlaczego nie przyszedłeś się kąpać? Czekaliśmy – odpowiedział jej pytaniem.

– Jak to nie przyszedłem? Spotkaliśmy się przecież.

– Nic podobnego!

– Żartujesz sobie z nas?

– Ani mi to w głowie. Zwłaszcza że ona mnie boli.

– Nie pamiętasz naszego spotkania? – zaniepokoiła się Kasia. – Myślałam, że się gniewasz.

– Przestań się wygłupiać! Lepiej pomóż mi zanieść stół i te krzesła na miejsce.

– Maciek, ja się nie wygłupiam! Ty naprawdę nic nie pamiętasz?

– Nic takiego, o czym mówicie. Chcecie mnie przestraszyć czy co?

– Na razie same jesteśmy przestraszone.

– Poważnie mówicie? Naprawdę to wszystko, o czym mi opowiadacie, miało miejsce?

– Maćku, żarty mają swoje granice. Naprawdę nie pamiętasz, że spotkaliśmy się przy kaplicy? A przed wyjściem wystawiłeś krzesła i stół i je myłeś?

– Jestem pewny, że cię nie spotkałem. I niczego nie wystawiałem. Wiem tylko, że bolała mnie głowa. Zresztą nadal mnie boli.

– Może trzeba wezwać lekarza?

– Daj spokój, po obiedzie się zdrzemnę i po sprawie.

– A co robiłeś na plażce? Kąpałeś się?

– Nie jestem pewny, ale slipy są mokre, więc chyba tak.

– O rany! Wzywam lekarza i już!

– Dobrze, jeśli do południa mi nie ulży, pojedziemy do niego. Teraz jest obiad. Właściwie nie jestem głodny...

– Mam zupę pomidorową i łososa z rusztu. Zjedz, dobrze ci to zrobi.

Kasia zabrała się do podgrzewania obiadu, a Maciek patrzył na nią i jej matkę z niedowierzaniem.

– Chodź, zbóju, poczekamy na obiad na naszym łóniu – powiedział do Pirata, a ten tylko na to czekał. Od razu wskoczył na leżankę ustawioną pod

balkonem z boku werandy, nazywaną przez Maćka „łóniem”. Ona była niby dla wszystkich, ale zaanektowali ją obaj tak dalece, że nikt nie śmiał jej użyć.

Po obiedzie Maciek zasnął od razu i po godzinie wstał pełen energii, bez bólu głowy.

Gdy spał, Kasia zadzwoniła do córki i teraz właśnie zastanawiała się, jak nie pozwolić, by mąż pojechał z nią do Rozogów. Chciała podczas jazdy z powrotem naradzić się z córką co robić w zaistniałej sytuacji. Nie miała więc innego wyjścia, niż użyć wybiegu, gdyby postanowił uczestniczyć w tej wyprawie. Powiedziała, że umówiła się z koleżanką, która akurat jest w Karwicy, i stamtąd pojedzie po Zosię.

– Lepiej odpocznij, żeby nie wrócił ci ten uporczywy ból głowy – poradziła. Maciek nie nalegał.

Kiedy jeszcze spał, zatelefonowała do znajomej lekarki i opowiedziała jej o przypadłościach męża.

– To mógł być miniudar albo silna migrena. Powinien być szybko zbadany.

– Nie będzie za późno jutro? Bo gdyby miał wylądować w szpitalu, wolałabym, żeby to było w Warszawie, właśnie mieliśmy zakończyć sezon.

– Wobec tego zamów mu wizytę na jutro. Niech się zgłosi do lekarza zaraz po powrocie.

– A czy twój mąż mógłby nim się zająć? Jest przecież neurologiem.

– Właśnie chciałam ci to zaproponować. On ma jutro nocny dyżur, dam ci numer jego telefonu i zadzwonisz, jak będziecie w izbie przyjęć.

– Świetnie. Dziękuję wam bardzo.

– Nie dziękuj, to normalne, po to jesteśmy.

Kasia odetchnęła z ulgą. Teraz powinna się uwinąć z pakowaniem, żeby jutro mogli wyruszyć jak najwcześniej.

Szalała więc na górze w garderobie, pakowała papiery, nuty. Właściwie niepotrzebnie je tu brała, przez całe lato przeleżały w szufladzie. Zofia, która na ogół po obiedzie uciniała sobie drzemkę, tym razem zajmowała się zbieraniem swoich rzeczy. Zresztą nie miała ich dużo. Już dawno podzieliła buty i ubrania na wiejskie i miejskie i nie wozila wszystkiego tam i z powrotem, z wyjątkiem rzeczy, bez których tu i tam nie mogła się obejść.

Kiedy nadeszła odpowiednia pora, Kasia wyjechała niby najpierw do koleżanki w Karwicy, a naprawdę prosto do Rozogów. Miała sporo czasu do przyjazdu autobusu, więc postanowiła pozaglądać do sklepów i zrobić

zakupy żywnościowe w „Krystynce”. W ostatniej chwili uświadomiła sobie, że nie powinna robić zapasów, skoro wyjeżdżają. Żeby tylko Maciek nie miał udaru – pomyślała ze smutkiem. – Wszystkie nasze plany musiałyby ulec zmianie.

Autobus Zosi przyjechał o pięć minut później, niż powinien. Córka i matka uściskały się i nowo przybyła powiedziała:

- Uciekaj z za kierownicy, ja prowadzę.
- Proszę bardzo, ale to nie ja miałam zanik pamięci, tylko twój ojciec.
- Ale ty jesteś kłębkiem nerwów.
- Jakoś tu dojechałam. Nie bałaś się o to, czy dam radę?
- Wyobraź sobie, że się bałam.
- Przesadzasz.

– Może, ale lepiej dmuchać na zimne. A teraz opowiedz mi jeszcze raz, jak to wszystko wyglądało.

– Dziwnie – zaczęła Kasia i powtórzyła córce, co się działo z jej ojcem tego dnia. – Właściwie nie wiem tylko, co on robił nad wodą, bo sam nie pamięta. Na pewno się wykapał, bo przyniósł stamtąd mokre slipy i wilgotny ręcznik. Jak pomyślę, że wypłynął na jezioro w takim stanie, to skóra mi cierpnie. Rozmawiałam z Renią Nowakowską. Jej mąż neurolog ma jutro dyżur w szpitalu na Powiślu. Zgodził się przyjąć twojego ojca na przebadanie. Będziemy musiały podjechać tam natychmiast po przyjeździe do Warszawy.

- To świetnie.
- Najtrudniej będzie go przekonać, że nie powinien prowadzić samochodu.
- Nie martw się, zostaw to mnie – uspokoiła matkę Zosia. – Dam radę.
- No pewnie, bo jak nie ty, to kto?

Rzeczywiście, cokolwiek ktoś chciał załatwić z upartym Maćkiem, musiał w końcu prosić o wstawiennictwo jego córki. Nieustępliwy wobec wszystkich, z jej zdaniem zawsze się liczył. Najwyraźniej przy niej jego serce miękło. Prawdziwa córeczka tatusia.

W domu jednak czekała je niespodzianka. Po rozmowie z Zofią, która prosiła Maćka o pomoc w przygotowaniu kolacji, ten wreszcie dał się przekonać, że zdarzenia, które – jak sądził – chcą mu wmówić, rzeczywiście miały miejsce. Był wyciszony i przestraszony.

Dzięki temu nie było dyskusji co do prowadzenia samochodu. Komu jak komu, ale swojej Zosi mógł zaufać, sam ją na kierowcę wyszkolił. Nie było

to trudne, bo odziedziczyła po nim refleks i wszystkie cechy dobrego kierowcy, podobnie jak niezwykłą łatwość opanowywania języków obcych.

Tak więc bez większych problemów udało się chorego dotransportować na oddział neurologiczny szpitala na Powiślu. Marek Nowakowski po wstępnym wywiadzie i podstawowych badaniach zatrzymał go na kilka dni, żeby wykonać badania szczegółowe. Ku zdumieniu córki, żony i teściowej wyniki były pozytywne, nie było w nich śladu po przebyłym kryzysie.

– Wobec tego co to było? – zapytała Kasia specjalistę.

– Może pękło mu jakieś drobne naczynko krwionośne. Taki miniudar, zupełnie niegroźny.

– I co teraz? Może żyć normalnie? Ma na coś uważać?

– Dostanie leki osłonowe. Trzeba mierzyć oraz zapisywać ciśnienie i dziękować losowi, że to się tak skończyło.

– A samochód mogę prowadzić? – zapytał Maciek.

– Nie od razu. Musi pan teraz kontrolować ciśnienie, brać leki i odpoczywać od samochodu. A potem, jak się wszystko ustabilizuje – czemu nie? Tylko należy jeździć wolno, z rozwagą, bo z wiekiem trzeba bardziej uważać, nawet jeśli się było wybitym kierowcą.

Maciek słuchając tego uśmiechał się pobłaźliwie, bo doradzanie mu czegokolwiek w sprawach samochodowych uważał za nietakt i arogancję.

– Czy w związku z tym ja mogę wyjechać na trzy tygodnie do sanatorium? – spytała Kasia. – Mam rezerwację od piętnastego.

– Naturalnie. Z mężem nic się teraz nie dzieje, a za dziesięć dni przyjdzie do mnie na wizytę kontrolną w przychodni przyszpitalnej. Miejmy nadzieję, że będzie dobrze. To było ostrzeżenie, teraz wiemy, na co trzeba uważać.

\* \* \*

– Puk, puk, czy można?

– Basia! Wróciłaś na stare śmieci? Jakże się cieszę. Wejdz, proszę. Więc będziesz tu znowu mieszkać?

– Tylko pomieszkiwać, i to krótko. Teraz przyjechałam po rzeczy potrzebne mi do sanatorium. W końcu jedziemy, co?

– No właśnie, mam poważne opory.

– Co tam znowu wymyśliłaś?

Kasia opowiedziała jej o problemach Maćka na wsi i o tym, że przedtem

matka niedomagała na serce.

– Ale to wszystko już było, a teraz jest już dobrze.

– Właściwie tak, ale...

– To jedziemy. Nie ma żadnego „ale”. Zawsze możesz wrócić, jakby coś się działo.

– Tfu, tfu, na psa urok!

– Zobaczymy, jeszcze mamy kilka dni do rozpoczęcia turnusu. A co u ciebie? Beata już ochłonęła?

– Oby tak było! Asiek nie pozwala o sobie zapomnieć. Robi wszystko, żeby obrzydzić jej życie. Co ja na to poradzę? Widziały gały, co brały! Kiedyś ci opowiem. Dziś wpadłam na krótko, bo zaraz Beata po mnie przyjedzie.

– Już idziesz? Myślałam, że...

– Pogadamy o wszystkim w Busku, muszę lecieć. Wpadłam tylko po to, żeby cię uściskać.

Nie pogadały jednak w tym roku w Busku. Ich plany nie zostały zatwierdzone w wyższej instancji i Ten, co ma moc, zmienił nagle wszystko. W przeddzień zaplanowanego wyjazdu Basia Śliwińska zatelefonowała ze szpitala, że dopadło ją zapalenie wyrostka robaczkowego i będzie operowana. Siłą rzeczy nie może skorzystać z sanatorium. Postara się przenieść rezerwację na wiosnę.

– No to źle, że jesteś chora – zmartwiła się Kasia. – Gdzie leżysz?

– W szpitalu przy Banacha, na chirurgii.

– Wpadnę do ciebie. Ja też nie powinnam teraz wyjeżdżać do Buska. Wprawdzie siostra przyjechała do mamy, ale złamała rękę i żadna z niej pomoc. Raczej podopieczna. Nie mogę ich tak zostawić, a Maciek też wymaga uwagi.

– Wobec tego pojedziemy razem w innym terminie. Ale zaliczki nam nie zwrócą.

Po tej rozmowie, mimo że niewesołej, Kasi spadł kamień z serca. Im bardziej zbliżał się ten ich zamierzony wypad, tym większe miała skrupuły. I oto los rozstrzygnął wszystko po swojemu.

Odwiedziny u Basi w szpitalu zaowocowały niespodziewanym spotkaniem, które wpisało się w losy zarówno odwiedzającej, jak i odwiedzanej. Sąsiadką Basi w szpitalnym pokoju była cichutka kobietka, której, jak mówiła Basia, nikt nie odwiedzał. Leżała na pierwszym łóżku przy

oknie, tyłem do całego trzyosobowego pokoju. Nie włączała się w rozmowy i bardziej interesowała ją to, co za oknem, niż to, co działo się w sali, w której ją umieszczono. Zupełnie odwrotnie niż kobieta leżąca na łóżku obok Basi, która mówiła bez przerwy o swoim samopoczuciu, rodzinie, poglądach i w ogóle o wszystkim, co jej przyszło do głowy. W związku z tym wizyta Kasi u przyjaciółki stała się kłopotliwa. Sąsiadka Basi indagowała je bez przerwy, opowiadała swoje historie, tak że nie mogły w ogóle z sobą porozmawiać.

– Chętnie wyszłabym z tobą na korytarz, żeby się przejść i pogadać, ale jestem na uwięzi – powiedziała do Kasi jej koleżanka. – Widzisz tę kropiówkę? Skończy się za dwie godziny.

– To pech! – odpowiedziała Kasia.

Aluzje zawarte w tej wymianie zdań bynajmniej nie zniechęciły sąsiadki do snucia swego monologu. Zareagowała natomiast chora pod oknem, która odwróciła się nagle i uśmiechając się puściła oko do bezradnych sąsiadek gaduły.

I wtedy Kasia ją poznała. Ależ tak! To Flora Klar! W latach siedemdziesiątych i później pierwsza solistka operetki warszawskiej. Brały razem udział w składankach muzycznych w Sali Kongresowej, a także zaliczyły kilka wspólnych występów w „Podwieczorkach przy mikrofonie”. Lubily się.

– Flora? Wróciłaś z Australii?

– Kasia? Co za spotkanie! Poznałam cię po głosie, jak tylko weszłaś.

– I nawet się nie odwróciłaś od okna?

– Nie chciałam wam przeszkadzać. Zresztą teraz... Kto by chciał ze mną rozmawiać?

– Co ty mówisz?

– Przywykłam już do samotności i ona jest moim najlepszym kompanem.

– Co cię przywiodło do szpitala?

– Ślepa kiszka, tak jak panią Barbarę.

– Jest pani po operacji czy przed? – zapytała Barbarę.

– Po. Za dwa dni wracam do domu.

– No to już po strachu, a ja jeszcze przed.

– Będzie dobrze, nie ma się czego bać – zapewniła Flora i odwróciła się twarzą do okna.

Kilka tygodni po tej rozmowie Kasia spotkała ją o zmierzchu na rogu



ulicy, przy której mieszkała. Kiedy się rozpoznały, była zdumiona do ostatnich granic.

Bo też osobę tę widywała tu już od pewnego czasu. Nie przyglądała się jej jednak, bo nawet nie przyszło jej do głowy, że może to być jej koleżanka, dawna gwiazda. Jeśli przedtem zwracała na nią uwagę, to tylko dlatego, że nosiła ona kurtkę z misia imitującego panterę, podobną do tej, jaką miała Basia. Jednak madame Śliwińska nigdy nie założyłaby do niej długiej żółtej spódnicy w liliowe grochy. Ta abnegatka zaś uparcie ubierała się tylko w ten zestaw. Nosiła też niezmiennie kolorowy plecaczek i podpierała się dwiema ciupagami – chodziła z nimi jak z kijkami.

Powodem tego, że nie chciało się Kasi jej przyglądać czy tym bardziej pomyśleć o niej jak o kimś znajomym, był fakt, że Flora grzebała w śmietnikach. Kiedy Kasia to zauważyła, pomyślała, że to jakaś biedna osoba, której emerytura nie wystarcza na życie. Mało to takich?

Teraz, kiedy na pustej o tej porze ulicy znalazła się bliżej niej niż zwykle i rozpoznała ją, była zszokowana. Korzystając z tego, że obserwowana pochyliła się nad śmietnikiem i zaczęła czegoś tam szukać, chciała wykorzystać jej nieuwagę. Flora była bez reszty zajęta grzebaniem w pojemniku, więc Kasia miała nadzieję, że nie zdążyła jej zauważyć. Sytuacja była wielce niezręczna.

Kasia odwróciła się i szybko zaczęła się oddalać. Jednocześnie była ciekawa, jakiego znaleziska jej znajoma się spodziewała. Bo przecież chyba nie jest w takiej biedzie, żeby szukać jedzenia. A jeśli tak?

Po odejściu z operetki Flora wyjechała na kilka lat do Australii, do swojej córki. Ale Kasia nic nie wiedziała o tym, że wróciła, a przecież widywała ją tu od pewnego czasu. Coś złego musiało się wydarzyć w jej życiu – pomyślała – skoro tak zdziwaczała. Ale czy naprawę zdziwaczała, czy cierpi biedę? Flora biedna? Nonsens! A jednak jej dzisiejsze zachowanie, unikanie kontaktu z ludźmi, czego dowód miała w szpitalu odwiedzając Basię – wszystko to nie nasuwało myśli, że może mocno stać na nogach. Tak czy owak trzeba się do niej zbliżyć i sprawdzić, jak żyje. Może potrzebuje pomocy?

Zastanawiając się nad tym, czego była świadkiem, i dociekając przyczyn takiego zachowania, nie wiadomo kiedy znalazła się przed wejściem do domu matki. Opowiedziała jej o dziwnym spotkaniu i o swoich obawach co do obecnych losów Flory.

– Dlaczego do niej nie podeszłaś? – spytała Zofia.

– Sytuacja była niezręczna. Ona właśnie grzebała w śmietniku ulicznym...

Nazajutrz Kasia wybrała się na polowanie na Florę. Zbliżały się święta, więc kiedy miałyby jej pomóc, jak nie teraz? Krążyła między miejscami, w których ją widywała, ale tym razem nigdzie jej nie było. Żałowała, że poprzedniego dnia do niej nie podeszła. Mogła to zrobić wtedy, gdy oddaliła się od śmietnika, ale zaskoczona nie bardzo wiedziała, jak postąpić.

Spotkały się dwa dni przed Wigilią, w kancelarii parafialnej, gdzie kupowały opłatek. To znaczy Kasia kupowała, bo od Flory kapłan nie chciał wziąć żadnych pieniędzy.

– Niech pani chowa te pieniądze, życzę wesołych świąt! – powiedział.

– Ależ proszę księdza, dlaczego? Przecież ja... – protestowała zażenowana, nie wiadomo, czy bardziej słowami księdza, czy tym, że Kasia je słyszała, więc ta znów poczuła się niezręcznie.

– Nie miałbym sumienia, droga pani. A więc widzimy się pojutrze po południu w Caritasie. Będzie choinka, dwanaście potraw i wszystko, co można sobie wymarzyć.

– No właśnie, nie wiem, czy będę mogła. Zostałam zaproszona do znajomych.

– Jeśli tak, to dobrze, ale jeśli wykręca się pani, jak w roku ubiegłym, to grzech. W Wigilię nie wolno unikać ludzi. To święto powinno jednoczyć, nie dzielić.

Flora czerwona jak burak patrzyła na Kasię. Ta czując, jak jej obecność przy tej rozmowie jest dla koleżanki krępująca, podała księdzu kopertę z ofiarą, wzięła opłatek i zanim wyszła na zewnątrz, powiedziała:

– Tylko mi nie ucieknij, Flora, muszę coś załatwić w kiosku i zaraz wracam. Pogadamy.

– Panie się znają? – zdziwił się ksiądz.

– Pracowałyśmy kiedyś razem – odrzekła Kasia.

– Dawne dzieje – dodała Flora, najwyraźniej zła.

– Napije się pani kawy, Floro? – usłyszała jeszcze Kasia i wyszła.

Nie poszła do żadnego kiosku, tylko przechadzała się tam i z powrotem w pobliżu drzwi kancelarii. Uprzedzając Florę, że chce z nią pogadać, nie mogła teraz z tego zrezygnować, chociaż koleżanka najwyraźniej była temu niechętna. Zastanawiała się, czy powinna wbrew jej woli wkraczać w jej życie. Ale też jej obserwacja, jak i słowa księdza do niej kierowane nie

pozostawiały wątpliwości, że z Florą dzieje się coś niedobrego.

Ten spacer zaczął w końcu Kasi doskwierać. Było jej zimno w nogi, mroźny wiatr szczypał policzki, a Flora ciągle nie wychodziła. Pewnie pije z księdzem kawę – pomyślała, przypominając sobie, że padła z jego ust taka propozycja, gdy zamykała za sobą drzwi.

Kiedy one wreszcie się otworzyły, Kasia była już mocno zziębnięta. Podeszła jednak szybko do Flory i zaproponowała:

– Nie wpadłabyś do mnie na coś ciepłego, bo gadać na tym mrozie to żadna frajda.

– Wcale nie musisz ze mną gadać.

– Och, dajże spokój! Tak się ucieszyłam wtedy w szpitalu, że tu jesteś i ciekawa jestem, co się z tobą działo przez te lata. Nieraz o tobie myślałam.

– Zawracanie głowy. Widywałyśmy się na ulicy i jakoś nie miałaś potrzeby kontynuowania znajomości, udawałaś, że mnie nie poznajesz.

– Nieprawda, po prostu byłam przekonana, że jesteś w Australii. W tym ubraniu, z twarzą do połowy zakrytą kapeluszem wyglądasz inaczej. Tak naprawdę poznałam cię cztery dni temu, kiedy szłaś obok mego domu, i plułam sobie w brodę, że widząc cię przedtem kilka razy, nie przyjrzałam ci się.

– Nie rób sobie wyrzutów, że za wysoko nosisz głowę. Nie ty jedna.

– Co ci zrobili ludzie, że tak surowo ich oceniasz? Ja naprawdę bardzo się cieszę z naszego spotkania i dużo sobie po nim obiecuję.

– Co mogłabyś na tym zyskać? – spytała zimno.

– Na przykład dawną zażyłość. Pamiętasz nasze wspólne trasy koncertowe? Fajnie było, chyba nie zaprzeczysz.

– Tego już nie ma. Ja już nie jestem taka sama jak wtedy i wszystko jest inne.

– Przykro mi, jeśli świat cię rozczarował. A co na to twoja córka? Nie drażni jej to, że mama wieje pesymizmem?

Flora po tej odzywce Kasi stanęła jak wryta i powiedziała szeptem:

– Nie wciągaj w te spekulacje mojej córki. Jej też już nie ma...

– Przepraszam! Jak to nie ma? Bardzo przepraszam. – Kasia objęła ją i uściskała, a ona nagle rozplakała się jak dziecko. – Przepraszam, naprawdę nie chciałam cię dotknąć. Przecież nie wiedziałam... Mój Boże, nie płacz... albo płacz, może ci to przyniesie ulgę. Kiedyś mi wszystko opowiesz.

– Kiedyś może... Dziś nie mogę – mówiła łkając Flora.

– Dlaczego nie możesz? Jesteś umówiona?

– Nie o to chodzi. Ja...

– Flora, co się dzieje? Przecież widzę, że cię coś gnębi. Jeśli nie chcesz iść do mnie, ja pójdę do ciebie. Nie zostawię cię teraz samej, takiej roztrzęsionej. Mowy nie ma!

– Co ci to da?

– Mnie nic. Tyle że może będę wiedziała, jak ci pomóc. Bo potrzebujesz pomocy.

– Może i potrzebuję, ale na takie potrzeby nie ma lekarstwa. Dlatego daj sobie spokój.

– Przykro mi, że tak uważasz. Gdzie mieszkasz?

– W jednym z tych małych domków za górkami.

– I naprawdę nie chcesz, żebym poszła z tobą?

– Nie powiedziałam, że nie chcę, ale nie mogę cię przyjąć. Nie dzisiaj!

– Daj mi numer swojego telefonu. Zadzwoń do ciebie.

– Nie mam telefonu. Ale mogę skądś zadzwonić do ciebie.

– Obiecuj, że to zrobisz – powiedziała Kasia i wyjęła z torebki wizytówkę.

– Dziękuję – odrzekła Flora, chowając ją w kieszeni. – Tymczasem do widzenia – rzuciła jeszcze, po czym odwróciła się i poszła w kierunku górek.

Kasia nie chciała wywierać na nią presji, ale była bardzo ciekawa, jaka jest jej sytuacja i jak mogłaby jej pomóc. Stała przez chwilę patrząc za odchodzącą Florą i nagle zdecydowała się zawrócić do kancelarii parafialnej. Ksiądz najwyraźniej jest z nią zaprzyjaźniony, może udzieli jej jakichś informacji o niej.

Spotkała go w drzwiach, właśnie wkładał klucz do zamka.

– Pani Katarzyna Kalczyńska? – zapytał. – To dobrze, bardzo dobrze, że panią widzę. Musimy porozmawiać. – Otworzył drzwi i zaprosił ją do środka.

– Zna ksiądz moje nazwisko. To miłe. Też chciałabym porozmawiać o Florze.

– Zapytałem ją, jakie miały panie ze sobą relacje pracując razem. To, co usłyszałem, pozwala mi sądzić, że jest pani osobą godną zaufania. Otóż Flora potrzebuje pomocy.

– Tak też myślałam. Widywałam ją grzebiącą w śmietnikach. To takie niewiarygodne, że nie mogę o tym zapomnieć. Czy księdzu znane są jej przejścia? Co znaczą jej słowa, że „córki nie ma”? Poróżniły się?

– Ależ skąd. Jej córka nie żyje. Zginęli wszyscy w wypadku

samochodowym: ona, jej mąż i ich dwoje dzieci.

– O Boże, to straszne! Czyli straciła wszystkich?

– Wszystkich i wszystko, dosłownie wszystko. Jej przyjaciel, jakiś śpiewak, po wypadku zniknął gdzieś z jej biżuterią i dużą ilością gotówki. Po córce odziedziczyła długi za dom i samochód.

– Ten Węgliński ją okradł? Przecież może go ścigać. Znajdą go.

– Ona tego nie chce. Wstydzi się. Cały ten jej romans z młodszym o kilkanaście lat mężczyzną był głośno komentowany, miał znamiona skandalu, a kiedy wreszcie sprawa ucichła, bo wyjechali do Melbourne, zaczął ją zaniedbywać. Wiedziała, że flirtuje i za jej plecami szuka bardziej wpływowych niż ona kobiet. Gdy dotknęło ją nieszczęście, zniknął. Nawet jej nie pomógł w zorganizowaniu pogrzebu, mimo że była nieprzytomna z rozpaczy.

– Naprawdę? Zawsze nie wydawał się jej wart, ale nie sądziłam, że to aż taka kanalia!

– Dom córki, obłożony ratami na jej nazwisko, straciła, a samochód spłaciła, mimo że po wypadku nadawał się do kasacji. Gdyby nie rozpacz, może lepiej dochodziłaby swoich praw. Niestety wtedy żyła jak w transie, właściwie nie chciała żyć i podpisywała, cokolwiek jej podsunęto. A potem było już za późno.

– Biedaczka. Jak można jej pomóc?

– Nie wiem. Przede wszystkim okazaniem jej przyjaźni, a poza tym macie chyba jakieś wasze związki zawodowe? Flora Klar nie była osobą tuzinkową, była wybitną artystką. Nie powinna mieszkać w garażu.

– Mieszka w garażu?

– No właśnie...

– A co z jej mieszkaniem, które miała tu przed wyjazdem?

– Sprzedała je, żeby nie być ciężarem dla córki. To właśnie z pieniędzmi za nie zniknął Mariusz Węgliński, amant spod ciemnej gwiazdy.

– A ten tutaj garaż, to skąd on się wziął? Wynajmuje go?

– To nasz garaż parafialny, jeden z trzech, jakie mamy. Stał akurat pusty, więc kiedy latem ubiegłego roku pojawiła się tutaj i nie miała gdzie zamieszkać, oddaliśmy go jej na dni letnie. Przeciągnęło się to do osiemnastu miesięcy i trwa nadal. Aż strach pomyśleć, jak to się skończy, bo ona do ogrzewania go używa butli gazowej.

– Straszne, nie do wiary! A z czego ona żyje?

– Nie wiem dokładnie. Pewnie ma jakąś emeryturę. Proponuję, żeby Wigilię spędziła w Caritasie, gdzie rokrocznie organizujemy kolację dla potrzebujących, ale ona nie jest chętna takim inicjatywom. Ciągłe się wstydy swojego położenia, nieszczęścia, poniżenia.

Słuchając tej relacji Kasia uświadomiła sobie, że pomoc dla Flory może okazać się o wiele trudniejsza, niż się spodziewała. Natomiast parafia z pewnością nie zbiedniałaby udostępniając jej pokój w swojej wspaniałej rezydencji, zamiast martwić się o to, czym się skończy pomieszkiwanie Flory w ich opuszczonym garażu. Powstrzymała się jednak od komentarza.

– Czy może mi ksiądz podać adres tego garażu, w którym Flora się rozgościła?

– Proszę bardzo, zaraz sprawdzę... – Poszperał w papierach i napisał coś na karteczce.

– Ulica Korotyńskiego 4, boks numer 8 – przeczytała Kasia. Bliżej, niż się spodziewała. Ich garaż był w tych samych boksach, o parę numerów wyżej.

Postanowiła, że pójdzie tam, ale ponieważ wstrząśnięta była otrzymanymi informacjami, musiała je najpierw przetrwać, a potem wymyślić plan działania.

Pożegnawszy się z księdzem pobiegła do domu, aby naradzić się z Maćkiem.

– Gdzie ty się włóczysz w taki mróz? Mieliśmy jechać po choinkę – powitał ją mąż wymówkami.

– Trochę się zagrzeję i pojedziemy. Załatwiłam opłatek.

– Mogliśmy to razem załatwić.

– Maćku, daj spokój z pretensjami. Wiesz, jakiego dokonałam odkrycia?

– Naukowego? – zakpił. – No, no!

– Przestań się wygłupiać, mój mężu. Pamiętasz Florę Klar?

– Tę diwę z operetki? Naturalnie. Kto by jej nie pamiętał. Nota bene to jej imię i nazwisko to chyba pseudonimy artystyczne. Niemożliwe, by ktoś naprawdę tak się nazywał.

– Tego nie wiem. Ale wiem, że muszę jej jakoś pomóc, i to jak najszybciej.

– W czym chcesz jej pomóc?

Kasia opowiedziała mu szybko o wyjeździe Flory do Australii, o jej pojawieniu się w Polsce, o tym, jak ją rozpoznała, i o tym, czego dowiedziała się od księdza.

– Spotkałam ją też w szpitalu, gdy odwiedziłam Basię, ale zachowywała się tak, że nie śmiałam do niej podejść, by się przywitać. Po prostu odwróciła się do nas tyłem i udawała, że śpi.

– Dziwaczka.

– Mówisz coś takiego, wiedząc, co ją spotkało? To dziw, że jeszcze żyje. Nie wiem, jak mam jej pomóc, doradź mi. Przecież nie zostawię jej na święta w tym garażu.

– Nie mam pojęcia. Kiedy chcesz jej pomagać? Za kilka godzin jedziemy do Zosi do Konstancina. Odłóż to na po świętach.

– No wiesz! Zadręczyłyby mnie wyrzuty sumienia.

– A co ty masz z tym wspólnego? Skoro przemieszkuje tam już półtora roku i żyje, może nie jest tak źle.

– Jednak przedtem nie wiedziałam o tym, że tu jest, ani o jej nieszczęściach. Teraz wiem i nie mogę tego tak zostawić.

– Co zamierzasz zrobić?

– Pojedziemy po choinkę, potem do tego jej garażu i zabierzemy ją do siebie.

– I do Zosi?

– Nie sądzę, żeby Flora tego chciała. To by jej przypomniało własną rodzinę.

– Więc nie pojedziesz do córki, żeby pomóc obcej osobie?

– Maćku, liczyłam na to, że mi pomożesz, a ty tylko kontrujesz wszystko, co mówię.

To fakt, że odkąd Zosia z rodziną zamieszkała w Konstancinie, Boże Narodzenie spędzali zawsze u niej. To był już rytuał. Jechali tam razem z Zofią dzień przed Wigilią. Czynili razem przygotowania do kolacji wigilijnej, lepili pierogi, piekli ciasta i tak dalej. Dzieci to uwielbiały, mogły uczestniczyć we wszystkim. Zabrać tam Florę byłoby błędem. Rodzina Zosi za bardzo przypominała jej nieżyjącą rodzinę. Mogłaby wpaść w przygnębienie.

W chwili, gdy o tym myślała, zadzwonił jej telefon.

– Halo, witam – odezwała się Basia Śliwińska. – Nie mogę się doczekać waszego przyjazdu do Konstancina. Nasze córki muszą się poznać. Mieszkają od siebie tak blisko, mają dzieci w podobnym wieku. Nie sądzisz, że mogłyby się zaprzyjaźnić?

– Na to nie mamy wpływu, ale oczywiście możemy je sobie przedstawić. Jednak zanim tam pojedę, muszę zająć się Florą.

– A co ona zrobiła? To całkiem miła, choć nieprzystępna osoba.

– Przede wszystkim jest bardzo nieszczęśliwa. – Kasia opowiedziała Basi historię Flory. – Teraz, kiedy wiem, że po tym wszystkim, co przeżyła, mieszka w garażu, nie mogę jej tam zostawić.

– Naturalnie. Weź od dozorca moje klucze, niech zajmie pokój narożny. Kiedy tam wrócę, chętnie pocieszę się jej towarzystwem. W końcu płacę za to mieszkanie. Niech więc ktoś na tym skorzysta.

– Chciałam ją zostawić u siebie.

– No to będzie miała wybór. Chociaż co innego mieszkanie u samotnej kobiety, a co innego kątem u małżeństwa. A święta ma spędzać sama?

– Oczywiście chętnie bym ją zabrała do Zosi, ale to może być dla niej bolesne. Ma zaproszenie na Wigilię w Caritasie.

– Wasze pomysły są nierealistyczne – włączył się Maciek. – Przecież nie weźmiecie jej na utrzymanie do końca życia.

– Po świętach pójdę w jej sprawie do ZASP-u, do Ministerstwa Kultury, nawet do samego ministra. Może uda się umieścić ją w Domu Artysty Weterana w Skolimowie. Kto, jeśli nie ona, na to zasługuje?

– No pewnie. Biedaczka.

– Basieńko, do zobaczenia. Kończę tę rozmowę, bo przed wyjazdem mamy jeszcze dużo spraw do załatwienia.

Po tej rozmowie Kasia weszła do kuchni, żeby zrobić sobie herbatę z sokiem malinowym.

– Za dziesięć minut będę gotowa – powiedziała mężowi.

– Spodziewam się. Wolałbym wybierać choinkę, zanim się ściemni.

– Rozkaz, szefie.

Popijając herbatę Kasia zatelefonowała jeszcze do matki, żeby ją uprzedzić, że wyjazd do Zosi może się trochę opóźnić. Opowiedziała jej też pokrótce, co jest tego przyczyną.

– Mogę tej twojej Florze zostawić moje klucze.

– Ona ma już dwa mieszkania do wyboru. Wiem, że masz złote serce, ale teraz chyba z tego gestu nie skorzystamy.

– Jak chcesz, ja tylko proponuję, jakby co.

– Jak ty sobie wyobrażasz dzisiejszą wyprowadzkę tej Flory z garażu? Przecież nie mamy na to czasu! – narzekał Maciek.



– Musimy jakoś znaleźć. Nie zostawię jej tam.

– No, zobaczymy. To co, jedziemy?

– Tak, jestem gotowa.

Najpierw pojechali na bazar przy Mołdawskiej i tam załatwili sprawę choinki. Kupili śliczną, kształtną jodłę.

– Zastanawiam się, czy ją już ubierać. Święta i tak spędzamy u Zosi – powiedziała Kasia – więc ona potrzebna nam jest dopiero na Nowy Rok. Może lepiej zostawić ją na balkonie. Nie wyschnie.

– Jak uważasz, ale jak wrócimy do domu, nie będzie świątecznej atmosfery.

– Nie martw się – uspokoiła Maćka jego żona. – Przywołam ją w ciągu godziny. Tyle zajmuje mi na ogół ubranie choinki. A teraz wracajmy do domu przez garaż. Mam nadzieję, że zastaniemy tam biedaczkę.

– A ona wie, że przyjdiesz?

– Skąd miałyby wiedzieć?

– A jak nam nie otworzy, to co zrobisz?

– Nie kracz, Maciek, nie kracz!

Podjechali pod garaż numer osiem. Przez szparę w drzwiach sączyło się światło.

Kasia wysiadła z samochodu i zapukała delikatnie. Usłyszała radio, które natychmiast umilkło, a potem zgasło światło sączące się przez szpary.

Kasia zapukała znowu i powiedziała:

– Flora, otwórz, wiem, że tam jesteś.

– Śledziłaś mnie? – odezwał się głos zza drzwi.

– Nie musiałam. Ksiądz mi wszystko opowiedział. Otwórz.

– Czego chcesz?

– Zabrać cię stąd.

– Ha! Dobrze sobie. Dokąd?

– Otwórz, proszę.

– Poczekaj, ubiorę się i wyjdę, to pogadamy. – Za chwilę wysunęła się zza przymkniętych drzwi.

– Chcę cię stąd zabrać. Nie możesz pozostawać w takich warunkach.

– Skąd wiesz, w jakich jestem warunkach?

– Mam wyobraźnię.

– Dlaczego nagle dzisiaj zapałałaś chęcią przyjścia mi z pomocą?

– Bo dopiero dzisiaj o wszystkim się dowiedziałam. Gdybyś się wcześniej

ujawniła, zrobiłabym to samo.

– Nie ma o czym gadać, zabieramy panią stąd – włączył się Maciek wychodząc z samochodu.

– Kim pan jest, że ma pan czelność mi rozkazywać? – oburzyła się Flora.

– Moim mężem – poinformowała Kasia. – Przecież się znacie.

– Przepraszam, nie spodziewałam się tu pana, chociaż wiem, że ma pan tutaj garaż. Słuchajcie, moi drodzy, doceniam wasze dobre serca, ale zostawcie mnie w spokoju. Ja już wiele nie potrzebuję, wystarczy mi to, co mam.

– Nie pozwolę ci na to, zasługujesz na lepsze życie.

– To moja sprawa, jak mam dożyć swoich dni.

Kasia zamiast odpowiedzieć wzięła ją w ramiona, przytuliła i powiedziała ciepło:

– Daj spokój, Flora, wiesz, że nie ustąpię. Zawsze mówiłaś, że jestem uparta, to się nie zmieniło.

– Proszę spakować swoje rzeczy. – Jedziemy stąd. Nie będziemy dyskutować na mrozie – powiedział zdecydowanie Maciek i otworzył drzwi garażu.

– Oh, nie! – krzyknęła Flora, wyrywając się z objęć Kasi i zastawiając im wejście. – Nikogo tu nie przyjmuję!

– Maciek ma rację. Nie chcemy, żebyś nas przyjmowała, tylko poszła z nami. Jeśli będziesz protestowała, zabierzemy cię siłą, więc lepiej spakuj najpotrzebniejsze rzeczy i jedziemy stąd.

Mówiąc to Kasia rozglądała się po lokum koleżanki. Prezentowało się gorzej, niż się spodziewała. Była wstrząśnięta. Na betonowej posadzce boks garażowego stało połowe łóżko bez materaca, z kilkoma kocami i niewielką poduszką. Nieopodal pod ścianą stała szafka, a na niej kuchenka podłączona do butli gazowej stojącej obok. Oba jej palniki paliły się, chociaż nic się na niej nie gotowało, najwyraźniej w celu ogrzania pomieszczenia.

Przy ścianie bocznej, pod kranem, stał stołek z miednicą, mydłem, pastą i szczoteczką do zębów. Na kranie zawieszony był ręcznik i jakieś torby plastikowe wypchane najwidoczniej resztą jej dobytku. Obraz nędzy i rozpacz. Ile znieść musiała godząc się na takie życie, Bóg jeden wie. I jak to przetrwała? Nie do wiary! Kasia pomyślała, że mimo wszystko jest kobietą silną, skoro po stracie najbliższych ma wolę życia, bo ona czegoś podobnego chyba by nie zniosła. Ta myśl sprawiła, że poczuła zimne dreszcze na plecach

i czym prędzej ją od siebie odpędziła. Nawet myśleć o tym strach, a co dopiero przeżyć! Biedna, biedna Flora.

– A co będzie, jak się rozmyślicie? Nie chcę sprawiać wam kłopotu.

– Słuchaj, nie rozmyślimy się, zresztą mamy dla ciebie już teraz kilka propozycji, sama wybierzesz. A potem, żeby nie wiem co, załatwię ci miejsce w Skolimowie.

– Życzę powodzenia. Zasięgałam języka, to kosztuje.

– Za wcześnie, żeby o tym mówić, ale wiedz jedno: nie zapomnieliśmy o tobie, masz przyjaciół, masz zasługi, a to znaczy wiele.

Flora nie miała wyjścia. Ponaglana przez intruzów krzątała się po swoim, pożał się Boże, lokum. Zgarnęła do jednej z toreb mydło, ręcznik i szczoteczkę do zębów.

– A pościel? – zapytała. – Też muszę ją zabrać.

– Nie musisz, damy radę.

– Nie chciałabym robić kłopotu.

– Daj spokój.

Wpakowali jej skromny dobytek do samochodu i przejechali na parking od strony parku, obok ich domu. Flora działała jak somnambulik. Poddała się zupełnie ich woli. Siła złego na jednego – pomyślała Kasia z uśmiechem.

W bramie swego domu spotkali dozorcę.

– Widziałem, jak państwo podjechali. Pani Śliwińska dzwoniła, żebym dał pani Kasi klucze do jej mieszkania dla jakiejś pani.

– Świetnie! – ucieszyła się Kasia.

– To już nie muszę karmić rybek i podlewać kwiatów u pani Basi? – zapytał dozorca. – Bo w czasie świąt będę u matki.

– Tego jeszcze nie wiem. Zawiadomię pana. Dziękuję, że pan się pofatygował. To nam oszczędzi trochę czasu.

Maciek z torbami Flory wchodził szybko na piętro, mimo wieku przeskakując po dwa stopnie.

– Pośpieszcie się – upomniał kobiety. – Niedługo musimy jechać.

– Dokąd jechać? – spytała Flora.

– Nie denerwuj się. Możesz z nami pojechać do naszej córki do Konstancina. Ze względu na jej dzieci zawsze u niej spędzamy święta.

– Córka, dzieci... Nie... nie jestem gotowa, żeby spotykać się z ludźmi. Wrócę do siebie... Odwykłam od towarzystwa.

– Tam nie wrócisz. Nie ma mowy. Jeżeli nie chcesz z nami jechać, możesz

tu zostać, lodówka jest pełna. Albo, jeśli wolisz, na tym samym piętrze jest wolne mieszkanie pani Basi Śliwińskiej, poznałaś ją w szpitalu. Ona teraz mieszka u córki. To dla ciebie dozorca przyniósł jej klucze. Gdybyś chciała tam zamieszkać, masz zająć narożny pokój. A więc u nas albo u niej. Wybór zależy od ciebie.

Flora milczała. Łzy toczyły się po jej policzkach. Nie wycierała ich, nie śmiała się ruszyć.

– Czemu to dla mnie robicie?

– A ty, gdybyśmy byli w twojej sytuacji, jakbyś postąpiła?

– No, moje panie, dosyć tych dyskusji. Jadę po mamę, a jak wrócę, macie być gotowe. Nie możemy jechać tam w nocy. Dzieci czekają – powiedział Maciek i wyszedł.

– Skoro musicie jechać, może odłożymy tę przeprowadzkę na po świętach. Co się odwlecze, to nie uciecze...

– Wykluczone. Nic nie musimy. Przepraszam cię na chwilę, zatelefonuję do kogoś, zaraz wracam.

Kasia wybrała numer do Zosi i szybko wyjaśniła jej sytuację, w jakiej znalazła się Flora.

Wyobraziła sobie, jak ona może się teraz czuć, i zadecydowała, że nie zostawi jej samej na noc. Postanowiły z córką, że aby dzieci nie były rozczarowane, Zofia z Maćkiem pojedą do nich już zaraz, a rano Maciek wróci po nią. Tak będzie lepiej, zdąży Florę spokojnie rozlokować i ugotuje jej zupę grzybową, żeby miała trochę świątecznych smaków.

Kiedy były już po kolacji i Kasia pomagała gościowi słać łóżko, zapytała:  
– Czy chcesz, żebym spała tutaj z tobą, czy pójdziemy na tę noc do mnie? Będzie ci raźniej, pogadamy.

– Nie przejmuj się mną, przywykłam do samotności i nawet ją lubię.

– Rozumiem cię, ale proszę o jedno. Nie zlekceważ zaproszenia księdza do Caritasu. On ma rację. W takim dniu nie wolno stronić od bliźnich. Ja ze swojej strony zrobię wszystko, żebyś nie była już sama. Przyrzekasz? No, obiecaj mi to.

– Obiecuję.

– Trzymam cię za słowo.

Rozgrzana i wykąpana Flora rozluźniła się wreszcie. Kasia nie chciała zostawić jej samej i przegadały wiele godzin. Nazajutrz z lepszym sercem wyjechała do córki.

## **Rozdział piąty**

Sylwestra w tym roku Kalczyńscy spędzili z wnukami, Florą, a także z Kamą i Piotrem, bratem Kasi. Ci ostatni byli niemal w przededniu wypadu za ocean do syna Kamy, z której to ust wypłynęła zaskakująca propozycja:

– Jak wiesz, Kasiu, od trzech miesięcy wraz z Leszkiem Drogoszem prowadzę galerię. Chciałabym, żebyś mnie w niej zastąpiła w ciągu tych trzech miesięcy.

– Zaskoczyłaś mnie, Kamo. Wiesz, że mam też swoje aktywności i nie zawsze będę mogła.

– Dogadasz się z moim współnikiem, znasz go zresztą. On cię bardzo lubi. Ułoży harmonogram waszych dyżurów tak, że nie będzie kolizji z twoimi zajęciami. Poza tym te dyżury są nieźle płatne.

– Wobec tego mam pomysł, może będę je dzielić z Florą. Jej bardzo przydałby się jakiś zarobek.

– Pomyślę o tym. Musicie tylko tuż po nowym roku przyjść do galerii, zapoznać się z obrazami poszczególnych malarzy i ich cenami. Wszystko mamy skatalogowane, więc nie będzie to trudne. Jednak trzeba się orientować, bo klienci wolą kupować od znających dzieła i ich twórców. A zatem drugiego stycznia o jedenastej widzę obie panie u siebie na Świętokrzyskiej – zadecydowała Kama.

Flora była tak zaskoczona, że nie mogła wydusić z siebie słowa. Kasia widząc jej zmieszanie, powiedziała:

– Nie martw się, jestem nie mniej przestraszona od ciebie. Będziemy bać się razem. A ty? – zwróciła się do brata. – Co będzie z twoją księgarnią? Zamkniesz ją na ten okres?

– Paweł Tułowiecki obiecał się nią zająć. On i tak od dawna mi pomaga.

– Ahoj przygodo! – powiedział Maciek. – Idziecie na całość: interesy w obcych rękach, a wy wolni jak ptaki. Nie boicie się?

– Mamy zaufanie do zastępców.

– Nie przesadzajcie z tym zaufaniem, bo Kaśka do biznesu ma dwie lewe ręce. Kiedy radca prawny w Piszku posłuchała, jak ma zamiar prowadzić swoją agencję koncertową, poprosiła ją o autograf, powiedziała, że nie chce

honorarium, tylko jej płytę, i podsunęła oświadczenie, że rezygnuje z prowadzenia firmy z dniem jej otwarcia.

– Naprawdę tak było?

– Niestety, miałam już pieczętkę, regon, wszystko opłacone, a ona dała mi do zrozumienia, że nie widzi szans na to, że sobie poradzę. Przestraszyła mnie, więc zrobiłam, jak radziła. W końcu to radca prawny!

– No i co, Kama, nie boisz się? – zapytał Maciek.

– Znam uczciwość Kasi. Czym innym jest prowadzić firmę, a czym innym w niej pracować.

– Ja bym się jeszcze zastanowił – powiedział życzliwy i kochający mąż kandydatki na pracownika galerii.

No i tak to się zaczęło. Kasia swoją pracę w galerii traktowała jako przygodę i relaks, który dawało jej obcowanie ze sztuką malarską. Natomiast Flora, niegdyś właścicielka wielu obrazów i namiętna ich zbieraczka, dosłownie odżywała w tej pracy. Zupełnie jakby złapała pana Boga za nogi. Całe mnóstwo informacji o obrazach i ich cenach opanowała w zdumiewająco szybkim tempie, a po pracy ciągle myślała o tym, co udało się jej sprzedać. Niektórych obrazów żałowała. Obserwując zbawienne działanie galerii na jej psyche, Kasia dogadawszy się ze współwłaścicielem, coraz częściej rezygnowała ze swoich dyżurów na jej korzyść. Bo też czy można było wyobrazić sobie lepszą dla niej terapię?

W ciągu dwóch miesięcy Kasia załatwiła w ZASP-ie korzystniejsze przeliczenie emerytury Flory, także sprawa finansowania jej pobytu w Skolimowie przez Ministerstwo Kultury była na dobrej drodze. Ale na to musiały jeszcze poczekać.

Córka Basi, Beata, niespodziewanie znalazła sobie opiekuna. Czy też raczej on ją sobie znalazł. Stało się to po trosze za przyczyną Zosi, córki Kasi. Bowiem zgodnie z życzeniem madame Śliwińskiej ich córki przypadły sobie do gustu. Nic dziwnego, obie były w podobnym wieku, tak jak ich dzieci, miały podobne zainteresowania, a bliskość posesji ułatwiała kontakty.

Pewnego dnia w końcu stycznia, kiedy Beata była z dziećmi u Zosi, przyszedł tam również szkolny kolega Zosi, znakomity dziennikarz, przystojny i zamożny. Był to człowiek bardzo obrotny, mający szczęście i talent do interesów. W ciągu swego czterdziestoletniego życia zgromadził takie środki, o jakich innym się nie śniło. Był właścicielem czterech pism

kolorowych, bynajmniej nie śmieciowych, trzech dużych księgarń i ślicznego dworku w Konstancinie, który kupił i odrestaurował. Wszystko zaczęło się od nagrody Pulitzera w Nowym Jorku. Roman Czerski był tam wtedy na stażu w redakcji „Timesa”. Jako ich reporter pojawiać się zaczął w zapalnych częściach świata. Owoce tych podróży to błyskotliwie napisane, wstrząsające reportaże, które szybko zwróciły uwagę na młodego adepta sztuki dziennikarskiej. Czytano go, komentowano, cytowano, zapraszano do radia i telewizji. Wreszcie za reportaż z Tybetu uhonorowano prestiżową nagrodą. Ponieważ zaś towarzyszył jej pakiet gotówki, młody, zdolny dziennikarz zainwestował ją w kraju. Wykreował dwa tygodniki, na które chciał mieć wpływ. Wcześniej jeszcze jego mający głowę do interesów tata – producent filmowy – kupił mu piękną posiadłość w Konstancinie, blisko domu Zosi. Spotkawszy się przypadkowo, ona i Romek odnowili więc dawną szkolną znajomość.

Za powodzeniem w pracy i w interesach nie szło jednak szczęście osobiste Romka. W tej dziedzinie miał dotychczas pecha. Najpierw porzuciła go i wróciła do Stanów dziewczyna z Nowego Jorku, która nie mogła czy też nie chciała zaadoptować się w Polsce. Po pewnym czasie Romek zakochał się w koleżance po piórze, z którą stworzyli szczęśliwy związek. Kiedy ich synek skończył rok, u jego matki zdiagnozowano białaczkę. Walczyła z nią prawie pół roku i przegrała. Było to ponad dwa lata temu. Zrozpaczony nagłym owdowieniem Romek pewnie całkowicie by się załamał, gdyby nie to, że musiał zatroszczyć się o osieroczonego Romana juniora. Babcia, matka Romana, dzielnie mu w tym pomagała, chociaż sama była już niemłoda i schorowana. Ponieważ Roman junior był w tej samej grupie przedszkolnej co Michałek Zosi, ona nierzadko odbierała obu chłopców z przedszkola, żeby się razem pobawili. Potem najczęściej pani Róża Czerska zabierała malca do domu. Jego ojciec, pilnujący swojej pracy i interesów, czynił to rzadziej, ale pewnego styczniowego popołudnia przyszedł po synka do koleżanki, kiedy akurat była u niej Beata ze swoją dwójką dzieci. To spotkanie radykalnie odmieniło życie Romana i Beaty.

Przedstawieni sobie przez Zosię, spojrzeli na siebie, podali sobie ręce i zostali trafieni strzałą Amora. Ich zażyłość rozwijała się tak szybko, że trudno było za tym nadążyć. Po dwóch miesiącach Romanowi udało się namówić Beatę, żeby wraz z dziećmi zamieszkała u niego, a swój dom wynajęła komuś, co przysporzy jej grosza. Wtedy to na scenie pojawił się

Asiek – zbiegły mąż Beaty na nowo w niej zakochany – i zgłosił roszczenia zarówno do posiadłości, jak i do opuszczonej przez siebie kobiety. Ta jednak złożyła już pozew rozwodowy i zdrajca musiał odejść z kwitkiem.

Dzięki takiemu obrotowi spraw Basia Śliwińska została podwójnie uszczęśliwiona: nową sytuacją córki i możliwością powrotu do swojego warszawskiego mieszkania. Goszcząca tam od ponad dwóch miesięcy Flora czując się niezręcznie z powodu nie płacenia za luksusowe lokum, postanowiła w rewanżu starannie uporządkować zawalone ciuchami mieszkanie. Ponieważ Basia i Flora często rozmawiały z sobą przez telefon, ich kontakt trochę się zacieśnił. Basia zachęcała onieśmiałą Florę do korzystania z jej ręczników, pościeli i ubrań bez pardonu, bo ona przecież ma wszystkiego za dużo. Wystarczy, że za to nakarmi rybki i nie wysuszy kwiatków.

Okazało się, że mieszkanie jest bardziej pojemne, niż się Florze wydawało. W tym ciuchowym rozgardiaszu znalazła miejsce na wszystko. Ubrania ze stojaków powędrowały do szaf, a bieliznę, bluzki, spodnie i inne szczegóły garderoby starannie poukładała na półkach. Każdą wolną chwilę poświęcała na dopieszczanie mieszkania, zanim jego właścicielka się w nim pojawi, i z niepokojem czekała na jej reakcję na zmiany.

– No, no, dokonałaś cudu! – pochwaliła ją Kasia. – Ciekawa jestem, jak długo ten porządek tu potrwa. Co będzie, gdy Basia znowu rozszałeje się z zakupami? Tym bardziej że ostatnio była pod kontrolą córki, która bezwzględnie walczy z jej nałogiem.

– Przez telefon mówiła, że jej przeszło. A jakby co, to mam ją powstrzymywać. Nawet bym nie śmiała – roześmiała się Flora.

– I tak cię przechytrzy. Jeśli sama nie zechce, nikt jej nie powstrzyma. To nałóg.

– Wszyscy na starość obrastamy w wady. Przeżycia tak nas kształtują, że czasem nie mamy wpływu na swoje postępowanie.

– Albo nie chcemy mieć wpływu.

– Nie wszystko zależy od nas.

– Ale dużo.

– Tylko w razie powodzenia. Kiedy zaś dopada nas fatum...

– To fakt – przyznała Kasia. – Na fatum nie ma rady.

– Jak myślisz, będzie zadowolona? – chciała upewnić się Flora.

– Masz wątpliwości? Nigdy nie widziałam tego apartamentu w takim



stanie. Powtarzam ci, że dokonałaś cudu.

Zapewnienia te potwierdziły się, gdy właścicielka lokum stanęła w drzwiach. Po prostu zaniemówiła. Chodziła z pokoju do pokoju i nie wierzyła w to, co widziała.

– Sama to wszystko zrobiłaś? – wydusiła wreszcie. – Nie do wiary. A kwiaty jakie piękne, nie na darmo masz na imię Flora. Tylko jak ja tu będę żyła? Nie odważę się niczego dotknąć, żeby nie zepsuć efektów twoich starań.

– Co daj Boże, amen – wtrąciła się Kasia, która przyszła przywitać się z przyjaciółką. – Jeśli dobrze pójdzie, nie zdążysz tu zbyt długo nabałaganić, bo może pojedziemy razem do tego twojego Buska. Siostra przyjeżdża do mamy na kilka tygodni. Obiecała mi, że będą dokarmiać Maćka i mieć na niego oko. Bo od czasu zeszłorocznych momentów utraty pamięci trzeba go bardzo pilnować, żeby się nie denerwował.

– Maciek bez nerwów to nie Maciek – powiedziała Basia. – Przecież on jest wybuchowy jak trotyl. Trudne im zostawiasz zadanie.

– Wiem i martwi mnie to.

– Nie lepiej posłuchać swojej mamy? Jak to ona mówi: „nie przejmuj się tym, na co nie masz wpływu” czy coś w tym rodzaju.

Kama i Piotr przedłużyli sobie pobyt w USA do czerwca. Kasia zajęta większą liczbą prób i koncertów zupełnie wycofała się z galerii, więc Flora pracowała tam teraz codziennie, nieraz na dwie zmiany. Leszek widząc, jak świetnie sobie radzi, zaczął jej odstępować również swoje dyżury.

## Rozdział szósty

Na przełomie kwietnia i maja Basia z Kasią wyjechały wreszcie do sanatorium „Włókniarz” w Busku. Zachwalając je Basia bynajmniej nie przesadziła. Była tam zresztą nieźle zadomowiona, co ułatwiło także Kasi orientację w tym molochu w ciągu pierwszych dni pobytu. Dzięki koleżance nie błąkała się niepotrzebnie w poszukiwaniu miejsc kolejnych zabiegów i nie była niczym zaskoczona. Stołówka dla „prywatnych” kuracjuszy była ogromna, a miejsca przy stołach ustalało biuro. Toteż gdy przyszły na swój pierwszy posiłek, usłyszały od osoby, która wskazała im sześćoosobowy stolik: – Niech się panie nie martwią, pani kierowniczka zadbała o to, żebyście siedziały z rodziną. Informatorka szybko odeszła do innych kuracjuszy, a one zastanawiały się, co miałyby oznaczać jej słowa. Na szczęście tajemnica rychło się wyjaśniła.

Jeden z siedzących z nimi panów miał nazwisko takie samo, jak Basia.

– Miło mi – przedstawiła się. – Barbara Śliwińska-Deresz.

– Paweł Śliwiński – powiedział szpakowaty, lekko zgarbiony szczupły człowiek siedzący obok wolnego miejsca, które zaraz ona zajęła. – Co za zbieg okoliczności! – dodał. – Mamy to samo nazwisko.

– Właśnie! – odpowiedziała Basia. – Przed chwilą dowiedzieliśmy się, że usadzono nas „z rodziną”.

Kasia zajęła miejsce po drugiej stronie stołu, obok młodej, wysokiej i przystojnej blondynki, Anny Gorkczyńskiej. Przy oknie siedziała nieco od niej starsza Jadwiga Weiss, a naprzeciw niej Włodek Krawczyk – jowialny mężczyzna, starszy od młodych blondynek, ale z pewnością młodszy od Kasi i Basi. Najwyraźniej to on wodził rej w tej grupie. Wszyscy czworo byli już trochę zżyci z sobą, ponieważ rezydowali tu od tygodnia.

– Ale draka! – powiedział Włodek. – Przyjechała mamusia Pawełka i pewnie nie puści go na wieczorne tańce.

– No wiesz! – odezwał się Paweł. – Co z ciebie za dżentelmen, pani Barbara może być co najwyżej moją siostrą, a nie matką.

– Nie zdziwiłabym się, gdyby tak było naprawdę – powiedziała cicho Basia, na co wszyscy pozostali wybuchnęli śmiechem.

– Nic mi o tym nie wiadomo, żebym mógł mieć więcej rodzeństwa, niż mam – powiedział Paweł.

– Nie jest więc pan jedynakiem? – zainteresowała się Basia.

– Mam młodszą siostrę.

– No tak... – skwitowała to wyznanie ciekawska. – A jak ma na imię, jeśli można wiedzieć?

– Zofia.

– Paweł, Zofia... A to ciekawe – zamruczała pod nosem.

– Dosyć tych dochodzeń – przerwał jej Włodek. – Słuchajcie panie – zwrócił się do nowo przybyłych. – Trzeba wam wiedzieć, że przy naszym stole obowiązują pewne zwyczaje. Otóż po zabiegach i kolacji wszyscy spotykamy się w dyskotecie. Zresztą to taki ogólny obowiązek sanatoryjny.

– Jeżdżę tu od kilku lat, a nic mi nie wiadomo, żeby kuracjusze mieli taki obowiązek powiedziała Basia.

– Włodek zażartował – odezwała się Ania – ale ma to sens. Można się świetnie ubawić, zarówno tańcząc jak i obserwując.

– Co ty na to, Kasiu? Masz ochotę w tym uczestniczyć?

– Może kiedyś, tak przez ciekawość, ale dzisiaj nie. Nie nastawiałam się na takie atrakcje.

– Ja tak samo – dołączyła do niej Basia.

– To wam się nie uda, moje panie – wtrącił się Włodek. – Nasz stół był bardzo zżyty i karny i tak zostanie. Albo idziecie z nami, albo poproszę, żebyście zmieniły miejsce przy posiłkach – zagroził i roześmiał się. – Oczywiście żartuję. Ale mówiąc poważnie, o dwudziestej wszyscy spotykamy się w Kawiarni Głównej. Debiutantkom ja stawiam bilety.

– Wykluczone – broniła się Kasia. – Nawet nie mam odpowiedniego stroju na tę okazję.

– To przyjdzie pani nago. Tego tu jeszcze nie było – rzucił wesołek Włodek i podobnie jak każdą swoją wypowiedź, również tę skwitował tubalnym śmiechem. – A poza tym – kontynuował – chyba nie narażą mnie panie na takie straty? Będę musiał wydać całe piętnaście złotych. Pięć za siebie i dziesięć za panie. Majątek!

– Jeśli tak, to co innego. Idziemy Kasiu? – zapytała jej koleżanka.

– Skoro masz ochotę...

– No to ustaliliśmy – ucieszył się Włodek, zabrał talerz i poszedł nałożyć sobie jedzenie. W czasie śniadania stawiany był bowiem szwedzki stół, a na

nim posiłki na wszelkie gusta.

– Pani Kasiu, czemu pani nic nie je? – zapytała Ania.

– Bo nic nie dostałam.

– Ależ rano tu jest samoobsługa, nie mówiłam ci? I musimy się pośpieszyć, żeby iść do lekarza, który zleci nam zabiegi – wyjaśniła Basia, przetykając owsiankę ze śliwkami.

Kasia posłusznie spełniła jej życzenie i przestraszona opóźnieniem, wrzuciła na talerz jakiś serek i nalała sobie do kubka kawy.

– Po takim śniadaniu dużo nie poćwiczysz – skrytykowała ją koleżanka.

– Jakoś nie mam apetytu.

– Gdybym to ja powiedziała, byłoby to uzasadnione.

– Czemu? Źle się czujesz?

– Jestem w rozterce. Potem ci powiem.

– Zaintrygowałaś mnie.

– No widzisz. A teraz chodźmy na pierwsze piętro. Masz przy sobie wyniki badań?

– Tak, przecież telefonowałaś, żebym je wzięła.

Jak się okazało, miały skierowania do dwóch różnych lekarzy, Kasia na pierwszym, a Basia na trzecim piętrze.

– Gdy będziesz po wizycie, zejdź do rejestracji zabiegów, tam ci ustalą godziny i miejsca ich realizacji. Tymczasem pa, idę na górę – powiedziała Basia i zostawiła koleżankę.

Kasia była trzecia w kolejce i po godzinie szukała rejestracji zabiegów. Na razie sama słabo poruszała się po budynku i pobłądziła, zanim tam dotarła. Na ten dzień przydzielono jej sześć zabiegów. Czy dam radę wszystkie zaliczyć? Bardzo późno dziś zaczynam – zastanawiała się i spojrzała na zegarek. – Jest za dwie jedenasta, a obiad mamy między godziną czternastą a piętnastą. Drobną panienką siedzącą przy okienku rejestracji w niecałe dziesięć minut wyposażyła ją w plan jej zabiegów na trzy tygodnie. Ten pierwszy dzień wydał się jej najtrudniejszy, ale nie miała czasu na rozmyślanie. Trzeba było rozpocząć kurację.

Ostatni zabieg tego dnia, zwany mechanoterapią, bardzo przypadł jej do gustu. Już wiedziała, że będzie jej ulubionym. Cieszyła się więc, że ma go codziennie.

Przed obiadem Kasia spotkała się z Basią tylko jeden raz, przy kąpielach siarkowych. Zaraz po ich zakończeniu rozeszły się do swoich zajęć.

Pomyślała, że nie będą miały szansy znudzić się swoim towarzystwem. Dni mają wypełnione, pokoje wprawdzie sąsiadujące z sobą, ale oddzielne. Tak długo mieszkały z dala od siebie, a tu tyle zadań, że trudno im będzie pogadać. Kiedy podzieliła się tymi swoimi obawami z Basią, ta powiedziała:

– Nie martw się. Będziemy gadać w czasie spacerów w soboty po południu i w niedziele. Jeszcze mnie będziesz miała dosyć, zobaczysz.

– Słuchaj, Basiu, ty naprawdę zamierzasz iść z nimi na tę dyskotekę?

– Wyobraź sobie, że tak. Zresztą mam w tym swój cel.

– Ty w dyskotecę?? Zadziwiasz mnie.

– Nie żartuję. To bardzo ważna sprawa. Mam pewne podejrzenia i muszę się upewnić.

– Co do czego?

– Jeszcze nie wiem, ale jest to dla mnie naprawdę ważne. Potem ci wszystko wyjaśnię.

– Jesteś bardzo tajemnicza.

– Cii! – Basia przyłożyła rękę do ust i dała znak Kasi, by zamilkła, bo właśnie mijaly pokój, z którego wyszedł ich kompan od stołu, Paweł Śliwiński.

– Witam szanowne panie – powiedział z uśmiechem. – O, widzę, że pani Barbara już w wieczorowej kreacji. Pani także – zwrócił się do Kasi. – Zatem będziemy w dyskotecę w komplecie.

Basia miała na sobie czarną, prostą sukienkę ze sznurkiem drobnych perełek pod szyją. Sukienkę tę nosiła często, bo lubiła ciemne kolory, ale gdy dodała do niej naszyjnik, wyglądała rzeczywiście elegancko. Kasia w czarnym garniturku połączonym z białą bluzką także prezentowała się sztywnie.

– No i cóż, mój panie „braciszku” – zwróciła się Basia do Pawła, podkreślając ostatnie słowo – co pan sądzi o waszym upodobaniu do dyskotek?

– Sądzę, pani „siostrze”, że w tym towarzystwie jest to zabawne i zajmujące. Dużo się śmiejemy, a to służy zdrowiu. Bo też trafił się nam skład niezwykle inteligentny, a co za tym idzie – obdarzony poczuciem humoru.

– Czym się zajmują na co dzień nasze koleżanki i nasi koledzy od stołu? – spytała Kasia.

– Najmłodsza, czyli Ania, jest sędzią, pani Jadzia farmaceutką, Włodek emerytowanym mistrzem handlu zagranicznego i walczącym liberałem, a ja

nudnym biznesmenem – odpowiedział Paweł.

– Tego się nie spodziewałam! – wykrzyknęła Basia. – Po pierwsze, że nudny, po drugie, że biznesmen. Myślałam, że Śliwińscy nie mają do tego zdolności.

– Zdarza nam się, jak widać.

Kasia słuchała wymiany zdań pomiędzy Śliwińskimi z pewnym zdziwieniem. Znała Basię na tyle, żeby wyczuć, że ona tego człowieka najwyraźniej prowokuje. Do zwierzeń, do obnażania swojego stosunku do świata i tak dalej. Zazwyczaj powściągliwa, teraz zachowywała się wręcz jak ciekawska. Kiedy znaleźli się w stołówce, okazało się, że reszta ich ścisłego kręgu już tam siedzi. Elegancko ubrana trójka przy stole wstała na widok przybyłej trójki.

– Bravo! – zawołał Włodek. – Widzę, że nasze panie wzięły sobie do serca moją przestrogę, bo najwyraźniej wybierają się z nami na dyskotekę. I słusznie. Sprawdziłem kalendarz i okazuje się, że w tym tygodniu codziennie coś ważnego świętujemy, a zatem mowy nie ma, żebyśmy się którego wieczoru tam nie spotkali.

– A cóż to za okazje? – zainteresowała się Kasia.

Włodek wyjął z kieszeni kalendarz i rzekł z poważną miną:

– Co my tu mamy... Dziś jest dwudziesty szósty dzień kwietnia, poniedziałek. Imieniny Marii i Marzeny. Maria to moja żona. W domu obchodzimy jej imieniny hucznie. Ale teraz jestem poza domem, więc obchodzę tu, gdzie jestem. A wy jesteście moimi gośćmi. We wtorek, dwudziestego siódmego kwietnia, są imieniny Zyty i Teofila, czyli mojego pinczera Teo. W środę Walerii i Pawła. No właśnie, Paweł – chyba się nie wymigasz.

– Nie ma obawy – zapewnił ich Paweł.

– Czwartek: Piotra, Roberta – kontynuował Włodek. – Nie ma ich wśród nas, ale przecież możemy się spotkać bez okazji, po prostu dlatego, że się lubimy. W piątek za to mamy imieniny pani Kasi. Co pani na to? Obchodzimy?

– A mam inne wyjście? – zapytała z uśmiechem zagadnięta.

– Super! – ucieszył się Włodek. – Za to w sobotę ostatecznie przyjmują nas wszystkich do Unii Europejskiej i to jest, moi kochani, okazja, którą świętować należy przynajmniej do końca turnusu, jak długo by nie trwał.

– Masz rację – powiedziała Ania. – Tym bardziej że ja dużo zapłaciłam za

tę oto sukienkę i musi mi się ona zamortyzować.

– Wszystko dobrze, ale przez to nasze balowanie nie mam kiedy wyjść na powietrze – poskarżył się Paweł. – Chyba dlatego zanim ono znowu się zacznie, wyskoczę do parku.

– Jako „starsza siostra” będę panu towarzyszyć – powiedziała Basia. – Chyba nie ma pan nic przeciwko temu?

– Wręcz odwrotnie, będę zaszczycony.

„Śliwińscy” szybko zjedli kolację i poszli do swoich pokoi po palta. Bez słowa zachęty dla Kasi. Basia, która miała jej tu wszystko pokazać, zachowywała się tak, jakby przyjaciółki w ogóle z nią tutaj nie było. Wyglądało na to, że zupełnie straciła głowę dla mężczyzny noszącego to samo, co ona, nazwisko. No, no – pomyślała sobie Kasia – tego się po niej nie spodziewałam. W jej wieku? I czy nie widzi, że on jest przecież co najmniej dziesięć lat młodszy od niej? Chyba jednak ma tę świadomość, bo nazywa go żartobliwie młodszym bratem. Kasia zastanawiała się, co naprawdę kieruje postępowaniem Basi. Czy ciekawość, jak to się stało, że ona i Paweł noszą to samo, niezbyt częste nazwisko, czy zauroczenie. Bo przecież w Polsce jest mnóstwo Nowaków i Kowalskich i nikt od tego nie traci głowy.

Włodek widząc kwaśną minę Kasi, kiedy jej przyjaciółka z Pawłem mówili o spacerze, postanowił zatelefonować do niej, aby upewnić się, czy będzie na dyskotecę i zaproponować, że ją tam zaprowadzi.

– Niech pani się nie martwi – powiedział – że koleżanka zakumplowała się z Pawłem. W końcu łączy ich nazwisko, a to zobowiązuje. Też byłbym ciekawy, kim jest facet, który nazywa się tak, jak ja.

– Dlaczego sądzi pan, że mnie to martwi?

– Przecież mam oczy i odrobinę empatii.

– Nie ma sprawy – powiedziała Kasia, żeby zakończyć dyskusję na ten temat. W końcu kiedy Śliwińscy wybierali się na spacer, mogła normalnie powiedzieć, że idzie z nimi. Nie wyraziła ochoty, więc poszli sami. Rzecz normalna i oczywista – tłumaczyła sobie w duchu.

Tak więc Włodek poprowadził Kasię do kawiarni na pierwszym piętrze. Przy barze kelnerka kasowała bilety i proponowała napitki oraz przekąski. „Dresowcy”, z których wielu spotykała w ciągu dnia przed salami zabiegów, byli teraz „zakrawaceni” i uperfumowani. Gdy tylko orkiestra zaczęła swój głośny występ, ruszyli ławą w stronę pań. Zupełnie jak na szkolnej zabawie.

Kasia tańczyła w objęciach starego Don Juana, który wypytywał ją, jak długo będzie w sanatorium, i snuł plany na przyszłe dni. Nie chciało się jej tego słuchać, więc wyrwała się z jego ramion i zaczęła tańczyć obok, solo. Dyskotekowy przebój był skoczny i tak głośny, że trudno go było przekrzyczeć. Udawała więc, że nie słyszy, co mówi jej partner.

- Hałas tu okropny, nic nie słyszę.
- Bo za daleko jest pani ode mnie.
- Nie lubię przytulank. Taniec to żywioł.
- Przy takim temperamentie, na pewno.

Kiedy miała już zupełnie dość komplementów, zobaczyła, że „Śliwińscy” wchodzi do sali. Basia rzuciła na nią okiem i powiedziała do Pawła:

- Oho! Kasia najwyraźniej wpadła komuś w oko.
- Po czym to poznajesz?
- Po jej nieszczęśliwej minie.

Szczęśliwej miny rzeczywiście nie miała i żeby wyzwolić się z ramion partnera, dokonywała cudów gimnastycznych na parkiecie. To zwróciło na nią uwagę tych, którzy nie zdążyli złowić partnerki do tańca i patrzyli na nią z ciekawością. Emerytowani łowcy damskich serc, samotni wdowcy przyjeżdżali tu często i po sprawność fizyczną, i po leczenie samotności. A kobieta z temperamentem była dla nich łakomym kąskiem.

Tańczący z Anią Włodek zobaczył to, co koleżanka od stołu rozgrywa na parkiecie, i zaczął zapraszać łypiących na nią samców do wspólnego kręgu. Razem z nimi i Anią otoczyli ją i partnera, po czym Włodek przyciągnął go do kręgu i z okrzykiem: „Odbijany!” zostawił go obok Ani. Chcąc nie chcąc musiała z nim tańczyć. Świetnie razem wyglądali, bo była prawie o głowę od niego wyższa.

- Dziękuję za ratunek – powiedziała Kasia.
- Widziałem, że chciał cię przeniknąć na wskroś. O, przepraszam panią, jeszcze nie piliśmy bruderszaftu.
- Możemy ten rytuał pominąć.
- Fajnie, Kasiu. A więc mam cię ratować, gdy dasz znak?
- Umowa stoi – odrzekła.

W tej właśnie chwili jej pierwszy partner do tańca klasnął jej nad uchem i powiedział do Włodka:

- Odbijany, jak szanowny pan raczył ustalić.
- Ależ proszę, proszę. – I Włodek był już przy Ani, żeby ją odbić



minipartnerowi, z którym wywijała. Kasia starała się, jak mogła, krążyć po parkiecie solo, żeby uniknąć uścisków, ale w tej turze tańców ostatnie było romantyczne tango. Partner zdecydowanie przyciągnął ją do siebie i nie mogła zrobić nic innego, niż tańczyć w tym uścisku. Spróbowała wymusić figury, ale jego możliwości choreograficzne nie osiągały do jej poziomu, więc musiała się z tym pogodzić.

– Może się pani czegoś napije – zaproponował.

– Dziękuję, muszę wrócić do przyjaciół, żeby mi nie wypili mojego drinka – powiedziała i już jej nie było.

Przy ich stoliku było bardzo wesoło, co chwila ktoś wybuchał głośnym śmiechem. Tylko Basia wpatrywała się w Pawła jak urzeczona. Śledziła jego ruchy i szczytywała słowa z jego ust. Ależ jej odbiło – pomyślała Kasia. A Basia oceniając jej zachowanie powiedziała:

– Kasiu, przeszłaś samą siebie! Takiej cię nie znałam.

– Ty też nie jesteś taka, jaką cię znałam.

– *Panta rei...* – odrzekła Basia w zamyśleniu. – *Panta rei...*

– I po co kupowałam tę sukienkę, kiedy osóbką, która ujawnia swój dojrzały wiek, zgarnia wszystkich tancerzy? – poskarżyła się Ania.

– No właśnie, mogłabym być niemal waszą mamą – zareagowała na to Kasia.

– Ty jak ty – powiedziała Basia – ale ja to już na pewno.

Kasia spojrzała na nią ze zdziwieniem. Jej koleżanka, która najwyraźniej leci na młodszego od siebie faceta, nie ukrywa swego wieku. Przynajmniej to. Brawo! – pomyślała.

– Słuchajcie! – przekrzyczał wszystkich Włodek. – Pijemy zbiorowego bruderszafta! Mam dość tytułowania was bez przerwy. – Mówiąc to podniósł wysoko swojego drinka.

Stuknęli się i wypili po łyku. Orkiestra zajmowała miejsca na podium. Kasia rozejrzała się ze strachem, czy jej dotychczasowy partner nie szykuje się, żeby do niej zdążyć. A jakże, był w pogotowiu.

– Obiecałeś mi coś – wysyczała przez zęby do Włodka, a ten na to:

– Wiem, „mamusiu”, ale dotychczas nic złego się nie stało.

– Jesteś okrutny – obruszyła się i wstała od stołu, żeby odpowiedzieć na zaproszenie znów najszybszego pana kawalera.

Ale się zawziął – powiedziała do siebie w duchu. Właściwie nie miałyby nic przeciwko temu, że ciągle ją zaprasza. Było jej zupełnie obojętne, z kim

tańczy. Skoro już tu przyszła, chodziło jej tylko o ruch. Tyle że ten jej danser miał zupełnie inne plany i cele, co demonstrował czułymi słówkami i trzymaniem jej zbyt blisko siebie. Tego właśnie miała dosyć. Jej towarzystwo, tym razem nie tańczące, zaśmiewało się z czegoś przy stoliku. Żałowała, że nie może być z nimi. Nawet z tą zdrajczynią Basią, która nie dość, że sama zachowywała się podejrzanie, to jeszcze pozwalała sobie na złośliwe uwagi pod jej adresem. Nie miała więc innego wyjścia, jak robić za plecami swego partnera rozpaczliwe miny pod tytułem SOS.

Wreszcie Włodek się ulitował. Porwał tym razem Jadzię do tańca i zaczął się kierować na parkiecie w jej stronę.

– Uciekamy? – zapytał jej danser.

– Gdzie? Co się stało? Dlaczego? – odpowiedziała serią pytań.

– Od pani kompana z przydomkiem „Odbijany”.

– A kto to taki? – spytała z niewinną miną.

Pokazał jej zbliżającą się do nich parę.

– A, Włodek. On wcale nie jest groźny.

– Inna orientacja? Tak myślałem, bez przerwy chichocze.

– Myli się pan.

– Mamusiu, jak mamusia się bawi? – spytał Włodek.

– Jak widzisz, synku – odpowiedziała z uśmiechem.

– W co wy gracie? – spytał z oburzeniem jej partner, myśląc takt. – Przecież ten starzec nie może być pani synem!

– No wie pan! Wypraszam sobie. Oczywiście, że jest moim synem.

– Serio?

– Bez żadnych wątpliwości.

– Przecież on wygląda na co najmniej sześćdziesiąt lat.

– Bez przesady, ma zaledwie pięćdziesiąt dziewięć i pół.

– To ile pani musiała mieć lat, kiedy go urodziła?

– Nie wiem, ile musiałam mieć, ale wiem, ile miałam. Rzeczywiście byłam bardzo młoda. Mama narzekała, że było na to za wcześnie, ale cóż... Stało się. Otóż miałam wtedy zaledwie dwadzieścia trzy lata.

– To co, pani jest po osiemdziesiątce? Nigdy bym nie powiedział. Mój Boże...

– Co panu jest?

– Mnie nic, ale pani...

– Przepraszam, że za długo żyję – kłamała jak z nut, bo naprawdę miała lat

o dziesięć mniej.

– Tak się pani zabawia?

– Nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Wystroić się i nabierać ludzi... a potem z nich kpić.

– To nie ja poprosiłam pana do tańca.

– Dałem się nabrać, ale...

– Synku! – zawołała Kasia. – Zaprowadź mnie na miejsce, bo mój partner do tańca źle się czuje.

– Co panu jest? – zapytał z troską w głosie Włodek.

– Zasłabł, gdy dowiedział się, jak długo żyję. Boję się, że zemdleje.

– Taki pan wrażliwy? Mamy to w genach, że jesteśmy tacy długowieczni i mnie to raczej cieszy – powiedział Włodek.

– Och, proszę pana, dajmy temu spokój. Żegnam. Nie ma o czym mówić.

Reszta wieczoru minęła kompanom na dyskusji, czy Kasia powinna tak postąpić, bo ona sama miała skrupuły.

– Żal ci tego absztyfikanta czy co? – zdziwił się Włodek. – Przecież prosiłaś o pomoc, bo za bardzo się do ciebie lepił.

– No właśnie, ale to nie powinno się zdarzyć.

– I co, żałujesz, że tu jesteś?

– Co to, to nie. Warto przeżyć coś takiego, żeby przekonać się, że powodzenie nie kończy się na siedemdziesiątce. Nawet jeśli dzieje się to w przyćmionych, migających światłach i przy hałasie, który mąci umysł.

– W świetle jupiterów też jeszcze jesteś niezła – wtrąciła się Basia. – A ten podrywacz...

– Nie ma za grosz taktu i elegancji. Dlaczego niby wiek ma deklasować kobietę? – odezwał się Paweł.

Oho! – pomyślała Kasia. – Punkt dla Basi. Paweł dał jej cynk, że jemu wiek nie przeszkadza.

Ostatnią turę tańców tego wieczoru wykonali we własnym kręgu, z elementami gimnastycznymi. O dwudziestej drugiej zgaszono światło i kuracjusze grzecznie pochowali się w swoich pokojach, oprócz łowców, którym udało się coś upolować. Ci rozglądali się, gdzie by kontynuować wieczór. Kuracjusze od stolika numer trzydzieści cztery pożegnali się i każdy poszedł do siebie. Nawet Basia i Paweł.

– No to cześć, do jutra – powiedział ten ostatni, gdy mijali jego drzwi, i zaraz za nimi zniknął.

## Rozdział siódmy

- Nie jesteś rozczarowana? – zagadnęła Basię Kasia.
- Czym mam być rozczarowana? – zdziwiła się jej przyjaciółka.
- Jego pożegnaniem. Poświęcasz mu tyle uwagi, a on potem tylko: „No to cześć, do jutra”.
- A jak, twoim zdaniem, powinien pożegnać się ze mną?
- Zważywszy na twoje starania, trochę czulej.
- Więc ty sądzisz, że ja się w nim zadurzyłam?
- A nie?
- Nie jest tak, jak myślisz.
- Przecież widzę, że to fascynacja.
- Tu trafiłaś w sedno. *À propos*, nie jesteś śpiąca? – Kasia pokręciła głową.
- To wstąp do mnie na chwilę. Pogadamy.  
Kiedy znalazły się w pokoju, Kasia zapytała: – Basiu, co się dzieje? Zachowujesz się jak nastolatka.
- Tak to wygląda? Niewiele mnie to obchodzi.
- Zdziwiasz mnie.
- Siadaj i słuchaj: Paweł jest naprawdę moim bratem. Przyrodnim, ale jego podobieństwo do ojca mnie fascynuje.
- Nic nie mówiłaś, że masz brata. Jesteś tego pewna?
- Tak, ale to był temat tabu. Przynajmniej dopóki matka żyła.
- Dlaczego?
- Bo mój ojciec okazał się bigamistą.
- Jak to? Mówiłaś, że zginął po wywiezieniu was z Baranowicz. A właściwie czemu go z wami nie zabrali?
- Bo kiedy mnie i matkę wywozili, on był na kursie buchalterów w Nieświerzcu.
- Ile miałaś wtedy lat?
- Dwanaście.
- Na tyle dużo, żeby za nim tęsknić. Choć miałam tylko cztery lata, gdy mojego ojca zabrali, tęsknię za nim przez całe życie. Ale już zapomniałam jak wyglądał. Gdyby nie fotografie... A dlaczego uważasz, że twój ojciec

zginął?

– Bo taką po latach dostałyśmy wiadomość od mojej ciotki. Nie wiedziałam, że była dla mnie spreparowana.

– To znaczy?

– To znaczy, że matka chciała, żebym ojca pamiętała z najlepszej strony, jako bohatera. Nie chciała popsuć moich wspomnień.

– A prawda była inna?

– Nie do końca.

– Nie rozumiem.

– Bo to jest skomplikowane. Mój ojciec po naszej wywózce dostał się do więzienia we Lwowie. Zachorował tam na krwawą dyzenterię i uznano, że umarł. Wrzucono go do rowu, jak na ogół czyniono z zastrzelonymi lub w inny sposób zmarłymi więźniami. Jednak nazajutrz Wasiuków, strażnik więzienny zaangażowany do zakopywania rowów, dokonał dziwnego odkrycia. Przed wojną człowiek ten znał Pawła Śliwińskiego seniora i lubił go. Zresztą był zaprzyjaźniony z wieloma Polakami, a jego córka Marusia miała nawet polskiego narzeczonego, który powołany do wojska zginął w bombardowaniu dworca w Baranowiczach, kiedy Niemcy napadli na te tereny.

– Byłam wtedy z mamą na tym dworcu. W zaryglowanym wagonie. Trafiony bombą sąsiedni wagon wyleciał w powietrze. Widziałam to jako czteroletnie dziecko. No, ale mów, jak było z twoim ojcem.

– Nie umarł wtedy na dyzenterię. Stracił przytomność, a oni nawet nie pofatygowali się, żeby sprawdzić, czy nie żyje, i wrzucili go do rowu. Wasiukow przyszedł o zmierzchu. Zauważył, że pod grudkami ziemi, które spadły z jego łopaty, coś się rusza. Przetarł oczy, pochylił się nad rowem i zobaczył otwarte oczy mego ojca. Ten ruch, który przy zasypywaniu zmarłych zobaczył Wasiukow, to była jego podniesiona ręka, osłaniająca oczy.

Ujrzawszy ją pochylił się jeszcze niżej nad rowem. Potem nagle wyprostował się i spojrzał w stronę bramy więzienia. Wyszedł z niej strażnik i paląc papierosa zaczął przechadzać się po dróżce wiodącej do zagajnika, w którym został wykopany nowy rów.

– A ty szto? W mesto szto by rabotat, smotrisz w niz. Fantoma ili sokrowiszcze uwidieł?

– Nożik mnie upał...

– Paniatno<sup>1</sup> – powiedział strażnik. Skończył papierosa, wdeptał jego niedopałek w żwir na dróżce i wrócił do środka, zamykając za sobą bramę.

Wtedy kopacz pochylił się niżej na dołem i wyszeptał:

– Poznałem pana, Pawłusza. Niech pan wytrzyma jeszcze kilka godzin. Wrócę po pana nocą. Przyjdę od strony lasu i tamtędy wyjdziemy do góry.

– Basiu – przerwała jej Kasia – ja tu czegoś nie rozumiem. Przytaczasz dialogi, opisujesz sytuację, jakbyś tam była albo miała szczegółową relację ze zdarzenia z pierwszej ręki. Więc jednak widziałaś się z ojcem?

– Nigdy. To on sam opisał wszystko w liście do mamy, który dał jej siostrze, a mojej ciotce, żeby go kiedyś mamie wręczyła. Zrobił to zaraz po ucieczce, kiedy jeszcze nie zamierzał związać się z Marią. Zaznaczył, że ciotka musi ten list przekazać osobiście i przypilnować, żeby mama nie zasłała. Bo skoro wiedziała, że ponoć umarł, jego zmartwychwstanie mogłoby wywołać u niej szok.

– No dobrze, a jak było dalej z jego ocaleniem? Udało się temu kopaczowi wyprowadzić go z dołu?

– Tak. A potem poniósł go przez las do swojej chaty.

– Bohater! Przy władzy sowieckiej poważyc się na taki czyn!

– Nie zrobił tego bezinteresownie.

– Ojciec mu zapłacił?

– Nie pieniędzmi. Cena była znacznie wyższa.

– To znaczy?

– Dojdziemy do tego. Opowiem ci wszystko po kolei. A więc ten Wasiukow...

– Przepraszam, Wasiukow to oczywiście Rosjanin? – wtrąciła się Kasia.

– Nie. Ukrainiec z dziada pradziada. Otóż on miał córkę Marusię, która była kiedyś zaręczona z Polakiem, no i zaczęło się przy niej kręcić NKWD. Wprawdzie narzeczony już nie żył, ale Wasiukow bał się o nią. Toteż kiedy uznał, że mój ojciec, którego ukrywał w ogrzanej piwnicy, jest już na tyle silny, żeby samemu dać sobie radę, powiedział wprost, że pomoże mu uciec przez zieloną granicę pod warunkiem, że zabierze z sobą jego córkę. Dziewczyna zresztą pielęgnowała go w chorobie i może właśnie jej zawdzięczał to, że po strasznym wycieńczeniu stanął na nogi. Jak Wasiukow powiedział, tak się stało. Zdobył gdzieś czy też miał przygotowane mapy i któreś nocy wyprowadził mego ojca i swoją córkę przez lasy w pobliże granicy. Wiedząc o tym, że ma on przy sobie metrykę ślubu z moją matką, a

także jej dokumenty, wymusił obietnicę, iż na terenie Polski Marusia z tych papierów skorzysta. Miejsce przejścia na stronę Polską zostało dobrze wybrane i eskapada rzeczywiście się powiodła. Ponieważ ojciec nie miał o nas żadnych wieści, uznał, że nie udało się nam przeżyć.

Ale – jak twierdzi ciotka – nie od razu związał się z Marusią, chociaż na terenie Polski czy też Wielkiej Rzeszy, która tu rządziła, posługiwała się ona dokumentami mamy, a więc uznawana była za jego żonę. Umówili się, że po wojnie zwróci mu te dokumenty. Szybko jednak okazało się, że mówienie o wyzdrowieniu ojca było przedwczesne, bo żołądek nadal mu dokuczał, a w warunkach, w jakich się znalazł, trudno było przestrzegać diety, wobec tego Marusia nadal nad nim czuwała. Zresztą oddalona od rodziny i swojego kraju nie bardzo miała gdzie się podziać. Nie chcę wchodzić w szczegóły i w ogóle nie powinnam o tym myśleć... ale wiesz, jak to jest... w końcu to był mój uwielbiany tata. Nie mogłam pogodzić się z tym, że zapomniał o mamie i o mnie.

– A zapomniał? Może to był rozpaczliwy akt rezygnacji?

– Tego się już nie dowiem. I o to mam żal do ciotek, że weszły w zмовę z mamą, by ukryć przede mną mego ojca żyjącego w nowym związku. Gdybym o tym wiedziała, na pewno dotarłabym do niego za wszelką cenę. Potem nie było już takiej możliwości.

– Dlaczego?

– Bo on zmarł na początku roku sześćdziesiątego drugiego czy trzeciego. Byłam wtedy na mojej pierwszej placówce dyplomatycznej. List od ciotki dostałam po pogrzebie, nie dane mi było w nim uczestniczyć. Pamiętam, że zrobiłam wtedy mamie dziką awanturę o to, że ukryła przede mną prawdę i zamiast walczyć o niego schowała głowę w piasek...

– A co mogła zrobić?

– Myślę, że dużo. Przecież wiedziała, że z tamtą nie miał legalnego ślubu, bo posłużyli się jej papierami.

– Mógł więc być ścigany za bigamię i trafiłby do więzienia. Pewnie dlatego mama nie reagowała.

– Ale on mówił ciotce, że nas kocha i kochać nie przestanie.

– I dlatego trwał przy nowej rodzinie? Kiedy urodziły się tamte dzieci?

– Paweł chyba w 1945 roku, a Zofia jest o dwa lata młodsza.

– Więc jednak nie od razu.

– Twoja mama w tym czasie też już nie była sama.

– I bardzo tego żałuję, choć ją rozumiem – otrzymała przecież wiadomość, że tata nie żyje.

– Gdybać można na wiele sposobów. Czy ty, Basiu, nie widzisz, że sprawę tę interpretujesz tylko z pozycji skrzywdzonego dziecka. A ona ma wiele aspektów. Jesteś dla swojej mamy niesprawiedliwa. To ona cię po stokroć ocaliła, była przy tobie, a to, że los rozłączył cię z ojcem, jest winą wojny i przypadku. Nie wiem, czy pamiętasz Rafała Brzeskiego, tego pisarza. Otóż jego żona, a moja przyjaciółka przeżyła coś zupełnie podobnego jak ty. Też odbiło się to na niej bardzo mocno, miała przeróżne obsesje na ten temat. Kiedy tak o niej i o tobie, o tej waszej historii związanej z ojcami myślę, zaczynam wątpić w to, że mój ojciec naprawdę umarł w Starobielsku.

– A co się stało z Brzeskimi? Dość głośno było o jakimś ich wypadku. Pracowałam wtedy w Argentynie, zajęta byłam akurat polską delegacją kulturalną, więc szczegóły śmierci tego pisarza nie do końca do mnie dotarły.

– Ach, to była straszna historia. Zderzyli się na Saharze z ciężarówką, która zabiła całą ich rodzinę. Matkę Awy, jej synków bliźniaków, Awę i Rafała. Nie mogłam się z tym pogodzić. Byli oboje wyjątkowi: piękni, zdolni, kochający się. Straszne! Czemu los tak głupio wybiera tych, których chce wyeliminować? Ileż to już czasu upłynęło od tamtego zdarzenia... A co do ciebie, Basiu... Wyobraź sobie, że posądzałam cię o zadurzenie się w Pawle. Teraz rozumiem – fascynuje cię jako brat. Rozmawialiście o tym?

– Jeszcze nie.

– Więc on nic nie wie?

– Według mojego rozeznania nic a nic. Nawet tego, że jego matka nie była bynajmniej pierwszą żoną ojca, a tym bardziej tego, że w ogóle nią nie była.

– O czym więc tyle gadacie?

– Wyciągam z niego, ile się da na temat ojca. Sposobem. Opowiadam o moim ojcu, on o swoim, a to przecież ta sama osoba i cieszę się, że tak dobrze wszystko pamięta. A on się dziwi, jak podobnie ojcowie zabawiają swoje dzieci.

– A jak wasz ojciec was zabawiał?

– Fantastycznymi opowiastkami, które sam wymyślał, lubił też się wygłupiać.

– To znaczy?

– Wykonywał na przykład taniec umierającego łabędzia. Bardzo śmiesznie. W ogóle miał zdolności imitatorskie i parodystyczne.



– Chyba w końcu powiesz Pawłowi, że jesteście rodzeństwem? Zawsze żałowałaś, że jesteś jedynaczką, a tu za jednym zamachem odzyskujesz i brata, i siostrę.

– Raczej nie. Nie mam do tego serca. Wiem, jakim wstrząsem była dla mnie wiadomość o ich istnieniu. Poza tym obcowanie z nimi byłoby pewnego rodzaju niełojalnością wobec mamy.

– Ona dawno nie żyje, a to jest jednak twoje przyrodnie rodzeństwo. Ja mam troje rodzeństwa przyrodniego. Kochamy się, jak rzadko się zdarza, i nic nas nie różni od tych „lepszych”, jak uważasz, a więc rodzonych braci i sióstr.

– A ja zawsze byłam jedynaczką, nie miałam nigdy nikogo do konkurowania ani obdarzania siostrzaną miłością. Dlatego fascynują mnie układy między rodzeństwem. Obserwuję je wszystkie, nawet u moich wnuków. Mam wrażenie, że to rodzaj obsesji. Chyba powinnam pójść z tym do psychologa.

– Przy okazji opowiedz mu o tym twoim uzależnieniu od zakupów.

– Jeśli o to chodzi, jest ono w zaniku – odpowiedziała Basia, co było prawdą, ale nie do końca. Jej zakupy w second-handach rzeczywiście się zmniejszyły, ale zdarzały się, bo traktowała je jako leczenie stresów.

Widząc chytrą minkę, która przez chwilę zagościła na jej obliczu, Kasia po raz kolejny zdziwiła się, jak bardzo skomplikowaną istotą jest człowiek. Oto Basia – dyplomatka, podróżniczka, literatka, skarbnica różnych wiadomości, poliglotka – i ta jej głupia pasja utrudniająca życie, bo wiecznie musi walczyć z bałaganem. Ostatnio Flora wprowadziła trochę ładu do jej domu, ale przecież nie będzie przy niej zawsze. Chociaż pewnie nie miałyby nic przeciwko temu.

Przyjaciółki rozmawiały kiedyś z sobą o przyszłości Flory i Kasia zauważyła, że Basia przy całej swojej mądrości jest osobą zupełnie niepraktyczną. A przecież ma córkę i wnuki, którzy nie powinni z nikim walczyć o sprawy spadkowe. Dała jej więc wyraźnie do zrozumienia, że należy te sprawy uporządkować. I na pewno nie zostawiać im lokatora w mieszkaniu, które będą mieli odziedziczyć.

– A jaka jest puenta twojego spotkania z bratem? – wróciła Kasia do poprzedniego tematu. – I czy w ogóle jesteś pewna, że to twój brat? Nie istnieje ryzyko, że możesz się mylić?

– Wykluczone. Wszystko się zgadza. I nazwisko, i imiona rodziców,

miejsce zamieszkania, data urodzenia, zawód. Zbieg okoliczności ma swoje granice. Do tego, jak się okazało, tata nazwał swoje nowe dzieci imieniem swoim i mojej mamy – Paweł i Zofia...

– Więc co ci przeszkadza opowiedzieć mu o tym wszystkim?

– Nie chcę popsuć mu wizji ojca. Gdyby cokolwiek wiedział o jego przeszłości, może bym się na to zdecydowała, ale on nie wie nic a nic na ten temat. Nie mam serca zmieniać jego życia, bo ono na pewno by się zmieniło.

– A więc rezygnujesz, sama rezygnujesz z rodzeństwa, zupełnie świadomie.

– To nie takie proste. Są też inne powody. Oni mnie fascynują, bo o wiele dłużej przebywali z ojcem niż ja. Chciałabym wiedzieć, jaki był, ale przeszkadza mi to, że oni są zamożni.

– Dlaczego?

– Bo mogliby pomyśleć, że szukam kontaktu z nimi, bo czegoś od nich chcę.

– A gdyby tak było, to czy nie należy ci się?

– Daj spokój Kasiu. W ogóle nie o to mi chodzi. Chcę po prostu odnaleźć zaginione rodzeństwo i zdobyć wiedzę o ojcu. Więc nawet nie mówmy o tym. A w ogóle, czy ty wiesz, która jest teraz godzina?

– Ojej, już wpół do pierwszej! Jak ja wstanę na jutrzejszą siarkę? Mam ją o siódmej trzydzieści.

– Współczuję, ale sama też nie jestem skowronkiem. Idź spać, kochana, przepraszam, że cię w to wciągam.

– A jak sobie to wyobrażasz inaczej? Miałabym cię z tym zostawić samą? Poza tym jestem wścibska i ciekawi mnie, jak się to dalej potoczy. A teraz dobranoc, śpij dobrze...

Wbrew temu życzeniu Basia długo jeszcze przewracała się w łóżku, zanim sen ją zmorzył. Tylko dzięki budzikowi zdołała się stawić na pierwszym zabiegu, podobnie jak jej przyjaciółka.

Jeśli zaś chodzi o to, jak potoczyła się dalej sprawa kontaktów Basi z bratem, los brutalnie w to wkroczył i na razie przynajmniej przerwał wszystkie na ten temat spekulacje. Przy obiedzie dowiedziała się, że Paweł musiał pilnie wyjechać do Niemiec, gdzie rozbił się jeden z jego tirów wiozących tam części do maszyn rolniczych, które dla nich produkował.

Co się zaś tyczy Kasi, dzień jej zaczął się pechowo i tak to trwało. Najpierw przysnęła w kąpieli siarkowej, po czym lekko zasłała. Powstało

zamieszanie, które zakłóciło cykl dalszych jej zabiegów. Wszędzie zdążyła z trudem, z dwóch zabiegów w tym dniu musiała za poradą lekarza zrezygnować. Korzystając z dwóch wolnych godzin, które w ten sposób wygospodarowała przed obiadem, przebrała się i postanowiła pójść na spacer do parku zdrojowego.

Poszła najpierw w stronę sanatorium „Markoni”, przedeptała otaczające je alejki, a potem zdecydowała, że zwiedzi sąsiednią ulicę, prowadzącą do głównej drogi do miasta. Dostrzegła na niej mnóstwo szльдów, były tam mniejsze sanatoria i sklepy. Szła jednak chodnikiem przylegającym do parku zdrojowego. W pewnej chwili zobaczyła, że po drugiej stronie ulicy z zalesionej pustej działki wydostają się przez sporą dziurę w siatce dwa łaciate pieski czy też szczeniaki. Przestraszyła się ich zachowaniem, bo najwyraźniej widząc, że im się przygląda, zamierzały przejść przez ulicę, a ta była pełna jadących w obie strony samochodów. Poczowała, że robi się jej gorąco, gdyż samochody zaczęły gwałtownie hamować, żeby przepuścić łaciatych intruzów. Po chwili całe i zdrowe pieski znalazły się przy niej. Zaczęły ją obskakiwać i lizać po rękach. Wykonywały jakiś szalony taniec radości. Ich ogonki poruszały się z prędkością wiatraczka, a mordki uśmiechały się przyjaźnie. Ponieważ Kasia bardzo lubiła zwierzęta, czuła się uhonorowana taką demonstracją sympatii, ale jednocześnie czaił się w niej strach. No bo jak przeprowadzić z powrotem przez ruchliwą jezdnię dwa żwawe pieski bez smyczy? Odruchowo wybrała numer komórki córki, też psiary.

– Powiedz mi, co mam robić. Wyszłam na krótki spacer po parku, znalazłam się przy graniczącej z nim ruchliwej drodze i przed chwilą przyplątały się do mnie dwa śliczne pieski.

– Skąd się wzięły? Rozejrzyj się, może gdzieś są ich właściciele?

– Nie ma tu nikogo takiego. Widziałam, jak wyłaziły przez dziurę w siatce z pustej leśnej działki.

– No to je tam zaprowadź.

– Jak? Ulicą bez przerwy jeżdżą samochody, a one nie mają nawet obrózek, za co mam je trzymać?

– Nie masz więc innego wyjścia, jak spacerować z nimi jakąś mniej ruchliwą drogą. Odejdź od tej, na której jest sporo samochodów. Jeśli te pieski to bezdomne łazęgi, na pewno sobie poradzą, zaraz im się znudzisz. Albo najlepiej zadzwoń do straży miejskiej i poczekaj, aż przyjadą.

– Nie wyglądamy na bezdomne, są bardzo czyściutkie.

Kiedy to mówiła, mniejszy z piesków wyskoczył nagle na jezdnię i sprytnie omijając jadące samochody przebiegł na drugą stronę. Czarno-biały, większy i chyba starszy, bez zastanowienia ruszył w jego ślady. Kasia krzyknęła głośno:

– O Boże, Boże! – Bo czarno-biały piesek został potrącony najpierw przez przednie, a następnie tylne koło hamującego pojazdu.

Samochód zatrzymał się kilka metrów dalej, a piesek podniósł się z trudem i ciągnąc za sobą tylne łapki doczołgał się do latarni stojącej na przeciwległym chodniku. Prowadząca auto kobieta wysiadła i zapytała:

– To pani pies?

– Nie, one wyszły z takiej dziury w siatce po tamtej stronie ulicy.

Beżowo-biały piesek słysząc skowyt kolegi czy brata, obwąchał go, obliznął i uciekł przed ludźmi, którzy powysiadali z samochodów i tak zablokowanych przez ten, który potrącił psiaka. Jakiś mężczyzna pomógł kobiecie zanieść ofiarę wypadku do samochodu, a mężczyzna z psem na smyczy, który właśnie nadszedł, pogroził Kasi pięścią z drugiej strony ulicy i zaczął krzyczeć:

– Ty babo! Ty głupia, głupia babo! Zamordowałaś swego psa!! To twoja wina! Czemu nie używasz smyczy?

– Ależ proszę pana – usiłowała się bronić zaatakowana. – To nie moje psy, one...

– Bez serca babsztyl! Idiotka! – krzyczał mężczyzna, nie dopuszczając jej do głosu. – Ty debilna babo, jak cię spotkam, to zabiję, jak ty tego psa!

– Ale co ja zrobiłam?

– Co ja zrobiłam, co ja zrobiłam... Głupia, głupia baba! – darł się furiat.

Mimowolna sprawczyni nieszczęścia odkręciła szybę i poinformowała: – Zabieram go do weterynarza.

– Dobrze. Proszę też zabrać tego małego, one wyszły z za tamtej siatki razem.

Ale małego, beżowo-białego pieska już tam nie było. Przestraszył się wypadku oraz wrzeszczącego furiata i uciekł.

Kasia trzęsała się jak w febrze. Nie dość, że musiała patrzeć na nieszczęście tego wesołego przed chwilą stworzenia, to jeszcze została zelzona przez jakiegoś psychopata.

Stała trzęsąc się na skrzyżowaniu nieszczęsnej ulicy, nie pamiętając w tej chwili, skąd i po co tu przyszła. Wiedziała tylko, że musi stąd odejść.

Kiedy ochłonęła, sięgnęła do kieszeni po telefon, który się rozdzwonił. Widniała na nim informacja o kilku nieodebranych połączeniach.

– Mamuś, jesteś? Tak się zdenerwowałam! – krzyczała Zosia.

– Ja też...

– Co się stało? Usłyszałam twój krzyk i zgrzyt hamulców. Myślałam, że oszaleję. Nic ci się nie stało?

– Mnie nie, ale jeden z tych piesków wbiegł pod samochód. Jakaś pani wzięła go do weterynarza.

– Ojej, biedactwo... To zostaw na tym domu, z którego wybiegł, kartkę, że wzięto go do lecznicy.

– Tam nie ma domu. A drugi maluch zniknął przestraszony przez świra, który się na mnie darł, myśląc, że jestem właścicielką psów i chodzę z nimi bez smyczy.

– To zadbaj teraz o siebie, bo pewnie nie najlepiej się czujesz. Piesek dostał już pomoc.

– Muszę wracać na zabiegi. Ależ sobie zrobiłam przerywnik! Nie wiem, kiedy się z tego otrząsnę.

– Weź coś na uspokojenie.

Kasia zakończyła rozmowę z Zosią i wolnym krokiem skierowała się do „Włókniarza”.

Dopiero ukochana mechanoterapia poprawiła jej humor.

Przy obiedzie opowiedziała przyjaciołom, co przeżyła i jak ją potraktowano. Włodek stwierdził, że on też bardzo się wkurza, kiedy widzi psy u boku nierozważnych właścicieli, i gdyby był świadkiem wynikłego z tego nieszczęścia, pewnie zachowałby się podobnie jak tamten facet.

Basia była milcząca i apatyczna. Z pewnością zmęczona po nocnym gadaniu, ale też rozczarowana tym, że Paweł zawiadomił o swoim wyjeździe Włodka, a nie ją. Tylko że on nie wiedział, jak to jest dla niej ważne, bo nie miała odwagi powiedzieć mu, że są rodzeństwem.

Kiedy wracały do swoich pokoi, zagadnęła Kasię.

– No i co ty na to?

– Na moją fatalną przygodę?

– Nie, na tajemniczy wyjazd Pawła. A co do przygody, to straszne, ale każdemu mogła się przytrafić.

– Nie uświadomiłaś Pawłowi, kim dla niego jesteś. Dlaczego więc uważasz, że powinien cię traktować inaczej niż inne kobiety?

– Dobra, masz rację, ale jest mi przykro. Ja po prostu go zaakceptowałam i cieszyłam się, że jest i że będę z nim obcować przez jakiś czas. Jestem zwyczajnie rozczarowana.

– To nawiąż z nim kontakt. Adres i telefon łatwo zdobędziesz w dyrekcji uzdrowiska, jeśli wymyślisz ku temu dobry pretekst.

– Ach, żeby to było takie proste! – westchnęła Basia. – Powinnam jeszcze przemyśleć, czy chcę burzyć mu jego dotychczasowy świat. A teraz muszę się przespać, bo padnę – dodała otwierając drzwi swojego pokoju.

– No to pa, ja też. Dość mam wrażeń na dziś.

Przy sporej liczbie zabiegów, jakie obie miały każdego dnia, czas płynął im szybko i ani się obejrzały, kiedy ich pobyt w sanatorium dobiegł końca. Mimo wszystko wspominały ten okres bardzo dobrze. Na dyskoteki chodzili, aby być z sobą, a ruch i ćwiczenia przepony przy śmiechu też dobrze im robiły. Rzeczywiście przy ich stole zgromadziła się wyjątkowo inteligentna i dowcipna kompania. Co się zaś tyczy zbawiennych skutków zabiegów, sprawa nabrała mocy dopiero po kilku tygodniach. Warto było.

## *Rozdział ósmy*

Kasia siedziała z Piratem śpiącym na jej kolanach i pisała scenariusz kolejnego programu „Mistrz i uczeń”. Prowadziła go już ponad dziesięć lat. Zmieniało się miejsce i sponsorzy, a zapotrzebowanie na niego zamiast słabnąć, wciąż rosło. Ostatnie lata w jego historii to duża sala z podium scenicznym w jednej z bibliotek na Woli. Sala mogła pomieścić ponad dwieście osób i zawsze była pełna.

Dla autorki programu była to w sensie twórczym robota niewdzięczna, bo poza piosenką inauguracyjną spektakl wszystko zmieniało się za każdym kolejnym razem. A więc duża robota do wykorzystania jeden raz. Jak zwykle pierwsza kartka scenariusza była gotowa:

### *Mistrz i uczeń*

*Zanim Van Gogh wprawną ręką  
namalował słoneczniki,  
mistrzów wielu podpatrywał.  
Błyski słońca, cienia smugi  
chwycił pędzlem raz i drugi,  
a przy tym podśpiewywał:  
Co głupiemu po rozumie,  
leniwemu po talencie?  
Gdy się mistrza nie poradzi  
papraj bidą tylko będzie.  
Jak świat światem,  
sztuką sztuka,  
po to mistrza jest nauka,  
by w niej sensu swojej drogi talent szukał.  
Mistrz i uczeń, mistrz i uczeń  
do doskonalenia kluczem.  
Jest relacja mistrz i uczeń (...)*

To było gotowe już dawno, a reszta... na razie miała pustkę w głowie. Czas naglił nie tylko w tej sprawie i prawdę mówiąc, przestała sobie radzić z ogromem problemów, które wymagały jej działania.

Po wielu staraniach wydeptała w Ministerstwie Kultury dopłatę do ewentualnego pobytu Flory w Domu Artysty w Skolimowie. Cieszyła się z tej decyzji jak dziecko i dopiero pukając do drzwi Basi pomyślała, że nie dla wszystkich będzie to dobra nowina. Stchórzyła i wycofała się do siebie, żeby jeszcze raz wszystko przemyśleć. Ostatnio bowiem sytuacja Flory uległa zmianie. Nadal pracowała w galerii, dzięki czemu odżyła. Okazało się, że obcowanie na co dzień ze sztuką jest dla niej swoistą terapią. Do tego zaczęła sama malować. O jej dochodach trudno mówić, bo Flora jako „galernica”, jak ją z Basią nazywały, miała swoje podejście do wypłacanej jej gotówki. Przede wszystkim kupowała na raty pomniejsze dzieła znanych malarzy, czym zadziwiała właścicieli galerii. Resztę wydawała na farby, płótna i ramy. Malowała przepięknie. Jej kwiaty w wazonie kipiały kolorami i napawały optymizmem. Jeden z tych obrazów kupiła od niej Kasia do swojej sypialni, inny zawisł w salonie Basi. Kiedy zobaczyła je Kama, oświadczyła, że spróbują je sprzedać w galerii. Na próbę powiesiła tam dwa niewielkie obrazki, a kiedy okazało się, że cieszą się one zainteresowaniem, zabrała resztę.

To sprawiło, że Flora miała nareszcie prawdziwy dochód z pracy w galerii. Co prawda malarka nie miała nazwiska, chociaż kiedyś w muzyce było ono znane, jednak jej malunki przyciągały wzrok i miały spore wartości dekoracyjne.

– Zaczynam mieć wyrzuty sumienia, że zatrudniam cię do sprzedaży obrazów, powinnaś siedzieć w domu i malować – powiedziała kiedyś Kama.

– A tam, siedzieć w domu. Malować mogę wszędzie.

– To maluj w galerii.

– Tak publicznie? Nie wiem, czy potrafię.

– Nie musisz tego robić przy ludziach, ale mogłoby to wzbudzić ich zainteresowanie twoimi pracami. Spróbuj, co ci szkodzi.

Tak to się zaczęło. Upłynęło od tego czasu kilka miesięcy. Malująca „galernica” budziła zainteresowanie klientów i malarzy. Wpadali do niej na pogawędkę, zaprzyjaźniali się, a najważniejsze było to, że zmienił się nastrój Flory. Uwierzyła w sens swego istnienia.

No tak – zastanawiała się Kasia – wyprowadzając się do Skolimowa,



musiałaby z tego wszystkiego zrezygnować, jak również z towarzystwa Basi. A jak Basia teraz na to zareaguje? Zwłaszcza że od pół roku w wyniku choroby kręgosłupa jest na wózku, a jej córka ze swoim amantem i dziećmi wyjechała do Nowego Jorku. To Flora stała się Basi opiekunką, pocieszycielką i ostoją. Co prawda Basia jest niezwykle dzielna, porusza się na swoim wózku niezwykle sprawnie, potrafi siedząc na nim ugotować obiad, ale wszystko to jest na skraju ryzyka, bo przecież może czegoś nie dosięgnąć, wylać coś na siebie i strach pomyśleć, co jeszcze mogłoby ją spotkać, bo o nieszczęście w takiej sytuacji nietrudno.

Co trzy dni, jeśli pogoda dopisywała, dozorca razem z Maćkiem znosili ją z wózkiem na dół, a potem z Florą czy Kasią lub obiema naraz udawała się na spacer do parku. To też bez Flory byłoby trudniejsze.

– Beata alarmuje, że trzeba matce załatwić profesjonalną pomoc na stałe, bo nie można opieką nad nią obciążać przyjaciół, którzy mają i swoje krzyże – poinformowała Kasia swojego męża.

– Słusznie myśli – zauważył Maciek. – Tylko czemu nie przyjedzie i sama tego nie załatwi?

– No właśnie, chyba teraz będzie musiała. Oprócz niej Basia nie ma przecież nikogo bliskiego.

– Ma przyrodnie rodzeństwo. Gdyby nawiązała z nimi kontakt, może by jej pomogli. Z jakiego powodu się od nich odcina?

– Nie ma serca burzyć ich spokoju.

– Cała Basia, ona ciągle ma jakieś skrupuły.

– Albo może też boi się, by nie zburzyli jej spokoju, na przykład odrzucając ją.

– A dlaczego mieliby tak postąpić?

– Nie wiem. Ludzie są różni i różne są motywy ich działania.

– Jak nie wiadomo, o co chodzi, to przeważnie chodzi o pieniądze – skwitował Maciek trywialnym porzekadłem.

– Może masz rację. Kiedyś Basia powiedziała mi coś takiego, że oni są dość zamożni i mogą się bać, że ona czegoś od nich zechce.

– A nie należy się jej? Przecież Basi ojciec nigdy jej w niczym nie pomógł.

– To jest bardziej skomplikowane, niż myślisz.

– Te wasze babskie spekulacje! Fakty przecież mówią same za siebie.

– Fakty w czasie wojny mają wielorakie uzasadnienie, bo wtedy nic nie jest proste i oczywiste.

– Byłaś u mamy?

– Dzisiaj? Jeszcze nie.

– Przepraszam, ale zapomniałam ci powiedzieć, że dzwoniła około jedenastej, chciała, żebyś do niej wpadła.

– I dopiero teraz mi to mówisz?

– Jakoś wypadło mi z pamięci.

– Biegnę do niej, wiesz przecież, że ostatnio nie za dobrze się czuje.

– Wszyscy starzy ludzie teraz nie za dobrze się czują, nawet sam papież. Mamy przełom wiosenny.

– Ach te wiosny i jesienie, zamiast się nimi zachwycać, ja się ich boję – powiedziała Kasia zakładając płaszcz. – Pa! Biegnę do mamy.

W niecałe pięć minut była pod jej drzwiami. Chwała Bogu, że mieszka tak blisko – pomyślała. Ostatnio coraz bardziej zaczęła to doceniać. Otworzyła drzwi własnym kluczem.

Zofia siedziała w swoim obłożonym poduszkami fotelu przy stole, bez żadnej (co dziwne) robótki, za to z baterią fiolek z lekami. A więc potrzebowała pomocy, a Maciek zapomniał jej powiedzieć, że dzwoniła.

Mógł przecież zadzwonić, kiedy jechała do Ministerstwa – pomyślała z wyrzutem Kasia.

– Co się dzieje? – spytała matkę wchodząc.

– Teraz już nic, ale wcześniej serce tak mi waliło i bolało, bałam się poruszyć.

– Brałaś jakieś lekarstwa?

– Nitroglicerynę pod język. Pomogła mi.

– Dzwonię po lekarza.

Niedawno matka przeleżała kilka dni w szpitalu przy Hożej, gdzie wyrównano jej ciśnienie i ustabilizowano pracę serca. Spodobał się jej lekarz prowadzący, do którego teraz czasem chodziły. Kasia wybrała więc jego numer.

– Witam, co tam się dzieje pani Kasiu?

– Panie doktorze, mama miała bóle w klatce piersiowej. Nitrogliceryna jej pomogła, ale jest wystraszona. Czy mógłby pan do niej przyjechać?

– Dziś nie mogę. Ale proponuję coś innego. Proszę przywieźć mamę na ostry dyżur szpitala przy Hożej, jestem tu teraz. Zrobimy EKG i inne badania.

– Dobrze. Niedługo będziemy.

Kasia poszukała odpowiednich części garderoby, podała je Zofii i

powiedziała:

– Pomogę ci się ubrać i jedziemy do doktora Gowińskiego, akurat ma dyżur. Jest okazja, żeby cię zbadał. Musimy sprawdzić, co z twoim sercem.

– Oj, Kasiu, jaka ty jesteś, nie przesadzaj.

– Och, mamuś! Chyba nie chcesz, żeby takie bóle się powtarzały?

– Dostarczam ci samych kłopotów.

– Chyba tylko takim gadaniem. Ubieraj się, proszę. Pomóc ci?

– Najwyżej z włożeniem butów, z resztą sobie poradzę.

Podczas gdy Zofia się ubierała, jej córka przezornie spakowała przybory do mycia, szczoteczkę do zębów, koszulę nocną i inne drobiazgi, na wypadek zatrzymania jej w szpitalu. I miała rację, bo po zrobieniu elektrokardiogramu lekarz powiedział:

– Widzę lekkie zaburzenia rytmu. Najchętniej zatrzymałbym panią Zofię przez kilka dni w szpitalu. Zrobilibyśmy Holtera i echo serca. W końcu jest to dolegliwość, która się powtarza, nie można jej lekceważyć. Zwłaszcza że jeden, dość ciężki zawał pani Zofia już przeszła.

– Mamie grozi kolejny zawał? – zmartwiła się Kasia.

– Nie mówię, że grozi, ale że potrzebne są badania profilaktyczne.

– Oczywiście.

– Ale chyba wyjdę stąd przed Wielkanocą? – zapytała Zofia.

– Myślę, że tak.

– No dobrze, ale ja nic ze sobą nie wzięłam, nie jestem przygotowana.

– Jesteś, mamuś. Spakowałam wszystko na wszelki wypadek.

– No widzi pani, pani Zofio, ma pani przewidującą córkę.

– Wobec tego nie mam już wyjścia, muszę zostać.

Kiedy Kasia wróciła ze szpitala, zobaczyła, że Maciek siedzi przy telewizorze i ogląda reportaż o stanie zdrowia papieża Jana Pawła II, który po osiemnastu dniach opuścił klinikę Gemelli. Naszego Papieża kochali wszyscy, ale Maciek został jego prawdziwym wyznawcą. Przede wszystkim zaczął regularnie chodzić do kościoła i stał się gorliwym katolikiem. Kolekcjonował wszystko, co miało związek z Karolem Wojtyłą, a więc jego fotografie, artykuły o nim, książki, jego wiersze, wypowiedzi. Miał też zbiór taśm wideo z pielgrzymek Jana Pawła II, a także figurki, znaczki z jego wizerunkiem i zdjęcia jego pomników. Niegdyś duży pokój Maćka z powodu tych zbiorów zrobił się jakby mniejszy, tym bardziej że była w nim druga jego kolekcja: rajdowych trofeów, nagród i odznaczeń. Jednym słowem, mąż

Kasi mieszkał w muzeum. Trzeba przyznać, że utrzymywał w tym wszystkim porządek, każda rzecz leżała na swoim miejscu. Inna sprawa, że niektóre z tych eksponatów były niemiłosiernie zakurzone.

– Mama została w szpitalu – powiedziała głośno Kasia, odrywając Maćka od telewizora.

– To dlatego nie ma dziś obiadu?

– Właśnie, przepraszam, ale chyba nie siedzisz głodny? Mogłeś sobie coś zrobić.

– Zjadłem jajecznicę na kielbasie. A co jest mamie?

– Nieprawidłowości w pracy serca. Doktor Gowiński chce jej zrobić kilka badań.

– To co, nie pojedziemy na święta do Leśnego Domu?

– Jeszcze nie wiem.

\* \* \*

Zofia przebadana i zaopatrzona w recepty na nowe leki wyszła ze szpitala w Wielki Czwartek. Troskliwa córka upewniła się u lekarza, że podróż samochodem do Leśnego Domu nie może jej w żaden sposób zaszkodzić, a świeże powietrze dobrze jej robi.

– A zatem tym razem skończyło się tylko na strachu – westchnęła Kasia z ulgą.

Jednak bała się o matkę coraz bardziej. Bernadette ciągle podsuwała jej propozycje pracy, a ona uparcie odmawiała, chociaż w kraju pracowała coraz mniej. Miała jeszcze znajomych menadżerów z dawnych lat, miała swoje programy, które sama pisała i prowadziła, ale stopniowo było ich coraz mniej. Nowe agencje zatrudniały teraz młodych pracowników, którzy obracali się wśród młodych ludzi, zresztą nie bez racji. To prawda, że weterani nie tracili mocy twórczej, ale w obecnych czasach estrada jest domeną młodości.

Toteż ambitne propozycje Berni bardzo by się teraz jej przydały. Mogłaby z nich skorzystać, gdyby nie mama. Nigdy by się do strachu o nią nie przyznała, ale złapała się na tym, że ostatnio ten strach staje się jej obsesją. Obserwowała matkę, widziała, że stopniowo traci siły. Wszyscy Zofię komplementowali – jej wygląd, samodzielność, sprawność umysłową, jednak Kasia, choć rada z tych pochwał, wciąż się o nią bała. Kiedy usłyszała w

pobliżu sygnał karetki pogotowia, natychmiast telefonowała lub biegła do matki, żeby sprawdzić, czy nie jedzie do niej.

– Dlaczego tak panikujesz? – dziwił się Maciek. – Wszyscy mi mówią, że mama jest w bardzo dobrej formie. Ciesz się z tego. Te twoje czarne myśli mogą ściągnąć nieszczęście.

No tak – pomyślała – nie mogę artykułować swoich obaw, bo przecież teraz jest moda na myślenie pozytywne...

A zatem tradycyjnie wyjadą na najbliższe święta na Mazury. W końcu marca poza słońcem jest niewiele zwiastunów wiosny na jeziorach, jednak dni są długie i ptaki śpiewają jak szalone.

Zanim wyjechali, Kasia uporała się z przekonaniem Flory do Skolimowa. Ku jej zdumieniu nie było to trudne. Może dlatego, że mogły porozmawiać o tym w cztery oczy, bez Basi, dla której ten temat nie byłby przyjemny, bo wysoko sobie ceniła towarzystwo Flory.

Kasia zamierzała pójść do nich i porozmawiać z obiema naraz, ale zaaranżowała to inaczej. Wracając ze szpitala od matki spotkała Florę odpoczywającą przed wejściem do domu, żeby zataszczyć po schodach na drugie piętro wózek z zakupami.

– Witaj Floro! – powiedziała do niej radośnie. – Chodźmy, pomogę ci.

– Witaj! Właśnie zastanawiałam się, czy dam radę wnieść ten wózek.

– Ależ to ciężkie! Ty zawsze sama robisz zakupy? Głupio pytam. Przecież wiadomo, że spadło to tylko na ciebie.

– Ano spadło. Szczerze mówiąc, przestaję dawać radę. Pesel najwyraźniej upomina się o swoje prawa.

– Wstąpisz do mnie na chwilę? Chcę ci o czymś powiedzieć. Napijemy się herbaty i pogadamy, chyba że śpieszysz się do Basi.

– Owszem, trochę tak, ale nie za bardzo, bo przeszkodzę jej w pisaniu e-maila do córki. Beata chce ją zabrać do Stanów. Podejrzewam, że liczy na wyniki operacji. Poza tym wnuki tęsknią za babcią, a ona za nimi. Ale broni się przed wyjazdem. Nie wiem, czemu.

– Dostałaś list z Ministerstwa Kultury?

– Jeszcze nie.

– Wobec tego lada chwila dostaniesz. Dzwoniła do mnie sekretarka Ministra, że podpisał wreszcie zgodę na dofinansowanie twego pobytu w Domu Artysty w Skolimowie.

– Naprawdę? Myślałam, że to się nie uda.

– Kto miałby je dostać, jeśli nie ty. Wszyscy pamiętają, jak publiczność cię kochała.

– To było tak dawno...

– Nie przesadzaj. Ile, dziesięć, dwadzieścia lat temu?

– Właśnie. Byłem wtedy inną osobą.

– Nie wracajmy teraz do tego. Powinnaś odpocząć, nie uważasz?

– Może powinnam, ale przecież nie zostawię Basi samej sobie.

– Basię stać na to, żeby zaangażować opiekunkę silną i młodą, a nie rówieśnicę.

– Jestem starsza od niej o sześć lat.

– Nie wierzę... to ty masz osiemdziesiąt osiem lat? Zupełnie na tyle nie wyglądasz. Tym bardziej powinnaś więcej odpoczywać!

– Wiem. Ale nie chciałam, żeby odniosła wrażenie, iż jestem niewdzięczna. Ona okazała mi tyle serca, że nie mam sumienia...

– Ona nie dlatego cię przygarnęła, żebyś jej świadczyła usługi, tylko żeby ci pomóc.

– No więc ja teraz muszę pomagać jej. Chociaż do niektórych rzeczy już się nie nadaję. Na przykład do przenoszenia jej z łóżka na wózek i odwrotnie. Zresztą ona sama mówi, że nie powinnam tego robić. Wie, że musi mieć profesjonalną opiekunkę, ale chyba nie potrafi tego załatwić. Wiesz, Kasiu, to nagłe kalectwo bardzo odbija się na jej psychice.

– To zrozumiałe. Teraz i ja czuję się winna. Powinnam była pomóc jej wcześniej.

– Ty? Masz mamę, która potrzebuje opieki, męża, rodzinę. Przecież kiedy możesz, pomagasz jej, a mnie... Gdzie bym teraz była bez twojej interwencji?

– Dobrze, dobrze. Nie o tym teraz mowa. Musisz przeprowadzić się do Skolimowa, bo taka szansa może się nie powtórzyć. Basia to zrozumie i przykłaśnie temu. Zobaczysz.

– Mam jej sama o tym powiedzieć?

– Nie. Ja jej to powiem. Pójdę z tobą do Basi.

Basię zastały zapłakaną.

– Co się stało? – wykrzyknęły obie.

– Nic złego, Beata się uparła, żeby mnie zabrać do siebie. Jej znajoma leci do Stanów za dwa tygodnie i ona chce, żebym leciała z nią, bo obiecała się mną zaopiekować. Umówiła mnie z jakimś lekarzem. Podobno sława.

– To chyba nie powód do płaczu? – zdziwiła się Kasia. – Więc dlaczego te łzy?

– Bo mam taką dobrą córkę, bo tęsknię za nią i wnukami, bo będąc globtroterką nagle boję się gdzieś lecieć jako podopieczna na wózku... Floro, ty się nie martw. Jeśli stanę na nogi, wrócę. Możesz tu mieszkać, ile chcesz.

– To nie będzie konieczne, bo...

– Bo Ministerstwo w uznaniu zasług Flory dla kultury przyznało jej dopłatę do pobytu w Domu Artysty w Skolimowie.

– To świetnie! – ucieszyła się Basia. – Będziesz tylko musiała zrezygnować z dyżurów w Galerii, ale malować możesz w Skolimowie, mając na to więcej czasu niż teraz.

– O tak! – przyznała Kasia. – Będziesz świetnie zaopiekowana. Ci, co tam pracują, to bardzo serdeczni ludzie. Dom jest elegancki i ma prześliczny park. Do tego towarzystwo jak za dawnych dobrych czasów. Sami swoi.

– A współwłaściciel galerii nazywa to miejsce „elegancką umieralnią”.

– E tam! Ludzie umierają wszędzie.

Kasia wróciła do siebie zadowolona, że sprawy ułożyły się tak, iż nie musiała obu kobiet przekonywać do zmian. Życie zdecydowało za nie. Z drugiej strony jednak smutno jej było, że przyjaciółka znajdzie się dalej od niej. W tej domenie nie ma najwyraźniej szczęścia. Powróciła myślą do swoich przyjaciół i tego, jak one się kończyły. Awa i Hania nie żyją, Berni jest daleko, Basia wyjeżdża do Nowego Jorku – czy wróci? Ale Florę w Skolimowie zawsze będzie mogła odwiedzić. Zresztą sama ją tam zawiezie.

## *Rozdział dziewiąty*

Wszystko poszło nie tak, jak sobie zaplanowali. W Wielką Sobotę, kiedy mieli wyjechać do Leśnego Domu, o świcie Zofia zatelefonowała do córki i powiedziała zbolonym głosem:

- Kasiu, przepraszam, jeśli cię obudziłam, ale nie mogę już wytrzymać.
- Co się dzieje, mamuś? Źle się czujesz?
- Mam okropne bóle w dole brzucha, znowu dokucza mi ta przepuklina.
- O Boże! Przecież dzisiaj mieliśmy jechać.
- Nie mogłam się spakować, już od wieczora tak cierpię.
- Nie mogłaś zadzwonić wcześniej?
- Kiedy? W nocy?
- No pewnie. Odłóż słuchawkę, zaraz u ciebie będę.

Kasia ubrała się szybko, złapała telefon i zajrzała do Maćka, ale ujrzawszy, że śpi jak suseł, machnęła ręką i wyszła cichutko, zamykając drzwi na dolny klucz. Jeśli to przepuklina – myślała, biegnąc do matki – zaraz jej pomogę, gorzej jeśli to coś innego.

Przed drzwiami któryś raz błogosławiła to, że tak blisko siebie mieszkają. W niecałe trzy minuty była na miejscu.

Matka leżała na łóżku i wiła się z bólu. Była blada i przestraszona.

- Co się dzieje? Co cię boli? – zapytała ją Kasia.
- Sama już nie wiem...
- Pokaż, spróbuję ci rozmasować brzuch. Brałaś, mamuś, coś przeciwbólowego?
- Nie.
- I męczysz się tak od wieczora?
- Tak... już nie mogę wytrzymać...

Kasia poszła po koszyczek z lekami, znalazła tam lek rozkurczowy, zaaplikowała go matce i zapytała:

- Nic a nic nie pomogło ci masowanie?
- Może troszeczkę, przez chwilę, ale...
- Dzwonię do doktora Gowińskiego.

Odebrał telefon bardzo szybko i po wysłuchaniu jej, powiedział:



– Pani Kasiu, proszę przywieźć mamę na pogotowie, jestem na dyżurze, jakoś jej pomożemy. A może mam przysłać karetkę?

– Wolałabym. Mama jest bardzo obolała.

– Szkoda, że wypuściliśmy ją ze szpitala, ale kto to mógł przewidzieć...

Karetka przyjechała po trzydziestu pięciu minutach. Na szczęście bóle zostały trochę złagodzone tabletką No-Spa. Lekarz, który Zofię badał, kręcił głową i zdecydował wreszcie, że jednak zabiorą chorą do szpitala, bo najrozsądniejszym wyjściem z kłopotliwej sytuacji będzie zoperowanie przepukliny.

– Panie doktorze – powiedziała na to Kasia – mam prośbę. Czy moglibyście zawieźć mamę na Hożę? Dopiero stamtąd wyszła, znają tam jej kondycję.

– O to może być pani spokojna, nie ma innej opcji. Karetka jest przysłana z Hożej i tam jest ostry dyżur.

– Mogę pojechać razem z nią?

– Nie ma miejsca. Musi pani dotrzeć do szpitala inaczej.

– Nie ma sprawy – odparła Kasia i zaczęła się krzątać, żeby na wszelki wypadek skompletować chorej „wyprawkę” do szpitala.

Kiedy karetką z Zofią odjechała, Kasia biegiem wróciła do swego domu, żeby wziąć klucze do samochodu i pojechać za nimi. Maciek pogwizdując już golił się w łazience.

– Gdzie się wybyłaś tak rano, przecież jedziemy.

– Nigdzie nie jedziemy, mamę zabrało pogotowie. Biorę samochód i jadę na Hożę.

– Pojadę z tobą, poczekaj.

– Nie mogę czekać, karetka już odjechała.

– Jestem gotowy. Tylko wytrę twarz.

– Pośpiesz się, bo mama będzie tam zagubiona.

– Na pewno szybko się nią zajmą i nie będzie musiała czekać w kolejce.

Jednak czekała. Posadzili ją na wózku i powiedzieli, po kim powinna się zgłosić do lekarza.

Maciek niecierpliwił się.

– Pojadę po benzynę.

– Rób, co chcesz, ale mnie nie poganiaj, bo nie mam na nic wpływu.

Ach te presje i nerwy przedwyjazdowe Maćka! Kiedy mu to minie? Gdy Zosia była mała, nie była w stanie znieść tej atmosfery i często przed

wyjazdami Kasia musiała biec z nią do lekarza. Jedynie Zofia była w stanie podejść do tego z humorem. Nie pokłócić się z Maćkiem w czasie jego *reisefieber* równa się mistrzostwu świata. A ona to potrafi. Po tym, co w życiu przeszła, zdawać by się mogło, że ma zszarpane nerwy i prawo do niecierpliwości, hysterii. A tymczasem jest oazą spokoju.

Kasia wiedziała, że jeśli zostawią matkę w szpitalu, Maciek będzie walczył o to, żeby jednak wyjechali. Już jak on się na coś nastawi, nie ma odwrotu. A życie takie posłuszne niczyjej woli nie jest. Uwielbia serwować ludziom niespodzianki, zwłaszcza te niemiłe.

Kolejka na pogotowiu okazała się znacznie krótsza, niż się spodziewali. Lekarze przyjmowali w trzech gabinetach. Widocznie nie było też ciężkich przypadków, bo pacjenci zaopatrzeni w recepty opuszczali teren pogotowia.

Zofię jednak, z uwagi na jej wiek – miała prawie pięćdziesiąt pięć lat – i cierpienie, postanowiono zatrzymać w szpitalu. Co za pech, w Wielką Sobotę! Lekarz uprzedził Kasię, że może jeszcze dziś będą ją operować. Zwłaszcza że mają całkiem świeże jej badania, bo dwa dni temu opuściła klinikę.

Słyszając to Kasia zdenerwowała się. Gdyby bowiem operacja przebiegła dobrze, byłaby świetnym rozwiązaniem, ale czy ją przetrzyma po tych sensacjach sercowych, które dopiero co miała?

Obok słabego serca ta przepuklina stała się prawdziwą zmorą Kasi, ponieważ nie była w stanie upilnować matki, żeby czegoś nie dźwignęła, nie przemeblowała sama pokoju i przy tym na przykład nie przesunęła szafy. Taka z niej Zosia Samosia, chociaż wie, jak to się kończy.

Z Maćkiem rozmowa o rezygnacji z wyjazdu była zgodnie z przewidywaniami niełatwa. Dopiero Zosi juniorce udało się go do tego przekonać. Jeszcze raz się potwierdziło, że nie jej matka, a ona była kobietą jego życia.

Pokonany przez okoliczności Maciek pojechał autobusem do domu, zostawiając samochód Kasi. Wiedziała, że jeśli się zdrzemnie, jego niezadowolenie wyparuje. Jej mąż awanturnik nie potrafił długo żywić urazy.

Kasia pomogła matce zagospodarować się w szpitalu. Po zastrzyku Zofia czuła się lepiej. W pewnym momencie jej córkę wyproszono z sali, gdyż miało się tu odbyć konsylium lekarzy specjalistów w celu podjęcia decyzji dotyczącej operacji.

Ostatecznie postanowili od tego odstąpić. Zeszłotygodniowe sensacje

sercowe nie rokowały bowiem pomyślnego przebiegu zabiegu.

– I tak źle, i tak niedobrze – powiedział Kasia do doktora Gowińskiego.

– Ma pani rację. Może kiedyś, gdy pani Zofia będzie w dobrej kondycji, uda się to zrobić, ale teraz trzeba będzie zastosować środki zastępcze.

– A czy mama musi na święta pozostać w szpitalu?

– O tym jeszcze nie mówiliśmy. Wiem, że postanowiono zastosować specjalny pas, ale musiałyby pani kupić go w sklepie ze sprzętem ortopedycznym do południa, bo potem wszystkie sklepy będą zamknięte. Tu naprzeciwko jest taki sklep. Dam pani receptę, a potem naradzę się z kolegami, czy chorą zostawiamy, czy wypuszczamy.

– Zabiorę ją do swojego domu i będę bardzo czujna.

Udało się kupić odpowiedni pas i leki przepisane przez lekarzy. Zatem nic nie stało na przeszkodzie, by zabrać matkę do domu.

Kasia była z tego powodu szczęśliwa, bo już w jej głowie zakiełkował pomysł, jak zaaranżować te święta.

Na wypis i załatwienie formalności musiała czekać jeszcze kilka godzin, ale co to znaczyło w porównaniu z tym, że matka miałaby spędzić Wielkanoc w szpitalu.

Cały ten incydent ze zdrowiem Zofii trwał od rana aż do godziny piętnastej, ale warto było zadbać o to, żeby miała spokojne święta w rodzinnym gronie.

Kiedy wreszcie Kasia z mamą wróciły do domu, pogodzony z losem Maciek pomógł im wdrapać się z całym majdanem na górę.

Potem Kasia pojechała jeszcze do domu matki, żeby przywieźć rzeczy, które ta wypisała jej na kartce. Były to:

1. Babka świąteczna i mazurek, które Zofia upiekła, by je zabrać na wieś.
2. Jajka i farby do ich malowania.
3. Uwędzona przez nią szynka.
4. Sukienka na śniadanie świąteczne.
5. Eleganckie pantofelki.
6. Robótka, którą zostawiła przy stole.

7. Książka, którą zaczęła czytać, czyli: *Oddział chorych na raka Aleksandra Sołżenicyna*.

Wracając do domu Kasia wstąpiła do Basi i Flory, żeby powiadomić je o zmianie planów i zaprosić na śniadanie wielkanocne.

– Bardzo się martwiłam, że wyjeżdżam na święta, a wy tu zostajecie –

powiedziała. – W ten sposób zostałyby skrócone te ostatnie dni spędzone razem. Ale ułożyło się inaczej. Nie powiem „na szczęście”, bo kosztem choroby mamy.

– Wobec tego zabierzemy do ciebie wszystko, co przygotowałam – ucieszyła się Flora.

– Daj spokój, jeszcze wam się przyda – odpowiedziała na to Kasia. – Mnie wystarczy to, że będę mogła dłużej cieszyć się wami. Mój Boże, jak ja będę żyła bez was? Jesteście mi bliskie jak siostry.

– I *vice versa* – powiedziała Basia.

– Póki będę mogła, będę cię odwiedzać – zadeklarowała Flora.

– Ja ciebie również – zapewniła ją Kasia.

– A ja jeśli stanę na nogi, wrócę – obiecała Basia.

– Czego ci życzę z całego serca – wyraziła nadzieję Kasia.

Ciągnące się do popołudnia śniadanie wielkanocne w licznym gronie można by uznać za wyjątkowo udane, gdyby nie incydent z Papieżem, który wszystkich przygnębił. O godzinie dwunastej Kasia i Maciek uciszyli dzieci, zdyscyplinowali psy, które z nimi szalały, i włączyli telewizor na papieskie błogosławieństwo *Urbi Et Orbi*. Chcieli w tym uczestniczyć, tym bardziej że Jan Paweł II wciąż nie czuł się dobrze. Ucieszyli się, kiedy przywitany głośnymi brawami, pokazał się w oknie swego watykańskiego lokum. Gestem dłoni pozdrowił zebranych na placu, uciszył ich owacją i chciał przemówić.

Otóż to: chciał, ale mimo że otwierał usta, głos w nich utknął. Wydostał się z nich tylko króciutki chrapliwy bełkot i papież zamilkł. Zamilkły też zszokowane wydarzeniem tłumy wiernych z całego świata zgromadzone na Placu Świętego Marka. Po minucie kompletnej ciszy ktoś zainicjował brawa i przy ich gorącym brzmieniu nasz Papież z nieszczęśliwą miną wycofał się w głąb swojego pokoju.

Tłum wiwatował jeszcze długo, ale przemówienie nie nastąpiło. Nic dziwnego, że nastrój przy stole uległ zmianie i rozmowa toczyła się już tylko wokół tego zdarzenia.

Od tej pory komunikaty o zdrowiu naszego Papieża stały się częścią codziennego programu radia i telewizji i gromadziły miliony słuchaczy i widzów. Niestety nie napawały otuchą.

Aż drugiego kwietnia o godzinie dwudziestej pierwszej trzydzieści siedem rozległo się bicie dzwonów i wiadomość, że po dwudziestu siedmiu latach

pontyfikatu odszedł z tego świata Papież Jan Paweł II. Tłumy zebrane na Placu Świętego Marka w Watykanie skandowały głośno: „*Santo subito!*”, czyli „Święty od zaraz”. A nas, Polaków, ogarnął bezmierny smutek.

We wszystkich oknach zapalano świece, ludzie płakali, czuli potrzebę bycia razem. Nikt nie zasnął tej nocy wcześniej. Zaczęło się wielkie modlitewne czuwanie połączone z głęboką refleksją nad tym, co się stało. Bo jeśli umiera Ojciec Święty, to czym my jesteśmy? Jakimś marnym puchem.

Tak rozmyślała Kasia, zanim nie pokonał jej Morfeusz. Było to nad ranem.

Obudził ją piękny sen o tym, jak Papież szedł do nieba. Zanim wstała z łóżka, chwyciła za pióro i zapisała go wierszem w najmniejszych szczegółach.

Kiedy skończyła pisać, poszła do matki dowiedzieć się, jak się czuje. Było nieźle, ale smutna, wymizerowana twarz nie wyglądała pocieszająco.

– No i co teraz będzie? – spytała. – Czy to możliwe, żeby ktoś taki tak po prostu umarł?

– Też zadawałam sobie to pytanie. Ale zdrzemnąłam się na chwilę i oto jaki miałam sen – powiedziała Kasia pokazując kartkę.

– Zapisałaś go?

– Nawet zrymowałam. Poczytaj sobie, a ja zrobię śniadanie.

Matka ciągle u niej mieszkała, chociaż wyrwała się już do swojego domu. Postanowiono przetrzymać ją tu jak najdłużej. Żeby jednak nie było ciągle o tym mowy, Kasia zapowiedziała, że Zofia wróci do siebie następnego dnia po pogrzebie Papieża, który miał się odbyć ósmego kwietnia.

Mały Michałek złapał w przedszkolu katar, Zosia musiała więc siedzieć z nim w domu. Poprosiła matkę, żeby w dniu pogrzebu Jana Pawła II wcześniej odebrała Oliwkę ze szkoły i zabrała ją z sobą na Plac Piłsudskiego, gdzie mają się zebrać warszawiacy, żeby razem oglądać transmisję z pogrzebu i razem się modlić.

To tam przed laty padły słynne słowa Jana Pawła II: „Nie lękajcie się!” Tłumy, które zgromadziły się na placu, były podobne tym, jakie zgromadził wokół kościoła Świętego Stanisława Kostki pogrzeb zamordowanego księdza Jerzego Popiełuszki. Ogromne telebimy wyświetlały teraz to, co działo się na Placu Świętego Marka w Watykanie. Ludzie byli cisi i życzliwie zjednoczeni świadomością wielkiej straty. Solidarni i jednomyślni jak rzadko w naszym społeczeństwie. Wracając z Oliwką do domu Kasia i Maciek zastanawiali się, na jak długo nam tej zgody wystarczy.

Następne dni upływały Kasi w podobnym nastroju. Seria pożegnań. Z Basią, która odlatywała do Nowego Jorku, Florą, którą odwoziła do Skolimowa, a także minipożegnanie z matką, bo ta wracała do siebie. Pomimo tego, że była bardzo blisko, lepiej było mieć ją przy sobie i w każdej chwili wiedzieć, jak się czuje.

## **Rozdział dziesiąty**

– Ależ ten czas goni! Bez porównania szybciej niż dawniej – westchnęła Kasia.

– Zrozumiesz to wtedy, gdy się zestarzejesz – powiedziała Zofia.

– Rozczulasz mnie, mamó, przecież już dawno nie jestem młoda...

– Jesteś, jesteś. Gdy będziesz w moim wieku, zobaczysz, jak to jest. Z niczym nie można nadążyć. Za młodu ciekawi nas, co przyniesie jutro, nie możemy się tego jutra doczekać. Potem czas umyka i coraz trudniej go dogonić. Zresztą wszystko teraz robię wolniej, wolniej chodzę, mówię, myślę...

– Ty, mamuś? Mimo swoich dziewięćdziesięciu pięciu lat, ani wolniej mówisz, ani wolniej myślisz. Jesteś w tym lepsza niż niejedna młódka.

– E tam! Ruszam się jak w smole.

– Nie narzekaj. Popatrz, pliszki przyszły, trzeba im nasypać ziarna!

Tak rozmawiały siedząc na tarasie Leśnego Domu w ciepły letni poranek.

– A wiesz, czemu poruszyłam ten temat? – ciągnęła Kasia. – Bo wydaje mi się, że namawiając Berni na przyjazd tutaj, dopiero wczoraj uzyskałam jej zgodę, a przecież już jutro pojedziemy po nią do Rozogów. Od jej zgody upłynęły dwa miesiące! Nie do wiary.

Bernadette, która przez długi czas namawiała Kasię na przyjazd do Paryża, oferując jej kontrakty, przed którymi ta się broniła tym, że matka często choruje i woli być na miejscu, w końcu zdecydowała się przyjechać na urlop do „polskiego rajku”, jak nazwała okolice Leśnego Domu opuszczając go za pierwszym razem. Cały sierpień Maciek już rozplanował pod kątem wizyty Berni. Plan był tak bogaty, że Kasia bała się, czy uda się go zrealizować.

– Moja w tym głowa – powiedział na to jej mąż.

Tak więc Berni miała wylądować wieczorem w Warszawie, nie mając pojęcia, co ją czeka. Nie wiadomo było, czy zechce wypoczywać aż tak aktywnie. Może wolałaby odpoczywać na plaży? Bojąc się, jak przyjmie rozkład zajęć czy też raczej plan podróży opracowany przez Maćka, Kasia poprosiła Zosię, która miała zabrać ją z lotniska na nocleg w swoim domu, żeby opowiedziała jej o planach ojca.

Zapoznawszy się z tymi planami, Bernadette powiedziała:

– To bardzo miłe ze strony twojego papy. Naturalnie, że chcę zwiedzić okolice tej krainy jezior. To urocza część waszego kraju.

Kiedy córka zadzwoniła, aby przekazać te słowa, Kasia pomyślała: A więc dobrze. Zosia rano zawiezie ją do autobusu, poprosi kierowcę, żeby się nią zaopiekował, a ja odbiorę ją i odbędzie się otwarcie „miesiąca turystycznego”.

– A co babcia na to? – spytała jeszcze Zosia.

– Twoja babcia na to jak na lato. Najwyraźniej, choć metryka temu przeczy, jest młodsza ode mnie.

– Obie jesteście niezłe. Przekazuję słuchawkę Bernadette.

– *Salut ma chère, tu es bien arrivée?*

– *Très bien. Ta fille elle est charmante aussi que ses enfants. Son français est très correct.*

– *Merci, ma chère. Alors à demain! Je suis heureuse que je te reverrai.*

– *À demain?*

W sobotę Kasia z matką pojedą po Berni. W południe powinna być na miejscu, a one przedtem skręcają w stronę Szczytna, na targ staroci. Mam nadzieję, że malowana komódka kurpiowska jeszcze tam stoi – pomyślała Kasia z niepokojem.

Była! Kupiły! Postawią ją na dole pod lustrem. Będzie pięknie.

Obie uznały, że Berni wygląda świetnie. Agencja księżnej d’Orléans ma tu swoje zasługi. Aktorzy pilnują, żeby działała. Berni zaś czuje się za nich odpowiedzialna. Uważa, że nie ma prawa marnować ich potencjału i ciągle szykuje nowe programy. Jej ekipa zyskała już sobie niezłą renomę, więc łatwo udaje się sprzedać jej występy.

Kasia zdradziła koleżance pomysł, na jaki wpadła czytając biografię znanej gwiazdy Hollywood polskiego pochodzenia. Tłumaczyła aktualnie jej filmowe piosenki, bo nigdy nie śpiewała po polsku. Początkowo zamierzała zaprezentować tylko same piosenki, ale ktoś jej podszeptał, żeby zrobiła monodram o życiu gwiazdy przeplatany piosenkami.

– Wspaniale! – ucieszyła się Berni. – I od razu tłumacz na francuski. Zorganizuję ci trasę.

– Najpierw pogram tu, na miejscu.

– Nie wiem, czemu tak bronisz się przed wyjazdem. Jeśli boisz się o mamę, możesz ją zabrać z sobą.



– Są jeszcze wnuki, z którymi też trudno mi się rozstać. No i Maciek. Nie uważasz, że on wygląda mizernie?

– Zawsze był szczupły. Zresztą jest tak witalny, że nie masz powodu martwić się o niego.

– Ale ja czuję, że coś nie do końca z nim dobrze. Znam go i...

– Kiedy komuś coś dolega, nie tryska energią tak, jak on.

– Może masz rację. Ale wiesz, każdy sądzi według siebie. Ponieważ sama nie mam już tej sprawności i energii, jaką miałam, gdy byłam młodsza, boję się o bliskich. To naturalne.

– Oczywiście – przyznała Berni – ale ty chyba w ogóle jesteś nadopiekuńcza.

– Tak sądzisz? Ale przestańmy analizować, jaka jestem. Powiedz mi, co ty na ten cały plan Maćka, jak myślisz, dasz radę? Jutro mamy jechać na mszę do Świętej Lipki. Byłaś tam przecież.

– To co? Z przyjemnością pojedę tam raz jeszcze, to niezwykle miejsce.

– Chodzi mi o to, że może ten plan jest za bogaty, właściwie prawie codziennie będziemy w podróży. Co to za wypoczynek? Do Mikołajek popłyniemy statkiem. Zwiedzimy Park Dzikich Zwierząt w Kadzidłowie, kwaterę Hitlera i tak dalej, i tak dalej.

– No i bardzo dobrze – cieszyła się Berni.

– Ja też tak uważam – wtrąciła się Zofia.

Kasia pomyślała, że matka jest niezwykła. Chętna do podróży, zawsze gotowa wziąć udział we wszystkim, co wymyślą.

W związku z tak szczegółowo rozpracowanym przez Maćka planem atrakcji turystycznych pobyt Berni w krainie jezior minął jak z bicza trzasnął. Korzystając z obecności Peli w Leśnym Domu, Kasia postanowiła odwiedzić Berni z Maćkiem do Warszawy, a matkę zostawić pod jej opieką. Maciek tak czy owak musiał jechać, bo miał jakieś zebranie czy coś takiego.

W przeddzień odlotu swego gościa zjedli jeszcze kolację na Starym Mieście i ucieli sobie spacer stamtąd aż do końca Nowego Światu. Berni była zdziwiona, jak bardzo od jej ostatniego przyjazdu tutaj zmieniła się Warszawa. Nie różni się teraz od innych metropolii europejskich.

– Przecież jesteśmy już członkami Unii Europejskiej, to czemu mamy się od was różnić? – zauważyła Kasia.

– Jak byłam tu poprzednio, mówiłam ci, że teraz wszystko się u was

zmieni, ale nie sądziłam, że tak szybko. Cieszę się, że tak dobrze tu się dzieje.

Nazajutrz rano Berni miała odlecieć.

Kasia nie mogła razem z Maćkiem odwieźć jej na lotnisko, bo on był umówiony na jakieś ważne spotkanie.

– Właściwie – powiedział wieczorem – powinienem tam pojechać samochodem, bo to trudne rozmowy i mogą potrwać. Będę potem zmęczony, ale dobrze – ja wezmę taksówkę, a ty weź samochód i odwieź ją.

Maciek wychodził z domu o ósmej rano i jak się Kasi zdawało, był zdenerwowany. Zupełnie jakby bał się tego spotkania. Nie chciał jeść śniadania i w ogóle zachowywał się dziwnie. Ciekawe, co to za sprawa? – pomyślała. – I czemu on przywiązuje do niego aż taką wagę?

Samolot Berni odlatywał o dziesiątej trzydzieści. Pojechały na lotnisko o dziewiątej, żeby być tam przynajmniej godzinę przed odlotem. Zdążyły jeszcze wypić kawę i musiały się zegnać.

– Czuję niedosyt – powiedziała Kasia. – Przez te ciągłe wycieczki nie zdążyłam się tobą nacieszyć i nagadać się tak, jak to sobie obiecywałam.

– Fakt, że ten miesiąc minął niezwykle szybko. Ale wszystko, co dobre, szybko się kończy. Pamiętaj, musisz do mnie przyjechać, będę nalegać.

– Zobaczymy, co się da zrobić, ale na razie nie mogę nic obiecywać.

Odprawa bagażu, potem przejście do kontroli, choć starały się to odwlec odbyło się o wiele za szybko. Jak zwykle uroniły obie po kilka łez przy pożegnaniu.

Smutna i osamotniona Kasia poszła na parking i pojechała do domu. Idąc z garażu zrobiła zakupy i postanowiła przygotować obiad. Nie wiedziała, kiedy Maciek wróci z tego swojego tajemniczego spotkania, którym tak się denerwował. Postanowiła więc trochę posprzątać i zajrzała do jego pokoju, gdyż zauważyła, że zostawił bałagan na biurku. Takie to do niego niepodobne – pomyślała. – Musiał naprawdę denerwować się tym spotkaniem. Czego ono dotyczy? Chyba nie jego pracy w redakcji.

Na biurku Maćka leżały teczki z napisami: „Rachunki”, „Umowy”, „Zdrowie” i tym podobne. Zazwyczaj jedna na drugiej, w równiutkim stosiku. Tym razem w nieładzie, jakby w ostatniej chwili nerwowo czegoś szukał. Postanowiła mu to uładzić. Teczka z napisem „Zdrowie” wydała się jej podejrzenie gruba, wystawały z niej jakieś papiery, wyglądała tak, jakby przed wyjściem ją przetrząsał.

Co on tam przechowuje? – zastanawiała się Kasia. – Stare recepty? Skierowania? Doprawdy śmieszne! Maciek, okaz zdrowia, na jego punkcie ma lekkiego bzika. Ponieważ jakikolwiek ból rzadko go nęka, przeżywa go o wiele bardziej niż ktokolwiek inny, kiedy zaboli go głowa albo ząb. Leży twarzą do ściany, tyłem do świata, jest przestraszony i milczący. Nikomu w domu nie wolno wtedy głośno mówić, śmiać się czy żartować. Wyłącza się radio i telewizor. Ponadto jest wtedy zły na wszystkich domowników, toleruje tylko psa, który zgodnie z jego życzeniem posłusznie przytula się do jego nóg. Przesypiają się razem godzinkę lub dwie i wstaje wesoły jak szczygieł, życzliwy światu i gotów do czynu. Do rany przyłoż. A potem dalej działa i szefuje. I ten oto okaz zdrowia ma pękatą teczkę pełną jego udokumentowania. Uśmiechając się pod nosem Kasia obróciła kilkakrotnie rzeczoną teczkę, żeby wyrównać wystające z niej papiery. Nie udało się to, więc musiała ją otworzyć. Bałagan robił gruby plik pospinanych papierów. Pewnie by je zdyscyplinowała nie czytając, gdyby nie rzuciła się jej w oczy pieczęć na tym, który był na wierzchu: „Centrum Onkologii...” Struchlała. A cóż Maciek może mieć wspólnego z Centrum Onkologii?

Postanowiła przejrzeć te papiery. Zaczął je gromadzić prawie półtora roku temu, jak wskazywały daty na ułożonych chronologicznie dokumentach. Były to wyniki badań krwi, tomografie, rezonanse, opisy choroby, leczenia. Im więcej przeczytała, tym bardziej czuła się przygnębiona.

Maciek leczył się intensywnie na raka prostaty i jak wynikało z kalendarium zabiegów, dzisiaj nie miał żadnego spotkania, tylko ostatnią z ośmiu zaleconych mu radioterapii. Uderzyła się mocno w piersi, że pozwalała sobie na kąśliwe myśli na temat jego zdrowia. Jak on mógł taką chorobę trzymać w tajemnicy przed rodziną? Przez cały czas był i jest z tym sam. A co by było, gdyby to leczenie toczyło się w złą stronę? Nie liczył się z szokiem, jakiego doznałoby bliscy? I co on sam przeżywał?

Każda, a szczególnie taka choroba nie dotyczy jednej osoby w rodzinie, ale jest wspólnym zmartwieniem, które odbija się na wszystkich jej członkach. Kasia była zszokowana, patrzyła na wytłuszczony druk wyroku i nie wierzyła, że to dotyczy kogoś z jej bliskich. I czemu, na litość boską, on nas, a zwłaszcza mnie z tego wyłączył, odsunął? – zastanawiała się nerwowo.

Przypomniała sobie, jak kiedyś przemknęło jej przez myśl, że Maciek wygląda gorzej niż zwykle. Jak opowiedziała o tym Berni, a ta ją wyśmiała, mówiąc, że kto jak kto, ale on jest przykładem zdrowia i energii. Ile

kosztowało go to skrywanie w sobie tak poważnej choroby, nie dzielenie się przeżyciami i doznaniem z bliskimi? Dlaczego tak postępował?

Oszołomiona odkryciem Kasia nie wiedziała, co robić. Czuła się nieswojo, że grzebała w papierach męża, nie zamierzała tego robić, ale gdyby nie przypadek, może nigdy by się o jego chorobie nie dowiedziała. Po chwili wahania wyjęła z teczki plik papierów dokumentujących przerażającą kurację i postanowiła ją sobie skserować. W tym celu pobiegła do kiosku naprzeciwko. Chciała z tym zdążyć, zanim Maciek wróci.

Ile taka radioterapia może trwać? – zastanawiała się. – Może powinna tam po niego pojechać? A jeżeli się miną? Spróbowała zadzwonić do męża na komórkę, ale okazało się, że jej nie zabrał, odezwała się właśnie z szuflady biurka. Jeszcze i to! Nie chciał, żeby jakikolwiek kontakt z nim był możliwy.

Oczywiście może pojechać do Centrum Onkologii i jakoś go tam znajdzie. Po zabiegu zapewne poczuje się zmęczony, więc lepiej będzie, jak go przywiezie.

Czy też skoro miał jakieś powody, żeby to przed nią ukrywać, powinna uszanować jego decyzję?

Nie! – powiedziała sobie. – Nie zgadzam się na to! Co takiego zrobiłam, że nie ma do mnie zaufania i postanowił sam zmagać się z tak trudnym problemem?

Zdecydowała jednak, że pojedzie. Zrezygnowała z gotowania obiadu. Zjedzą coś na mieście lub kupi coś gotowego. Zresztą nie przeszłoby jej teraz nic przez gardło, a Maciek po zabiegu też nie wiadomo, jak będzie się czuł i czy może jeść. Oby tylko się nie minęli... Martwiła się, że nie ma pojęcia, na czym polega ten zabieg, czy pacjent cierpi? Boże, dopiero co żartowała sobie z tego, że Maciek histeryzuje, a on cały czas przeżywał tę gehennę i nie dał niczego po sobie poznać. W imię czego powziął takie postanowienie?

Jadąc na Ursynów miała głowę pełną pytań i nie wiedziała, czy uzyska na nie odpowiedzi.

Kiedy wjechała na teren Centrum Onkologii, miała problem z zaparkowaniem samochodu. Wszystkie miejsca parkingowe, a było ich mnóstwo, były zajęte. Zrobiła cztery okrążenia, zanim zobaczyła wycofujący się z jednego z nich samochód tuż przy głównym wejściu do szpitala, przy bloku A. Postanowiła więc właśnie tam zacząć poszukiwanie Maćka.

Tym razem szczęście jej sprzyjało. Nie musiała zasięgać języka, bo przy drzwiach zobaczyła swego męża rozmawiającego z kobietą w białym

fartuchu, najwyraźniej lekarką.

– Może wezwać panu taksówkę? – zapytała jego rozmówczyni.

– Dziękuję, poradzę sobie.

– Poradzi sobie, zwłaszcza że przyjechałam po niego samochodem – powiedziała Kasia podchodząc od tyłu. – Jestem żoną pacjenta.

– To dobrze, to dobrze – odrzekła lekarka, która miała plakietkę z nazwiskiem przytwierdzoną do fartucha. – Po zabiegu pan Maciek nie powinien podróżować sam.

A ten, o którym była mowa, stał jak wryty, z otwartymi ze zdziwienia ustami.

– Pani doktor – kontynuowała rozmowę Kasia. – Czy pacjenci mają prawo ukrywać przed najbliższymi taką kurację? Czy to normalne? Co tu jest grane?

– Nie powiedział pan żonie i rodzinie o swojej chorobie? Nie wierzę.

– A jednak – wtrąciła Kasia.

– Chwały mi ta choroba nie przynosi – odparł jej mąż.

Cały Maciek! – pomyślała Kasia. – Jego męskie ego ważniejsze od wszystkiego. To dla niego wykluczył nas wszystkich z możliwości przejawiania empatii i pomagania mu, do czego rodzina ma prawo?

– Czy mogę przynajmniej wiedzieć, jakie są rokowania? – zapytała Kasia.

– Raczej dobre, ale żeby mieć pewność, trzeba jeszcze poczekać – odpowiedziała pani doktor. – Za dwa miesiące zrobimy badanie i będziemy wiedzieć więcej. Przepraszam panią, muszę wracać na oddział.

– Rozumiem, chciałabym jednak kiedyś porozmawiać.

– Oto moja wizytówka. Proszę zadzwonić, umówimy się, oczywiście jeśli pan Maciej wyrazi zgodę na poinformowanie rodziny o stanie jego zdrowia.

– Wyrażę... – powiedział zażenowany.

Kiedy lekarka odeszła, Maciek zapytał:

– Skąd ty wiesz o tym wszystkim? Grzebałaś w moich papierach?

– A ty byś moich nie przejrzał, gdybyś zobaczył pieczęć Centrum Onkologii? Zostawiłeś je w nieładzie na biurku. Chwała Bogu, inaczej nadal żyłabym w nieświadomości. Powiedz mi, czym sobie zasłużyłam na to, że nie masz do mnie zaufania? Na tyle, że wolisz być sam z takim problemem.

– Mówiłem już, to mi nie przynosi chwały.

– Chrzanisz! A masz na to jakikolwiek wpływ? Taka choroba to dopust Boży i każdego może dotknąć.

– Nie chciałem, żebyście byli w to zamieszani.

– Ale i tak jesteśmy. No dobrze, biedaku, jeźdźmy do domu, bo może słabo się czujesz.

– Nie wiem, czy powinnaś prowadzić, jesteś kłębkim nerwów. Daj klucze.

– A ty jesteś pacjentem i ofiarą losu. To przeszkadza w prowadzeniu samochodu.

– No właśnie takich sytuacji chciałem uniknąć.

– Na szczęście „sprawa się rypla”. Nie przychodzi ci do głowy, że się o ciebie martwię?

– Przepraszam.

– No, wsiadaj, jedziemy!

– Ale czy mogłabyś nikomu więcej o mojej chorobie nie mówić?

– Kogo masz na myśli?

– Na przykład Zosię, twoją mamę, moją siostrę...

– Akurat te osoby mają prawo to wiedzieć. Ja też nie jestem taka mocarna, żeby sobie dać z tym radę sama. Kończymy tę dyskusję, powinieneś jak najszybciej położyć się do łóżka. Aha! W związku z ostatnimi odkryciami nie zdążyłam zrobić obiadu.

– Nie jestem głodny. Wystarczy mi kasza manna. Żołądek mi się buntuje.

– A więc masz dietę? O tym też powinnam wiedzieć.

– Mam w domu publikacje Centrum Onkologii dotyczące tego, jak się odżywiać przy takiej kuracji.

– I jak dotąd nie pokazywałeś mi ich. Nie stosujesz się do wskazań? To ja powinnam je przeczytać.

Nic na to nie odpowiedział. Kasia prowadziła samochód w milczeniu, rozmyślając nad tym, że to początek problemów. Czeka ją wielka zmiana, musi poczytać sobie, czym charakteryzuje się ta choroba, czego trzeba unikać. Myślała też, że obok fałszywych kroków, które Maciek niepotrzebnie wykonał, wykazał się ogromnym hartem, że będąc sam na sam z tą całą wiedzą, potrafił być aktywny, uczestniczył w życiu zawodowym i rodzinnym, jak gdyby nigdy nic.

To prawda, że zostawiali sobie zawsze dużo wolności, ale to chyba przesada. Ileż wizyt lekarskich, zabiegów w szpitalu, trudnych badań udało mu się ukryć. W imię czego? Nadal nie była w stanie tego zrozumieć. Oczywiście, jak to ona, zaczęła obwiniać się za nieuwagę, brak empatii, niedostateczną wrażliwość. Z drugiej strony Maciek nie zwalniał bynajmniej w

„szefowaniu”, w aktywności i pomysłach na organizację nie tylko życia rodziny, ale nawet jej gości. Co za niezwykła witalność i jakże mocna osobowość!

Ale dosyć tego – zdecydowała. – Trzeba to zastopować. Nie jego atywność, ale brak uwagi bliskich, których będzie musiała uświadomić.

– Może jednak wstąpimy do Chińczyka coś przekąsić – zapytała skręcając do garażu.

– Jak chcesz – powiedział, ale zarówno ton wypowiedzi, jak i jego rezygnacja nie przekonały jej. Zresztą to chyba nie był najlepszy pomysł, powinien zjeść coś delikatnego.

– Dobrze, idziemy do domu, coś upitraszę, zanim odpoczniesz.

Kiedy powiadomiła rodzinę o sensacyjnej tajemnicy Maćka, wszyscy byli równie oburzeni i zszokowani jak ona. Zosia się rozplakała i powiedziała:

– Tata przesadził. Takich rzeczy nie ukrywa się przed rodziną.

– Chciałem dobrze – tłumaczył się przed nią. – Nie chciałem was martwić. Sama widzisz, jak reagujesz...

Kto wie? Może rzeczywiście kierowały nim szlachetne pobudki, ale wyszło, jak wyszło.

Mimo obietnic w dalszym ciągu nie był skłonny do zwierzeń na temat dolegliwości i aktywności w leczeniu choroby. Nie wiedział, że Kasia po długiej rozmowie z lekarką prowadzącą też miała pewne informacje i był szczerze zdziwiony, kiedy towarzyszyła mu przy cięższych zabiegach. Tylko niektórych, bo razem z lekarką uznały, że może być tak, iż zbyt nie użalanie się nad nim odbierze mu pewność siebie i siły do walki z chorobą.

Radioterapia, którą mu aplikowano w czasie, gdy żona odkryła jego tajemnicę, bynajmniej nie okazała się być ostatnią. Badania, rezonans i tomografia zrobione po dwóch miesiącach okazały się dość dobre, ale nie do końca. Postanowiono zaaplikować mu dalsze seanse. Dopiero po roku miał takie wyniki, że leczenie uznano za zakończone. Okazało się, że jest jednym z tych niezbyt licznych szczęściarzy, u których rozpoznano chorobę w porę, kiedy jeszcze nie było za późno. Oczywiście całe to leczenie nie obeszło się bez komplikacji. Miał doskonałe markery, guz zniknął całkowicie, ale radioterapia uszkodziła mu jelita i nimi naprawdę trzeba było się zająć. Jeśli zaś chodzi o nowotwór, następną kontrolę miał dopiero za pół roku. To już był duży sukces i ulga. Skupienie nad chorobą Maćka przez ten rok, usunęło w cień wszystko inne. A przecież życie toczyło się dalej.

W międzyczasie odbyła się premiera monodramu Kasi. Została dobrze oceniona i Kasia często go grała. Wnuki rosły, a Zosia coraz bardziej garnęła się do pracy zawodowej. Wciąż zarabiała tłumaczeniami z angielskiego i francuskiego, ale jesienią zaczęła też podyplomowe studia wydawnicze. Rodzice mogli tylko przyklasnąć. Dumni byli, że ich jedynaczka nie dość, że jest wspaniałą matką, to jeszcze ma duże ambicje i potrafi im sprostać.

Jednakowoż leczenie nowotworu nie pozostało bez wpływu na ogólny stan zdrowia Maćka. Latem trafił do szpitala w Pieszku z powodu sensacji sercowych, a niedługo po tym złamał nogę, przewróciwszy się na mokrej podłodze. Miał pecha, bo była to ta sama noga, która przed laty ucierpiała przy zderzeniu z gokartem. Lekarze uznali, że jeśli ma się na nią nie uskarżać, powinien ją kiedyś zoperować. Potrzebne jest nowe kolano. Im wcześniej się na to zdecyduje, tym lepiej.



## *Rozdział jedenasty*

Wybory parlamentarne w 2007 roku, a zwłaszcza ich wynik, spowodowały głębokie podziały w społeczeństwie Polaków. Odbiło się to na kontaktach rodzinnych i towarzyskich. Ludzie kłócili się i odwracali od siebie. Niektórzy obrażali się na siebie na amen.

Choroba Maćka przysnęła. Wszyscy członkowie jego rodziny mieli nadzieję, że na długo. Po ostatnich badaniach kontrolnych wyznaczono mu następny kontakt z kliniką za rok. Tak się tam traktuje wyleczonych.

W pierwszych dniach października, kiedy już pakowali manatki na powrót do Warszawy, spełniło się ich wielkie marzenie. Na ich terenie pojawiły się jadalne grzyby! Były to maślaki, ale znaleźli też dwa podgrzybki, a w ostatnim dniu przed wyjazdem aż siedemnaście rydzów! Sfotografowali je, ma się rozumieć, razem z krzakami jaśminu, pod którymi wyrosły. Następnie usmażyli sobie po jednym, czyli w sumie trzy, a resztę wymytych i oczyszczonych rydzów postanowili zawieźć Zosi.

Zarówno Kasia, jak i Maciek dużo w tym roku pracowali, z przerwą w lipcu i sierpniu. Nieraz wyjeżdżali do Warszawy do pracy, a teraz mieli już za dużo zobowiązań, żeby pozostawać na wsi. Ponadto stęsknili się za wnukami, które też cieszyły się na ich powrót. Już nazajutrz po powrocie pojedą do przedszkola pięciolatka Michasia. Jego grupa wystawia jakieś przedstawienie, w którym on gra Królewicza.

– Przyjedziecie? – pytał przez telefon.

– A jakże, będziemy wszyscy, babcia Kasia, prababcia Zosia i dziadzio Maciek – usłyszał w odpowiedzi.

Tyle radości! Ale życie nie tylko z nich się składa. Pojawiło się więc i zmartwienie. Tym razem z psem. Weterynarz z Rucianego doradził, żeby go przebadać pod kątem nowotworu. Wymacał u niego sporego guza w jamie brzusznej. Ponieważ Kalczyńscy kończyli swój pobyt na wsi, nie chciał rozpocząć leczenia, przed którym trzeba by było przeprowadzić szczegółowe badania. Biedna psina, ale na razie nie widać było, żeby cierpiał, bo nie tracił swojej zawadiackiej fantazji. Zupełnie jak jego pan, który mu tłumaczył:

– Nie martw się, stary, jak Wuję wyleczyli, to i ciebie to draństwo nie zmoże.

Pirat nie odstępował Maćka, spał w jego nogach i szarpał go za spodnie, kiedy ośmielił się wyjść przed furtkę bez niego. Tak to jest na świecie, że każdy szef ma nad sobą szefa. Stąd wziął się też nowy przydomek Maćka, „Wujo” który miał swoją długą historię. Kiedy dzieci usłyszały, że do wszystkich, nawet obcych psów Maciek, mistrz śmiesznych powiedzonek, woła: „Chodź do wuja” – zaczęły tak go nazywać. Od wnuków przejęła to jego córka Zosia, a potem również jego żona. W końcu tylko Zofia zwracała się do niego po imieniu. Dla pozostałych członków rodziny został „Wujem”. Lubił to przezwisko i przywykł do niego. Czasem jednak, gdy byli wśród ludzi na przykład na jeziorach, widzieli, że dziwnie na nich patrzą, kiedy zjawiając się na plaży czy na pomoście wszyscy od najmłodszego do najstarszej tytułowali go „Wujo”. „Wujo, popływajmy”; „Wujo, chodź, idziemy”; „Wujo, przywiąż Pirata, to popłyniemy na drugą stronę”.

Wujo spełniał życzenia i reagował na swoje nowe imię całkiem normalnie. Wujo wszystkich psów i ludzi. Okazało się również, że i kotów, bo gdy spotkali jednego z nich, Maciek też zwrócił się do niego z propozycją: „Ładny jesteś, chodź do Wuja”. Tyle o Wuju.

Pod koniec listopada zadzwoniła z Francji Janka, z sugestią że chciałaby przyjechać do nich na święta Bożego Narodzenia. Sytuacja jej uległa zmianie. Syn wyjechał do Irlandii na studia, a mąż zmarł. Garnęła się więc do rodziny.

Znając jej trudny charakter, nikt się zbytnio nie ucieszył, a jej rodzona siostra, czyli Zofia, była wyraźnie niezadowolona. Tym bardziej że Janka chciała się u niej zatrzymać. A ona właśnie ostatnio była jakoś rozdrażniona i niecierpliwa, zupełnie jak nie ona. Przypominała sobie jakieś zapiekłe żale, dawne wobec niej przewinienia Janki.

Przed Wigilią siedzące razem w mieszkaniu Zofii siostry kłóciły co chwilę. Podczas gdy gospodyni piekła roladę, coroczny przysmak świąteczny, Janka tylko wyjadała krem. Robiła tak zawsze. Kiedyś Zofia patrzyła pobłaźliwie na to, jak połyka pokrojone warzywa do sałatki śledziowej, ale teraz drażniło ją to ogromnie. Przypomniała też sobie, jak po powrocie Afryki Janka zabrała Kasię do siebie i nie dbając o nią, jak należało, doprowadziła ją do ciężkiej choroby, którą chciała przed siostrą ukryć.

Kasia zmartwiła się tą zmianą w nastrojach matki. To ona teraz starała się

stonować jej zdenerwowanie, w czym przedtem Zofia wobec wszystkich była mistrzynią.

– Mamuś, co się dzieje? – spytała, gdy Janka brała kąpiel. – Zawsze patrzyłaś na Jankę z przymróżeniem oka.

– Bo ona jest nieznośna. Leniwa, złośliwa, w dodatku jakie ma poglądy! Rasistka i w ogóle.

– No wiesz! Podejź do tego z humorem. Tak, jak wszystkim narwanym nerwusom radzisz. Prowadzicie spory polityczne? Bez sensu.

– Bez sensu, bez sensu, ale nie znoszę takich ludzi. Mało to nieszczęść na świat sprowadzili?

– Daj spokój, mamu, przecież to twoja siostra, jaki ona ma wpływ na świat. Chociaż jest nieco od ciebie młodsza, mentalnie jest starsza. Spójrz na nią wyrozumialej. Szkoda twoich nerwów. A w ogóle to jak ty się czujesz, nic ci nie dolega?

– Nie mam czasu się w siebie wsłuchiwać. Gotuję, sprzątam, przygotowuję potrawy na Wigilię. Nie mam czasu nawet pomyśleć, jak się czuję.

– A jednak chyba powinnaś. To twoje nadmierne rozdrażnienie nie jest normalne i bardzo mnie martwi.

– Nie zawracaj sobie tym głowy. No i nie jestem wariatką, po prostu towarzystwo, w jakim przebywam (tu matka ściszyła głos i wskazała na łazienkę), wyprowadza mnie z równowagi.

Taka to była z nią rozmowa. Kasia bała się, żeby to ciągłe podenerwowanie nie pogorszyło stanu jej serca. Bo było ono dla niej tak niezwykle, że obecność nieznośnej siostry mogła być tylko pretekstem. Obawiała się, że przyczyny należy szukać gdzie indziej. Jednak ciągnięcie matki po lekarzach, gdy się na nic nie uskarżała, wydawało się jej bez sensu. Poza tym w sytuacji aktualnej epidemii grypy siedzenie w poczekalni wśród ludzi, którzy smarkają i kaszlą, byłoby niebezpieczne. Jedyne, co mogła zrobić, to podać matce coś na uspokojenie, odporność i ewentualnie mierzyć ciśnienie. Okazało się bardzo niskie, dziewięćdziesiąt na sześćdziesiąt. A zatem jest osłabiona – stwierdziła Kasia.

Janka wyszła z łazienki i widząc na stole aparat do mierzenia ciśnienia powiedziała:

– Też zastanawiam się, czy Zocha nie ma podwyższonego ciśnienia, bo czasem jest zła jak osa. To do niej niepodobne. Ja na jej miejscu bym się zbadała. Wiem po sobie, że jak nie mam cierpliwości, to coś mnie bierze.

– Ty czasem nie masz cierpliwości? – zdziwiła się Kasia. – Nie do wiary.

Bo ciotka była tak powolna, wręcz ślamazarna, że niecierpliwość pasowała do niej jak pięść do nosa.

– Pod jakim kątem mam mamę zbadać, skoro twierdzi, że nic jej nie dolega?

– A te bóle w dołku?

– Nic wielkiego – przekonywała Zofia. – Takie tam kłucia.

– Masz ci los! Więc jednak nie jesteś tak zdrowa, jak mówisz – zmartwiła się Kasia.

– Mówię ci, nie zawracaj sobie tym głowy, głupstwo. Taka mała niestrawność. Zresztą już jej nie ma.

– No dobrze. I proszę was, pójdzcie po rozum do głowy i przestańcie się kłócić. Co to będą za święta w takiej atmosferze. Wystarczą mi już kwasy między Zosią a jej mężem, mam się jeszcze martwić wami?

– To Zosia z mężem się kłóci? – zainteresowała się Janka.

– A znasz małżeństwo, które się nigdy nie kłóci? Przypominam sobie, jak u ciebie było – odparowała Zofia.

– Nic strasznego – broniła się ciotka. – Roger nie był taki zły.

To fakt – pomyślała Kasia, bo nieraz dziwiła się spokojowi męża ciotki, który nie reagował na jej złośliwe zaczepki.

Zapewniona przez matkę wielokrotnie, że nic jej nie dolega, Kasia postanowiła wrócić do domu. Miała jeszcze dużo do zrobienia przed wspólnym lepieniem pierogów w nowym mieszkaniu Zosi. Jej córka postawiła na swoim i kupili mieszkanie w mieście, bo dojazdy do pracy z Konstancina i wożenie dzieci do miasta i z powrotem zabierały jej za dużo czasu. Taki był oficjalny powód jej przeprowadzki, ale nie dawało się też już ukryć, w jaki sposób ostatnio Zosia i jej mąż odnoszą się do siebie. Przecież są dzieci, które też muszą to widzieć – martwiła się Kasia.

Latem, kiedy wypadła kolejka Oliwki na spanie w babci szerokim łóżu w Leśnym Domu (dzieci wymieniały się codziennie), doszło do niepokojącego incydentu. Dziewczynka przed snem długo rozmawiała przez telefon z rodzicami, najpierw z matką, potem z ojcem. Kiedy Kasia uspiła Michałka i przyszła do swego pokoju, zastała wnuczkę we łzach.

– Co się stało, kochanie? Myślałam, że dawno śpisz, a ty płaczesz? Boli cię coś?

– Nie, ale strasznie boję się o rodziców.

– Jak to? Nic się z nimi nie dzieje, są w domu. Zresztą chyba rozmawiałaś z mamą.

– Z tatą też, mówił takie rzeczy, że boję się, że oni... że się rozstaną.

– Daj spokój, kochanie – powiedziała wnuczce, tuląc ją w ramionach. – Znasz swego tatę i wiesz doskonale, jak on potrafi ryzykownie żartować.

– Tak sądzisz, babciu? – chwyciła się nadziei Oliwka.

– Na pewno – potwierdziła Kasia.

– Nie podoba mi się to, ale dobrze by było, żeby tylko żartował – powiedziała Oliwka, po czym ziewnęła szeroko, przytuliła się do babci i usnęła.

Kasia miała zamiar powiedzieć wnuczce, że jako trzynastolatka nie powinna konkurować z sześciolatkiem bratem o prawo do spania w jej łóżku. Wzruszające było to, że spanie z babcią wciąż jeszcze uważała za wyróżnienie, ale przecież maluchowi należały się jakieś fory. Idąc do łóżka babcia łamała sobie głowę, jak rozegrać to taktycznie, żeby wnuczka nie czuła się odtrącona. Jednak zastawszy ją zapłakaną musiała ukoić jej żal i na tym się skończyło. Kiedy dziewczynka spała na dobre, Kasia wstała po cichu, wyszła z pokoju i zatelefonowała do córki.

– Co tam się między wami dzieje? Nie wtrącałabym się, gdyby to nie raniło dzieci. Co Larek nagadał Oliwce? Bardzo ją wystraszył.

– On jest nieobliczalny, niestety.

– Widziały gały, co brały.

– Dziękuję za wsparcie. Niestety nie widziały. Byłam w amoku, ale spadło mi bielmo z oczu. I po co on miesza w to wszystko dziecko?

– No właśnie!

– Mamuś, nie chcę i nie mogę teraz rozmawiać. W odpowiedniej chwili wszystko ci opowiem.

Rozmowa ta miała miejsce latem. Od tego czasu na lepsze nic się nie zmieniło. Rzecz w tym, że Hilary Protasiewicz, jak każdy człowiek, oprócz zalet, takich jak efektowny wygląd, zmysł artystyczny i zaradność, miał również swoje wady. Znane porzekadło mówi wprawdzie, że nikt nie jest bez wad, ale są wady, na które można przymknąć oczy i takie, które są wielce męczące dla otoczenia. Otóż coraz bardziej objawiała się duża różnica wieku między nimi, a także jego pokrętny charakter. Larek zamęczał Zosię nieustającą kontrolą, pouczaniem, a ostatnio nieuzasadnioną zazdrością, której źródłem mogło być jedynie jego niezbyt czyste sumienie. Miał on

mianowicie słabość do bardzo młodych kobiet i siłą rzeczy każda z jego żon czy partnerek, gdy lat jej przybywało, traciła na wartości. To, że on sam wiekowo nie stał w miejscu, nie miało dla niego znaczenia. Jego zazdrość pojawiła się wtedy, gdy żona odmówiła mu zatrudnienia się w jego firmie. Nie był w stanie tego zrozumieć. Uważał, że kryją się za tym jakieś pragnienia wolności osobistej, szukanie okazji do skoków w bok. To, że firma prowadzi interesy odległe od jej wykształcenia i zainteresowań, nie miało dla niego znaczenia. Dziwna filozofia.

Zosia tak już była znękana scenami i pretensjami męża, że zaczęła mieć tego dość. I może zauważyła wtedy wokół siebie innych mężczyzn, co jeszcze bardziej wzmagало jego chorą zazdrość. Coraz częściej negowała jego „wykłady”, których kiedyś z nabożnością słuchała. Po prostu chyba stała się bardziej dojrzała i nie poddawała się tak łatwo manipulacjom. W dodatku jej mąż stał się wyznawcą teorii zdrowego odżywiania się i w tym celu zabrał w lipcu całą rodzinę na kurs w formie obozu. Wszyscy mocno pochudli, a zwłaszcza dzieci, które unikały dziwolągów żywieniowych i po prostu nie jadły. O ile dorosłym strata na wadze na ogół dobrze służy, o tyle dzieciom, zwłaszcza nieotyłym, jest niepotrzebna.

Towarzyszyły temu ciągle sprzeczki. Głuchy na argumenty żony Larek ufał bezgranicznie młodej wykładowczyni nowej teorii żywieniowej. Wziął od niej grafik jej wykładów na różnych podobnych zgrupowaniach i resztę lata spędził już bez rodziny, co sprzyjało większej zażyłości z dziewczyną, którą zaczął jawnie adorować. Zosia została o tym powiadomiona przez znajomych, którzy za jego namową pojechali z nim na kolejny taki obóz. Postanowiła, że nie da mu satysfakcji urządzając sceny zazdrości. Jednocześnie dążyła do tego, żeby kupić mieszkanie w Warszawie, bo ze względu na szkoły dzieci i jej pracę byłoby to wygodniejsze. No i jesienią wreszcie spełniła swoje zamierzenia.

Mieszkanie Zosi znajdowało się blisko mieszkania jej rodziców, tylko o dwa domy dalej. Usytuowane było na parterze i miało ogródek wychodzący na park.

Dotychczasową jego właścicielką była znana Zosi ze szkoły popularna aktorka filmowa, mająca rodziców architektów. Dokonali oni wygodnej adaptacji mieszkania: wygospodarowali z kawałka korytarza sporą garderobę, a w piwnicy dorobili dodatkowy pokój muzyczny. Przestraszeni włamaniami w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych, kiedy to przestępczość

rosła, wynieśli się, jak sądzili, w bezpieczniejsze miejsce. Ich młoda i energiczna córka razem ze swoim partnerem zostali, twierdząc, że dadzą sobie radę. Niedługo zbójstwo przestało się żulom opłacać, bo policja za nich ostro się wzięła. Teraz mieszkanie należało do Zosi i właśnie u niej miała się odbyć rodzinna Wigilia. Larek zwlekał z przeprowadzką, ciągle mieszkał w Konstancinie, ale zadeklarował swoją obecność na wspólnym świętowaniu.

Kasia nie mogła uwierzyć, że małżeństwo córki dobiega końca, choć wyglądało na to, że bardzo się od siebie oddalili. Przyznawała jej rację, ale szkoda było jej dzieci. Zosia twierdziła, że dobrze wie, co robi.

– I ty sądzisz, że sama dasz sobie radę? – spytała zatroskana matka.

– Nie dam rady tego ciągnąć, wszystko jest lepsze niż to, co przeżywam – odpowiedziała jej córka. – Nie martw się, zrobię wszystko, co w mojej mocy, aby dzieci na tym nie ucierpiały. Przecież ojca teraz i tak prawie nie ma w domu, a będą się z nim regularnie spotykać. Zadbam o to. Zresztą usłyszałam od babci Zosi coś, co mnie wzmocniło: „Dasz sobie radę”. A więc tego się trzymajmy, proszę cię mamo.

Dzień przed Wigilią, kiedy choinki w domach całej rodziny były nie tylko kupione, ale i ubrane, spotkali się wszyscy w nowym mieszkaniu Zosi na wyczekiwane przez dzieci lepienie pierogów i robienie sałatek na następny dzień. Kasia już przedtem przygotowała farsz grzybowy. Na liczącej sobie kilkadziesiąt lat stolnicy przywiezionej z Zamościa Zosia, instruowana przez babcię Zosię, zagniała ciasto. Dzieci gotowe do czynu czekały niecierpliwie na wałkowanie, która to czynność nie mogła się odbywać bez ich udziału. Nawet Michaś dostał swoją niewielką porcję ciasta do wałkowania jak najcieniej. Wszyscy mieli pełne ręce roboty. Kasia podsmażała grzybki na uszka, a potem kolejne, tym razem z kapustą na pierogi.

Maciek czyścił i kroił karpie. Zofia dyrygowała wszystkimi, a Janka bez przerwy próbowała dania i oceniała to, co inni przygotowali. Temu wszystkiemu towarzyszyły wspomnienia i opowieści.

– Grzybów w tym roku nie spróbuję. Kapusty też nie. Boję się, że zamiast świątecznych przysmaków będę jadła tylko mannę lub owsiankę – powiedziała smutno Zofia.

– Coś ty, mamus, jeszcze ci dokucza ta niestrawność?

– Jest coraz gorzej. Mam nudności i inne sensacje. Nie wiem, co to za lichy.

– I nie poszłaś do lekarza?

– Owszem, poszłam. Dostałam węgiel, Torecan przeciw wymiotom i jakieś tabletki przeciwbólowe.

– No to mamy zmartwienie. A jak pytałam, czy nic ci nie dolega, powiedziałaś, że wszystko w porządku.

– Bo dopiero teraz się to rozkręca.

– To? To znaczy co? Co powiedziała lekarka?

– Że niestrawność. Może grypa żołądkowa, ale raczej nie, bo nie mam gorączki. Najprawdopodobniej zjadłam coś, co mi zaszkodziło i zalega w żołądku.

– A jesteś na diecie?

– Naturalnie, już od trzech dni.

Kasia słuchała tych zwierzeń ze smutkiem. Żałowała, że z powodu przedświątecznych zakupów i przygotowań sama nie zabrała matki do lekarza i nie dopilnowała, żeby ją dokładniej przebadano. Ale może to tylko przelotne niedomaganie, które lada chwila minie.

Kiedy już prawie wszystko było przygotowane, a pierogi i uszka ułożone w równiutkich rzędach czekały na ugotowanie, do ekipy dołączyli jeszcze Kama i Piotrek, którzy też będą na wspólnej Wigilii. Ponieważ oboje jak zwykle długo pracowali – Kama w swojej galerii, a Piotr w księgarni – już niewiele mogli pomóc. Nie o to jednak chodziło, by coś robili.

Udział w przygotowaniach był najbardziej upragniony przez dzieci. Reszta rodziny traktowała to jako jeszcze jedno spotkanie, kiedy wszyscy byli blisko siebie. Jednak w czasie tego wieczoru, kiedy dzieci poszły spać, okazało się jednak, że nie ma jedności w rodzinie w spojrzeniu na politykę. Kama z Janką rozpoczęły dyskusję na temat jednego z polityków, jeżdżącego z wykładami historycznymi do dużych ośrodków polonijnych na Zachodzie. W jednym z takich spotkań Kasia kiedyś uczestniczyła, przyprowadzona tam przez Jankę. Wykład pana historyka wprowadził ją w zażenowanie. Przeinaczał fakty, znanym zasłużonym ludziom podziemia, którzy walczyli z reżimem komunistycznym o wolną Polskę, przypisywał „mordy”, przypisując im zdrady. Słuchając tego rozglądała się po sali, by zorientować się, jak słuchacze te wiadomości przyjmują. Wyglądało na to, że nie pierwszy raz słyszą podobne nowiny z kraju. Nie byli ani zdziwieni, ani zszokowani, a po zakończeniu prelekcji nagrodzili pana profesora gromkimi oklaskami. Nieuświadomiona Polka poczuła się w tym towarzystwie nieswojo. Siedząc



w kraju cieszyła się, że jej naród zadziwił odwagą i brakiem agresji cały świat, że się wyzwolił bez walki i teraz dynamicznie się rozwija. A tu okazało się, że bynajmniej nie jesteśmy do końca wolni, a ci, których uważała za bohaterów, nie walczyli bezinteresownie. Są zdrajcami. Kogo zdradzili, z prelekcji dokładnie nie rozumiała, a może też w wyniku szoku nie słuchała uważnie. Trochę wstyd jej było, że w towarzystwie „szczerych patriotów” żyjących na wygnaniu nie potrafi wykrzesać z siebie entuzjazmu dla herolda teorii spiskowej.

Wieczorem, kiedy rozmyślała o tym spotkaniu już nieco bardziej na chłodno, doszła do wniosku, że gdyby Paryski Dom Polskiego Kombatanta cieszył się i przyklaskiwał temu, co się dzieje w Polsce, straciłby rację bytu. Od czasów rozbiorów i Wiosny Ludów jej rodacy spotykali się tam, aby się wykrzyzczyć, pouskarzać na to, co się w Ojczyźnie dzieje, pozbyć się kompleksu uchodźcy. A teraz co? Zawsze mówili, że będą wracać do wolnej Polski, ale to nie takie proste. Tu znaleźli pracę, założyli rodziny, wrosli w to społeczeństwo. Zawsze na krótko mogą do krewnych pojechać, zwłaszcza teraz, po zmianach. Zresztą do swego kraju i narodu mają stosunek romantyczny. Toteż chętniej wierzą w spiski, pomówienia, że coś tam jednak w Polsce jest nie tak, że istnieją dla niej zagrożenia, że znów może nie być wolna. A może ja jestem naiwna i nie dostrzegam tych rzekomych dla mnie zrad, złych intencji i tym podobnych – pomyślała Kasia.

Zastanawiała się nad tym, że mając ciotkę Jankę w Paryżu prawie nigdy ani ona, ani matka u niej nie mieszkały. Częściej były u Bernadette, Mai Tarnowskiej i u Hani. Mai i Hani już nie ma... Szkoda.

– Wiesz, co jest najsmutniejsze dla ludzi długowiecznych? – powiedziała kiedyś do niej matka. – To, że świat wokół nich pustoszeje. Że stawiam coraz więcej krzyżyków w swoich kalendarzykach i jest coraz więcej grobów, które powinnam odwiedzać. Ci, z którymi odkrywałam świat, już go opuścili i samotność coraz bardziej mnie zawłaszcza.

– A rodzina się nie liczy? – zaprotestowała Kasia.

– Jeszcze jak! Jest racją bytu. To dzięki wam czuję się młodo, mimo matuzalemowego wieku. Ale są też ludzie, którzy nie mają rodziny. Jak oni żyją, nie chcę sobie nawet wyobrazić.

– A ja się czuję młoda mimo siedemdziesiątki, bo ktoś mówi do mnie „moje dziecko”. I niech tak zostanie.

– Co daj Boże, amen! – dodała Kasia.

Teraz Kasia uśmiechnęła się na wspomnienie tej nostalgicznej rozmowy. Porównując swoją matkę z młodszą od niej ciotką Janką zauważyła, że te dwie siostry w niczym nie są do siebie podobne. Z Janką nie można było gawędzić nie słuchając jednocześnie gorzkich pretensji do świata. Wedle niej wszyscy czyhali na jej piękne meble, zazdrościli mieszkania. Nikt nie był bardziej od niej chory i krzywdzony. A właściwie to ona miała o ludziach krzywdzące opinie. Każda z wizyt u niej czy jej u nich była pełna nieporozumień i konfliktów.

Janka mało kogo chwaliła, a tu nagle Kasia usłyszała, że w rozmowie z Kamą obie pieją z zachwytu nad, pozał się Boże, profesorem propagującym spiskowe teorie o wybitnych i zasłużonych Polakach.

Piotrek, najwyraźniej nie podzielający poglądów partnerki, zagłębił się w rozmowie z matką, rzucając zniecierpliwione spojrzenia w stronę politykującej Kamy i ciotki.

– Widzę, że pięknie się różnicie – szepnęła matka.

– Bo ja wiem, czy tak pięknie? – odparł jej syn. – Boję się, że Wigilia może zamienić się w kłótnię, jak się rozkręca.

– Nie bój się, jest na to rada. Hej, dyskusantki – zwróciła się do siostry i synowej. – Jako seniorka rodu nie będę tolerować w czasie Wigilii rozmów o polityce. Mamy być wobec siebie życzliwi i pogodni. Będziemy cieszyć się z prezentów i śpiewać kolędy. Musimy pokazać dzieciom, że to wyjątkowy wieczór.

– A cóż ma do tego polityka, przeszkadza w życzliwości? – zaoponowała Janka.

– Mnie tak – odrzekła Zofia – kiedy słucham niektórych.

– Ale od polityki zależy nasze życie.

– Martw się tym we wszystkie pozostałe trzysta sześćdziesiąt cztery dni roku. Nie w Wigilię.

– A więc ustalone, Wigilia bez polityki! – włączyła się Kasia.

Kama z Piotrkiem podnieśli się z miejsc.

– Czas na nas – powiedział Piotrek. – Żebyśmy mogli zacząć świętować, musimy najpierw zmyć z siebie pracowite dni. A więc do jutra. Mamo, ciociu, podwieźć was do domu?

– Te dwieście metrów? – zdziwił się Maciek. – Przejdą się przed snem.

– Nie mów za nas! – przerwała mu Zofia. – Ja się czuję zmęczona, chętnie skorzystam.

– Ja też – dołączyła Janka. – Wieczne spacery mi nie służą, nic nie widzę.

## *Rozdział dwunasty*

Święta, święta i po świętach... Nawet władze PRL-u nie dały rady tej tradycji. Jak Polska długa i szeroka ucichało wtedy wszystko. Pierwsi sekretarze wiodącej partii ubierali choinki i dzielili się opłatkiem, żeby przez resztę roku zwalczać religię. Oni też, jak reszta społeczeństwa, w dni świąteczne chowali się w swoich domach z rodzinami. Fenomen tamtych lat!

Cieniem na tegorocznych świątach w rodzinie Kalczyńskich położyło się złe samopoczucie Zofii – seniorki rodu. W czasie Wigilii była smutna i rozdrażniona, bo to, czym rozkoszowała się reszta rodziny, było dla niej udręką. Drażniły ją zapachy i patrzanie na jedzenie. Trwała jednak przy stole, żeby nie psuć nastroju swoim bliskim. Kasia, która obserwowała ją z niepokojem, w pewnej chwili spytała:

– Mamuś, co się dzieje? Boli cię coś?

– Nie tyle boli, co drażni, nie mogę patrzeć na jedzenie. Nie martw się, to normalne po zatruciu...

– No nie wiem...

Poza tym wszystko było jak zwykle. Dzieci i dorośli pałaszowali, aż im się uszy trzęsły. Śpiewali kolędy, cieszyli się prezentami, ale w sercu Kasi czaił się smutek i strach o matkę.

Przez ostatnie lata mieli ustawiony porządek obchodzenia świąt. Wigilia ze względu na wnuki u Protasiewiczów. Obiad w pierwszy dzień świąt u dziadków, czyli u Kasi i Maćka, drugi dzień świąt na zmianę u Piotrka i Kamy lub u Ani i jej męża. Ale Ania z mężem i teściami wynieśli się z Warszawy. Kupili działkę leśną w Borach Tucholskich i tam wybudowali duży dom całoroczny. Trochę pod kątem Norberta, który ukończył szkołę leśniczych i dostał tam posadę. Będą teraz daleko od rodziny, jak Pela i Zygmunt, ale za to w swoich ukochanych lasach. Toteż na Kamę i Piotra spadło organizowanie dla rodziny drugiego dnia świąt. Tym razem jednak ich to ominęło ze względu na złe samopoczucie matki. Wszyscy martwili się zdrowiem Zofii i nie mieli ochoty na świąteczne ucztowanie.

Po Nowym Roku Janka, zniechęcona niezbyt palącą się do obsługiwania jej Zofią, postanowiła przed wyjazdem do Francji odwiedzić jeszcze rodzinę

w Częstochowie. Chyba bardziej ze strachu niż przywiązania, bo lekarz stwierdził, że matka Kasi ma półpaśca. Gdzie złapała tę przykrą i mocno zakaźną chorobę, nikt nie wiedział. Na pewno się z nią nie zetknęła. Lekarka po obejrzeniu wyników badań krwi stwierdziła u niej znaczne osłabienie organizmu i uznała, że u osób wyczerpanych choroba ta może się przyplątać samoistnie, wskutek tegoż osłabienia.

Tymczasem jedna z redaktorek radiowych przeczytała opis gehenny syberyjskiej autorstwa Zofii. Była to praca nagrodzona w konkursie Związku Sybiraków. Redaktorka chciała umówić się z Zofią na wywiad, jednak z powodu jej dokuczliwej choroby na razie nie było to możliwe. Czas upływał, a zaproszona do radia laureatka ciągle nie mogła tam dotrzeć.

Zniecierpliwiona redaktorka postanowiła w końcu nagrać wywiad w domu Zofii. Kasia przysłuchując się temu zauważyła, że matka ma dar opowiadania i mówi ze swadą. Poza tym zdumiała się, jak bardzo jej głos utrwalony na taśmie przypomina jej własny. Kiedyś słuchała jakiejś radiowej wypowiedzi swojej córki Zosi i też znalazła podobieństwo jej głosu do swojego. Czuła z tego powodu wzruszenie i dumę. Trzy pokolenia kobiet o głosach, które trudno rozróżnić. Cudowną rzeczą jest genetyka.

W związku z przedłużaniem się choroby nestorki zaczęto poszukiwać nowych sposobów jej leczenia. Oprócz tradycyjnych lekarzy przebadał ją również pewien mongolski doktor, cieszący się dużą sławą. Dał Zofii jakieś bardzo gorzkie zioła, które zaparzane trzy razy dziennie miały wzmocnić jej organizm. Jak każdy, kto chce ulżyć komuś bliskiemu w chorobie, Kasia chwyciła się nadziei, że cudowny środek podziała uzdrawiająco. Ale zioła nie mogły zadziałać, ponieważ Zofia źle je tolerowała. Zmuszona do wypicia połowy szklanki (a miała wypić w ciągu dnia aż trzy pełne szklanki) wymiotowała. Jej nieszczęśliwą i skrzywdzoną minę przy przełykaniu tego specyfiku Kasia zapamięta do końca swoich dni. Zważywszy na to wszystko, początek roku dwa tysiące ósmego nie okazał się dla rodziny łaskawy.

Okrągłutka przedtem babcia-prababcia, jak ją nazywały dzieci, traciła na wadze i ubywało jej sił. Krzątała się wprawdzie jak zwykle i sama gospodarowała w swoim przytulnym mieszkanku, ale coś było wyraźnie nie tak. To fakt, że miała już prawie dziewięćdziesiąt osiem lat. Jednak z powodu jej żywotności i aktywności umysłowej nikt tej liczby nie traktował serio. Aż któregoś dnia pod koniec lutego Zofia nie potrafiła opanować zawrotów głowy i przewróciła się w swoim mieszkaniu. Na drodze jej upadku nie było

na szczęście żadnych mebli. Leżała rozkrzyżowana na dywanie i nie wiedziała, jak ma wstać. Była w szoku. Usiłowała unieść głowę, ale to się jej nie udało. Pomyślała, że może się połamała, lecz nie czuła żadnego silnego bólu. A więc tak wygląda paraliż – powiedziała do siebie i dalej leżała bez ruchu. Zadzwoił telefon. Odwróciła głowę w stronę szafki przy tapczanie, na której stał, ale nie miała siły ani chęci, by po niego sięgnąć.

Powoli zaczęła sobie uświadamiać, że może nie jest tak źle, bo jednak mogła ruszać rękami. Ucieszona tym, spróbowała zgiąć nogę w kolanie i to też jej się udało. Telefon uparcie dzwonił, ale nie był w zasięgu jej drobnych gestów, które odważyła się wykonać. Po kilku minutach telefon umilkł. Ciekawe, kto to dzwonił? – pomyślała. – Oby tylko nie Kasia, bo się zdenerwuje. Musi być jakiś sposób na to, żeby wstała, skoro nie jestem sparaliżowana – stwierdziła i zaczęła obmyślać, jak to zrobić. Przewróciła się na bok. A potem powoli na brzuch. W tym momencie telefon znowu się rozdzwoił. Zofia z trudem podniosła się na kolana. Wstać jednak nie potrafiła, bo kręciło się jej w głowie. Jedno kolano było jednak stłuczone, bo bolało ją, kiedy na czworaka usiłowała zbliżyć się do telefonu, który wciąż dzwonił. Ale ktoś się uparł! – pomyślała. Już nie chciała, żeby to nie była jej córka. Było jej wszystko jedno kto. Potrzebowała pomocy. Po jeszcze kilku sygnałach zdołała doczołgać się na tyle blisko szafki nocnej, że wyciągnąwszy rękę udało się jej złapać słuchawkę, ale kiedy przesunęła ją do ucha, telefon spadł jej na głowę.

– Cholera jasna, jeszcze i to! – powiedziała do słuchawki.

– Mamusiu, co się tam u ciebie dzieje? Kapałaś się? Dzwonię i dzwonię, a ty nie odbierasz.

– Bo się przewróciłam.

– Rany boskie! Nic ci się nie stało?

– Chyba nie, ale ciężko mi wstać.

– Już biegnę. O Matko Boska, Matko Boska! – usłyszała jeszcze Zofia, a potem połączenie zostało przerwane. Odłożyła słuchawkę na leżący obok niej telefon i uświadomiła sobie, skąd pochodzi ból na jej głowie i czole. Pomacała je i wyczuła guza. Kasia ma klucze, nie muszę się gimnastykować z tym wstawaniem – pomyślała. Z rezygnacją położyła się na boku, bo stłuczone kolano nie pozwalało jej za długo pozostawać na kłęczkach. Po kilku minutach usłyszała zgrzyt klucza w zamku i zdyszana córka podeszła do niej.

– Rozbierz się najpierw – powiedziała Zofia. – Leżałam tyle, to jeszcze trochę wytrzymam.

– To znaczy ile, jak długo tak leżysz?

– Nie wiem, nie patrzyłam na zegarek.

– No dobrze. Już cię podnoszę. Najpierw pomogę ci usiąść, a potem będziemy próbowały wstać.

– Nie wiedziałam, że aż taka ze mnie niezdara.

– O co się potknęłaś?

– O nic. Trochę kręciło mi się w głowie, nie wiem, jak to się stało.

– A o co rozbiłaś czoło? Widzę guza.

– Telefon spadł mi na głowę. Jest bardzo ciężki.

– Ojej, rzeczywiście! Po co ci taki staroświecki grat. Musimy kupić coś nowocześniejszego.

– Ten antyk ma tyle lat co ja!

– Niech ma, ale ty powinnaś mieć lepszy aparat. Boli cię coś?

– Trochę głowa, to znaczy czoło, i kolano. Ale nie wiem, czy jest słuźzone, czy od reumatyzmu.

– Zaraz zrobię ci kompresy. A w ogóle zabieram cię do siebie, nie możesz teraz mieszkać sama. Jeśli ja przeniosłabym się do ciebie, nie dałabym rady wszystkiego ogarnąć.

Nie przyznawała się, że już od jakiegoś czasu nie ogarniała wszystkiego. Zająć miała nadal dużo. Dom, praca, tłumaczenia, działalność społeczna w związkach twórczych, a do tego wszystkiego doszła intensywna opieka nad matką. Zagrożenie kogoś bliskiego zawęza świat do tego problemu. Zrozumiała to dzisiaj, kiedy zadzwonił do niej kolega z zarządu ZASP-u i opowiadał o trudnej do rozstrzygnięcia intrydze. Nie mogła się na tym skupić, nie słuchała zbyt uważnie, bo myślała tylko o tym, że jest już po dziesiątej i powinna była skontaktować się z matką.

To prawda, że w ostatnich latach Zofia miewała problemy ze zdrowiem, ale nigdy nie ciągnęło się to tak długo, nie było tak uporczywe i niejasne. Sam półpasiec oprócz bólu przysporzył jej osłabienia, w wyniku którego ponoć ją zaatakował.

W związku z tym nie pojechali w tym roku na Wielkanoc do Leśnego Domu, a z powodu niedyspozycji żołądkowej Zofii Kasia ograniczyła przygotowania świąteczne. Nie chcieli się objadać smakołykami przy nie mogącej też z tego skorzystać Zofii.

– Nie możesz teraz chorować – zwrócił się do niej Maciek. – Musisz zbierać siły, bo opracowuję właśnie plan obchodów twojego stulecia. Będzie duży zjazd i wielka feta.

– Och, kiedy to będzie! – odezwała się potencjalna jubilatka. – Zdążę sto razy wyzdrowieć.

– Jak to kiedy? Za dwa lata. To wcale nie tak długo, jak się wydaje. Musisz przygotować na tę okazję jakąś atrakcję sprawnościową. Na swoją dziewięćdziesiątkę jeździłaś na rowerze, pamiętasz?

– Co tu planować, co będzie za dwa lata... – powiedziała. – Tymczasem idę do toalety.

Podniosła się, zrobiła dwa kroki i nagle straciła równowagę i upadła tuż obok pianina, na szczęście nie uderzając o jego rzeźbione nogi. Kalczyńscy zerwali się ze swoich miejsc i podnieśli ją. Córka zaprowadziła ją do toalety i poczekała, żeby asekurować ją do łóżka.

Czemu ona się przewraca – zastanawiała się Kasia. – Zdarza się jej to coraz częściej.

– Może za dużo leży w łóżku – skonstatował Maciek.

– A co ma robić, jak jest chora i słaba? Ten półpasiec dał jej popalić.

W drugi dzień świąt Zofia nie wzięła już nic do ust, bo nękały ją mdłości, a nazajutrz obudziły ją wymioty. Córka zadzwoniła do lekarki w przychodni, a ta poradziła, by zaraz zawieźli matkę do szpitala na ostry dyżur.

– To wszystko nie jest normalne – powiedziała. – Trzeba by panią Zofię dokładnie przebadać.

Maciek sprawdził w gazecie, gdzie jest ostry dyżur. Był akurat na Banacha, czyli blisko ich domu. Kasia umyła i ubrała matkę. Poskładała jej ekwipunek na wypadek, gdyby ją zatrzymano.

Wszyscy byli zdenerwowani. Maciek zaczął komenderować, tak jakby mieli jechać gdzieś daleko. Stres zawsze powodował u niego rozdrażnienie i popychał go do nerwowych rozkazów. Kasia w milczeniu krzątała się, ale ręce się jej trzęsły.

Kolejka w izbie przyjęć była, sądząc po przetaczających się tłumach, długa. Po trzech godzinach oczekiwania poprosiła męża:

– Posiedź tu z mamą, a ja dowiem się, czy z uwagi na jej wiek nie można by czegoś przyspieszyć.

Dopiero o piętnastej trzydzieści wywołano Zofię po nazwisku. Pojawił się sanitariusz, posadził ją na wózku i zawiózł do gabinetu lekarskiego. Po



wywiadzie zaczęły się badania. Już pierwsze, które jej zlecono, przyniosło sensację. Okazało się, że Zofia ma dużego guza w przełyku, tuż u ujścia do żołądka. Po badaniu USG lekarz wezwał Kasię i powiedział jej o tym. Była przerażona.

– I co teraz będzie? Operacja? – zapytała. – Czy mama to przetrzyma?

– Jeszcze nie wiemy. Trzeba ją zostawić na oddziale i wykonać dodatkowe badania, by przekonać się, czy guz jest złośliwy, operowalny i tak dalej. Ale proszę się nie zamartwiać. W mamy wieku to się szybko nie rozwija. Zresztą nie wiemy jeszcze, jaki to rodzaj guza, może łagodny... – pocieszał ją, widząc, że jest roztrzęsiona.

– Jak mogłam coś takiego przeoczyć?

– Jeśli choroba nie daje objawów, trudno ją wykryć.

– Ale od Bożego Narodzenia mama czuła się źle, trzeba było przyjść tu wcześniej.

– Nie poszliście do lekarza?

– Ależ poszliśmy. Nie raz i nie dwa. Stwierdzili niestrawność, płuca, lecz nikt nie wpadł na to, żeby wykonać USG.

– Teraz wiemy, czego się trzymać. Proszę schować wynik, zaprowadzić mamę na rentgen płuc i przyjść do gabinetu, który zlecił badanie, po skierowanie do szpitala. Kiedy pani już je będzie miała, sanitariusz odwiezie pani mamę na oddział.

– Dziękuję panie doktorze.

– Nie ma za co. Nie lubię być heroldem niedobrych nowin.

Siedząc pod drzwiami pracowni rentgenologicznej Kasia zadzwoniła do Maćka, który pojechał do domu, by tam czekać na sygnał, kiedy będzie potrzebny. Powiedziała mu, jaki jest wynik USG. Potem jeszcze połączyła się z siostrami matki i swoją córką. Podzielenie się złymi informacjami bynajmniej nie przyniosło jej ulgi.

Kurczowo trzymała się nadziei, że to nie jest, nie daj Bóg, wyrok.

Trzytygodniowy pobyt matki w szpitalu był brutalnym uświadomieniem rodzinie, że wyzdrowienie nie jest możliwe. Nieprzyjemne badania i ich wyniki sprawiały, że bliscy Zofii coraz niżej spuszczały głowy. Optymistyczna Kasia, która ilekroć się czegoś spodziewała, zawsze liczyła na szczęśliwe rozwiązanie, teraz musiała się poddać. Wiadomości były coraz gorsze. Wreszcie ustalono pełną diagnozę: nowotwór złośliwy, nieoperowalny ze względu na wiek i słabe serce pacjentki. Jedną z

znajomych przekazała jej telefon pewnego profesora farmacji, który podobno stworzył cudowny lek – Selol, zwalczający raka. Podobno pracował nad tym przez całe swoje zawodowe życie i lek na bazie oleju niejednej osobie już pomógł. Kasia, która pertraktowała właśnie z rodzeństwem, żeby przyjechali matkę odwiedzić, poruszyła też temat pieniędzy, gdyby były potrzebne na ten lek. Bowiem specyfik ten, jak się dowiedziała, nie uzyskał jeszcze prawa wpisania go na listę leków, czyli jest ponoć cudowny, ale nielegalny, a takie rzeczy na ogół nie są tanie. Wydatki na leki ratujące życie zawsze są dla rodziny zaskoczeniem, ale po długiej naradzie wszyscy postanowili zgromadzić tyle środków, ile będą mogli. Jednak nie było to konieczne. Profesor Piotr Suchocki udostępniła swój wynalazek nieodpłatnie. Kasia obejmowała wielką butlę jak drogą istotę i nadzieja rosła w jej sercu. Niestety Zofia nie tolerowała Selolu, jej żołądek natychmiast go odrzucał. Wymioty tak ją męczyły, że lekarze w końcu zabronili go aplikować.

Pela i Ania przyjechały znad morza, odwiedzały matkę przez dwa dni a potem musiały wracać do swoich spraw. A ją wypisano ze szpitala ze skierowaniem do hospicjum. Kasia nie mogła uwierzyć w taki werdykt. Dowiedziała się wtedy, że jest też możliwość zorganizowania tak zwanego hospicjum domowego. Takie rozwiązanie zdecydowanie lepiej jej odpowiadało. Po załatwieniu odpowiednich dokumentów zaciągnęła języka, jak się do tego zabrać. Okazało się, że przy odpowiednim udokumentowaniu choroby ma prawo do wezwań lekarza dwa razy w tygodniu i może liczyć na pomoc pielęgniarską, gdyby były potrzebne iniekcje czy kroplówki. Kasia przeniosła się do matki, żeby tym wszystkim kierować.

W pierwszych dniach po powrocie do domu Zofia poczuła się znacznie lepiej. Nabrała wigoru, ba! zaczęła nawet dyrygować przestawianiem mebli.

Rozejrzała się po swoim królestwie z zadowoloną miną. Ogarnęła wzrokiem oszklone szafy z rzeźbionymi i uszytymi przez siebie lalkami, z pamiątkowymi dyplomami z wystaw. Osobiście poszła wyrównać rzędy pięknych filizanek w zabytkowym kredensie. Powiedziała:

– Fajne to moje muzeum. Ale Dorotce trzeba zmienić ubranie. To, które ma na sobie, jest zakurzone.

Dorotka to duża, śliczna lalka Zosi, którą jej babcia przywłaszczyła sobie, gdy wnuczka przestała się nią bawić. Uszyła jej kilka ubranek i kapelusików na zmianę i posadziła ją na szafie, żeby cieszyła oczy.

– Dywan leży krzywo, nie widzisz? – powiedziała do Kasi chora pedantka.

– Jutro poprawimy, kiedy przyjdzie pielęgniarka. Sama nie dam rady – broniła się córka.

Gdyby nie wspomniały, empatyczny człowiek, znajomy Kamy Wojtek Plitta, Kasia nie dałaby sobie rady z organizacją domowego hospicjum. Nie znosiła tej nazwy, przy rozmowach starała się ją omijać. Jednak utrzymywanie matki w formie było coraz trudniejsze. Przede wszystkim dlatego że nie chciała jeść. Ona, która po tylekroć uratowała córkę od śmierci głodowej w ZSRR, teraz podjęła dobrowolną decyzję, żeby się zagłodzić. Tak mówiła jej córka, bo ona sama temu przeczyła. Gotowała jej dietetyczne potrawy bardzo starannie, ale matka na wszystko kręciła nosem. A potem wymiotowała.

– Mamusiu, tak dalej być nie może – powiedziała już nie wytrzymująca tego Kasia. – Nie możesz nabrać sił i zdrowieć bez jedzenia. Lekarka powiedziała, że powinnaś jadać coś, na co naprawdę masz apetyt. Jest coś takiego?

– Kaszka krakowska. Ona by mi pomogła. Ale chyba jej nie mam, skończyła się.

– Wobec tego kupię. Powiesz mi, jak ci ją przyprawić. Zrobię tak, jak lubisz. Tymczasem będę musiała poprosić, żeby cię dokarmiano kroplówką i specjalnymi preparatami dla chorych.

Ale kroplówki chociaż odżywiały, jednocześnie oszałamiały Zofię. Była wtedy mniej komunikatywna, bardziej śpiąca.

Pewnego popołudnia, kiedy Kasia ją myła i przebierała, siedząca na brzegu łóżka matka zsunęła się z niego i wylądowała na podłodze. Chociaż przez ostatnie miesiące Zofia schudła o kilkanaście kilogramów, Kasia w żaden sposób nie mogła sama podnieść jej na tyle, by ją posadzić znów na łóżku. Była zrozpaczona, chciała dzwonić do Zosi, ale uświadomiła sobie, że córka jest właśnie na wywiadówce w szkole Oliwki. Właściwie przypomniał jej o tym Michaś, którego zostawiła razem z psem pod opieką babci u prababci. Michaś zaofiarował swoją pomoc w unoszeniu prababci, ale miał zaledwie sześć i pół roku i nie dał rady. Wtedy to zadzwoniła jedna z jej przyjaciółek, jeszcze z „Mazowsza”, Ania Majewska, z informacją, że jedzie do nich. Kasia opowiedziała jej, jaki mają kłopot. Anka powiedziała:

– Okryj mamę, żeby nie zmarła. Przyjadę, to ci pomogę, mam w tym dużą wprawę.

Rzeczywiście Ania w ciągu ostatnich lat dużo musiała opiekować się chorymi. Pielęgnowała leżącego w łóżku ojca, potem swoją matkę, później

matkę i siostrę przyjaciela. Prześliczna Ania, do niedawna jedna z czołowych modelek Mody Polskiej, miała duszę samarytanki, kochano ją za to. Teraz też przyjechała, zdjęła buty, weszła na łóżko Zofii, schyliła się, chwyciła ją pod pachy i wciągnęła na łóżko. Następnie przeskoczyła ją i znalazła się na podłodze. Tak po prostu.

Wojtek dał Kasi numer telefonu do Ośrodka Pomocy Społecznej, gdzie można poprosić o pomoc wolontariuszy. Są to opiekunki i opiekunowie chorych, przeszkoleni w tym kierunku, a także pielęgniarki, masażyści i tak dalej. Po kilku dniach bowiem Kasia coraz bardziej nie dawała sobie rady sama. Córka pomagała jej w miarę możliwości, ale miała przecież pracę, była teraz samotną matką opiekującą się sześciolatkiem i trzynastolatką, więc musiała poświęcać im dużo czasu. A jej pogrążona w rozpacz matka nie mogła zadbać o swój dom, męża. Na okres pielęgnacji Zofii przeniosła się do niej. Nie chciała zajętej córki obciążać robieniem zakupów, a sama nie mogła wyjść z domu, bo bała się chorą zostawiać samą bez opieki. Zdecydowała się więc zadzwonić do Ośrodka, który przysłał jej młode wolontariuszki. Dziewczęta były cierpliwe i staranne. Kiedy przychodziły (miały dyżury codziennie na zmianę), mogła wyjść z domu i pozałatwiać trochę koniecznych i nagłych spraw.

Kasia uzgodniła z siostrami, że nie będą uświadamiały matce tego, w jakim jest stanie i na jakim etapie choroby, bo to jej nie pomoże, a może zaszkodzić. Nie chciały, żeby poddała się za szybko.

Lekarka odwiedzająca chorą przynajmniej raz w tygodniu zarządziła, aby wszystkie osoby opiekujące się Zofią sporządzały notatki w odpowiednich rubrykach zeszytu, który zostawiła, z tego, co przy niej robią, jakie podają lekarstwa, kroplówki czy też jakim zabiegom jest poddawana.

Spośród opiekunek najbardziej wyróżniała się Bożenka Mikołowicz, dziewczyna o wielkim sercu. Była niezwykle ciepła i staranna. Ale też innym, które przewinęły się przez dom Zofii, nic nie można było zarzucić.

Poza tragedią, którą była nieuleczalna choroba matki, Kasia miała wtedy całkiem dobry okres w życiu i pracy zawodowej. Co z tego, gdy z trudem to do niej docierało. Świat stanął w miejscu. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że życie jej dzielnej, niezwyklej matki wisi na włosku. Wzdrygała się, gdy tłumaczono jej, że nic dla wyleczenia w hospicjum się nie robi, że chodzi w tych staraniach tylko o złagodzenie cierpienia. Oddałaby wszystko za to, żeby stał się cud i Zofia zaczęła zdrowieć.

I co z tego, że wydano ponownie przetłumaczone przez nią książki Mai Tarnowskiej, że podpisała umowę na film do jej scenariusza, że pozytywne recenzje zbierał jej program „Mistrz i uczeń”. Wszystkie te sukcesy zdawały się nie mieć dla niej znaczenia. Chciała teraz jednego – uratowania życia matki. I żyła nadzieją, że może to się uda. Niechętnie wychodziła z domu i tylko po to, żeby załatwić konkretne sprawy i zrobić zakupy.

W ostatnich dniach kwietnia została zaproszona do redakcji nowego miesięcznika quasi-literackiego, do którego miała pisać felietony i opowiadania.

Mentalnie Zofia była ciągle w dobrej formie, czytała książki, ale nie chciała oglądać telewizji. Chętnie rozmawiała ze wszystkimi. Problemy zaczynały się wtedy, kiedy trzeba było coś zjeść. Córka niezmiennie sporządzała jej potrawy, na które rzekomo miała apetyt, tak zwane wymarzone, ale konsumpcja ich wyglądała żałośnie.

Zaczęły się też silne bóle w dołku. Pani doktor szybko na nie zaradziła, przepisując plaster przeciwbólowy z morfiną. Pierwszego maja zaczęły rozmawiać o Leśnym Domu. Wyjazd tam stał pod znakiem zapytania, ale Kasia wymyśliła, że zabierze tam matkę, choćby miała ją wozić na wózku. Świeże powietrze Puszczy Piskiej na pewno ją wzmocni.

Zosia z dziećmi i Maciek pojechali tam na wielki weekend majowy, szykować dom na nowy sezon. Kiedy wrócili, nie mogli już z babcią porozmawiać. Zapadła w coś przypominającego śpiączkę, kiedy córka wyszła po zakupy. Młoda kobieta, która z nią została, mówiła, że w czasie porannej toalety była tak zmęczona, iż leciała przez ręce, więc lepiej będzie, jak sobie pośpi. Tylko że jej sen trwał i trwał na wzór letargu. Wieczorem Kasia, która chciała ją nakarmić, usiłowała ją obudzić, ale nie powiodło się to do końca. Okazało się, że matka słyszy, co się do niej mówi, ale słabo na to reaguje. Kiedy córka powiedziała jej, że Maciek z Zosią i jej dziećmi wracają właśnie z Leśnego Domu i za dwadzieścia minut przyjdą się przywitać, nie otworzyła wprawdzie oczu, ale uśmiechnęła się.

Kasia była uszczęśliwiona. A więc matka nie jest nieprzytomna, tylko zmęczona. Wezwana lekarka przepisała jej wzmacniające i odżywiające kroplówki.

Zosia i dzieci nie mogli jednak nawiązać z nią kontaktu i wyszli załamani.

Ślepy po leczeniu chemioterapią Pirat wyczuł jej obecność i wskoczył na łóżko. Polizał ją po rękach i jego ogonek podwinął się smutno. Ułożył się

przy jej nogach. Sam będąc chory, postanowił przy niej czuwać. Tylko jej zawsze słuchał, tylko ją bezgranicznie szanował...

W ciągu następnych dni nic się nie zmieniało. Zofia odżywiana była wyłącznie kroplówką, nic już nie jadła i nie piła. Byli bezsilni wobec okrucieństwa losu. To, że za kilka dni skończy dziewięćdziesiąt osiem lat, nie miało w tym momencie znaczenia, mentalnie była co najmniej o dziesięć lat młodsza. Nikt nie traktował jej jak zaawansowanej wiekiem staruszki. Jeszcze trzy, cztery dni temu była mimo choroby tak aktywna i dynamiczna w wyrażaniu swoich myśli, że trudno było jej bliskim uwierzyć, że to, co się z nią dzieje, może być nieodwracalne.

Tymczasem w tych dniach Maciek miał swoje imieniny. Jako zwolennik fetowania takich okazji z trudem pogodził się z tym, że w tym roku nie zaprosi się gości. Rozżalony okolicznościami, które do tego doprowadziły, uznał, że żona powinna uczcić solenizanta w domu chorej matki, u której mieszka. Kasia nie miała do tego głowy, ale nie sprzeciwiła się temu pomysłowi. Ugotowała dobry obiad, który stał jej w gardle, bo jadła go z mężem w tym samym pokoju, gdzie chora bez świadomości leżała pod kroplówką. Pamiętając jej uśmiech na wieść o odwiedzinach prawnuków, Kasia przez cały czas dręczyła się, co sobie biedaczka myśli słuchając wesołych przemówień przy kieliszku wina wygłaszanych przez solenizanta, który zaniedbany przez bliskich wziął inicjatywę w swoje ręce. Nawet zaintonował *Sto lat*, patrząc z lekką pretensją na nieskłoną do czczenia jego święta żonę. Czasem z córką śmiały się z jego uwielbienia jubileuszów, ale teraz nie było jej do śmiechu. Kiedy zniechęcony solenizant opuścił lokum, okryła matkę starannie i otworzyła szeroko okno, by pomachać mężowi, a jednocześnie wywietrzyć mieszkanie przed nocą, której się bała. Musiała coś przekręcić nie tak, gdyż zobaczyła, że rama większej części okna wypada z zawiasów i w ostatniej chwili zdążyła ją podtrzymać. Zamiast więc machać mężowi, zawołała do niego, by wrócił jej pomóc. Ale ku jej zdumieniu on powiedział:

– Zadzwoń do Zosi, muszę pędzić do domu, bo mam sensacje żołądkowe po winie.

No tak, powinna była się tego spodziewać. Maciek był bardzo niewprawnym konsumentem alkoholu. Właściwie nie lubił go, a kiedy już musiał kosztować, natychmiast czuł senność i zmęczenie.

– Wstąp albo zadzwoń do niej. Nie mogę sama zadzwonić, bo mam zajęte

ręce.

– Dobrze, dobrze, dobrze, dobrze – powiedział Maciej i nie oglądając się, poszedł.

Kasia się zmartwiła. Nie sensem wypowiedzi czy nawet obietnicy, ale sposobem jej wyartykułowania. Tak mruczał powtarzając słowa przed zaśnięciem, jeśli zdarzyło mu się choćby spróbować alkoholu. A teraz sam wypił prawie pół butelki wina. Dla takiego „pijaka” jak on to całe morze! Denerwowała się więc nie tylko tym, że nie może sobie poradzić z wielką wypadniętą z zawiasów ramą okienną, ale również, i o męża, czy bezpiecznie dotrze do domu, zamknie drzwi i tak dalej.

Zaczęła kombinować, jak się wyzwolić od trzymania ramy, na co, mówiąc szczerze, już zaczęło jej brakować sił. Poza tym pierwsze majowe dni były ładne, ale wieczorem ochładzało się na tyle, że wycieńczona i spocona chora leżąca przy oknie otwartym na oścież mogła się łatwo zaziębić. Tego by brakowało! Ta myśl tak ją zmobilizowała, że to, co wydało się jej zrazu niemożliwe, stało się osiągalne. Powoli, ostrożnie, centymetr po centymetrze opuszczała podtrzymywany ciężar, uważając, by o nic nie zaczepić, aż wreszcie udało się jej postawić największą, środkową część okna na podłodze. Wiktoria! Miała wreszcie wolne ręce!

Zabezpieczyła jeszcze dół, by rama się nie osunęła i – nie daj Boże! – szyba się nie stłukła. Przy jej drobnej posturze był to nie lada wyczyn. Mogła wreszcie zadzwonić do Zosi po pomoc. Wysłuchawszy nerwowego sprawozdania z całego zdarzenia córka powiedziała do niej tylko:

– Zaraz przyjdę, nie martw się.

Natychmiast po przerwaniu rozmowy Kasia wybrała numer telefonu pana Zbyszka, dozorca, modląc się w duchu, by jeszcze nie spał. Nie udało się. Telefon nie odpowiadał. Pan Zbyszek na soboty i niedziele wybywał do matki. Wyłączał telefon, bo chciał mieć spokój.

Zosia była niepokieszona, że nie można było go sprowadzić, słusznie przewidując, iż same mogą mieć z naprawą okna problem. Jednak po wielu zmaganiach udało się im wstawić ramę okienną we właściwe miejsce. Obie jak na komendę usiadły z ulgą. Na chwilę, żeby opanować nerwy.

– A dlaczego nie zawróciłaś się z tym do taty? – zapytała Zosia. – On jest ode mnie silniejszy.

Kasia opowiedziała jej o skutkach obchodów imieninowych wymyślonych przez ojca, po czym dodała:

– Dlatego chcę cię prosić, żebyś wracając do domu zajrzała do niego. Boję się, że nie zamknął drzwi, bo wychodząc stąd był bardzo niewyraźny z tym swoim: Dobrze, dobrze.

– A jak babcia się czuje? – Zosia pochyliła się nad nią z troską.

– Gdybym to mogła wiedzieć...

– Ciężko oddycha.

– No właśnie, pojawiły się też odleżyny na piętach. Dzwoniłam do lekarki. Powiedziała mi, jak je opatrzyć. Użyłam tej maści, którą mi przedwczoraj dała na wszelki wypadek. Wczoraj leżała spokojnie, dzisiaj lekko pojękuje i zachowuje się tak, jakby chciała zmienić pozycję. Nie wiem, czy słyszy, co do niej mówię.

– A co mówi lekarka?

– Że na dwoje babka wróżyła, może to być chwilowa zapaść, ale również to najgorsze. Nie dopuszczam do siebie takich myśli.

Zosia pogłaskała swoją babcię po twarzy, ta nie zareagowała, niestety.

– Czy chciałabyś, żebym tu z tobą została, mamu?

– Ma się rozumieć, że byłoby mi raźniej, ale co zrobisz z dziećmi?

– Tata nimi się zajmie.

– Nie dzisiaj, nawet go nie budź.

– Dzisiaj nie, ale jutro nie zostawię cię tu samej.

– Może jutro się jej polepszy?

– Może... wszystko może się zdarzyć.

– Och! Proszę cię...

– Gdyby coś się działo, dzwoń do mnie.

– Dobrze, ale nic się nie będzie działo.

– Miejmy nadzieję. Pa, mamuś! Zajrzę do taty, a ty też się dobrze zamknij.

– Dobrze, dobrze.

– Mówisz jak tata...

– No idź już moje dziecko, dzieci się tam bez ciebie denerwują – powiedziała Kasia i łzy zakręciły się w jej oczach. Tak niedawno słyszała te słowa z ust matki, a teraz... kiedy je znowu usłyszy?

Podeszła do łóżka. Kroplówka właśnie się kończyła. Powinna uważać, żeby ją w porę odłączyć.

Oby ta noc była spokojna... – pomyślała i z nadzieją, że matka ją usłyszy, powiedziała:

– Mamusiu, jestem tu z tobą i liczę na to, że jutro obudzisz się zdrowsza. –



Pocałowała ją delikatnie w czoło i rękę.

Sama jednak nie miała spokojnej nocy. Drzemała, zrywając się na każde westchnienie czy głośniejszy oddech matki. Dotykając ręki chorej stwierdziła, że jest chłodna. Wsłuchiwała się w jej oddech zauważyła, że jest równy, ale przyśpieszony. O czwartej rano zapaliła światło i już więcej nie zasnęła tej nocy.

Nazajutrz przyszła lekarka, zbadała Zofię i powiedziała, że ma podwyższoną temperaturę. Stąd ten przyśpieszony oddech, który tak martwił jej córkę. Zaaplikowała kroplówkę z lekiem na obniżenie temperatury. Kasia patrząc na wychudłe, zasinione od ukłuc ręce matki, płakała cichutko. Lekarka długo szukała na rękach chorej żyły, w którą można się wkłuć. Udało się i obie odetchnęły z ulgą.

Po godzinie kroplówki oddech chorej trochę zwolnił. Za godzinę skończy się ta kroplówka i Kasia będzie musiała podłączyć na jej miejsce glukozę i witaminy, czyli posiłek matki. Za następną godzinę przyjdzie Bożenka, podniesie ją na duchu, zrobi toaletę chorej i zaopiekuje się nią przez trzy godziny, kiedy to Kasia zrobi zakupy i pójdzie ugotować coś mężowi. Jeszcze raz pobłogosławiła bliskość obu mieszkań. Bez tego nie dałaby sobie teraz rady.

– Jak się czujesz nieszczęsny solenizancie? – zapytała po przyjściu do niego.

– Przesadziłem z winem, ale już jest dobrze. A jak mama?

– Nasłuchiwała się wczoraj sprawozdania na żywo z obchodów imieninowych w jej domu, kiedy leży chora i dostaje gorączki.

– I mnie o to obwiniasz?

– Nikogo nie obwiniam. Miałyśmy straszną przygodę z oknem. Prosiłam, żebyś wrócił i pomógł.

– Nic takiego nie pamiętam. Co się stało?

– Tak myślałam. Kiedy miałam ci pomachać, jakoś nie tak je otworzyłam i wypadło z zawiasów. A może ten majster, który je wymieniał, zrobił coś nie tak?

– Które okno?

– Tego też nie pamiętasz? To środkowe, największe. Musiałam się z tym uporać z pomocą Zosi. Sama nie wiem, jak dałyśmy radę.

– Najważniejsze, że to zrobiliście. Zosia jest dzielna – dodał z dumą.

– No dobra! Ja się biorę do roboty – odrzekła na to.

Maciek przekonywał ją niejednokrotnie, że gotuje mu za dużo i nie jest w stanie sam tego skosztować. Bywało już tak, że zanosił część potraw do Zosi. Tymczasem jego żona, nękana wyrzutami sumienia, że w czasie choroby matki mniej się nim zajmuje, przyrządzała mu ulubione potrawy w nadmiarze, jakby tą ilością chciała mu coś zrekompensować. Tym razem zrobiła mu cały gar gołąbków. Kilka z nich wyjęła, żeby zjeść je z Bożenką. Wczorajszy solenizant nie był tego dnia zbyt rozmowny, właściwie przysypiał przez cały czas. Po dwóch godzinach wróciła więc do domu chorej matki.

– Jak z mamą? – spytała dyżurującą przy niej Bożenkę.

– Bez zmian, ale nie jest dobrze. Sądzę, pani Kasiu, że powinna się pani liczyć z tym, że...

– Nie chcę tego słyszeć, nie, nie, nie!

– Przepraszam. Wiem, jakie to trudne.

– Nie mówmy o tym, dobrze? Chcesz spróbować gołąbków? Podobno jestem w przygotowywaniu ich mistrzynią. Tak twierdzi moja rodzina.

– Chętnie.

– Zaraz podgrzeję, zjemy razem. A moja biedna mama głoduje...

– Po kroplówce nie powinna czuć głodu.

– Wszystko we mnie buntuje się przeciw tym kroplówkom. Zawsze była po nich jakaś mętna, oszołomiona. Nawet wtedy, kiedy była jeszcze kontaktowa.

Bożenka siedziała i wypełniała pracowicie rubryki zeszytu zostawionego przez lekarkę, która prosiła, żeby zapisywać wszystko, co się robi przy chorej. Nie chcąc jej przeszkadzać, Kasia weszła do kuchni i postawiła na gazie garnek z gołąbkami w pomidorowym sosie. Ukroiła kilka kromek chleba, ułożyła je na talerzyku, potem nakryła do stołu i podała zagrzane przysmaki.

Po południu Zofia zaczęła coraz ciężiej oddychać. Po pewnym czasie zamieniło się to w chrapliwy jęk. Zosia po rozmowie telefonicznej z matką poprosiła ojca o nocowanie z dziećmi, a sama przysłała do babci.

Kasia była przerażona. Jej matka najwyraźniej mocno cierpiała. Nie wiedziała, jak jej pomóc. Kroplówki na ten dzień były wyczerpane, plasterki przeciwbólowe przyklejone. Kiedy zatelefonowała do lekarki, ta wysłuchawszy jej powiedziała, że to może być agonia. Tak zwyczajnie, rzeczowo mówiła takie rzeczy.

Kasia zmęczona po całym dniu czuwania i nieprzespanej nocy przysunęła swój rozkładany fotel do łóżka matki, żeby mogła trzymać ją za rękę. Ta ręka spocona i wychudła nie była zbyt ciepła. Chciała, żeby Zofia czuła jej obecność i troskę. Zosia położyła się na rozkładanym łóżku obok matki. Obie była bezradne.

Jęki Zofii nie ustawały przez całą noc. Lekarka proszona o instruowanie ich, co mogą dla niej zrobić, żeby mniej cierpiała, powiedziała, żeby nie przesadzać z lekami, których doustne nie można jej podać, a kroplówek miała już dużo. Uznała, że to może być przesilenie i że trzeba czekać.

Czekały więc bezradne i zrozpaczone.

Rano lekarka zadzwoniła i dowiedziawszy się, że chora ucichła, poprosiła, żeby zmierzyły jej gorączkę. Okazało się, że ma czterdzieści jeden i pół stopni Celsjusza. Za radą lekarki zrobiły jej kompres na głowę i wezwały pogotowie. Przyjechali po pół godziny. Lekarz zrobił jej zastrzyk na obniżenie temperatury i potwierdził opinię lekarki, że trzeba się spodziewać najgorszego. Kasia nie mogła sobie darować tego, że zamiast trzymać matkę za rękę, mogła robić jej kompresy na głowę, które przyniosłyby ulgę.

Około dziesiątej Zosia poszła zająć się dziećmi, zrobić im obiad i wytłumaczyć, że stan zdrowia prababci jest ciężki i musi wracać, żeby nie zostawiać tam babci Kasi samej.

Około czternastej trzydzieści wróciła do domu swojej babci. Wzięła ze sobą swoją sukę, która obwąchała rękę Zofii i położyła się, by czuwać przy łóżku.

Obie były smutne i załamane, ale nie chciały wierzyć, że może dojść do czegoś ostatecznego. Zofia leżała spokojnie, oddychała cichutko i wyglądała tak, jakby spała. Wojtek dowiedział się od Maćka o stanie chorej i zatelefonował, żeby zapytać, czy nie potrzebują księdza. Nie przyszło im to do głowy. Być może dlatego, że Zofia wierzyła bardziej w Boga niż kościelne rytuały. Ale przede wszystkim odpychały myśl o wszelkich działaniach finalnych, które je przerażały. Nie chciały kusić losu. W końcu uznały, że nie powinny zaniechać tego, o czym mówił Wojtek.

Ksiądz namaścił Zofię o godzinie piętnastej piętnaście. Przed czwartą chora poruszyła się, otworzyła na chwilę oczy i widać było, że coś się z nią dzieje. Natychmiast córka i wnuczka były przy niej. Otworzyła oczy jeszcze raz, złapała oddech i znieruchomiała. Obie trzymały ją za ręce, przemawiały do niej czule. W tym znieruchomieniu wyglądała jakoś inaczej. Spokojnie i

dostojnie. Żadna z nich nigdy nie była przy osobie umierającej, ale teraz wiedziały i czuły, co się stało. Spojrzały na zegarek. Była piętnasta czterdzieści osiem. Z rozpaczą w sercach szukały jej pulsu, uderzeń serca. Nie znalazły. Również oddechu. Wszystko ustało. Pochylały się nad nią skamieniałe. Nie wiedząc, co robić, objęły się i cicho płakały.

– Trzeba zawiadomić wszystkich – powiedziała Zosia i zatelefonowała do Maćka. Połączyły się potem z Anią, Pelą i Piotrem. Telefon odebrała Kama.

– Przyjdziemy ją pożegnać, zanim ją zabiorą.

– Jak to zabiorą? Mama zostanie tu do pogrzebu, nigdzie jej nie oddam.

– Tego się nie robi. Trzeba zadzwonić do któregoś z zakładów pogrzebowych i oni przyjadą, żeby ją zabrać do swojej chłodni.

– Jutro zadzwonimy.

– Nie jutro, tylko zaraz. Zadzwoniecie do Wojtka, on wam we wszystkim pomoże przez swój ośrodek. A był lekarz, który stwierdził zgon?

Kasia nie wierzyła własnym uszom. Jak można mówić w tak prozaiczny i bezduszny sposób o tym, co dotyczy jej najdroższej matki: „stwierdzenie zgonu”, „zabrać do chłodni”... I wszystko to dzieje się tak szybko, a świat nawet nie zadrżał ze zgrozy. Jak to możliwe?

Wojtek dowiedziawszy się o śmierci Zofii wziął wszystko na siebie. Domyślał się, jak córka i wnuczka są roztrzęsione, a on pracując w ośrodku opiekuńczym dla starszych ludzi nie raz musiał się z takimi formalnościami zmierzyć. Wezwał więc znajomego lekarza, a kiedy ten dotarł do ich domu i potwierdził zgon, Wojtek dał im numer telefonu sprawdzonego zakładu pogrzebowego. Obie zrozpaczone kobiety uznały, że zanim ktoś stamtąd przybędzie, same zmarłą umyją i ubiorą.

Ledwie to skończyły, usłyszały kolejny dzwonek do drzwi. Kolejny, bo już kilka osób przyszło, żeby się z Zofią pożegnać. Był to Maciek, Kama i Piotr oraz ich sąsiadka.

Teraz przyjechali mężczyźni z zakładu pogrzebowego. Byli zdziwieni że Zofia jest ubrana. Fachowo przenieśli ją na małe nosze, przykryli prześcieradłem i zabrali. Wszyscy wyszli za nimi przed dom. Na noszach ta, która przez całe życie była ich wielką podporą i miłością, teraz wydawała się drobna jak dziecko. I tak to się opuszcza swój dom na ziemi... – pomyślała Kasia i zalała się łzami. Na zawsze miała zapamiętać ten przygnębiający widok.

## Rozdział trzynasty

– Chodźmy stąd – powiedział Maciek. – Bez mamy ten dom jest smutny.  
– Masz rację tato, idę zawiadomić dzieci. Nie wiem, czy potrafię im to powiedzieć.

– Ale ja muszę jeszcze... – zaprotestowała Kasia.

– Nic dzisiaj nie musisz. Wracaj do siebie i odpocznij trochę. Zamykamy ten dom i kropka – zdecydował Maciek.

I kropka... Jakież to lapidarne i prawdziwe – westchnęła Kasia.

Wróciła do domu i nie mogła sobie znaleźć miejsca. Z trudem uświadamiała sobie, co się stało, i nie mogła w to uwierzyć. To prawda, przywilejem było, że miała matkę sama będąc po siedemdziesiątce, ale to przez to długie wspólne niezwykle życie czuły się tak mocno z sobą związane. Czemu to potoczyło się tak szybko, tak błyskawicznie? Była nastawiona na długą nad nią opiekę. Wyobrażała sobie, jak będzie ją wozić na wózku po lasach wokół Leśnego Domu... Ale tego wszystkiego już nie będzie...

Przed wieczorem zadzwonił telefon. To była Berni. Zapytała o zdrowie madame Sophie.

– *Ma mère... elle n'existe plus...* – odpowiedziała Kasia i sama się sensem tego, co mówi, zdumiała.

– *Oh, ma pauvre! Comment je te comprends! C'était quand?*

– *Il y a déjà quatre heures.*

– *Et l'enterrement est quand?*<sup>3</sup>

– Jeszcze nie wiem.

– Pamiętasz, kochana, jak pomogłaś mi po śmierci mojego syna? Nigdy ci tego nie zapomnę. A teraz kolej na mnie. Oferuję ci pracę, która cię ocali.

– Jesteś kochana, Berni. Ale jeszcze za wcześnie, żeby o tym mówić.

– Masz rację. Porozmawiamy po pogrzebie.

– Dziękuję, że zadzwoniłaś, że jesteś taka serdeczna. Do usłyszenia, Berni.

– Całuję cię z całego serca.

Rozmowa ta uświadomiła Kasi, jak trudno jej będzie teraz komunikować się ze światem i zawiadamiać o tym, co się stało.

- Co ty jeszcze robisz? – zapytał Maciek. – Połóż się wreszcie, odpocznij.
- Chcesz kolację? – spytała Kasia.
- Dam sobie radę, a ty coś przekąsisz?
- Dzisiaj? – oburzyła się. – Pójdę jeszcze na chwilę do Zosi, pocieszyć dzieci, bo pewnie płaczą.
- Ty pocieszysz? Daj im spokój, wystarczy, że spojrzą na ciebie, a jeszcze bardziej się zdenerwują i rozpłaczą.
- Mimo to pójdę. W nieszczęściu rodzina powinna być razem.
- Poczekaj, wobec tego przekąszę coś i pójdę z tobą.
- Dobrze.

Maciek poszedł do kuchni, a ona oglądała zdjęcia matki i wpatrując się w jej portret wiszący nad łóżkiem myślała, że tylko taką ją teraz będzie widziała. Coś okropnego! „Śpieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą, zostają po nich buty i telefon głuchy...” – przemknęły jej przez głowę słowa księdza Twardowskiego i natychmiast wykręciła numer matki, a nuż się odezwie. Telefon dzwonił, lecz nikt nie odbierał, w końcu jakiś obojętny obcy głos zaproponował: „po sygnale nagraj wiadomość”.

Maciek miał rację, nie należało tego dnia bardziej roztrajać dzieci. Na widok babci Kasi znowu zalały się łzami, rozumiejąc, co dla niej znaczy ta strata. Kasia przypomniała sobie, jak czteroletnia Oliwka rozpacziała po śmierci ojca Larka, nie tylko jako po dziadku, ale też z tego powodu, że „jej tatuś nie będzie miał już tatusia”. Niebawem Oliwka skończy lat czternaście i jeszcze mocniej przeżywa stratę ukochanej prababci, z którą czuła się związana. Mały Michaś jesienią pójdzie do szkoły. Też jest bardzo wrażliwy i płacze jak bóbr.

Pomimo tego, że Kasia miała za sobą już dwie bezsenne noce, również tym razem zasnęła dopiero nad ranem. Leżąc z otwartymi oczami coraz bardziej uświadamiała sobie rozmiar nieszczęścia i nieodwracalność tego, co się wydarzyło. Rozpacz porwała ją w swoje ramiona i dosłownie wyła z bólu. Nad ranem napisała wiersz dla matki, który postanowiła włożyć jej do trumny. Maciej zaglądał do niej.

- Wiem, co czujesz – mówił – ale płacz, płacz, musisz się wypłakać.

Zasnęła na krótko, a kiedy się obudziła, jej męża już nie było. Nie mogła sobie przypomnieć, jakie ma zajęcia. Pomyślała, że może poszedł kupić coś na śniadanie, ale zbyt długo go nie było, żeby mogło to być prawdą.

- Na dwunastą umówiona była wizyta w agencji pogrzebowej. Wcześniej

córka Kasi musiała odprowadzić malucha do przedszkola, ugotować obojgu dzieciom obiad i posprzątać mieszkanie, bo czuwając przy babci trochę je zaniedbała. Obie miały nadzieję, że Maciek pojedzie z nimi załatwić formalności, ale jego ciągle nie było.

Pojawił się za dwadzieścia dwunasta z rozradowaną miną.

– Nie masz pojęcia, co mi się udało załatwić! Zgadnij!

– A dajże ty mi spokój, nie mam teraz głowy do zagadek. Że też może cię w tej chwili coś cieszyć.

– Ty też będziesz zadowolona. Załatwiłem mamie miejsce na Powązkach, tuż obok grobu moich rodziców. Na tym wolnym miejscu, które zawsze sprzątamy.

– Naprawdę? Jak ci się to udało?

– Wziąłem twoją książkę, płytę, pokazałem księdzu i podarowałem, rzecz jasna. Powiedziałem, że zmarła sybiraczka, która zasługuje na miejsce na tym cmentarzu, a ja takie znam. On po zastanowieniu się powiedział:

– To miejsce rzeczywiście jest wolne i ludziom kultury możemy je oddać. Będzie kosztowało piętnaście tysięcy złotych. Można wpłacić zadatek i w ciągu trzech tygodni resztę.

– Mama zaczęła działać zza grobu, o tym mogłam tylko marzyć. Tak się martwiłam, gdzie ją pochowamy. Dziękuję ci, Maćku, to wielka sprawa w tym całym nieszczęściu.

Zbawienny nawał formalności do załatwienia już niejednego żałobnika uratował przed załamaniem. Przy tych konkretnych zajęciach nie można się rozklejać, bo od uwagi zależy to, jak się zmarłego pożegna i pochowa. Kasia z Zosią dowiedziały się, że pogrzeb na Powązkach jest możliwy piętnastego maja o godzinie czternastej. Kiedy wchodziły po schodach do tamtejszej kancelarii zarządu cmentarza, zadzwonił telefon, z wiadomością, że zaliczka za prawa do sfilmowania książki na podstawie tłumaczenia Kasi została przelana na jej konto.

– Mama troszczy się o nasze finanse, jak zawsze – stwierdziła Kasia.

– Wobec tego zapłaćmy całą sumę za miejsce – ucieszyła się Zosia.

– Tak zrobimy.

– Proszę księdza – zapytała Zosia – czy to w porządku, że pogrzeb babci odbędzie się w dniu jej imienin?

– Twoich też, biedne dziecko – zmartwiła się Kasia.

– Widać, że pan Bóg wyznaczył jej na pożegnanie z tym światem dzień

uroczysty, mający znaczenie w jej życiu – powiedział ksiądz.

– Ale czy to się praktykuje? – dopytywała się Zosia.

– Imieniny to dobry, szczególny dzień na tę uroczystość – powtórzył ksiądz.

Po załatwieniu wszystkiego, co wzorem swego taty Zosia zanotowała na ten dzień, wrócili do domów. Zosia nie miała czasu na rozczulanie się, musiała zadbać o dzieci, przyprowadzić Michasia z przedszkola, porozmawiać ze smutną Oliwką, nakarmić psa. Jej matka skazana na odpoczynek nie mogła sobie znaleźć miejsca.

– Czy mam zawiadomiać o terminie pogrzebu? – zapytał Maciek.

– Będę wdzięczna, trochę ci pomogę, ale dla mnie to bolesne zajęcie...

– Wiem, dlatego właśnie pytam. Zadzwoń do Berni, do Paryża. Dopytywała się o to rano, kiedy jeszcze spałaś. Obiecałem jej, że damy znać, jak tylko ustalimy termin. Myślisz, że ona zechce przyjechać?

– Nie wiem, zobaczymy.

Po kilku telefonach Kasia poczuła się źle. Bolała ją głowa i czuła się bardzo zmęczona. Nie tylko sama dzwoniła, ale też odebrała kilka telefonów, między innymi od Basi Śliwińskiej z Nowego Jorku. Nic nie wiedziała o śmierci jej matki i bardzo się nią przejęła.

– Gdybym była w innej sytuacji – powiedziała – przyjechałabym na pogrzeb. Niestety, polecony mi lekarz obejrzał moje badania i stwierdził, że nie będzie mnie operował, bo jest uszkodzony jakiś nerw i operacja może się nie udać. Daje mi dziesięć, a właściwie pięć procent szansy. Mówi, że on by nie ryzykował.

– A jest ryzyko, że może być gorzej, niż jest? – spytała Kasia.

– Tego nie wiem, ale operacja w moim wieku zawsze jest ryzykiem, więc naradzamy się i zastanawiamy. Bardzo ci, Kasiu, współczuję. Wiem, kim była pani Zofia dla ciebie. Po prostu nie wyobrażam sobie ciebie bez niej.

– Ja też sobie tego nie wyobrażam.

– Trzymaj się, kochana, ucałuj ode mnie córkę, wnuki i Maćka. Zadzwonię za jakiś czas, to pogadamy. Bardzo, bardzo ci współczuję i jest mi smutno, bo ja też pokochałam twoją mamę.

– Dziękuję ci za te słowa, kochana.

Jakże teraz przydałaby się Kasi przyjaciółka na miejscu. Te wszystkie, których ubyło, może zobaczą się z matką?

W obliczu nieszczęścia Kasia przekonała się, jak wielu ma wokół siebie



życzliwych ludzi. Magda i Ewa zapytały, czy nie potrzebuje pożyczki finansowej i zaproponowały ją. Wiadomo bowiem, że odchodzeniu bliskich osób towarzyszą duże wydatki.

Flora wyjednała sobie krótką przerwę w Skolimowie i przyjechała, żeby wspierać Kasię. Zatrzymała się w mieszkaniu Basi, która zostawiła jej klucze na wypadek, gdyby chciała z jakiegoś powodu odpocząć od Skolimowa. No i powód się znalazł, szkoda, że taki. To ona zauważyła, że Kasia zrobiła się w wyniku tej tragedii jakaś nieporadna, nie potrafiła ogarnąć codziennych zajęć, potykała się o wszystko. To ona zaprowadziła ją do lekarki, która zapisała jej leki uspokajające, żeby łatwiej jej było przetrwać to, co wiązało się z pochówkiem matki.

Kasia nie musiała już telefonować do swojej paryskiej przyjaciółki, Bernadette, bo ta mimo że prosiła o wiadomość o terminie pogrzebu, uprzedziła jej działanie i sama zadzwoniła, żeby zapowiedzieć swój przyjazd.

„Imieniny” i pogrzeb Zofii zgromadziły mnóstwo ludzi. Grał skrzypek i śpiewała Magda. Było uroczyste i pięknie, gdyby nie ten ból... Oliwka tak bardzo rozpaczała podczas mszy, że wszyscy się rozkleili, współczując dziecku. Była zbyt młoda i zmartwiona, by móc się opanować. Córki zmarłej i syn po tabletkach uspokajających trzymali się godnie. Czekali ich jeszcze stypa w dużym gronie.

Dwa dni po pogrzebie Zofii Bernadette i Kasia odwiozły Florę do Skolimowa. Berni była zachwycona tym miejscem. Flora czuła się tam teraz jak w domu. Miała dawne koleżanki, bardzo ładny słoneczny pokój i czułą opiekę. Mogła bez reszty oddać się swojej nowej pasji, czyli malowaniu. W drodze powrotnej Kasia opowiedziała francuskiej przyjaciółce jej historię, bo obie panie bardzo się polubiły. Okazało się, że rezydentka Skolimowa pięknie mówi po francusku.

– Uwierz mi, Berni, Flora przed kilkunastu laty była wielką gwiazdą. Pierwszą damą operetki, uwielbianą przez widzów. Znali ją wszyscy, bo często występowała w telewizji. A potem życie tak się jej skomplikowało, że straciła wszystko.

– Podobnie jak ja – westchnęła Berni.

– Za trzy dni dla mieszkańców Skolimowa będę z nią miała program „Mistrz i uczeń”. Wystąpi ona i Kawecka, przedwojenna gwiazda. Obie trochę nietypowo, bo z nagrań i dokumentów filmowych. Kawecka już dawno nie żyje, a Flora nie śpiewa. Będzie tylko odpowiadała na pytania

widzów. Zabiorę cię tam... Mój Boże! – westchnęła. – Tak wcześnie po tragedii ten program, nie wiem, czy dam radę.

– Jestem pewna, że doskonale sobie poradzisz i dobrze ci to zrobi, bo będziesz musiała skoncentrować się zupełnie na czymś innym. Pamiętam, jak sama dzięki pracy wróciłam do życia.

– Ja też pamiętam, ale...

– Nie ma żadnego ale. Zabieram cię potem do Paryża.

– Ale ja nie mogę. Mam tu swoje zobowiązania, muszę postawić nagrobek mamie, pomóc córce przy wnukach. Jak wyjadę, będę za nimi tęsknić...

– Masz tu pracę od czasu do czasu, a ja oferuję ci granie na zmianę dwóch spektakli dziennie. Przecież sama mówisz, że na nagrobek już nie masz pieniędzy. Możesz je zarobić.

– Ale nie mogę rzucić mojego stałego programu, bo jak go przerwę, to już przepadnie.

– A jak często go grasz?

– Teraz to już tylko raz w miesiącu.

– Tak ułożymy obsady, że będziesz mogła przylecieć.

– A ile to miałyby trwać?

– Trzy miesiące. Tak się składa, że akurat za tydzień zaczynamy próby.

– Nie wiem, co Maciek na to powie. Dopiero w sierpniu byłabym w Leśnym Domu...

– Ale ja wiem, bo już z nim rozmawiałam na ten temat. Uważa, że lepiej, żebyś przyjechała do Leśnego Domu jak najpóźniej, bo zawsze tam byłeś z mamą i będziesz źle znosić jej brak.

– To fakt. Boję się tam pojechać... kwietnie, maje i wrześnie spędzałyśmy tam na ogół we dwie. Dopiero kiedy Maciek zrezygnował z redakcji...

– No właśnie! On uważa, że taka intensywna praca dobrze ci robi.

– Muszę przyznać, że mój mąż jest bardzo tolerancyjny.

– Dobrze to o nim świadczy.

– Jeśli chodzi o pracę, oboje zawsze zostawiamy sobie dużo swobody.

Przeważył argument, że zarobiłaby na nagrobek matki, ale o tym wiedziała tylko ona. Bo co do tego, że chciałyby pograć, nikt nie miał wątpliwości.

– Wiedziałam, że cię namówię – powiedziała Berni. – Mam dla ciebie niespodziankę. Bilet lotniczy. Lecisz tym samym samolotem, co ja.

– No wiesz, aż tak zaryzykowałam?

– Znam cię lepiej, niż sądzisz, a myśl o tym, jak ta praca będzie dla ciebie

kojąca, pchała mnie do tego ryzyka.

– Jesteś szalona, Berni, i masz wielkie serce.

– I kto mi to mówi?

Przed wyjazdem Berni dopilnowała, żeby Kasia wzięła tekst, rekwizyty i kostium do monodramu. Miała nadzieję, że skłoni ją do przetłumaczenia go na język francuski. Skończyło się na tym, że Kasia zagrała go dwa razy dla Polaków. Raz w klubie kombatanta, a drugi raz w Instytucie Polskim. Przyrzekła sobie, że zarobione za te spektakle pieniądze poświęci na bilety i koszty pobytu wnuków i córki w stolicy Francji, by oprowadzić ich po miejscach, gdzie pracowała, a przede wszystkim pokazać im Paryż.

## ***Rozdział czternasty***

Powrót do Leśnego Domu po intensywnej pracy nie był dla Kasi radosny. Maciek osowiały po śmierci ich kompana, foksteriera Pirata, jego wielkiej miłości, nie chciał bez niego chodzić na leśne wyprawy, bo przez cały czas myślał tylko o tym, że tu a tu chodzili razem. Kasia to rozumiała, też jej brakowało psiaka, ale przede wszystkim matki. Chodziła więc sama po lasach, wołając ją i płacząc.

– O tu, mamusiu, na tym pieńku siadałaś często, żeby odpocząć chwilę, gdy wracałyśmy z łąki. Tutaj znów sortowałyśmy grzyby, a tu, pod tym drzewem, zorientowałyśmy się, że zgubiłaś okulary i musiałyśmy zawrócić. Na tym skrzyżowaniu potknęłaś się i na szczęście udało mi się uratować cię przed upadkiem... Te lasy pełne są wspomnień o tobie, moja najdroższa. Tu na przykład, obok tego jałowca, przy którym właśnie stoję, znalazłaś prawdziwka. O! Jest i drugi, mam go! Podobny do tamtego wtedy... Czy to znak od ciebie? Czy ci tam dobrze? Widzę wciąż twoją drobną postać między drzewami, trochę pochyloną, bo zawsze czegoś szukałaś... Grzyba, kwiatka, maliny...

Z czasem te samotne spacerunki, na których rozmawiała z matką, stały się pasją Kasi i nawet była zadowolona, że jest na nich sama.

Zosia z dziećmi grzali się w Ustce w słońcu. Przebywanie w Domu ZAiKS-u wszystkim robiło dobrze, bo oprócz pięknej plaży i wspaniałej obsługi zarówno dzieci, jak i dorośli mieli swoje ulubione towarzystwa. Kasia cieszyła się więc, że jej bliscy trochę zrelaksują się po tragedii.

Żeby w Leśnym Domu nie tylko się smucić, zaczęli wynajdować sobie różne zajęcia. Zainwestowali w wielką markizę na taras, bo cień i osłona tworzona przez balkon u góry nie chroniły wszystkich siedzących przy stole. Żeby było jeszcze ładniej, Kasia zakupiła bardzo okazały, rozkładany stół drewniany razem z krzesłami. Trochę pocieszyli się nabytkami, z nadzieją, że ucieszą one dzieci, i nadal wiedli swoje smutne tego roku życie. Kasia na wędrowniach po lesie, Maciek nad jeziorem. Razem kąpali się przed obiadem, ale od przyglądania się jachtom i wszystkiemu, co pływa, był jej mąż. Kasia wolała swoje wycieczki.

Późną jesienią wrócili do swojego warszawskiego mieszkania z zapasami tegorocznych konfitur ze śliwek i ususzonych czy marynowanych grzybów.

\* \* \*

Na początku lipca następnego roku wszyscy oprócz Maćka siedzieli w samolocie. Dla Michasia było to wielkie przeżycie.

– Ale zasuwa! – podziwiał ruch samolotu po pasie startowym. – Coraz szybciej, ojej, jak Kubica! – wykrzyknął, kiedy wielki mechaniczny ptak opuszczał ziemię.

Dwutygodniowy pobyt w Paryżu udał się nadzwyczajnie. Jeszcze istniała większość miejsc pracy Kasi, które chciała im pokazać. Dzieci były zachwycone pięknym miastem, chętnie zwiedzały muzea. Michaś nawet uparł się, żeby dwa dni spędzić w Luwrze, bo pierwszego dnia nie zdążyli wszystkiego zobaczyć. Przy słynnym rzeźbach i obrazach kazał się fotografować, upewniając się, że są bardzo znane. Jak na ośmiolatka było to niezwykle zachowanie.

Mieszkali w lokum poetki i malarki Basi Bojarzyńskiej, która zostawiła im klucze wyjeżdżając z Polski. Sama spędzała lato ze swoim partnerem we Włoszech. Wycieczkę do Disneylandu pod Paryżem Kasia sobie odpuściła. Przegadały z Berni cały ten dzień.

Dzieci były tak uszczęśliwione wszystkim, co widziały, że wracając wymogły na mamie i babci, iż za jakiś czas tę wyprawę powtórzą. Obie się zgodziły, same też kochały Paryż.

Święta Bożego Narodzenia 2009 roku w wielu polskich domach zaznaczyły się tym, że przy stołach dochodziło do kłótni. Poglądy polityczne wydawały się być ważniejsze od więzów rodzinnych. Czy coś takiego dzieje się w jakimś innym kraju? W domu Kalczyńskich w tym czasie o polityce się nie mówiło. O wiele bardziej znaczące było to, że zabrakło kogoś drogiego. Ważna była radość dzieci i kolędy. Tylko to się u nich w święta liczyło.

Od początku nowego roku Kasia nie mogła spocząć na laurach, bo miała kalendarz wypełniony zobowiązaniami jak rzadko. Przeglądając ubiegłoroczny kalendarz zauważyła, że zapisków o pracy było w nim coraz mniej. Teraz nastąpił jakiś przełom. „Mistrz i uczeń” co dwa tygodnie, liczne spektakle. Jest co robić – cieszyła się.

Przed Wielkanocą na spotkaniu z okazji „jajeczka” w ZASP-ie rozmawiała z przemiłą koleżanką jeszcze z zespołu „Mazowsze”. Bożenka Mamontowicz, żona znanego literata, była teraz cenioną autorką książek o balecie. Działała też w Komisji Katyńskiej. Ujrzawszy Kasię podeszła do niej i wiedząc, że jej ojciec zginął w Starobielsku, powiedziała:

– Może chcesz jechać na uroczystości katyńskie dziesiątego kwietnia? Zwolniło nam się miejsce w samolocie prezydenckim, mogę je zaklepać dla ciebie.

– Dziękuję, no pewnie, że chcę. Jest tylko pewne ale: właśnie wtedy, dziesiątego kwietnia, mam ostatnie przedstawienie w Biłgoraju, w mojej trasie z monodramem.

– To pech, poleciałybyśmy razem.

– Poczekaj jeszcze trochę, błagam, może uda mi się przenieść to przedstawienie na inny dzień.

– To zwijaj się z załatwianiem, bo muszę szybko dać odpowiedź.

Kasia wydzwaniała więc do różnych miejsc, żeby coś zmienić w rozkładzie koncertów. Organizatorzy starali się, ale nic z tego nie wyszło.

– Taka szansa, by oddać hołd mojemu tacie mi przepadła! – narzekała Kasia.

Jednak wkrótce myślała o tym zupełnie inaczej.

Początkowo prezydent w ogóle nie miał tam lecieć, gdyż to premier był wyznaczony do reprezentowania tam Polaków i on poleciał tam swoim samolotem zabierając rodziny katyńskie i inne osobistości. Premier i prezydent reprezentujący dwie największe w kraju opcje polityczne byli w ostrej do siebie opozycji i ciągle chcieli jeden i drugi załatwić coś za obu. Tak więc i teraz Prezydent, a także jego brat uznali, że musi być tam obecny. Jego kancelaria załatwiła samolot. Była to nie lada gratka dla wielu, którzy nie zmieścili się w samolocie premiera, również Kasia czyniła starania, by z niej skorzystać.

Jednak los chciał inaczej. Prezydencki lot do Katynia miał swój tragiczny finał w Smoleńsku. Samolot spadł we mgle na ziemię i wszyscy zginęli... Kiedy podano listę pasażerów, cała Polska zamarła, gdyż łącznie z załogą zginęło dziewięćdziesiąt sześć osób. Wielu najważniejszych generałów, polityków, naukowców i innych wybitnych ludzi. Niewyobrazalna strata.

Do Kasi dotarła ta wiadomość, gdy była już w hotelu w Biłgoraju. W holu spotkała się z uprzejmą organizatorką. Omawiały właśnie szczegóły

organizacyjne jej koncertu, gdy zdziwiło je ożywienie ludzi w barze, którzy z przerażeniem spoglądali na ekrany telewizorów i o czymś dyskutowali. Był wśród nich znajomy organizator. Podszedł do nich i powiedział:

– Podobno samolot prezydencki rozbił się w Smoleńsku i wszyscy zginęli.

– O Boże, wszyscy? Biedna, biedna Bożenka! Też miałam lecieć tym samolotem – powiedziała Kasia i zrobiło jej się słabo.

– Rzeczywiście! – przypomniała sobie organizator. – Sama czyniłam starania, żeby zmienić terminy.

– No tak. O Boże! Widać nie było mi jeszcze sądzone... Czy jednak w tę czarną dla Polski sobotę potrafię się tym cieszyć?

Na ulicach, w domach, sklepach, w hotelu, nie mówiło się o niczym innym. Wszyscy byli wstrząśnięci i przerażeni. – Co teraz będzie? – pytali się nawzajem.

To, co się stało, było tak okrutnie niewiarygodne, że nikt do końca nie mógł w to uwierzyć.

Ogłoszono żałobę narodową. Odwołano wszystkie imprezy artystyczne, festiwale, pikniki. Kasia koło południa dowiedziała się, że i tak nie zagra w spektaklu, który nie pozwolił jej zginąć. Co za ironia losu! Spektakl, którego nie było, został zastąpiony wydarzeniem tak ponurym i przytłaczającym, że nic nie zdołałoby mu dorównać. Postanowiła jak najszybciej wracać do domu i popołudniu była już w Warszawie.

Z dworca odebrał ją poruszony Maciek, który teraz relacjonował jej napływające coraz większą falą szczegółowe relacje z katastrofy. Cały dzień siedział przed telewizorem zdrętwiały z przerażenia. Zginęło tylu wartościowych ludzi. Niektórzy z nich jeszcze tacy młodzi, w tym najmłodsza z nich dwudziestotrzyletnia stewardesa, Natalia Januszko. Koszmar!!!

Zanim Kalczyńscy udali się do domu, podjechali pod Pałac Prezydencki, pod którym spontanicznie gromadzili się warszawiacy. Tłumy w milczeniu i skupieniu, zjednane w przerażeniu i smutku gromadziły się tam, by oddać hołd tragicznie zmarłym. Łany świeczek oświetlały Krakowskie Przedmieście. Przez ten jeden wieczór Polacy zapomnieli o podziałach. Ludzie zjednoczeni w bólu nie wiedzieli jeszcze, jak ten wypadek, prawdziwy dopust boży, zmieni ich ojczyznę.

Następne dni były coraz gorsze dla służb starających się odnaleźć i poskładać szczątki ludzkie, dla rodzin, które musiały je identyfikować. A

potem, po wielu zmudnych, ponurych dniach przylatywały samolotami trumny, witane przez tłumy. Córka pary prezydenckiej straciła oboje rodziców, inni ojców, matki, dzieci i krewnych. Zaczęły się też spekulacje, jak doszło do nieszczęścia. I tu już nie było pełnej zgodności sądów.

Dwa tygodnie po pogrzebach ofiar katastrofy niespodziewanie wróciła zza oceanu Basia Śliwińska. Bez uprzedzenia, ale za to na własnych nogach. Chodziła o lasce, ale jednak nie siedziała na wózku.

– Poddałaś się operacji! – ucieszyła się Kasia. – Milszej niespodzianki nie mogłaś mi zrobić. Siadaj, kochana, zaraz zrobię herbatę. Mam nadzieję, że nie jadłaś kolacji? A nawet jeśli tak, zjesz z nami drugą. Wróciłaś więc?

– Niezupełnie – przerwała Basia szczebiotliwy monolog przyjaciółki.

– Jak to niezupełnie? Przecież cię widzę.

– Nie na dobre. Moja córka nie przyjmuje do wiadomości tego, że miałabym mieszkać tak daleko od niej sama.

– A jednak puściła cię tu samą.

– Byliśmy w Brukseli, bo oni mają, to znaczy jej mąż ma jakieś biznesowe sprawy w Europie. Korzystając z wakacji, chcę ją pokazać dzieciom, a ja uprosiłam, żeby pozwolili mi przyjechać do Warszawy. Bardzo tęskniłam.

– Do kiedy tu będziesz?

– Do września.

– Cudownie! Pojedziesz z nami do Leśnego Domu. Co to będzie za frajda! Chociaż żałuję, że potem znów wyjedziesz za morze. Masz tam przyjaciół? Bo wokół mnie robi się coraz bardziej pusto. Takie mam wrażenie. A na Mazurach jest jeszcze Marianna i Jeremi.

– Liczyłam w cichości ducha, że zaprosicie mnie na wieś, ale będę musiała wrócić dwa tygodnie przed odlotem, bo mam kilka spraw do załatwienia. Już cieszę się na wakacyjny wyjazd do was! Marzyłam o tym, tym bardziej że chodzę.

– Właśnie! Zdecydowałaś się jednak na tę operację i bardzo dobrze. Jak bym zrobiła tak samo, nawet gdyby był tylko jeden procent szansy na pozytywne efekty.

– Oni wszyscy się bali – i lekarze, i dzieci, a ja się uparłam. Bo pomyśl, ile mi jeszcze życia zostało? I miałabym ten cały czas spędzić na wózku? Ani sama wyjść z domu i w ogóle, widziałaś, jak to wyglądało. Ojej! A co będzie z rehabilitacją?



– Masz skierowanie?

– Mam pieniądze, myślisz, że tam, na jeziorach, znajdę kogoś, kto by chciał ze mną ćwiczyć?

– W Nidzie widziałam taką tabliczkę na tyłach Polo Marketu. Od razu po przyjeździe pojedziemy tam, żeby to załatwić. Słyszałam, jak ktoś bardzo chwalił tamtejszą rehabilitantkę, chyba ma na imię Ania. Podobno bardzo skuteczna.

– No to może się uda! – rozmarzyła się Basia.

– Jakże się cieszę, jakże się cieszę! – powtarzała Kasia. – A nie mogłabyś cieszyć się podając kolację? – wtrącił się Maciek. – Po dwudziestej mam mecz na Jedyńce. Wolałbym przedtem zjeść.

– Już się robi, pod warunkiem, że zajmiesz się Basią.

– Z przyjemnością. Widzę, Basiu, że jesteś na nogach! Coś wspaniałego! Długo się rehabilitowałaś?

– Prawie dwa lata, ale to dla ogólnej sprawności, bo po operacji od razu stanęłam na nogi, jednak chodzić musiałam się uczyć. I wcale nie miałam żadnych przerwanych nerwów ani złamanych kręgow, tylko ogromną dyskopatię.

– Ja też mam problem z chodzeniem – powiedział Maciek – czasem nawet utykam. Raz więcej, raz mniej. Dwa razy złamałem tę samą nogę w kolanie, a to pierwsze złamanie było bardzo groźne. Lekarze mówią, że uratuje mnie sztuczne kolano, ale waham się, żeby nie było potem gorzej, niż jest.

– Mężczyźni wszystkiego bardziej się boją niż my, kobiety.

– Różnie to bywa, ale to prawda, że jesteście dzielne.

– Zapraszam do stołu – przerwała im Kasia.

Maciek, który zazwyczaj je wolno, tym razem połknął kolację w „trigmiga”, jak mawiają Rosjanie, i poszedł do swojego pokoju, gdzie już miał włączony telewizor. Przed pięcioma minutami rozpoczął się mecz Polska–Nigeria. Jak dotąd było 0:0.

– Nie chcecie oglądać? – zawołał Maciek.

– Darujemy sobie. Powiesz nam, jaki był wynik końcowy.

Maciek sam na sam z piłkarzami bawił się doskonale. Był głośnym kibicem. Objężdżał sędziego, pouczał grających. Meldował tubalnym tonem żonie i jej koleżance każdą zmianę rezultatu.

A one gadały. Jak za dawnych dobrych czasów.

– Jak ci tam było, Basieńko?

– No wiesz, Nowy Jork jest wspaniały. Tam zawsze jest co oglądać, jak się jest zdrowym. A ja przez długi czas byłam na tym przeklętym wózku. Ani wyjść z domu, bo czwarte piętro, ani...

– Bez windy?

– Była, ale drzwi takie, że wjechać do niej można było tylko sposobem, a do tego z pomocą dwóch osób. Siedziałam więc w domu, trochę przed telewizorem, trochę czytałam i nie mogłam się doczekać, kiedy dzieci wreszcie wrócą do domu. Musiałam się przyzwyczaić do nowego rytmu życia. Jak się jest u siebie, samemu rządzi się swoim czasem. Tak więc mimo że dbali o mnie, chwilami czułam się zniewolona i nieszczęśliwa. To dlatego między innymi tak dążyłam do operacji. Poza tym stary człowiek tęskni za swoim siedziskiem, swoimi przedmiotami, jak dziecko za zabawkami, nie mówiąc już o przyjaciółach. Za nimi tęskniłam najbardziej, jak i za miejscami, które lubiłam odwiedzać. Z drugiej znów strony otoczona byłam troską i miłością, której jak jestem sama, też mi brakuje. No i tęsknota za tym, żeby wygadać się tak, jak teraz. Ale czemu my ciągle o mnie. Powiedz, jak radzisz sobie po śmierci pani Zofii. To była taka cudowna osoba!

– To wielka, nie gojąca się rana. Brakuje mi jej rad, opowieści, bliskości. Ciągłe widzę jej ciepłe spojrzenie, ciągle pragnę ją o coś zapytać. Łapię się też na tym, że cokolwiek robię, zastanawiam się, co ona by o tym powiedziała. Najgorsze jest to, że wszystko potoczyło się tak prędko. Nastawiałam się na długie przy niej czuwanie, a ona zgasła szybko i ciągle nękają mnie wyrzuty sumienia.

– Ciebie? Za co? Przecież byłaś z nią do końca.

– Byłam. Ale w ostatnią noc na przykład miała dużą gorączkę, a ja zamiast robić jej kompresy na głowę, trzymałam ją za rękę, która była już chłodna. Ta najbardziej spracowana prawa ręka umierała jako pierwsza... Nie mogę też sobie darować, że w dniu, w którym przestała mówić, wyszłam na chwilę z domu i nie usłyszałam ostatnich jej słów. Do tego dołączają się jeszcze żale, że to czy tamto mogłam zrobić inaczej.

– Ależ to nonsens, moja droga. To samoudręczanie się. Zupełnie niepotrzebne. Kochałaś ją i robiłaś wszystko jak najlepiej. Twoja matka dożyła do dziewięćdziesięciu ośmiu lat! Każdy by tak chciał.

– Teraz to sobie uświadamiam, kiedy czytam te cyfry na nagrobku. Ale wiesz, dla kochających ją to za mało, za mało! – Zmieniając po chwili milczenia temat, zapytała: – Powiedz mi, co w Stanach Polacy mówią o

katastrofie smoleńskiej? Bo tu rozpętało się piekło. Takie podziały, jakich dawno nie było.

– Nie znasz Polaków? Jak świat światem na emigracji niby trzymają się blisko siebie, a są skłóceni jak żaden inny naród. Gdy nie mają do tego powodu, to go dorabiają... Taka nasza uroda – westchnęła Basia i ziewnęła szeroko.

– Jesteś zmęczona?

– Ciągłe nie mogę ułożyć się z europejskim czasem. Dopiero trzeci dzień jestem na tym kontynencie. Poza tym jestem za stara na takie podróże.

– Nie duchem, nie duchem. A metryka w takim wypadku nic nie znaczy. Obie jesteśmy stare... Czasami samej trudno mi w to uwierzyć. Tak to życie przemyka...

– No właśnie! Wobec tego idę spać, żeby jutro z niego korzystać.

– Jeden zero dla Nigeru!... Przegrają patafiany! – dobiegł do nich gromki okrzyk Maćka z jego pokoju. A po niedługim czasie radosny krzyk, jakby go odarli ze skóry: – Jeeeeest!!! – I za niecałe pięć minut nowe: – Jeeest!!!

Koniec meczu. Kibic ze łzami w oczach przyszedł oznajmić kobietom:

– Wygraliśmy dwa jeden!

Zawsze tak jest. Kiedy przegrywają, to oni sami, nikt się z nimi nie identyfikuje. Wygrywamy natomiast my wszyscy, cały naród, a przede wszystkim zapaleni kibice. Piłkarze muszą się dzielić zwycięstwem. Ot, los...

Gospodyni odprowadziła gościa do jej drzwi, po czym wróciła wstawić naczynia do zmywarki.

– Idę spać! – zawołała do męża.

– No to pa. Czas najwyższy.

Musiała jeszcze posprzątać do końca, a kiedy wyszła z kuchni, usłyszała jego posapywanie. Już drzemał.

Ona pełna wrażeń po spotkaniu z przyjaciółką była przekonana, że nie zaśnie. Ale zdążyła tylko pomyśleć, że szczerą rozmową, otwieranie duszy przed kimś, kto umie słuchać, to najlepsza terapia i za chwilę także spała.

Rehabilitacja, którą co drugi dzień kierowała dojeżdżająca do Leśnego Domu Ania, miała dla Basi zdumiewające rezultaty. Już po miesiącu poruszała się bez laski, przed wyjazdem zaś oświadczyła, że czuje się zupełnie zdrowa.

– Po prostu stał się cud. Nie wiem, jak się wam odwdzięczę, kochani –

powiedziała.

– A cóż myśmy takiego zrobili? – odrzekła Kasia. – Sobie to zawdzięczasz. Ćwiczeniom i swojej aktywności. Ileż ścieżek leśnych przedeptałaś. A pływanie to też świetna rehabilitacja.

Ostatnim wyczynem Basi była wędrówka na piechotę do Parku Dzikich Zwierząt. Pięć kilometrów! Zostali zaproszeni przez Jeremiego i Mariannę na obiad. W dniu poprzedzającym tę wizytę Kasia opowiedziała Basi, jak Jeremi przed laty wędrował co dzień potajemnie, żeby się poprzyglądać Mariannie, która go urzekła.

– No, rzeczywiście! Przecież tam można dojść piechotą! – wykrzyknęła świeżo uzdrowiona. – Spróbujemy?

– A jeśli nie dasz rady?

– Wiesz, jak się czuję sprawna?

– Jak?

– O tak – powiedziała poklepując się po wypiętej piersi jak goryl. Kasia i Maciek wybuchnęli śmiechem.

– No dobra, idźcie – mruknął jedyny w ich gronie mężczyzna. – Ja tam będę towarzyszył wam na rowerze.

– I co? Jak nie damy rady, wsadzisz nas na bagażnik? Lepiej weź samochód.

– A skąd będę wiedział, że osłabłyście? Dla samochodu i pieszych są dwie różne drogi.

– A od czego są telefony?

W taki oto sposób decyzja zapadła.

Droga do Parku Dzikich Zwierząt nie okazała się łatwa. Pełna była pagórków i dolinek, jakby nierówny z natury grunt pod lasami był za małą przeszkodą. Tylko zdeterminowany, zakochany szaleniec mógł tego nie widzieć. Nie przeszły jeszcze połowy drogi, gdy Kasia, która jak dotąd nie miała ograniczeń ruchowych, zaczęła czuć zmęczenie. Basia wyrehabilitowana na „goryla” – jak się chwaliła – szła w milczeniu z zaciętą miną i znalazła sobie kij do podpierania się, przypominający laskę. Kasia martwiła się, żeby jej rehabilitacja nie poszła na marne, toteż pytała ją przez cały czas:

– Idziemy do drogi i dzwoniemy do Maćka?

– Nie widzę powodu – odpowiadała zawzięta turystka i parła do przodu.

Miała chwilę załamania przy obchodzeniu bagna, gdzie trzeba było

nałożyć drogi, ale dalej już majaczyły zabudowania Jeremiego i Marianny. Zaciśnięty więc obie zęby i szły wokół bagiennego rozlewiska.

Kiedy wreszcie pokonały cały dystans i padły bez tchu na pierwszej lepszej ławce, pojawił się Maciek i strasznie je objechał. Przez nie musiał, biedactwo, spędzić dwie godziny w samochodzie, bo jeździł tam i z powrotem i wypalał benzynę. Ludzie stojący w kolejce po bilety do parku mieli niezły spektakl, trwający dosyć długo, póki nie wyładował na nich całej swojej wściekłości po zniewoleniu. Kontry ze strony wyczynowych turystek nie było. Nie miały na to siły. Nie chciało się im jeść, rozmawiać ani pić. Pragnęły tylko tego, żeby dano im święty spokój.

– Wjeżdżamy do środka? – zapytał.

– Jeszcze nie wjechałeś?

– Czekałem na jaśnie panie.

– No to wjedź, daj nam trochę ochłonać.

– A dajcie wy mi święty spokój! Gdybym wziął rower, dawno bym siedział przy stole, a tak... szkoda gadać!

Cały Maciek! Nawet nie zapytał, jak zniosły ten marsz. A mówił do siedemdziesięcioletniej żony i jej starszej, bo bez mała dziewięćdziesięcioletniej przyjaciółki. Nie wszyscy świadkowie tego zdarzenia ubawili się, niektórych ogarnęły mieszane uczucia, co widać było po ich minach.

W niecałe dziesięć minut po tym, gdy Maciek zniknął, by zasiąść przy stole, przybiegła Marianna.

– O, jesteście! Moje biedaczki! Co wyście takiego zrobiły, że twój mąż, Kasiu, jest taki wściekły?

– Szłyśmy na piechotę.

– Szalony pomysł, ale doszłyście, brawo! No, chodźmy szybko, bo obiad stygnie.

Zachęczone w ten sposób turystki przemogły się, żeby jakoś wstać z ławki i doczłapać na nie chciany w tej chwili posiłek. Uradowana i uszczęśliwiona twarz gospodyni nie pozwalała im objawiać prawdziwego samopoczucia.

Kiedy znalazły się na miejscu, wymyły ręce i usiadły przy stole. Zdumiały się przemianą Maćka. Po jego wściekłości nie było nawet śladu. Siedział odprężony z tym swoim ujmującym uśmiechem zającą, oczy miał intensywnie niebieskie, bawił się widelcem i prowadził elegancki dyskurs z Jeremim. Sama dobroć, urok, kultura. Wyładował się na swoich

towarzyszkach i teraz był już ponad to. Pewnie nawet nie pamiętał swojego wybuchu.

Bliźniak: raptus i czaruś, Dr Jekyll i Mr Hyde. Ale co prawda, to prawda, tak szybko jak wybuchał, tak samo prędko o tym zapominał, nie pielęgnował w sercu urazy. Gdyby nie to, dawno by się ich małżeństwo rozpadło. Po awanturach, które wszczywał z byle powodu, zawsze był tak czarujący, że nie sposób było mu się oprzeć – tak myślała patrząc na niego Kasia. Czy taka amplituda nastrojów nie rujnowała im zdrowia, to już zupełnie inna sprawa – podsumowała swoje rozważania udobruchana żona.

Obiad był tak wspaniały, że trzeba by nie lada niewdzięcznika, żeby tego nie docenił. A wędrowniczki, kiedy już siedziały i nie musiały iść dalej, przełknęły przystawkę z muli, a po pierwszej połkniętej łyżce zupy z dyni poczuły szalony apetyt i nic nie trzeba było udawać. Mogły tylko wychwalać poświęcenie i nadzwyczajne wyczucie smaku Marianny.

Jej małżeństwo z Jeremim było przykładem tego, jak wielką moc ma miłość, kiedy istnieje w niej zdolność i chęć do kompromisów. Po latach wspólnego bytowania ciągle patrzyli na siebie z wielką czułością i czytali w swoich myślach. Czy to za przyczyną wrażliwości, czy kultury, trudno to było ustalić, bo jednego i drugiego żadnemu z nich nie brakowało.

Jak się okazało, Marianna czytała nie tylko w myślach swego męża, bo swoich gości też zachwyciła tą zdolnością.

– Ustawiłam wam leżaki w cieniu jabłoni – powiedziała po obiedzie. – Prześpijcie się, a ja trochę posprzątam.

– Pomożemy ci... może... – zaoferowała się wbrew swojej woli Kasia, a Basia spojrzała na nią zdziwiona.

– Doskonale się do tego nadajesz – zadrwiła gospodyni. – Odpoczywaj bez skrupułów. A potem, jak zechcecie, zajrzemy do zwierzaków.

Gdyby wnuki Kasi wiedziały, jak przebiegała wizyta ich dziadków w Parku Dzikich Zwierząt, byłyby oburzone. Wszyscy troje przespali całe popołudnie. Przyczynił się do tego w równej mierze znakomity, pełen wyszukanych smaków obiad Marianny, jak i pieszce dotarcie do gościnnego domu, które było nie lada wyczynem.

Maciek, który wcale nie szedł, zbudził się pierwszy i narobił takiego rabanu, że przerwał sen kobiet. Tym razem nie awanturował się, tylko był przestraszony. Bowiem biała okazała sowa, która rezydowała zawsze gdzieś przy domu gospodarzy, niespodziewanie uznała, że najlepszym punktem

obserwacyjnym będzie szczyt głowy osobnika na leżaku. Zawsze musiała mieć oko na koty, które mimo że podobne do niej, gdy siedziały, miały nieprzewidywalne charaktery i mogły na przykład zapragnąć zabawy z nią – lekkoduchy! Ponieważ wszystkie cztery dołączyły do śpiących na leżakach kobiet, przeto ona, sowa, „Nocnym Markiem” przez gospodarzy nazwana, uznała, że lepiej dla niej będzie siedzieć na głowie ludzkiego samca drzemiącego na trzecim, bezpiecznie oddalonym leżaku. Stąd sporo widać i w porę zauważy, kiedy będzie musiała odfrunąć przed kocimi zaczepkami. Usiadła najlżej, jak umiała, ale jej napuszona postać lekko omsknęła się po czole delikwenta i musiała przytrzymać się szponami, żeby odzyskać równowagę. A on ku jej zdziwieniu wpadł w histerię. Zerwał się na równe nogi, zaczął machać rękami, no w ogóle zachowywał się jak niezrównoważony. Sowa patrzyła na niego ze zdziwieniem. Bo to raz tak siadała tu komuś na ramieniu czy na głowie? I o co robić ten cały raban? Czekala, aż się uspokoi, a ponieważ nic na to nie wskazywało, odfrunęła powoli, z godnością.

Obudzone kobiety śmiały się, natomiast przestraszony Maciek tłumaczył się ze swojego krzyku.

Sprowadziło to gospodarzy, którzy zaproponowali przechadzkę obok ogrodzeń zwierzaków albo pobawienie się z przydomową menażerią, a była ona niezwykle dziwnie dobrana. Mały borsuczek szalał z wilczętami, żuraw chodził obok owiec, a powolny osioł o aksamitnym spojrzeniu i pyszczku podstawiał się do głaskania. Sowa obrażona na histeryka usiadła na siatce dla ptaków i stamtąd obserwowała dziwnych ludzi. Basia z Kasią były rozbite, nie chciały i nie miały siły odwiedzać zwierzaków (nigdy by się do tego nie przyznały wnukom Kalczyńskich). Jedyne, co im się marzyło, to łóżko. Zauważywszy to Marianna zaparzyła im kawę i po jej spożyciu nietypowa wizyta dobiegła końca. Dobrze, że Maciek miał samochód, bo pomimo tego, że obie panie lubiły chodzić, teraz zupełnie o tym nie pamiętały.

Basia, która wyrzekając się kolacji poszła do łóżka tuż po powrocie do Leśnego Domu, spała aż do godziny czternastej następnego dnia. Swój maksispacer czuła w kościach, ale po sprawdzeniu wszystkich zgięć, pochyłów i wyprostów nie stwierdziła żadnej kontuzji.

Dwa dni po tej eskapadzie Kasia pojechała z Basią do Warszawy, żeby podwozić ją samochodem w różne miejsca, w których musiała pozałatwiać swoje sprawy. Zawiozła ją też na lotnisko, gdzie obie się spłakały.

– Przymknij mi, Kasiu, że gdybym nie mogła do ciebie przyjechać, ty mnie odwiedzisz. Wiesz, że jestem starsza i nie mogę snuć dalekosiężnych planów, to znaczy nie powinnam. Bo tak naprawdę, wciąż mam głowę pełną pomysłów na przyszłość. Ale jak dochodzi do ich realizacji, to już inna sprawa. Kto inny za mnie decyduje.

– Tak to jest w życiu. Najpierw jesteśmy dziećmi, za które się podejmuje decyzje, a na starość znów nas się traktuje jak dzieci. Oczywiście przyjadę, jeśli będę mogła.

– Obyś mogła!

– I tobie tego życzę.

– Pamiętaj, że za miesiąc będę po dziewięćdziesiątce!

Basia odleciała. Nie wiedziały wtedy, że widzą się po raz ostatni. Wróciła, tyle że w trumnie, a raczej w urnie, by spocząć w rodzinnym grobie. Będąc do końca sprawna, umarła na zawał serca. I co po niej zostało? Żal w sercach bliskich i przyjaciół. Kilkadziesiąt przekładów książek i dialogów filmowych oraz mnóstwo toalet, które kolekcjonowała bez opamiętania, a córka obesła się z nimi bezceremonialnie. Spakowała wszystko do worków na śmieci i wrzuciła do pojemnika na odzież używaną. Bez sentymentów, chociaż matkę kochała szczerze i bardzo długo ją opłakiwała.



## ***Rozdział piętnasty***

Maciek wybierał się do Centrum Onkologii, a Kasia zapowiedziała, że będzie mu towarzyszyć.

– Tyle razy chodziłem tam sam i było dobrze – bronił się przed tym.

– Bo nic o twojej chorobie nie wiedziałam. Teraz nie mogłabym z tobą nie pójść.

– Ale nie rozumiesz, że ja nie jestem chory? To zwykły doroczny sprawdzian.

– Tym bardziej. Czy myślisz, że to tylko twój problem? Jeżeli tak, to jesteś egoistą. Zresztą nie będziemy ciągle nad tym debatować. Jadę z tobą i już. I tak będzie co roku.

To już czwarty doroczny sprawdzian Maćka po wyleczeniu. Poprzednie trzy były poprawne. Pewnie ten będzie taki sam. Oby.

Spędzając cały dzień pod różnymi drzwiami szpitala był zadowolony, że są tam razem. Miał przy kim zostawić marynarkę z portfelem, kiedy wchodził na kolejne badania. Żona przynosiła mu herbatę i kanapki, no i miał z kim pogadać.

Kiedy przed wieczorem przyszedł z pomyślną diagnozą, podziękował jej, że chciała mu towarzyszyć.

– No widzisz? Od początku mogłeś tak mieć, gdybyś powiedział.

– Nie zaczynaj znowu! Myślałem, że tak będzie lepiej.

– Ale nie było. Kiedy pomyślę, biedaku, przez co sam przeszedłeś, dostaję łomotu serca.

– To się uspokój. Jestem zdrowy!

– Chwała Bogu! Jutro wyjeżdżam na koncert, pamiętasz?

– Znowu?

– Znowu. Widocznie rośnie zapotrzebowanie na starych artystów – zażartowała.

– Dokąd jedziesz?

– Do Kielc, na tydzień. Mam osiem koncertów w różnych miejscowościach.

– Tak nagle?

- Jak nagle? Mam to zapisane w kalendarzu od trzech miesięcy.
- Czemu nic nie mówiłaś?
- Właśnie mówię.
- Teraz? Umówiłem się z prezesem, że przyjdziemy razem na jajeczko PZM-otowskie.
- Nigdy mnie tam nie zapraszałeś.
- Ale pokazałem twoją płytę prezesowi i chce cię poznać.
- Trudno. Innym razem, teraz jestem zajęta. Pomyśl, jak ten czas leci, dopiero co były spotkania wigilijne, a już jajeczka.
- Tylko patrzeć, jak będzie piłkarskie Euro.

Kasia nie odpowiedziała na to, tylko zamyśliła się nad upływem czasu, za którym już nie nadążała, a także zastanowiła się nad perspektywą Euro. Ile to będzie meczów piłkarskich, na których Maciek będzie się wydzierać – pomyślała. – Trzeba coś wymyślić.

Zanim wymarzone przez Maćka Euro doszło do skutku, odwiedził ich na Mazurach potomek przedwojennych właścicieli ziemi, na której stał ich letni dom. Był to człowiek około pięćdziesięcioletni, pogodny i zadowolony, że znalazł się na ziemi ojców. Mówił po niemiecku, a Maciek tłumaczył wszystko Kasi.

Przybysz miał przy sobie poźółkłą kartkę, na której jego dziadek narysował mu plan ich gospodarstwa. Dom stał na tym samym miejscu, co obecny. Nic dziwnego, Kalczyńscy postawili go na starej piwnicy i powiększonych fundamentach.

W miejscu małego domku była stodoła, po drugiej stronie obora. Ogród przed i obok domu był znacznie mniejszy. Między oborą a stodołą rosły drzewa owocowe. Sosen, świerków i brzoź nie było. Obecni gospodarze wiedzieli to doskonale, bo sami je posadzili. Nie było też tego lasu za drogą, tylko pole uprawne.

Niespodziewany gość zrobił kilka zdjęć na nowo zagospodarowej posesji, a oni zastanawiali się, do czego ta wizyta prowadzi, czy aby nie będzie wysuwał jakichś roszczeń do ich własności.

Nic takiego jednak do końca jego pobytu na ich terenie nie miało miejsca. Podziękował uprzejmie za umożliwienie mu zobaczenia, jak to wszystko teraz wygląda, a także za to, że mógł zrobić zdjęcia. Stwierdził, iż cieszy się, że się poznali, pożegnał się i poszedł.

Uznali, że musiał mieć więcej lat, niż wskazywał jego wygląd, bo

zachowywał się tak, jakby tu kiedyś był. A przecież plan miał od dziadka.

Wieczorem spotkali go jeszcze nad jeziorem. Panowie wypili razem piwo na przystani Pawła i Hans (bo tak miał na imię) powiedział im, że był tu już w latach osiemdziesiątych i stał tam tylko baraczek, a obok niego trzy wiśnie. Teren był rozpaczliwie pusty i wyjałowiony. Teraz, gdy zobaczył, ile jest na nim kwiatów i drzew, cieszył się, że ziemia jego ojców nie jest martwa, że kipi nowym życiem.

Panowie zaprzyjaźnili się do tego stopnia, że Maciek zaprosił Hansa do wspólnego oglądania meczu otwarcia na Euro. Toteż Kasia zaczęła intensywnie myśleć, jak oddalić od siebie ten koszmar. Nie to, że nie lubiła piłki nożnej, ale co najmniej dwaj wrzeszczący mężczyźni na górze (bo tam stał duży telewizor) to było ponad jej siły. Postanowiła zatem, nie licząc się z kosztami, kupić drugi duży telewizor i umieścić go na dole w pokoju męża.

Jak wymyśliła, tak też uczyniła. Tyle że kiedy przywieziono zamówione urządzenie, ludzie, którzy mieli je zamontować, zatrzymani zostali przez Maćka, który stanął okoniem i kazał je wstawić do jadalni, bo jest za duże, a w ogóle to on u siebie odpoczywa i nie chce mieć żadnego telewizora.

Na pierwszy mecz jednak poszli wszyscy, nie wyłączając Kasi, do sąsiadującego z nimi pensjonatu. Jego właściciele w dużej kawiarni umieścili na ścianie nad kominkiem olbrzymi ekran kinowy, na który przenosili obraz z telewizora i było wspaniale jak w kinie. Ponieważ bufet sprzedawał soki, herbatę i piwo z przekąskami, atmosfera zrobiła się od razu przyjemna. Kibice przemalowani na patriotów, w odpowiednich szalikach i biało-czerwonych perukach, z makijażem w kolorach narodowych, iżby uczcić wysiłki naszej drużyny, to było coś! No i ten nastrój, dowcipny, radosny.

Kasia nie chciała słuchać ryków dwóch mężczyzn, a teraz ochotniczo oswoiła się z rykiem ponad setki czy więcej ludzi, bo wieś zasilila wczasowiczów. Jakby tego było mało, sama w natężeniu decybeli brała czynny udział! Ani się spostrzegła, jak stała się zapalonym kibiciem, albowiem moc niezwykłą ma psychoza tłumu. Jak to nigdy, przed niczym nie trzeba się zarzekać.

I tak to trwało do końca Euro. Już pół godziny przed rozpoczęciem meczu Kasia, odpowiednio ubrana, z biało-czerwonymi prostokątami na policzkach, popędzała męża, żeby zajął dla nich miejsca w kawiarni. „La donna e mobile” – żartuje ktoś. Zaiste, święta to prawda. No i jak się temu oprzeć, skoro tam się żartuje, śpiewa w chwilach wielkich, czyli po golach, panowie

ściskają się, zrywają z siebie koszule. Odprężające zbiorowe szaleństwo. Mało kto by się temu oparł.

Ale wszystko, co dobre, szybko się kończy i Euro odeszło w przeszłość. Świat wrócił do swego codziennego rytmu. Brzozy zaczęły tracić żółknące coraz bardziej liście, a ludzi ogarnęło grzybowe szaleństwo. Ilu grzybiarzy, z koszem w jednej ręce i nożem w drugiej, przemierzyło polskie lasy, trudno byłoby zliczyć.

Wtedy to jak grom z jasnego nieba spadła na Kalczyńskich wiadomość, że mieszkająca w Zakopanem Zuza, siostra Maćka i matka Dobromira, jest w szpitalu z powodu udaru mózgu.

Kasia doskonale wiedziała, co znaczy to dla jej męża. Sama też lubiła Zuzę, ale ona i Maciek byli niezwykle bliskim rodzeństwem. Podobnie myśleli, podobnie reagowali na świat, podobnie się dąsali, podobnie się śmiali. A z wiekiem wyglądali też coraz bardziej podobnie. Takie same siwe włosy i błękitne wielkie oczy, takie same, najczęściej zniesmaczone miny, bo będąc razem lubili się na wszystko oburzać znacznie częściej, niż się śmiać. Bez ustanku komplementowali się nawzajem i przyznawali sobie rację. A teraz nieprzytomna Zuza nie będzie mogła dotrzymać Maćkowi kroku. Jak on to zniesie? Kasia była bardzo poruszona jej chorobą. Namówiła męża, żeby jak najszybciej pojechał do chorej Zuzy do Zakopanego.

– A jeśli ona nie może mówić, to co ja tam będę robił?

– Jeśli będziesz do niej mówił, to może cię usłyszy, może się jej poprawi.

– Masz rację. Trzeba ją z tego wyciągnąć.

W Zakopanem był syn Zuzy ze swoją nową partnerką. Pojechali w romantyczną podróż, a musieli zmierzyć się z nieszczęściem. Tak to los podstępnie krzyżuje ludzkie plany...

Maciek spędził w Zakopanem cały tydzień, codziennie chodził do siostry, ale nie doczekał się reakcji z jej strony. Zarząd szpitala zdecydował, że przeniosą ją do ośrodka rehabilitacyjnego dla ludzi po udarze, gdzie w razie poprawy będą ją usprawniać.

Usłyszawszy o tym Kasia zaczęła się starać o miejsce dla niej w prowadzonej przez zakonnice warszawskiej placówce, gdzie rodzina łatwiej mogłaby ją odwiedzać. Maciek popierał ten pomysł. Niestety, nie udało się zrealizować tego planu, bo szybciej, niż się spodziewali, nadeszła wiadomość o śmierci jego siostry. Siedzieli akurat przy śniadaniu na werandzie Leśnego Domu. Była tam też przybyła na grzyby Zosia z dziećmi. To ona odebrała

telefon z ponurą informacją. Zalała się łzami i objęła ojca, zanim mu ją przekazała. Wszyscy się spłakali.

Trzeba było się zbierać na pogrzeb do Warszawy. Który to już pogrzeb w tym roku? Latem zęgnęła koleżankę, która kiedyś tak pięknie śpiewała „by się o nią nie martwić”. To Kasia czuwała nad jej leczeniem w Warszawie, załatwiła jej hospicjum, w którym ją odwiedzała. Jej imienniczka miała tyle hartu, że wrywała się z hospicjum, żeby zaśpiewać gdzieś lub pójść na zakupy do pobliskiego sklepu z odzieżą używaną. Czekala na przyjazd syna, wobec którego dopuściła się jakiejś przewiny albo tak jej się tylko wydawało. Kiedy ją odwiedził, nazajutrz po tej wizycie usnęła na zawsze.

Kilka dni temu Kasia wyjeżdżała też na pogrzeb sąsiadki, przemiłej, otwartej i pełnej energii Beaty, z którą ostatnio bardzo się zżyła. Wpadła biedaczka pod samochód. A teraz Zuza! Stanowczo za dużo ostatnio tych pogrzebów.

Miała rację jej matka, kiedy mówiła, że im dłużej człowiek żyje, tym częściej chodzi na pogrzeby. Smutek, który ich ogarnął, trwał i trwał, z dominantą w Wigilię, którą jak zwykle spędzali wszyscy u Zosi i płakali z tęsknoty za tymi, których już z nimi nie było, czyli za Zuzą i Zofią.

Życie ich teraz nie tyle toczyło się, co gnało w zawrotnym tempie. Ciągle jeszcze nie wiedli żywota statecznych emerytów. Podróżowali, pracowali i mieli głowy pełne planów na przyszłość, nie licząc się z tym, że los bezwzględnie mógł w te plany wkroczyć. Tymczasem wnuki rosły, piękniały i stawały się coraz mądrzejsze. W pewnym momencie Kasia zorientowała się, że w niektórych dziedzinach wiedzy prześcignęli ją na amen, nie mówiąc o ich dziadku, inżynierze zresztą, który często korzystał z ich pomocy przy komputerze czy telefonie, których postępu technologicznego nie był w stanie pojąć.

Tuż przed karnawalem Kasia odebrała telefon od dawnej znajomej, która po rozstaniu się z mężem wyemigrowała do Anglii. Zaprosiła ją do siebie do Londynu, z którego to zaproszenia Kasia postanowiła skorzystać.

– W sumie, czemu miałabym tam nie pojechać? – głośno zastanawiała się w rozmowie z Zosią.

– Jedź, pewnie. Londyn teraz to cudowne miasto.

Dagmara była przystojną, sympatyczną panią, którą Kasia poznała na jednym ze swoich występów, a że mieszkały niedaleko od siebie, spotykały

się najpierw przypadkowo, a potem zaczęły się przyjaźnić. Dagmara przeżywała jeszcze zdradę męża, który zamieszkał z pracującą w jego przychodni lekarskiej Ukrainką. Była opuszczona, ale nie skrzywdzona do końca. Zatrzaszczyła się o to, żeby jak najwięcej wspólnie zgromadzonych dóbr materialnych zostało przy niej. Udało się jej to doskonale. Tak to już jest, że ci, którzy mają szczęście do pieniędzy, wciąż je pomnażają. Ponieważ sąsiedztwo męża z nową panią jego serca, z którą przeniósł się do innego mieszkania w ich własnej kamienicy na Ochocie, uwierzało Dagmarę, postanowiła wyjechać na jakiś czas do znajomych w Anglii. Gdy tylko złapała tam wiatr w żagle, odziedziczyła po lady, u której mieszkała jako pani do towarzystwa, piękny apartament i stwierdziła, że życie na wygnaniu nie musi być smutne ani przegrane. Tym bardziej że przypadkiem trafiła do kogoś pozornie miłego i pobożnego, kto wprowadził ją do grupy ludzi o podobnych zapatrywaniach. Spędzali więc razem coraz więcej czasu, modlili się po kilka godzin dziennie, uczęszczali na wykłady. Zanim się spostrzegła, została zagarnięta przez sektę, chociaż nie bardzo zdawała sobie z tego sprawę. Nie wiedziała o tym również Kasia.

Otóż Dagmara przypomniawszy sobie o Kasi i zaprosiła ją do siebie, żeby odwiedziła Londyn. Prawdziwym motywem tego jej kroku była chęć zorganizowania dla jej ugrupowania koncertu, na którym mogliby zarobić. Szkoda tylko, że nie uprzedziła gościa o swoich zamiarach, bo Kasia jadąc na wypoczynek nie zabrała z sobą nut ani innych rzeczy potrzebnych do pracy na scenie.

Dagmara była tak mocno rozczarowana oporem artystki, że zaczęła ją dręczyć. Przede wszystkim kazała sobie zapłacić za mieszkanie, i to na poziomie stawek hotelowych. Ponieważ nękana Kasia była cicha i nie narzucała się swoim towarzystwem gospodyni, sprzątająca u niej Bułgarka stwierdziła, że jest ona wyniosła i zarozumiała.

– Zawsze taka była – usłyszała zdziwiona Kasia komentarz Dagmary. No i zaczęły się przycinki na ten i inne tematy, byle tylko obrzydzić jej życie.

Nie wiedziała, co począć. Zapłaciła za cały dziesięciodniowy pobyt, ale bała się kąpać, jeść i oddychać. Większość czasu starała się spędzać poza domem. W końcu odważyła się na rozmowę.

– Słuchaj, Dag, jest mi ogromnie przykro, że cię w jakiś sposób zawiodłam, ale to nie moja wina, że nie jestem przygotowana na występy.

– A tam! Prawdziwi artyści nie potrzebują nut, zaśpiewają wszystko,

cokolwiek im się zagra.

– Tak sądzisz? Widocznie nigdy nie spotkałaś prawdziwego artysty. Nie chcę narażać cię na irytację, do której moja obecność cię zmusza, więc postanowiłam wyprowadzić się do hotelu.

– Nie przesadzaj. Jesteś moim gościem i zostań tu do końca pobytu. Zresztą zaprosiłam tu kogoś, kto chce cię poznać, a także jesteśmy obie zaproszone do moich znajomych. Nie wyprowadzisz się, nie możesz mi tego zrobić – powiedziała i objęła ją.

Masz babo placek – pomyślała Kasia. – Która z nas przesadziła? Nie jestem w stanie tego zrozumieć.

Od tej pory Dagmara się zmieniła. Wieczorem czekała na nią z kolacją, rano namawiała na wspólne śniadania, a raz nawet wypuściła się z nią na miasto. Zjadły razem obiad na Baker Street. Poszły też razem do Victoria Albert Museum, na wystawę ukochanego przez Zosię Davida Bowiego, ale towarzyszka Kasi nie weszła do środka. Musiała wracać na modlitwy swojego stowarzyszenia. Było to dla gościa niejakiem zaskoczeniem, bo kiedy tu szły, nie zamierzała się odłączyć. Podobnie było na lotnisku. Pchała z nią wózek z bagażem, gdy nagle powiedziała: – No to czas na mnie, żegnam. I już jej nie było. Kasia nawet nie zdążyła jej podziękować za zaproszenie, bo co by nie mówić, jednak odświeżyła sobie znajomość z Londynem, zwłaszcza że najczęściej była z nim sam na sam.

Po powrocie pojechała do Skolimowa odwiedzić Florę, ponieważ otrzymała wiadomość, że miała ona atak woreczka żółciowego. Była po operacji. Kasia wyjednała u władz Domu Artysty, że zwolnią Florę na kilka tygodni, by spędziła je w Leśnym Domu Kasi. Przypilnowała też, żeby oficjalnym pismem zabezpieczono jej powrót, na wypadek ewentualnego rabanu o to, że zajmowany przez nią pokój zbyt długo stoi wolny.

Flora ulokowała się najpierw w małym pokoiku na górze, ale nazajutrz Kasia i Maciek musieli ją przenieść na dół, bo męczyło ją chodzenie po schodach. W ogóle chodzenie nie było jej mocną stroną, zarówno z powodu zmian w stawach jak i niechęci do ruchu. Przez ostatnie lata bardzo się postarzała. Nic dziwnego, była o prawie dziesięć lat starsza od Kasi. Mimo że mało uczestniczyła w wędrówkach po lasach oraz kąpielach w jeziorze, była miłym, niekłopotliwym gościem. Trochę malowała, dużo czytała, przebywając przez prawie cały ten czas na powietrzu, pod śliwami. Tam

miała swój stolik, leżankę, tam były ustawione jej sztalugi. Z odległości wyglądała przy nich jak dziecko przebrane za kobietę w powiewnych szatach. Tak ostatnio skurczyła się i zmałała. Ciekawe, czy ja też za kilka lat będę taka mała? – pomyślała Kasia. – Jeśli w ogóle dożyję do jej teraźniejszych lat.

W tym roku Kasia już nieco mniej wybywała z Mazur do pracy, zresztą nie miała już siły, by ciągle podróżować. Układała swoje powinności tak, by jak najmniej dotyczyły one terminów, kiedy przebywają w Leśnym Domu. W ogóle to ani się spostrzegli, gdy ten ich dom stał się przechowalnią starych ludzi. Kiedy przyjeżdżała Zosia z dziećmi i kompani ich wszystkich, natychmiast zaczynało się dziać. Dom tętnił życiem, kuchnia była pełna zapachów, a cały teren miejscem gier i zabaw. Kasia to uwielbiała. Zawsze starała się dotrzymywać kroku młodym, uczestniczyła we wszystkim, co zaplanowali. Podobnie jak Maciek, który należał do tych, którym się zawsze coś chce, a nie odwrotnie. We wrześniu dom się wyciszał, dzieci wyjeżdżały do szkoły, ale wracały tu z mamą w niektóre weekendy na grzybobrania.

W tym roku Kasia wyruszyła do Warszawy razem z Zosią i wnukami, oraz Florą, bo ta musiała już wracać do Skolimowa. W letnim domu Kalczyńskich czuła się doskonale, ale to tam było jej miejsce, kilkadziesiąt zadziergniętych przyjaźni i czuły personel opiekuńczy. Odwieziona przez Kasię od razu zorganizowała spotkanie z tamtejszymi przyjaciółkami, które obdarowała przetworami z Leśnego Domu. Były to pyszne konfitury z przydomowych śliwek, a także grzybki w occie i grzyby suszone. Kasia natomiast zagrała jeszcze swój spektakl w Staromiejskim Domu Kultury i wróciła czym prędzej do swego rajcu. Jesienią było tam piękniej niż o każdej innej porze roku. Las kipiał całą gamą ciepłych kolorów, mniej było wczasowiczów, a grzybów więcej dla tych, którzy się tam ostali. Tak było aż do października, kiedy to na dobre wyjeżdżali do Warszawy.

Tu zaczynała się praca. Tym razem w związku z nią przydarzyła się Kasi przedziwna przygoda. Poproszono ją o zaśpiewanie kilku piosenek podczas jubileuszowego święta ZASP-u. Nie bardzo się do tego paliła z powodu bardzo trudnej i krytycznej publiczności. Co innego, gdyby na sali byli normalni widzowie, a nie wyłącznie artyści dramatyczni, estradowi i rewiewi.

Tego samego dnia miała też dać drugi koncert, z którego bardzo się cieszyła. Dom Kultury na Ursynowie zgodził się na miniorkiestrę, złożoną z



pianisty, akordeonisty i skrzypka. Niby mała rzecz, a cieszyła. Ostatnio recitale rzadko mają taką oprawę. Często odbywają się tylko z pianinem lub, co gorsza, z orkiestrą nagrany na płytę, czyli z tak zwanym półplaybackiem, bo na nagraniu brakuje tylko głosu wokalisty. Niby bogate brzmienie, ale to nie to samo, co żywi muzycy.

No i właśnie z powodu tego koncertu Maciek, który niechętnie uczestniczył w jej środowiskowych spędach, pojechał tam z nią, tylko dlatego, żeby ją szybko zawieźć na drugi koncert. I chwała Bogu! Kasia w czarnej sukni, z włosami zakręconymi pod kapeluszem czekała w holu na swoje wejście czy też przechodziła przez ten hol, by przed lustrem zrobić sobie fryzurę, kiedy podszedł do niej znajomy reżyser.

– Dokąd tak pędzisz? – zapytał.

– Biegnę się uczesać.

– Po co?

– Jak to po co? Przecież tak nie wyjdę na scenę!

– Kiedy właśnie powinnaś! Świetnie wyglądasz w tym kapeluszu.

Spojrzała w lustro na ścianie.

– Bo ja wiem. A może masz rację, będę taką wdową po Weretyńskim.

– Dlaczego po Weretyńskim? – roześmiał się.

– Zobaczysz – odrzekła i zrezygnowała ze zdejmowania kapelusza. Jej rozmówca nie wiedział, że w dzisiejszym repertuarze miała również jeden z romansów Weretyńskiego.

Ale w tym momencie stało się też coś więcej. Nagle przestała notować w świadomości wydarzenia. Nie wiedziała, z kim rozmawiała, gdzie jest i co się wokół niej dzieje. Nie pamiętała, kiedy weszła na scenę, wykonała wszystko jak trzeba i wróciła do holu. Gdy zaczęła cokolwiek kojarzyć, oprócz niej i męża nie było tam już nikogo.

Siedziała tam i nigdzie się nie śpieszyła, co zdumiało Maćka. Potem zaczęła szukać torebki, którą miała na ramieniu. Przestraszony jej dziwnym zachowaniem Maciek zadzwonił do córki. Doradziła mu, by wezwał pogotowie.

Zanim przyjechała karetka, zjawiała się Zosia. Opowiadała później matce, że zrobiła scenę lekarzom i sanitariuszom, kiedy chcieli położyć ją na nosze, za to, że śmiali się z jej wysokich obcasów. Podobno zadecydowała, że zejdzie po schodach o własnych siłach i postawiła na swoim. Przedtem ponoć przyjmowała gratulacje od kolegów i koleżanek, nawet tych największych.

Nic z tego nie pamiętała, podobnie jak i z samego koncertu.

Zawieziono ją do szpitala neurologicznego na Powiślu. Tym razem nie weszła tam sama, albowiem podstępni sanitariusze kazali jej położyć się w karetkie na leżance, która okazała się noszami. Gdy tylko wniesiono ją do szpitala, dziarsko zerwała się z noszy, wygładziła suknię i poprawiła makijaż. Inni cierpiący pacjenci oczekujący na pomoc w izbie przyjęć patrzyli na nią jak na dziwadło. W kapeluszu z piórami, długiej czarnej, połyskliwej sukni i strojnej chuście na ramionach, a nade wszystko na tych superwysokich obcasach była tu zupełnie nie na miejscu.

Siedząca obok niej Zosia starała się wybadać stan jej świadomości.

– Poznajesz mnie? – zapytała.

– Zwariowałaś? Jesteś moją córeczką. Zosikiem.

– A ile ja mam lat?

– A ja? – odpowiedziała pytaniem.

– Ty, mamuś, masz prawie siedemdziesiąt siedem.

– O Boże, naprawdę? Nie wierzę. Wobec tego ty masz ile?

– Czterdzieści cztery.

– Och, biedactwo moje! A jak mi poszedł koncert?

– Wspaniale, nie martw się. A pamiętasz, gdzie mieszkasz?

– No pewnie, w Warszawie.

– A adres?

– Czekaaj, wiem! Grójecka 42c, numer mieszkania zapomniałam...

– Źle, to jest wasz stary adres. A ten pan, który tam dalej siedzi na krześle, to kto?

– Nie wygłupiaj się, to twój tata, a mój mąż, Maciek.

– No widzisz, nie wszystko zapomniałaś.

– A w ogóle to co się stało? Czemu mnie tak przepytujesz? Powiedz, jak mi poszedł koncert.

– Koncert się udał. Przepytuję cię, bo zmartwiliśmy się twoim zachowaniem. Nie wiedziałaś, gdzie jesteś i po co.

– I dlatego przywieźli mnie do szpitala?

– A teraz przypominasz sobie wszystko?

– Jak to wszystko, o co ci chodzi? Czy zrobiłam coś okropnego?

– Chwała Bogu nie i to całe szczęście.

– A jak mi poszedł koncert? – zapytała kolejny raz, a Zosia spojrzała na nią z przerażeniem.

W tym momencie wezwano Kasię do gabinetu. Była zdenerwowana. Poproszono ją, żeby usiadła, a ona siadała, wstawała i bez sensu znów mościła się na krześle. Samego badania nie mogła sobie później przypomnieć, jak i wywiadu, który przeprowadził z nią lekarz.

W pewnym momencie zapytała:

– Która godzina?

– Siedemnasta dwadzieścia – odpowiedziała uprzejmie pani doktor.

– O Boże! – krzyknęła zrywając się z krzesła. – O osiemnastej mam koncert w Domu Kultury na Ursynowie. Nie zdążę!

– Nie musi pani, córka musiała go odwołać.

– Dlaczego? Nasz zespół muzyczny... Ojej, miałam mieć też występ na jubileuszu ZASP-u, zupełnie zapomniałam.

– W ZASP-ie już pani zaśpiewała, a teraz kładziemy panią na oddział.

Kasię ogarnęło przerażenie. Miała wrażenie, że znalazła się w domu wariatów. Ta osoba patrząca na nią z uśmiechem, udająca lekarza, przedziwnie poinformowana, co ona ma wspólnego z ZASP-em? Czemu Zosia zadawała jej jakieś dziwne pytania? A jeżeli naprawdę miała tam występ, to dlaczego go nie pamięta. Dałaby wszystko za to, by wiedzieć, jak jej poszło, co wyrabiała na scenie. No i żal jej było bardzo tego koncertu z muzykami. Odwołany w ostatniej chwili. Już jej tam nie zaproszą.

– Bardzo nam miło wreszcie zobaczyć tu kogoś w pełnej gali. Mamy tu zazwyczaj same ofiary losu – powiedziała pani doktor z uśmiechem.

– A tak w ogóle, co tu jest grane? Po co i jak ja się tu znalazłam?

– Już to pani tłumaczono. To też pani zapomniała?

– No, może niezupełnie, ale co ja takiego zrobiłam, że mnie zgarnęli? I jak mi poszło? Aż boję się usłyszeć.

– Nic złego pani nie zrobiła, tylko musieliśmy interweniować ze względów zdrowotnych. Musimy sprawdzić, czy to nie udar.

– Naprawdę? Niemożliwe, przecież ja całkiem dobrze się czuję.

– To niech się pani cieszy, bo mogło być całkiem źle.

W tym momencie zadzwonił jej telefon.

– Proszę odebrać – powiedziała miła pani doktor. – To będzie sprawdzian, czy pozna pani osobę, która dzwoni.

Była to Joanna, jedna z największych w piosence. Powiedziała:

– Witaj Kasiu. Chciałam ci od razu pogratulować, ale był tłok. Ostatnio mniej się widzimy i ja zupełnie zapomniałam, jaki ty masz piękny głos.

- No wiesz, z twoich ust usłyszeć coś takiego! Chyba żartujesz.
- Wiem, że miewam dziwne poczucie humoru, ale nie do tego stopnia. Naprawdę jestem pełna podziwu.
- Dziękuję ci – odpowiedziała zażenowana Kasia i rozłączyły się.
- No i? – spytała lekarka. – Powiodło się, wiedziała pani, z kim mówi?
- Oczywiście! Gdybym tylko wiedziała, jak mi naprawdę poszło... – zatroskała się delikwentka.

Wszystko, co się działo, było dla niej jakieś niejasne i niepokojące. Czemu jest w ten sposób testowana, czemu niektóre rzeczy pamięta, a innych nie? Czy w ZASP-ie się nie zbłądziła, jeśli rzeczywiście tam występowała? Ale skoro były gratulacje, to może nie było tak źle. Dlaczego nie pamięta nic a nic? Wejścia na scenę, publiczności i w ogóle niczego, niczego! Tabula rasa!

– No, pani Kasiu, dość tych rozważań. Przebieramy się i idziemy na oddział. Domyślam się, że nie ma pani własnej koszuli, zaraz poproszę, żeby panią w nią wyposażono. Proszę się nie martwić, będzie dobrze.

Łatwo pocieszać – pomyślała Kasia, a jeśli to początki jakiejś demencji albo choroby Alzheimera? Tymczasem Zosia, nieco podniesiona na duchu, pocieszała ojca, który siedział pod drzwiami blady i zdenerwowany.

– Mama miała coś podobnego do tego, co tobie się przydarzyło w Leśnym Domu, kiedy musiałam jechać po was, bo przestraszyłeś nas chwilową utratą pamięci.

– Ale mama przeszła to o wiele gorzej. Ona przez kilka godzin zachowywała się dziwnie. Co lekarze na to?

– Muszą jej zrobić szczegółowe badania. Jak zwykle przy takich objawach podejrzewają udar, ale po wywiadzie z nią uważają, że to raczej ogromny stres sceniczny. To się nieraz ludziom publicznym czy aktorom zdarza. Chwilowy zanik pamięci. Podobno przeżył to Clint Eastwood, Jack Nicholson i Stefania Grodzieńska.

– Niezłe towarzystwo.

– No właśnie. Powiedziałam jej to, ale mama nie wszystko kojarzy. W kółko pyta o to samo: jak wypadła na koncercie, nie wierząc jednocześnie, że na nim wystąpiła. Pyta też, kiedy babcia tu przyjdzie. Nie wiedziałam, co jej na to odpowiedzieć, bałam się przypomnieć, że babcia nie żyje, bo mogłoby to jej zaszkodzić. Nie wie, ile ma lat, zmartwiła się, kiedy jej powiedziałam, ile ja mam. „Och, biedactwo moje” – jęknęła.

– No to mamy kłopot, a właściwie nieszczęście.

– Lekarze mają nadzieję, a nawet przekonanie, że to się szybko zmieni, że pamięć jej wróci.

– Oby!

– Jedziemy kochany, nie martw się już. Muszę tu jeszcze wrócić, żeby mamie przywieźć kapcie, koszulę, szlafrok, szczoteczkę do zębów i takie tam drobiazgi. Kazali jej też kupić krzyżówki do rozwiązywania. Podobno świetnie pomagają w odzyskiwaniu pamięci.

Kiedy Kasia została zawieszona do sali szpitalnej, zaskoczyło ją to, że siedząca obok jednego z łóżek pani, znacznie od niej młodsza, rozpromieniła się na jej widok i zawołała:

– Pani Kasia Markowska... Kalczyńska!

– Tak, to ja. My się znamy?

– Oczywiście, jestem młodszą siostrą Ady Modrej.

– Ach, tak... A co u niej?

Zadała to pytanie właściwie tylko po to, żeby sobie uprzytomnić, kto to jest Ada Modra. Bo że zetknęła się z tym nazwiskiem, była pewna, nawet pamiętała jej twarz. Nie mogła tylko skojarzyć sobie, gdzie i kiedy się z nią zetknęła.

– O, nic dobrego, proszę pani. Ma chorobę Alzheimera, biedaczka.

– I leży gdzieś tutaj?

– Nie, przecież jest z mężem i Jose w Dominikanie.

– Ach, Jose, prawda! Chyba urósł. Ile teraz ma lat?

– Czterdzieści pięć – odpowiedziała jej ze zdziwieniem Iza Modra.

No tak, Jose był starszy o rok od jej córki. Bawili się razem, mają już – biedacy – ponad czterdzieści lat. Nie do wiary!

– Jestem tutaj u naszej mamy. Bardzo chora po udarze. Nie wiem, co będzie dalej.

– Znam pani mamę. Kiedy dzieci były małe, często przywoziła Josego do Zosi. Bawili się razem. A gdzie leży pani mama?

– Obok pani, dlatego tu jestem.

Kasia rzuciła okiem na sąsiadkę. Siwa, tęga kobieta leżała pod kroplówką podłączoną do aparatury, z rurką w nosie i z otwartymi szeroko ustami.

– Mój Boże – powiedziała – nigdy bym jej nie poznała. Choroba bardzo ją zmieniła.

Pani Stefania Modra, jaką jej sąsiadka pamiętała, była wysoką, ciemnowłosą, przystojną kobietą. Ta tutaj wyglądała jak jej matka. Oto co

choroba potrafi z nami zrobić.

– A co mówią lekarze? – spytała Izę Modrą.

– Nie dają wiele nadziei.

– No to trzymam kciuki za panią Stefanię. Życzę szczęścia – powiedziała Kasia i weszła do łóżka.

Zamierzała nieco poczytać, ale córka sąsiadki, która przy niej czuwała, najwyraźniej miała potrzebę wymiany myśli i spytała:

– A pani, pani Kasiu, dlaczego się tu znalazła?

Opowiedziała jej pokrótce, co się zdarzyło. Sama się zdziwiła, że zasłona, która oddzielała ją od przeszłości, gwałtownie maleje. Tylko okoliczności występu, tego co się działo tuż przed nim, w jego trakcie i po nim, za nic nie mogła sobie przypomnieć. Bardzo się o to starała, niestety bez skutku.

To samo było z książką. Kiedy ją otworzyła, zakładkę miała w jej połowie, lecz nic z akcji nie pamiętała, ale gdy tylko zaczęła czytać, przypomniała sobie wszystko. Może więc nie jest z nią aż tak źle. Ucieszona tym odkryciem, zdrzemnęła się na chwilę. Obudził ją głos Zosi.

– Zdobyłaś jakąś książkę? To ja niepotrzebnie dźwigałam te tutaj, żebyś miała coś do czytania.

– Okazało się, że miałam ją w torebce. Zamierzałam poczytać między koncertami.

Zosia patrzyła na matkę z zadowoloną miną. Najwyraźniej jej stan uległ polepszeniu. Rozmawiała rzeczowo, nie wracała z uporem maniaka do wciąż tych samych pytań.

– Pamiętasz Josego? – spytała teraz.

– Jakiego znów Josego?

– Twojego przyjaciela z dzieciństwa.

– Nie za bardzo...

– Nic dziwnego. Kiedy ostatni raz się widzieliście, miałaś cztery lata. Pamiętasz, ugryzł cię wtedy w ramię, do krwi. Strasznie płakałaś.

– Nie pamiętam, ale cieszę się, że ty pamiętasz. Przykro byłoby żyć razem z żalem w sercu, że nie mamy wspólnych wspomnień.

– Na pewno, moje dziecko, na pewno, ale na szczęście pamięć mi wraca.

– To wspaniale! – cieszyła się Zosia.

– To jest moja córka Zosia, ta, która często bawiła się z Jose. A to jego ciocia Iza.

Przedstawione sobie kobiety podały sobie ręce.

– Bardzo mi miło – powiedziały jednocześnie.

A tymczasem ta, która je z sobą poznała, w duchu upajała się tym, jak jej pamięć się otwiera. Bo nagle zobaczyła siebie w domu drugiej córki pani Modrej, w Madrycie, a także odtwarzała różne szczegóły z tej podróży. Może los nie skaże ją na to, że stanie się osobą bez przeszłości. Im więcej zaczynała pamiętać, tym bardziej czuła się przestraszona. A co będzie, jeśli to się zacznie powtarzać. Czy powinna nosić w kieszeni swoje dane i adres na wszelki wypadek?

– Widzę, że pani też ma nie lada kłopot i zmartwienie – powiedziała Zosia, patrząc na to, jak Iza stara się wygodniej ułożyć matkę. Nie doczekała się odpowiedzi, bo pielęgniarka kazała wyjść odwiedzającym, ponieważ nadchodził wieczorny obchód.

Lekarze byli zadowoleni ze stanu świadomości Kasi. Poszeptali między sobą i zlecieli jej jakieś pigułki i kroplówkę. Przez otwarte drzwi widziała potem, jak Zosia rozmawia na korytarzu z panią profesor i jej twarz się wypogadza, z czego wywnioskowała, że horoskopy pewnie nie są złe.

Spędziła w szpitalu sześć dni. Przeszła wszelkie potrzebne badania. Nie stwierdzono udaru, ale wejścia na scenę i swoich na niej produkcji nigdy sobie nie przypominała. Nawet wtedy, kiedy przyniesiono jej nagranie z koncertu. Owa płyta wprawdzie nie otworzyła jej pamięci na to wydarzenie, ale upewniła ją, że na scenie wszystko zrobiła tak, jak chciała i powinna. Całe to zdarzenie stało się dla niej swoistym memento, że nie musi być tak, jak sobie ułożysz i zaplanujesz. I jak tu uwierzyć w to, że człowiek jest kowalem swego losu?...

Kalendarz Kasi był zapełniony różnymi powinnościami, czy to w bibliotekach, czy też na scenie, nierzadko w odległych miejscowościach całego kraju. Nie chciała się nikomu przyznać, ale po prostu bała się tych wyjazdów. Bo co będzie, jeśli historia z utratą pamięci się powtórzy?

Miała więc w kieszeni swój adres i kontakty do rodziny. Tak było przez kilka miesięcy, a potem już o tym nie pamiętała.

## *Rozdział szesnasty*

– Czy ty nie sądzisz, że nasze życie robi się nudne? – zapytała kiedyś Kasia swojego męża.

– Co ci przyszło do głowy? Tyle się dzieje, a w tym roku będą jeszcze obchody mego osiemdziesięciopięciolecia.

– Ojej! – westchnęła żona jubilata. – Rzeczywiście, to już w tym roku...

– No więc będzie się działo! – zapewnił ją.

– Nie o tym myślałam zadając ci pytanie dotyczące tego, jak zmienia się nasze życie w porównaniu z tym, co było dawniej. Ile myśmy mieli siły, tyle było pracy, a ze wszystkim nadażaliśmy i jeszcze ciągle gdzieś wychodziliśmy, by spotkać się z ludźmi.

Co prawda, to prawda, mimo licznych zajęć trudno było utrzymać ich w domu. Kiedy Maciek wracał z redakcji, Kasia podawała mu obiad, przesypiał się po nim piętnaście, dwadzieścia minut i wstawał pełen energii i pomysłów na resztę dnia. Oczywiście pod warunkiem, że ona też miała wolne popołudnie i wieczór. A to nie zdarzało się zbyt często. Mimo wszystko największym relaksem dla jej męża był ruch.

Czasy były też trochę inne. Kiedyś ludzie, zwłaszcza ci zaprzyjaźnieni z sobą, wpadali jedni do drugich bez zapowiedzi. Teraz to nie do pomyslenia. Więcej bywali, więcej się śmiali.

– Widzę, że masz atak tęsknoty za młodością. „Ale to już było, i nie wróci więcej” – zanucił wzorem Rodowicz Maciek. – Młodość nie wróci, a do moich obchodów trzeba będzie się przygotować, bo po pierwsze to ważka liczba lat, a po drugie musimy zaprosić wszystkich naszych przyjaciół.

– Pomyślimy o tym we właściwym czasie. Zamówimy jedną z sal w restauracji „U aktorów”. Często bywam na górze w ZASP-ie i łatwiej mi będzie załatwić to tam niż gdzie indziej.

– No dobrze, to ja sporządzę listę gości.

– Sporządzaj, masz na to mniej więcej cztery miesiące. A poza tym nie strasz mnie, że młodość nie wróci, to nieelegancko. Ja rzadko czuję się stara, choć czasem muszę to sobie uświadamiać. I nie mów mi, że ty uważasz się za starca.



- Bez przesady, starcem jeszcze nie jestem ani się nie czuję.
- Chwała Bogu, bo już myślałam, że się poddajesz. Żartuję. Wiem, wiem, że czasem energia cię rozpiera. Szefunio całą gębą. Tak było, jest i będzie.
- A ty, szefowo, manipulujesz mną, kiedy jest ci to do czegoś potrzebne.
- Tak uważasz? Czasami możesz odnieść takie wrażenie, nie przeczę. Ale właściwie to ty rządzisz, a ja...
- Robisz tak, jak chcesz.

Na to już nie odpowiedziała, bo rzeczywiście tak było. Zawsze przekonana o tym, że spełnia w domu zadania wyznaczone przez męża, faktycznie je korygowała, częściowo z buntu, ale częściej z powodu realnych potrzeb. Bowiem Maciek poza potrzebą szefowania był w gruncie rzeczy oderwany od praktycznego życia. W ten sposób ani się spostrzegła, jak jej zniewolenie zamieniło się we władzę. Mąż widząc już gotowe lepsze rozwiązania, akceptował je, a nawet lubił się nimi chwalić. Nie tylko tym, co dotyczyło domu, ale też na przykład jej ubraniami, których on nigdy nie kupował, bo wolała zrobić to sama. Do tej pory pamięta zdarzenie, kiedy to zaproszona przyjaciółka wparowała do nich w eleganckim futrze, które były wtedy *en vogue*. Pewnie zrobiła na Maćku wrażenie, bo pomógł jej zdjąć owo futro i powiesić je na wieszaku, po czym ku zdumieniu wszystkich otworzył szafę z okryciami Kasi i powiedział:

- Moja żona też ma futerko, o proszę! Karakuły, wilki i... co to jest?
- To sztuczne futerko, taki misio.
- I misio... – dokończył trochę zawstydzony. – Niestety sztuczne...

Zachowywał się wtedy zupełnie jak dziecko. Taki mądry, wykształcony człowiek, a czasami wyłaził z niego pierwszy naiwny. Wzruszające – pomyślała wspominając to jego małżonka. Jednak nie zawsze ją to wzruszało, częściej irytowało. Z dystansu, kiedy przycichną emocje, wszystko wygląda trochę inaczej, łagodniej.

A teraz właśnie czuła nieokreślony niepokój. Gdzieś ją gnało, a jednocześnie nie miała na nic siły. Na koniec zdecydowała, że pójdzie na basen, żeby się odświeżyć. Uniwersytet Medyczny wybudował na swoim terenie duży zespół basenów. Zrobił tym wielką przysługę okolicznym mieszkańcom.

- Idziesz ze mną na basen? – spytała męża.
- A wiesz, chętnie. Tylko najpierw muszę pójść na pocztę, żeby opłacić rachunki.

- No to przejdziemy przez pocztę, przecież to po drodze.
- Wobec tego biorę plecak i idziemy.

Odkąd wybudowano ten basen, plecak Maćka ze sprzętem do pływania zawsze wisiał w przedpokoju. Kupował sobie kartę wstępu na cały miesiąc i prawie codziennie z niej korzystał.

Na poczcie była kolejka. Kasia rozejrzała się, czy nie można by gdzieś usiąść. Czowała się dziwnie zmęczona. No tak, mamy przedwiośnie, teraz będą ciągle zmiany ciśnienia, trzeba się uzbroić w cierpliwość – pomyślała. Kiedy po dwudziestu kilku minutach wyszli z poczty, uznała, iż jest tak zmęczona, że nie ma już ochoty na kąpiel w basenie, ale nie powiedziała o tym głośno. Z drugiej strony sama się sobie dziwiła. Ona bez ochoty na kąpiel to rzeczywiście coś nowego. Wiedziała, że gdy już będzie na miejscu, niechęć przed pływaniem szybko z niej wyparuje. Przecież woda to jej żywioł, od dzieciństwa zresztą.

Tamtego dnia wszystko było inaczej. Kiedy weszła jak zwykle do największego basenu, okazało się że nie ma siły przepłynąć całej jego długości, brakowało jej powietrza. Wobec tego podpłynęła do drabinki i wyszła z wody.

– Co, już popływałaś? – zdziwił się Maciek.

– Tak jakoś zachciało mi się pobrodzić w tym mniejszym – odpowiedziała, nie wspominając o swoim złym samopoczuciu.

Nie miała teraz czasu chorować. Przypomniała sobie, że jutro ma próbę spektaklu, pojutrze gra, a w czwartek wyjeżdża w trasę – na dwanaście koncertów na Lubelszczyźnie. No i musi dokończyć tłumaczenie.

W mniejszym basenie woda była mocno podgrzewana i rzeczywiście mogła w nim tylko brodzić, bo przy pływaniu brakowało jej tchu. Dziwne uczucie – stwierdziła – ale po co o tym myśleć. Widocznie trochę przeraża ją ta liczba czekających na nią obowiązków.

– Dlaczego nie pływasz? – zawołał Maciek podchodząc do niej. – Zaliczyłem sześć długości – pochwalił się.

– Brawo.

– A ty?

– Obijam się.

– Dlaczego? Pływaj sobie, pływaj!

– Dobrze – zgodziła się, ale wyszła z wody, kiedy on poszedł pod prysznic.

Była zmartwiona tym, co się z nią dzieje. W głowie jej pulsowało i czuła ból, a do tego ogarnął ją jakiś niewytłumaczalny strach. E tam! – powiedziała sobie – nie będę o tym myśleć. Albo też nie będę źle myśleć, bo złe myśli przyciągają nieszczęścia.

Kiedy wracali do domu, nie zdradziła się ani słowem, co zaprzęta jej myśli.

Zmierzyła sobie ciśnienie i wzięła Acard. Trochę jeszcze szumiało jej w głowie, ale udało się jej zasnąć. A rano już tego wszystkiego nie pamiętała.

Przed pójściem na próbę musiała się rozśpiewać i przepowiedzieć sobie tekst.

Przekonała się dawno temu, że pamiętanie tekstu to kwestia skupienia. Jeśli powtarzała go w domu, nie musiała się mobilizować i myliła się często. Ale na próbie raczej jej się to nie przydarzało, a co dopiero na scenie.

Zawsze, ale to zawsze przed wyjściem na scenę była bardzo zdenerwowana, aż do momentu, kiedy zrobiła ten pierwszy krok z kulisy w stronę publiczności. Wtedy to całe podenerwowanie, tremą zwane, zamieniało się w mobilizację, żeby wykonać zadanie. Działała jak żołnierz. Tekst wtedy wypowiadał się automatycznie. To dlatego podczas swojej zeszłorocznej zapaści mimo utraty świadomości wykonała na scenie wszystko jak należy. Zadziałała jak automat.

Mimo że trochę się bała wyjazdu na serię koncertów, wszystko na nich ułożyło się wspaniale. Mieszkała w Lublinie u zakonników. Codziennie po śniadaniu przyjeżdżała po nią przemiła pracownica agencji angażującej jej koncerty wraz z kierowcą i jechali w Polskę. Po pierwszym koncercie dla młodzieży, mieli przerwę na obiad, a potem ruszali na drugi występ w innej miejscowości. Kolacje jadła w hotelu.

Dodatkową zaletą tej trasy było odnawianie wspomnień z dzieciństwa, z czasów, kiedy mieszkała w Zamościu. Odwiedziła Zwierzyniec, gdzie przyjeżdżała na grzyby i kąpiele, Szczebrzeszyn, Terespol, gdzie była dwa razy na koloniach, słowem – to była podróż sentymalna.

W końcu kwietnia wróciła z trasy i wyjechali z Maćkiem do Leśnego Domu. Siedzieliby tam aż do czerwca, ale wcześniej były Targi Książki, na których oboje podpisywali swoje prace. Po Targach poczuła się źle, znowu to szybkie bicie serca, szum w głowie i towarzyszący temu lekki strach.

Nazajutrz rano Maciek wyciągnął ją na basen. Historia ze zmęczeniem w basenie w trakcie pływania powtórzyła się, w znacznie większym nasileniu

niż ostatnio. Ona, która przepływała bez zmęczenia na drugi brzeg jeziora, nie mogła tu pokonać długości basenu. Zwierzyła się z tego Maćkowi.

– Jak to nie możesz? – zdziwił się. – A co ci przeszkadza?

– Serce mi wali jak szalone, brak mi powietrza i w ogóle nie dają rady.

– To może musisz iść do lekarza?

– Bo nie mogę pływać?

– Przeważnie możesz, i to jak!

– Fakt! – przyznała i postanowiła puścić to w niepamięć.

Ale wieczorem serce waliło jej jak szalone, a puls miała nierówny i mocny, jakby odbywała bieg sprinterski.

– Ja chyba rzeczywiście pójde do lekarza, bo może coś z tym moim sercem jest nie tak.

Maciek leżał już w łóżku.

– Mówiłem ci, żebyś poszła. Teraz już za późno. Idź spać, rano pójdziemy.

Tak zamierzała zrobić, ale w żaden sposób nie mogła zasnąć. Przeszkadzało jej pulsowanie krwi w głowie. Postanowiła ubrać się i pojechać do pobliskiego szpitala na izbę przyjęć. Przynajmniej zrobią jej elektrokardiogram. Maciek obudził się, gdy wychodziła. Kiedy zorientował się, że się źle czuje, ubrał się szybko i postanowił zawieźć ją tam samochodem.

– Nie będziesz sama chodzić po nocy, zwłaszcza że coś ci dolega.

W poczekalni jak zwykle było trochę oczekujących i już zaczęła żałować, że pojawiła się tu o tej porze, gdy wezwano ją do gabinetu. Okazało się, że ci, co skarżą się na serce, mają pierwszeństwo. Po badaniu położono ją pod kroplówką w izbie przyszpitalnej. Po dwudziestu czterech godzinach nie wyszła do domu, tylko skierowano ją na oddział kardiologii. Dowiedziała się, że ma sporą arytmie serca i powinna była zgłosić się tu za pierwszym razem, kiedy się tak czuła, czyli dwa miesiące temu. Była przestraszona i zła, bo przyplątało się jej nowe przewlekłe zagrożenie, a również dlatego, że musiała odwołać najbliższe koncerty.

Leżąc w szpitalu wprawdzie bardziej martwiła się o odwołaną pracę niż o swoje zdrowie, ale doszła też do pewnych konkluzji. Wiedziała już, na czym polega ta zmiana, która dokonała się w ich życiu. Kiedyś słupami milowymi były urodziny dziecka, zmiana mieszkania, wspólny wyjazd na urlop za granicę, a od pewnego czasu wyznacznikami tego, co się działo, były coraz częstsze pogrzeby przyjaciół, pobyty szpitalne i stopniowy spadek mocy i

sprawności. Bardzo ją to zasmuciło, toteż szybko zajęła umysł lekturą, byle oderwać się od ponurych rozważań.

Maciek swoimi odwiedzinami nie poprawił jej humoru, bo bał się, żeby jej pobyt w szpitalu nie przedłużył się aż do jego urodzin.

– Przestań się tym zamartwiać – pocieszała go. – Wszystko jest załatwione, liczba gości ustalona, więc w najgorszym przypadku będzie o jedną osobę mniej.

– Ale jak by to było bez ciebie, co powiedzieliby na to goście? Wszyscy byliby zawiedzeni.

– Wypadki chodzą po ludziach. Taka historia może się wydarzyć zawsze i wszędzie. A zresztą po co gdybać? Raczej wypuszczą mnie dość szybko, gdy tylko uregulują tempo bicia serca. Jestem przecież leczona.

– No dobrze.

Ach ten Maciek i jego obchody! Na pewno nie on powinien się tym martwić. Nie daje szansy swoim bliskim, żeby to było ich spontaniczne działanie. Taki już jest i nie ma na to rady.

Koncerty jednak nie przepadły. Po dwóch dniach zatelefonowała do niej organizatorka i powiedziała, że udało się je przenieść na wrzesień. Dobra nasza!

Po tygodniu wypuszczono ją ze szpitala z uregulowaną trochę arytmia i z receptami na leki, które miały trzymać ją w ryzach. A zatem jubilat będzie mógł spokojnie świętować swoje osiemdziesięciopięćciolecie. Ponieważ do tych obchodów podchodził tak emocjonalnie jak dziecko, nie mógłby nie mieć laurki, jakiegoś stosownego wiersza, no i prezentów. Do urodzin zostały dwa tygodnie, więc można było przygotować wszystko jak należy.

Z takim oto postanowieniem Kasia szykowała się do snu, nareszcie we własnym domu. Trochę przygasł jej dobry nastrój, kiedy przejrzała zalecenia ze szpitala. Okazało się, że ma się zgłosić na badania dzień po urodzinach męża, a przecież umówili się, że pojedą wtedy wszyscy do Leśnego Domu.

Nazajutrz zadzwoniła do szpitala i dowiedziała się, że nie może przenieść badań na inny tydzień, bo jeśli wtedy wypadnie z systemu, będzie musiała długo czekać na nowy termin. Nie bardzo rozumiała, o co chodzi, ale wiedziała, że musi zostać w Warszawie.

Na ogół już od Wielkiej Nocy zostawała w Leśnym Domu. W tym roku jednak jakoś się to nie udawało. Ciągłe coś się działo w Warszawie czy gdzie indziej, w czym musieli uczestniczyć, więc ich „raj na ziemi” stał sobie pusty

i niewykorzystywany.

Zanim rodzina Kalczyńskich na dobre rozpoczęła letni pobyt w Leśnym Domu, z całym oddaniem fetowała osiemdziesiąte piąte urodziny swojego szefa. Goście zjechali się z całej Polski, a prezenty poustawiane na wielkim stole, specjalnie po to wniesionym przez restauratora, ledwie się na nim mieściły.

Odczytano treść laurki i kilka wierszy przywiezionych przez gości, złożono życzenia, odśpiewano „Sto lat” i w przyjaznej, radosnej atmosferze zjedzono smaczny obiad i pyszny tort.

Kiedy uroczystość dobiegła końca, gospodarze przyjęli propozycję jednego z gości, który przyjechał na nią swoim samochodem dostawczym, że odwiezie ich rodzinę do domu, razem z prezentami, które na pewno nie zmieściłyby się w bagażniku mniejszego pojazdu. Kierowca pomógł pięcioosobowej rodzinie Kalczyńskich poznosić prezenty i poukładał je w oddzielonej ścianką części bagażowej samochodu, a gdy zajęli swoje miejsca, poszedł jeszcze do restauracyjnej toalety. W pewnym momencie usłyszeli ruch i trzaskanie drzwiami w tylnej części wozu. Pomyśleli, że kierowca wrócił i coś tam poprawia, a potem ze zdumieniem zobaczyli go dopiero wychodzącego z restauracji. Nie zastanawiali się jednak nad tym. Kierowca wszedł do samochodu, przeprosił za chwilę zwłoki i ruszył. Poprosili go, żeby podjechał na parking wewnętrzny, bo stamtąd bliżej było do ich klatki schodowej. Kiedy kierowca wysiadł z samochodu i podszedł do bagażnika, stanął jak wryty.

– No nie! – wykrzyknął. – Przecież sam ładowałem...

Nikt nie wiedział, o co mu chodzi, a on stał i patrzył z niedowierzaniem na otwarte drzwi, a raczej na to, co widział za otwartymi drzwiami bagażnika swojego samochodu.

– No słowo daję, gdybym sam nie ładował, to bym nie uwierzył.

– W co? – zapytała zbliżając się do niego żona jubilata.

Doszła do miejsca, gdzie stał i zamilkła z otwartymi ustami. W bagażniku nie było śladu po prezentach, książkach i pakunkach w pięknym opakowaniach. Poniewierały się w nim tylko ułamane kwiatki i jeden bukiet gerberów, a także zwinięta w rulon laurka. Poza tym nic. Zupełnie nic więcej.

– Gdzie to się mogło podziać? – spytała nie wierząc własnym oczom.

– Ja też się zastanawiam. Strasznie mi przykro, ale ktoś je chyba ukradł

jeszcze podczas postoju przed restauracją – odpowiedział zmartwiony kierowca. – Nie mam pojęcia, kiedy ktoś zdążył je powyjmować. Może wtedy, gdy poszedłem do toalety.

– A zamykałeś samochód raz czy dwa razy? – zapytała Kasia. – Bo myśleliśmy, że wróciłeś szybko i coś tam przekładałeś. Słysząc było otwieranie i zamykanie drzwi oraz przesuwanie czegoś.

– Ależ skąd! Ja z tym nie mam nic wspólnego – tłumaczył się zażenowany kierowca. – Wyszedłem do toalety, była zajęta, musiałem trochę poczekać, a potem wróciłem, siadłem za kierownicą i ruszyłem.

Mówił teraz do większego audytorium, bo cała rodzina Kalczyńskich, nie wyłączając uszanowanego jubilata, stała niepomiernie zdziwiona przed otwartym bagażnikiem.

– Komu to wszystko było potrzebne? Nawet kwiaty? – dziwiła się Kasia.

– Cholerny złodziej! – oburzał się kierowca. – Musiał tam mieć samochód zaraz za moim. Pamiętam, że będąc w toalecie głowiłem się, jak wyjadę, bo byłem zastawiony przez jakąś Nysę. Nie przyglądałem się jej, a powinienem był zapisać numer. Jak wróciłem, już jej nie było. Strasznie mi przykro... Naprawdę nie mam pojęcia, co zrobić...

– Biedny Maciek! – biadała jego żona. – Tak się cieszył z tych prezentów, większości nawet nie obejrzał... A ci darczyńcy, nasi przyjaciele, tak się wykosztowali po to, żeby skorzystał na tym jakiś złodziej. Coś nieprawdopodobnego i co za pech!

– No rzeczywiście pech – przytaknął okradziony, któremu twarz pobiadła. – Czego ten złodziej się po tych paczkach spodziewał?

– Słuchajcie – powiedział Zosia – nawet nie możemy zgłosić tej kradzieży na policję, ponieważ nie wiemy, co było w środku. Nie ma jak tego szukać...

Wszyscy przez chwilę milczeli. W końcu znów odezwała się Zosia:

– Nikt z gości nie może się o tym dowiedzieć. Byłoby im przykro. Przedziwna sprawa, ale o tym sza! Ciebie, Mirku, też prosimy o dyskrecję – zwróciła się do uczynnego gościa.

– Masz rację – powiedziała jej matka – dla obdarowujących byłaby to wielka przykrość.

– A mnie to nie przykro? – upomniał się o swoje Maciek. – Taka uroczystość i żadnego śladu po niej nie ma...

– Jest laurka z moim wierszem – pocieszyła go żona.

– Dobrze, że chociaż to, ale przyznajcie, że wyrządzenie mi w same

urodziny takiej krzywdy to podłość i już.

– Naturalnie i wszystkim nam z tego powodu jest przykro.

– Ja też czuję się z tym okropnie, co gorsza, powinienem już jechać do pracy. Mam audycję w radiu. Przejadę koło ZASP-u, może okaże się, że gdzieś te paczki jednak stoją. I zadzwonię do nich z pytaniem, czy ktoś ich nie oddał.

Strapiony kierowca wszedł do samochodu i odjechał. Natomiast Kalczyńscy z kwaśnymi minami, ale za to zupełnie nieobciążeni, ruszyli na górę. Trzeba było sprawę omówić i jakoś otrzeć łzy poszkodowanemu. Tylko Oliwka odłączyła się od nich na chwilę, by przyprowadzić do dziadków zamknięte w domu psy Zosi.

Taki to był finał udanej uroczystości – zupełnie nieprawdopodobny! Rozprawiali o tym dość długo przy herbacie, póki córka jubilata znowu przytomnie nie przerwała zgromadzenia.

– Słuchajcie, dosyć tego! Co się stało, to się nie odstanie. Jutro czeka nas wczesne wstawanie, jedziemy do Leśnego Domu! Biedny Mamasiku, bez ciebie.

– Nawet nie wiecie, jak wam zazdroszczę! Wy w raj, a ja w szpitalu. Wielka niesprawiedliwość.

Okazało się jednak, że jej pozostanie na badaniach nie było najgorszym dopustem bożym, jaki miał dotknąć ich rodzinę. Tak naprawdę wszystko skupiło się na jubilate. To on był wszechstronnie najbardziej poszkodowany. Poszedł mianowicie z córką, wnukami i psami na daleki spacer do lasu. Będąc już solidnie zmęczony, stąpnął nie tak na nierównym leśnym dukcie i jego kolano, od lat niedomagające, wykręciło się w dziwny sposób, po czym nie mógł zrobić ani kroku. Zosia musiała złamać zakazy leśnictwa i przywieźć go z lasu do Leśnego Domu samochodem.

Nazajutrz wszyscy wrócili do Warszawy i uprzedzona telefonicznie Kasia przyjechała do szpitala przy ulicy Lindleya, żeby ich tam powitać i zająć kolejkę swemu pechowemu mężowi. Trzeba go było jakoś usprawnić.

Prześwietlenie i USG miejsca urazu sprawiły, że zapisał on w swoim kalendarzu: „Nie mogę chodzić... prawe kolano w kompletnej ruinie”. Został też skierowany na wymianę stawu kolanowego. Za półtora roku.

Po pewnym czasie, gdy znikła opuchlizna po urazie, mógł z trudem chodzić o lasce, ale i tak był w bardzo niekomfortowej sytuacji. A jeszcze rano tego samego dnia, gdy przydarzył mu się ten przykry uraz, sporządził



zapis w swoim kalendarzu: „Kąpiel w tym roku 4 czerwca, później niż zwykle”. Ten dopisek po przecinku był niepotrzebny, jako że właśnie czwartego czerwca było tego roku święto Bożego Ciała. I choć przysłowie radzi: „Na Boże Ciało skacz do wody śmiało”, dla osiemdziesięcioletniego Maćka była to na długo ostatnia beztraska kąpiel.

W Leśnym Domu snuł się smętnie po podwórku, a gdy chciał popływać, musiał jeździć samochodem do posiadłości Beaty i Mirka, żeby stamtąd doczłapać jakoś ostatnie sto metrów do brzegu jeziora. Próbował wsiąść na rower, ale nadwerężone kolano nie pozwalało mu odjechać.

W ten sposób cały ich pobyt w Leśnym Domu naznaczony był jego niemocą. Dzieci ze swoimi przyjaciółmi i ich matka korzystali z życia, jak mogli, natomiast babcia Kasia nie śmiała chodzić ze wszystkimi na dalekie wycieczki, żeby jej niesprawnemu mężowi nie było przykro. Dopiero kiedy „nastały” grzyby, sam jej podszeptał, że powinna ruszyć w las, nie oglądając się na niego. No i wtedy to już hulaj dusza! Kto jest w stanie oprzeć się pięknym prawdziwkom, podgrzybkom i rydzom. Może są tacy, ale nie w tej rodzinie. Chociaż Maciek nie zbierał ich w tym roku, jako wdzięczny konsument sprawdzał się doskonale.

W połowie października wszakoż trzeba było przerwać grzybobranie oraz przetwórstwo i wrócić do bardziej prozaicznych zajęć w Warszawie. Praca, spotkania, obowiązki.

Rok ten bezsprzecznie należał do Maćka. To on miał przypadłości większej wagi i bardziej spektakularne niż jego żona. Punktem kulminacyjnym była operacja jego kolana późną jesienią. Przypadek sprawił, że zasięgając opinii o lekarzach trafił na nazwisko znanego profesora i udał się do niego na wizytę prywatną. Ten po zbadaniu kolana osobiście, a także po obejrzeniu rentgena i USG uznał, że sytuacja jest alarmowa i trzeba je jak najprędzej operować, bo niedługo może być za późno. Tak więc w połowie listopada Zosia z matką czekały już w bloku operacyjnym szpitala na koniec zabiegu, no i wybudzenie pacjenta. Były bardzo zdenerwowane, ponieważ wiedziały, że narkoza w tym wieku jest niebezpieczna.

Wreszcie doczekały się, wyjechał na łóżku blady i wymizerowany. Oczywiście miał otwarte, ale mało przytomne. Kiedy je zobaczył, słabym głosem starał się wykrzyknąć w ich stronę: „Wspaniała operacja, świetna ta narkoza!” Ale zaraz pielęgniarka odjechała z nim do sali pooperacyjnej. Pozwolono im

wejść tam na krótko i zamienić z nim jeszcze kilka słów. Był osłabiony, ale świadomy tego, gdzie jest i po co. Uznały, że czuje się dobrze i ponaglone przez personel opuściły szpital uspokojone i nieco zdumione jego entuzjazmem wobec operacji i narkozy. Od lekarzy usłyszały, że kolano było zrujnowane, operacja ciężka, ale udana.

– Niech pani sobie wyobrazi, że pani tata zderzył się z pociągiem. W takim jest stanie – usłyszała od profesora Zosia, gdy przyszła do niego spytać o stan ojca.

Teraz wszystko zależy od tego, jak będzie się przykładał do rehabilitacji. W dużej mierze od niego samego zależy, jak prędko stanie na nogi. Wtedy to Kasia zobowiązała się w duchu, że będzie czuwać nad tym, aby się nie poddał.

Odwiedzając go w następnych dniach zarówno córka, jak i żona zaczęły się niepokoić tym, co im opowiadał. Twierdził, że co wieczór chodzi na koncerty, które odbywają się w szpitalu. Jednego dnia występowały dzieci, innego orkiestra z Wiednia grająca utwory Straussów. Zapytały, jak się przemieszcza na te koncerty. Twierdził że jeździ tam sam na swoim łóżku, które poza tym nigdy nie stoi spokojnie, tylko krąży tam i z powrotem. Ale najlepszą z tych rewelacji po czterech dniach jego pobytu w szpitalu była opowieść o uczonym leżącym naprzeciwko. Słuchając tego córka i żona były zdumione, że osobnik zwany „uczonym” na oko mógł mieć najwyżej dwadzieścia trzy czy cztery lata. Miał poza tym obie nogi w gipsie i liczne potłuczenia i zasinienia na ciele i na twarzy. Ale to nic nie znaczyło, świat znał niejednego mędrca, który uległ wypadkowi. Jak na geniusza (bo Maciek wychwalał jego kulturę i ogromną wiedzę, znajomość dziesięciu języków obcych i jakąś wyjątkową specjalizację) demonstrował zupełnie coś innego, niż przedstawiał jego admirator. Spał, a kiedy się budził zdziwiony, że jest obolały i nie może się poruszać, kłął jak szewc albo jeszcze gorzej. Było to tak sprzeczne z tym, co mówił o nim Maciek, że Zosia nie oparła się pokusie, by zapytać pielęgniarkę, która zmieniała mu opatrunki, kim jest ten człowiek, prawdopodobnie wybitny uczonec.

– On? – roześmiała się pielęgniarka. – Po pierwsze ma dopiero dwadzieścia dwa lata, a po drugie to żaden z niego uczonec, tylko pomocnik dekarza, który miał wypadek na budowie. Spadł z dachu, połamał sobie nogi i ma wiele obrażeń. Dużo czasu upłynie – dodała – zanim się z tego wyliże.

Pomocnik dekarza to też szlachetny zawód – pomyślała Zosia – ale skąd

jej ojciec miał te swoje o nim opinie, to już zupełnie inna para kaloszy.

– A dlaczego przyszło pani do głowy, że pan Patryk to wielki uczoney? – zainteresowała się pielęgniarka

– Tata mi opowiadał, że zna mnóstwo języków, między innymi sanskryt i grekę, że jest...

– A, pan Maciek. On, jak wiele starszych osób, ma zwidy po narkozie.

– I jak długo może to trwać?

– Czasem zostaje na długo albo na zawsze. Ale przeważnie mija po kilku dniach.

Kiedy Zosia powtórzyła tę rozmowę z pielęgniarką matce, ta zmartwiła się nie na żarty.

– To ja nie będę mogła poddać się narkozie przy moim badaniu, na które mnie skierowano, bo nie chcę potem być głupia.

– No coś ty, mamuś. Tata nie jest głupi, bo poza tymi zwidami przecież rozmawia normalnie.

Ale Kasia już wiedziała, jak postąpi. Obrona mocy umysłowych męża jej nie przekonała, chociaż w dłuższą tego rodzaju jego niemoc nie wierzyła. Tak czy owak, jeśli o nią chodzi, nie zgodzi się na narkozę przy byle badaniu. Na to jednak musiała jeszcze poczekać, bo termin badania, które jej zlecono, był bardzo odległy.

Po powrocie do domu Maciek wpadł w lekką depresję. Nie chciał siadać do posiłków ani sam jeść. Jego żona musiała go karmić jak niemowlę. Spał i spał. Czym prędzej załatwiła mu więc rehabilitanta. Energiczny młody pan Jarek wziął się za niego i sytuacja zaczęła ulegać zmianie. Ciągle jednak za dużo spał w ciągu dnia. Zauważyła, że to źle wpływa na jego psychikę. To fakt, że po ciężkiej, szczególnie w jego wieku, operacji musiał się zregenerować, ale z drugiej strony wcale to mu nie służyło. Lekarze ostrzegają, że człowiek starszy nie powinien długo leżeć w łóżku czy posypiać, bo to rujnuje moce umysłowe, gdyż traci na tym krążenie. W dodatku sny mieszają się z rzeczywistością, co Kasia zauważyła u Maćka.

Ani się spostrzegła, jak życie ich stało się uzależnione od medycyny. Leki, rehabilitacja, nieustające rozmowy na tematy medyczne robią swoje. Świat kręcił się teraz wokół walki o zdrowie i nie było na to rady. Pomyślała, że gdyby wzięła się za pisanie biografii, siłą rzeczy byłaby to książka związana z medycyną. Oczywiście laicka, bo jej wiedza na ten temat była ograniczona, aczkolwiek osadzona w zagadnieniach medycznych.

Taki los, taki czas, typowy dla starego małżeństwa.

A życie mknęło jak szalone. Tak chciałoby się jeszcze zrobić to i owo, dokonać czegoś, coś zobaczyć, czymś zadziwić. Myśląc o tym stwierdziła, że nie może się poddać. Musi nadal trwać przy swoich pasjach i zajęciach, bo właśnie praca czyni życie atrakcyjnym i motywującym. Swoim zapałem zaczęła nie tyle zarażać, co raczej nękać męża w jego obecnej sytuacji.

Jednakże zjednoczone siły Kasi, Zosi i rehabilitanta, krok po kroku postawiły Maćka na nogi. Ani się spostrzegł, gdy zaczął wychodzić z łóżka i siadać do posiłków. Pan Jarek nauczył go chodzić po schodach. Zosia codziennie prowadziła ojca po korytarzach ich budynku i klatce schodowej, by ćwiczył wspinaczkę na drugie piętro. Wkrótce korzystając z laski samodzielnie dotarł na Wigilię Bożego Narodzenia przygotowaną w mieszkaniu córki. To był przełom. Od tego czasu ozdrowieniec przejawiał coraz większą aktywność.

Przyszedł czas na rehabilitację poza domem, w zakładzie, do którego musiał sam dojeżdżać autobusem. Wrócił też do pływania w basenie. Wszystko to sprawiło, że po kilku tygodniach przestał używać laski. Potem jeszcze nadeszła wiadomość zza oceanu od jego przyjaciela Pawła, który przed laty wyemigrował tam i założył rodzinę. Otóż zawiadamiał on, że ma zamiar spędzić lato z żoną i córką w Polsce i chętnie odwiedzi Leśny Dom Kalczyńskich, którzy nie raz go tam zapraszali.

Rodzina Maćka błogosławiła ten list, bo tak dalece zmobilizował go do rehabilitacji, że wreszcie przestali się o niego martwić. Od tej pory było już tylko coraz lepiej. Córka odetchnęła z ulgą, a żona mogła ze spokojem przyjmować koncerty poza Warszawą, bo ciągle jeszcze była angażowana. To prawda, że już nie tak często jak przed laty, ale jednak wciąż jeszcze. A zatem wszystko zaczęło wracać do normy.

Kiedy w sierpniu Paweł z rodziną pojawili się w Leśnym Domu, jego gospodarz był doskonale na to przygotowany. Znowu czuł się szefem w dobrym tego słowa znaczeniu. Co prawda jeszcze lekko utykał na operowaną prawą nogę, ale w porównaniu z tym, co było, i tak czuł się i wyglądał doskonale. Był przystojny za młodu, a i teraz prezentował się świetnie. Wciąż był szczupły, miał wprawdzie bielutkie włosy, ale znakomicie pasowały one do jego szlachetnych rysów i dużych, bardzo niebieskich oczu. Na przyjazd Pawła i jego bliskich sporządził plan jak za dawnych czasów. Były w nim wyjazdy do ciekawych turystycznie miejsc. Wiedząc o przyjeździe

Kalczyńskich, Jeremi i Marianna jak zwykle wystosowali zaproszenie dla nich i ich przyjaciół na „specjalne” oglądanie Parku Dzikich Zwierząt.

Paweł był stosunkowo młodym człowiekiem, synem bardzo zaprzyjaźnionej z nimi osoby, o czternaście lat starszym od ich córki. Jego zmartwieniem było to, że wychowywał się bez ojca. Dlatego wcześniej zaczął obserwować Maćka, jak organizuje swoje życie rodzinne. Podobała mu się jego inicjatywa, energia, prowadzenie samochodu, jazda na nartach, pływanie. Słowem, ani się spostrzegł, jak znalazł swój ideał. Często jeździli razem na wakacje i wycieczki. Przy nim rósł, dojrzewał. Doczekał się też tego, że kiedy był już dojrzałym człowiekiem, jego idol zaproponował mu mówienie sobie po imieniu. Paweł nie przyznawał się do tego, ale ta propozycja była dla niego dużym przeżyciem. Mimo że w pracy układało mu się zawsze dobrze, przez długi czas nie był w stanie uporządkować swoich spraw osobistych. Pierwsze jego małżeństwo, z miłą i ładną dziewczyną, skończyło się rozwodem. Drugie tragedią – ukochana żona, będąca stewardesą, zginęła w katastrofie lotniczej. Wtedy to właśnie postanowił opuścić Polskę. Bronił się w ten sposób przed wspomnieniami. Jako że był bardzo przystojny, szybko znajdowały się osoby skłonne ukoić jego rozpacz. Niebawem Paweł spotkał miłość swego życia, Katherine, Irlandkę z pochodzenia. Wszyscy w rodzinie, a przede wszystkim jego matka, pokochali ją, bo okazała się wyjątkowo miłą i ciepłą osobą. Po ślubie państwo młodzi osiedlili się w Kalifornii nad samym morzem i wkrótce przyszła na świat ich córka, po ojcu nazwana Pauliną. Teraz była wysoką, śliczną panienką, która rozpoczęła studia. Wzięła od rodziców wszystko, co najlepsze, nie tylko urodę, ale i dobre cechy charakteru.

W odróżnieniu od Polaków, którzy nazbyt często niedbale odnoszą się do obowiązków obywatelskich, Amerykanie w tej sferze są bardzo pryncypialni. Ta różnica prawdopodobnie wynika stąd, że Polacy w swojej o wiele dłuższej historii nie zawsze byli rządzani przez rodaków. Bo to najpierw dwa wieki zaborów, a po drugiej wojnie światowej długie lata dyktatury Kraju Rad sprawiły, że w rogatej duszy Polaka rodził się cichy opór wobec władzy. To dlatego trudno nas zmusić do chodzenia na wybory i przestrzegania nakazów i zakazów. Prawie każdy nasz rodak sam sobie panem. Długą dyskusję na ten temat Kalczyńscy wiedli ze swoimi gośćmi przy grzybach, których uzbierali, pragnąc ich nimi uraczyć. Zwłaszcza że Kasia była nie lada specjalistką w ich przyrządzaniu. Myśleli, że zrobią tym przybyłym wielką frajdę. Ci jednak,

kiedy zobaczyli dania na stole, zareagowali co najmniej dziwnie. Tylko Paweł nałożył sobie sporą porcję sosu grzybowego ze śmietaną. Jego żona, imienniczka Kasi, patrzyła na grzybową potrawę łakomie, ale nie przysunęła do siebie półmiska, aby nabrać jej na swój talerz. Natomiast ich latorośl, Paulina, z oburzeniem popatrzyła na ojca i wycodziła przez zęby:

– Daddy, chyba tego nie zjesz?

– Owszem, zjem.

– No wiesz...

– O co chodzi? – zaniepokoiła się gospodyni. – Coś wpadło do półmiska z sosem grzybowym?

– W Ameryce grzybów się nie jada, bo uważane są tam za narkotyki – wyjaśnił Paweł.

– Też coś! – stanął w obronie narodowej potrawy Maciek. – Jeśli macie na myśli to, że się od nich można uzależnić, to prawda. Zarówno ich zbieranie, jak i konsumpcja są taką przyjemnością, że gdy raz ktoś jej zazna, już nie będzie mógł tego sobie odmówić.

– A ja w szkole słyszałam – przerwała mu Paulina – że grzyby są szkodliwe na równi z innymi narkotykami.

– Wobec tego zjemy je sami. Obserwujcie nas, jak będziemy się po nich zachowywać – wtrąciła Kasia.

– Ja tam sobie nie odmówię, tak dawno ich nie jadłem – wyznał Paweł i dołożył sobie sporą repetę. – Są pyszne! Brawo Kasiu!

– Tak mi przykro. Gdybym wiedziała, że taki jest wasz stosunek do grzybów, przyrządziłabym coś innego – tłumaczyła się gospodyni.

– Nie przejmuj się Katherine. To szkoła amerykańska tak miesza dzieciom w głowach. U nas w Irlandii też jadamy grzyby – powiedziała żona Pawła.

– To dlaczego nie nałożyłaś ich sobie? – zapytał Maciek.

– Ze względu na Paulinę. Nie chciałam dyskredytować jej przekonań.

– Bardzo ładnie z twojej strony. Powiedzcie mi kochani, czy wy wobec prawa i wszystkich obowiązków, nakazów jesteście tak idealnie karni? – spytała trochę pod włos Kasia.

– Naturalnie! A jak inaczej można postępować? To by było niegodne. A wy nie respektujecie swego prawa i obowiązków?

No tak, właściwie jakiej by się można było spodziewać odpowiedzi? Wypowiedź Katherine była kategoryczna i pouczająca.

– Przeważnie tak, ale starym zwyczajem, który zrodził się w czasach

okupacji, zawsze tli się w nas chęć przeciwstawienia się władzy. Bo kiedyś była obca – odparła Kasia.

– Ale teraz jesteście przecież wolni. To niemądre. Działacie przeciw sobie – zauważyła Katherine.

– Masz rację, Katy. Gdybyśmy na przykład mieli lepszą frekwencję przy wyborach, inaczej byśmy wyglądali. Może nikt by nie narzekał. Mądre jest to amerykańskie posłuszeństwo obywatelskie.

– Narzekać i tak ludzie będą zawsze. Ale uszanować władzę muszą. Tak każe prawo – dodał Paweł, też już prawomyślny Amerykanin.

Następnego dnia Kasia miała opuścić Leśny Dom. Nadszedł termin jej zabiegu. Z poprzednich badań wynikało, że musi przejść go pod narkozą. Rozmawiała na ten temat z lekarką, która wyznaczyła jej termin. Powiedziała ona, że wbrew woli nikomu narkozy się nie podaje, jednak nie radziłaby z niej rezygnować.

– Dlaczego?

– Bo to bardzo bolesny zabieg, może być przerwany.

– Wytrzymam, pani doktor. Twarda ze mnie sztuka.

– Decyzja należy do pani, ale gdybym ja miała ją podejmować...

– Dam radę – przerwała jej Kasia. – Nie mogę się poddać narkozie.

Wtedy, przed trzema miesiącami, rozmowa z lekarką trochę ją zaniepokoiła, ale teraz już o niej nie pamiętała. Szła na zabieg beztróska, z otwartą przyłbicą. Nie wiedziała, jak niemądrze się uparła.

Przekonała się o tym bardzo szybko. Kiedy młody lekarz doczytał się w skierowaniu, że ma wykonać zabieg w znieczuleniu miejscowym, bardzo się zdenerwował.

– A jakie są przeciwwskazania medyczne? – zapytał.

– Po prostu nie chcę narkozy.

– Dlaczego?

– Bo zaraz potem mam pracę wymagającą myślenia.

– No to co?

– Nie chcę, by coś mi przeszkodziło.

– Żeby pani tego nie żałowała, bo według mnie to zwykła fanaberia.

Lekarz zrobił jej zastrzyk blisko pola działania, odczekał chwilę i zaczął operować. Zawzięta pacjentka przyrzekła sobie, że dzielnie wytrzyma, co by się nie działo, ale okazało się to niemożliwe. W pewnym momencie zaczęła wyc z bólu, a na czole i nosie lekarza pojawiły się krople potu.

– Przy narkozie szybciej by to poszło – powiedział – ale sama pani chciała...

No tak, co prawda, to prawda. Mogła mieć pretensję jedynie do siebie. Lekarz tylko jeden raz wypomnił jej błąd. Kontynuował operację, ale był bardzo zdenerwowany. Ona przyrzekała nerwowo, że zrobi wszystko, by nie krzyczeć, ale przy niewyobrażalnym bólu przyrzeczenie to łamała, bo nie była w stanie nad sobą zapanować.

– Trudno. Kończymy. Ile się udało, to się udało. Nie zdziwię się, jak będzie za mało materiału do analizy. Ale nie mam na to wpływu – oświadczył lekarz i pozwolił jej się ubrać.

Kiedy trzęsąc się po tych wrażeniach schodziła po schodach trzymając się mocno poręczy, spotkała Zosię, która po nią przyjechała i właśnie szła jej szukać.

– Oj, biedna! Dlaczego mamuś jesteś taka blada?

– Nie powinnam była poddawać się temu bez narkozy.

– No to czemu nie chciałaś nikogo słuchać? Strasznie bolało?

– Jeszcze jak! Nie przeżyłam dotąd nic podobnego. Gorzej niż poród.

– Biedula. Ale dlaczego oni cię nie uprzedzili, że to takie bolesne?

– Uprzedzali, uprzedzali, ale się uparłam. Znieczulenie miejscowe niczego tu nie załatwiło... No, ale mam to już za sobą! Nie wiem, jak wrócę autobusem do Leśnego Domu. Na razie jestem wykończona.

– Wrócisz, jak wydobrzejesz.

– Ale tam są goście, a ja mam już bilet.

Po przespanej spokojnie nocy Kasia starała się jak najszybciej zapomnieć o wczorajszym nieprzyjemnym zdarzeniu i rano pojechała w sukurs mężowi, pełniącemu przy gościach podwójną rolę szefa wycieczki i pani domu. Wszyscy przyjechali po nią aż do Myszyńca, bo Maciek chciał im pokazać piękny, majestatyczny tamtejszy kościół, prawdziwy klejnot. W drodze powrotnej zatrzymali się jeszcze w Rozogach, z powodu bocianów. Te piękne ptaki przed swoim odlotem zebrały się tam na sejm. Poprzyglądali się, jak dorosłe bociany ćwiczą z młodymi loty. Siedziały na drzewach i dachach domów. Rzadko można zobaczyć ich aż tyle naraz. Następnego dnia Kalczyńscy z gośćmi zrobili sobie wycieczkę statkiem z Rucianego do Mikołajek, które po przebudowie w ostatnim dwudziestolecu zmieniły się w kolorowe miasteczko z bajki. Zjedli obiad w jednej z restauracji nad wodą, pospacerowali wzdłuż portu nadwodnym bulwarem i trzeba było odbyć rejs



powrotny. Widoki ze statku o zachodzie słońca były nowym przeżyciem dla przybyszów ze Stanów Zjednoczonych.

Paweł i jego panie wyjechali po dwutygodniowym pobycie na Mazurach szczęśliwi i pełni wrażeń, a gospodarze zostali, by wieść tutaj swoje zwyczajne życie. Kapali się, korzystali z dobrodziejstw lasu i ogrodu. Przetwarzali śliwki i znalezione grzyby.

Jednocześnie Kasia intensywnie przygotowywała się do swojej listopadowej trasy koncertowej po Dolnym Śląsku. Zwierzyła się córce, iż ma nadzieję, że jej afisz zobaczy też Paweł Śliwiński, uroczy kompan z sanatorium w Busku. Może przyjdzie na koncert i wtedy będzie mogła powiedzieć mu, że jest przyrodnim bratem Basi i opowiedzieć, co przy spotkaniu z nim przeżywała jej przyjaciółka. O jej istnieniu rodzeństwo powinno się przecież dowiedzieć, zwłaszcza że jednemu z nich udało się ją poznać przypadkiem, zanim umarła.

– A nie uważasz, mamuś, że to za trudne dla ciebie zadanie? Nie wiadomo, jak oni przyjmą tę wiadomość, przecież ona burzy obraz ich ojca.

– Jestem to winna Basi. Choć ona postanowiła im tego oszczędzić, wiem, że w głębi duszy tego chciała. Mówiła mi o tym.

– A więc uszanuj jej postanowienie.

– Nie wiem, pomyślę. Do listopada jest jeszcze sporo czasu. Zosiu, czy nie sądzisz, że czas już zmienić moje imię? – przeskoczyła nagle na inny temat Kasia.

– Co ci przyszło do głowy? Dlaczego?

– Bo ono już do mnie nie przystaje. Jestem w podeszłym wieku, a słyszę tylko: „Kasia to, Kasia tamto, Kasia piernik dzidzia”. Dostojeństwa i powagi mi od tego nie przybywa. Gdyby przynajmniej wołano do mnie Katarzyno, pani Katarzyno. Jako staruszka Kasia czuję się czasem głupio.

– No wiesz! Zaskoczyłaś mnie. Twoje pełne imię zupełnie, ale to zupełnie do ciebie nie pasuje. A co zrobisz z wnukami, dla których jesteś ukochaną babcią Kasią? A nasze psy? One też znają cię jako babcią Kasię.

– Im jest wszystko jedno, byleby dostawały swoje smakołyki, na które liczą, gdy tylko mnie zobaczą.

– A poza tym nie jesteś żadną staruszką, bo ani nie wyglądasz, ani nie zachowujesz się jak one. I tak trzymaj.

– A z boku nie wygląda to śmiesznie?

– Co ma wyglądać śmiesznie? Zdrobnienie twojego imienia? Przecież to

jest normalne, że jak się kogoś lubi, to się zdrabnia i spieszcza jego imię. Chcesz nagle powiększyć dystans między tobą a światem?

– Jak to dobrze wychować sobie taką mądralę. Zawsze postawi na swoim.

– Dobra, dobra, już to słyszałam nie raz. A tak naprawdę to przestańmy gadać o głupstwach. Przyszłam do ciebie, żeby się zorientować, jak wygląda ta twoja trasa, która mnie mocno niepokoi.

– No proszę, córeczka gra rolę mamusi. Tyle lat dawałam sobie radę, to i teraz tak będzie.

– Przypominam, że za dwa tygodnie kończysz osiemdziesiąt lat! Kto tę trasę organizuje i jak zamierzasz się przemieszczać z miejsca na miejsce?

– Przecież wiesz, że jedziemy z Pawłem, moim pianistą, jego samochodem. Pracujemy razem od lat i dobrze się rozumiemy.

– Tak, ale wiem też, ile w taką podróż zabierasz kreacji. Co będzie z noszeniem tych wszystkich bagaży?

– O to się nie martw. Na cały ten tydzień biorę kostium i bluzki na zmianę, no i oczywiście rzeczy na scenę. Rekwizyty, stroje.

– No właśnie, tak też myślałam.

– A jak to sobie wyobrażasz? Mam się nie przebierać? A w ogóle dlaczego tym się martwisz, zupełnie jakbyś nie była wychowana przy matce, która ma związek ze sceną.

– Tylko że przed laty ta matka nie miała arytmii serca i innych dolegliwości, a do tego i osiemdziesiątki na karku. Więc to nie jest to samo, co dawniej.

– Nie przesadzaj, gdybym tak myślała, dawno siedziałabym na ławeczce przy stawie i przez całe dni karmiła kaczki i gołębie.

– Dobrze mamuś, przestań rezonować i daj mi grafik tych swoich koncertów.

– Nie wiem, na co ci to potrzebne, ale proszę bardzo. – Mówiąc to Kasia otworzyła kalendarz i przeczytała:

14.11 – poniedziałek

Ostroszowice 16.00

Polanica Zdrój 19.00 – 45 kilometrów + hotel

15.11 – wtorek

Prusice 11.00

Oława 18.00 – 78 kilometrów + hotel

16.11 – środa

Środa (*nomen omen*) Śląska 14.00

Brzeg Dolny 17.00 – 25 kilometrów + spanie w Obornikach

17.11 – czwartek

Jawor – 12.00

Prochowice – 17.00 – 45 kilometrów

18.11 – piątek

Grębocice – 11.00

Głogów – 16.00 – 34 kilometry, ostatni nocleg.

- No i cała trasa. Zadowolona? Co ci to da?
- Nie wiem, ale niepokoję się, uszanuj to.
- Szanuję, szanuję, moja nadopiekuńcza córeczko.
- Ty się śmiejesz, a w pewnym wieku człowiek musi być pod opieką. To o wiele ważniejsze niż zmiana zdrobnionego imienia na pełne. Gdyby ci się coś stało, nie darowałabym sobie, że cię puściłam samą.
- A co ma się stać? Nie kracz.

## *Rozdział siedemnasty*

A jednak wykrakała. W Środzie Śląskiej Paweł zaparkował samochód na placu przed ratuszem, a ona poszła szukać sali widowiskowej, która miała się znajdować tuż obok. Przy okazji z przyjemnością oglądała świeżo odnowione i barwne kamieniczki na rynku. Wszystko było odrestaurowane na starą modłę, również bruk. Musiała poruszać się na wysokich szpilkach po kocich łbach. Niełatwe to było, ale jakoś dawała radę. W pewnym momencie zobaczyła swój plakat na murze i poszła w tamtym kierunku. Jednocześnie zadzwonił jej telefon. Starła się wydobyć go z kieszeni, zdekoncentrowała się, nie tam, gdzie trzeba, postawiła nogę na swoim bardzo wysokim obcasie i runęła jak długa. Poczowała przejmujący ból w lewym kolanie i zaraz po tym w całej nodze. Drżała cała i nie wiedziała, jak ma się podnieść, bo ani nie miała czego się chwycić, ani nikogo przy niej nie było. Zastanawiała się, jakiego sposobu użyć do zmiany pozycji. Z bramy wyszedł kot, otarł się o nią pieszczotliwie i polizał ją po twarzy. Ale choć kochała zwierzęta, tym razem nie zareagowała na kocią przymilność. Po pewnym czasie nadszedł Paweł z rzeczami potrzebnymi na scenę i mocno się przestraszył widząc ją leżącą na bruku z obolałą miną.

– Co się stało? – zapytał. – Kasiu, przewróciłaś się?

– Jak widzisz... – odpowiedziała płaczliwie.

– Nic sobie nie zrobiłaś? Poczekaj, pomogę ci wstać.

Mówiąc to postawił dwie małe walizeczki, swoją i jej, i spróbował ją podnieść. Kiedy chciała przystawić do prawej nogi, na której już stała, nogę lewą, poczuła ostry ból i nie mogła na niej stanąć. Wobec tego pianista ustawił ją pod ścianą i rzekł:

– Poczekaj tu, zaniosę walizki do miejsca, gdzie mamy grać, i poproszę kogoś o pomoc, żeby cię tam dotransportować.

Paweł zobaczył, że wejście do sali widowiskowej jest dwa kroki od nich. Trzeba było jednak wejść po dość stromych schodach, co dla poszkodowanej mogłoby okazać się niełatwe.

Po kilku minutach zeszło do niej kilka osób: kierowniczką klubu, Paweł i dwóch młodych ludzi.

– Dzień dobry pani – przywitała ją szefowa. – A cóż to za pech! Rozbić się pod samym wejściem do sali. Mam nadzieję, że to tylko potłuczenie. Jak to się stało?

– Wie pani, jak niewygodnie chodzi się w butach na obcasach po kocich łbach. Jak bardzo trzeba uważać. A ja zobaczyłam właśnie afisz i jednocześnie zadzwonił mój telefon. Wystarczyła krótka chwila dekoncentracji i leżałam jak długa.

– Boli panią coś?

– Noga. Lewa. Bardzo boli, nie mogę na niej stanąć. I ręka, którą się podparłam, ale tylko trochę, mam na niej małe otarcie. – Mówiąc to Kasia wciąż drżała, będąc jeszcze w szoku.

– I co my teraz zrobimy? – martwiła się kierowniczka. – Publiczność już czeka.

– Muszę trochę ochłonąć, sprawdzić, jak się ruszam.

– Tobie chyba potrzebny byłby lekarz – powiedział Paweł.

– Po koncercie. Jeśli nadal będę obolała. Teraz trzeba się zmobilizować, skoro publiczność już czeka. Tylko jak ja tam wejdę?

– Zaniesiemy panią – oświadczył jeden z młodzieńców. – Zrobimy z rąk małe krzeselko, o takie – zaczęli we dwóch demonstrować. – I pani siądzie na nim. O tak, dobrze! Proszę nas złapać za szyję i idziemy.

Publiczność rzeczywiście siedziała już w rzędach krzeseł sali na górze. Do garderoby trzeba było wejść przez salę. Ludzie myśleli, że to początek koncertu. Taka inscenizacja, że miejscowi kawalerowie przenoszą gwiazdę przez scenę, przypadła im do gustu. Rozległy się gromkie brawa. Sprawilo to siedzącej na prowizorycznym żywym krzeselku przyjemność i obudziło się w niej zwierzę sceniczne. Jej zdenerwowanie zaczęło się przemieniać w mobilizację.

– Nie wiem tylko, czy dam radę stać tak długo na jednej nodze – powiedziała w garderobie.

– To postawimy pani fotel. Może pani śpiewać na siedząco?

– Oczywiście! Ale najpierw muszę się przebrać, uczesać i tak dalej. O, krzesło komputerowe. Świetnie! Na nim wjadę na scenę. Będę wstawała od czasu do czasu. Jakoś to będzie – pocieszyła kierowniczkę klubu.

– Napiją się państwo herbaty czy kawy?

– Ja herbaty – powiedziała Kasia.

– Ja też – zdecydował Paweł.

- Jak noga? – martwiła się kierowniczką.
- Da się wytrzymać, kiedy na niej nie stoję.
- Chwała Bogu. Może wcale nie jest złamana.
- Oby!

Paweł zagrał wstęp muzyczny, po czym wrócił za kulisy i wywiózł swoją koleżankę na scenę na krześle komputerowym.

– Dobry wieczór państwu – przemówiła Kasia. – Bardzo przepraszam, oczekiwali państwo artystów, a tu szpital na kółkach. Niestety, po drodze przytrafiła mi się kontuzja nogi.

Nagrodzono ją gromkimi brawami. Prawdopodobnie za to, że powściągnęła ból, uszanowała zebranych i nie odwołała koncertu. A potem poszło już jak z płatka. W ferworze śpiewając wstawiała i robiła kilka kroków. Nie byłoby to możliwe bez adrenaliny, jaką odczuwała wychodząc na scenę. Mimo wysiłku, jaki wkładała w to, by zachowywać się na scenie w miarę normalnie, nie czuła bólu. Jednakże zaraz po zakończeniu koncertu spadło na nią zmęczenie, a noga bolała niemożliwie. Widząc ją cierpiącą, kierowniczką poradziła im, by w Brzegu Dolnym, gdzie mają następny koncert, wstąpili najpierw do przychodni przyszpitalnej, bo tam są dobrzy ortopedzi.

Kasię zniesiono po schodach, bo nadal nie mogła stawać na lewej nodze, i szybko przewieziono pod wskazany adres. Mieli szczęście, bo nie było tam oczekujących, została przyjęta od razu.

Prześwietlenie nie wykazało przemieszczeń, trudno też było stwierdzić złamanie, chociaż rysa idąca od piszczela do górnej części kolana mogła na nie wskazywać. Lekarz uznał, że to tylko mocne stłuczenie.

– Co nie znaczy – ostrzegł – że wcześniej pani noga będzie normalnie funkcjonowała, bo czasem stłuczenie leczy się dłużej niż złamanie.

A w ogóle zarówno lekarz, jak i pielęgniarka byli podekscytowani, że artystka z afisza do nich przyszła. Musiała im podarować płyty i zdjęcia z autografem.

Dostała recepty na środki przeciwbólowe, maść Altacet na stłuczenie i pojechali na koncert w sali miejskiej biblioteki. I tu spotkała ją niespodzianka. Wśród publiczności był Paweł Śliwiński z żoną, chociaż dowiedziała się o tym dopiero po koncercie, kiedy przyszedł do garderoby.

– Witaj gwiazdo! Jesteś bardzo dzielna. Kiedy zobaczyłem cię na tym tronie komputerowym, przestraszyłem się, że odwołasz występ. Pozwól, że ci

przedstawię: oto moja żona, a ta pani, jak wiesz, to Kasia Markowska, gwiazda, autorka tekstów i tak dalej, i tak dalej. Kobieta omnibus, z dystansem do siebie i cudownym poczuciem humoru. Zresztą sama widziałas i opowiadałem ci, jak to było w Busku. A Basia? Co u niej?

– Ty nic nie wiesz? Basia nie żyje.

– Taka wspaniała osoba, jakże mi przykro... Kiedy umarła?

– Ponad dwa lata temu, w Nowym Jorku. Słuchaj Paweł, bardzo mi miło, że dotarłeś na mój koncert, bo ja mam ci coś bardzo ważnego do powiedzenia.

– Jestem zazdrosna – zazartowała żona Pawła. – Macie jakieś tajemnice?

– Przed panią nie. Ale nie będzie mi łatwo, bo to niezwykle delikatna sprawa. Jestem to winna Basi.

– Wobec tego jedziemy do nas. Liczyliśmy na to, że porwiemy cię na kolację, a może i na nocleg.

– Mamy zarezerwowany hotel w Obornikach.

– Nasz dom też tam stoi. Hotel możemy odwołać. A pana również zapraszamy, mój imienniku, bo wyczytałem na afiszu, że nosimy to samo imię.

– Dziękuję bardzo, ale nie chciałbym państwu przeszkadzać. Mam trochę pracy papierkowej.

Pianista wiedział, jakiego rodzaju sprawę do Pawła Śliwińskiego miała Kasia. Opowiedziała mu historię Basi i jej ojca, nie chciał więc być świadkiem tej trudnej rozmowy. Współczuł jej, że będzie musiała, chce czy nie chce, zburzyć spokój tych ludzi. Z drugiej strony ten człowiek miał prawo do pełnej wiedzy o swoim ojcu i rodzeństwie. Zwłaszcza że przypadkiem poznał swoją przyrodnią siostrę i czuł się w jej towarzystwie bardzo dobrze. Pianistę ciekawiło to, jak Kasia poradzi sobie z tą trudną sprawą. Gdy pytała, jak on by ją załatwił, odpowiedział, że na szczęście nie ma takiej misji.

Z Pawłem pianistą Kasia zaprzyjaźniona była od wielu lat. Najpierw widywała go w Teatrze Syrena, grał w orkiestrze na akordeonie. Potem okazało się, że równie dobrze gra na pianinie. Spotykała go często na składankach koncertowych, gdzie akompaniował wielu śpiewakom i piosenkarzom. O tym, że zaprosiła go do swoich występów paryskich, zdecydowały jednak nie jego niewątpliwe zdolności muzyczne, lecz charakter. Człowiek ten wydawał się niezwykle logiczny, prawy, sumienny,

oddany rodzinie i nie uprawiał gierki typu podryw, co w pracy bywa uciążliwe. Te jego walory potwierdziła długoletnia ich współpraca. Do tego ostatnio Paweł ją zadziwił.

Jeździł od czasu do czasu motocyklem na swoją działkę i pewnego razu uległ wypadkowi. Miał mnóstwo drobnych urazów, ale najgorsze było złamanie barku. Długo trwała jego rehabilitacja, zanim odważył się wziąć do ręki akordeon.

– To prawdziwy pech – powiedziała zmartwiona Kasia. – Jak sobie radzisz w tej sytuacji z lekcjami w szkole muzycznej?

Paweł od kilkunastu lat uczył młodzież gry na akordeonie, sądziła więc, że jest to jego podstawowe źródło utrzymania. Okazało się jednak, że jest inaczej.

– Zostawiłem to, nie pracuję już w szkole muzycznej.

– Ojej, to dochód z koncertów ci wystarcza?

– Z tym różnie bywa, ale wciąż mam Politechnikę.

– Politechnikę? Prowadzisz tam jakiś zespół?

– Jestem wykładowcą matematyki.

– Naprawdę? Imponujesz mi.

– Nie wiedziałaś o tym? Dlaczego cię to dziwi?

– Nie wiedziałam. Nigdy o tym nie mówiłeś.

– No bo spotykaliśmy się w innej sprawie. Z powodu drugiej mojej pasji – muzyki.

Cały Paweł, skromny i zasadniczy. Mówił o tym tak zwyczajnie, jakby co drugi pan profesor na wyższej uczelni był jednocześnie aktywnym artystą. A przecież takich jest naprawdę niewielu.

Tak więc Paweł wiedząc, jak trudne rozmowy Kasia zamierza przeprowadzić z jego imiennikiem, zasłonił się sprytnie jakąś pracą papierkową, żeby nie utrudniać koleżance zadania, które sama sobie postawiła. Czy powinna je wykonać? Na ten temat miał uczucia mieszane. Ale decyzja należała do niej.

– W związku z tym, że nocujesz w hotelu – powiedziała do Pawła – będę miała do ciebie prośbę, abyś anulował rezerwację mojego pokoju. Skorzystam z gościnności państwa Śliwińskich.

– Dobrze, naturalnie, że to załatwię, aczkolwiek będą margać, że w ostatniej chwili.



– Trudno, to się zdarza – wtrącił się Paweł Śliwiński. – My natomiast postaramy się jakoś ulżyć w bólu naszej biednej ofierze wypadku.

Rozstali się i pojechali w dwie różne strony. Zanim muzyk zgłosił w hotelu rezygnację z rezerwacji pokoju, zatelefonował do córki Kasi. Taką miał z nią umowę. Zosia bała się, że matka już nie tak jak dawniej radzi sobie ze wszystkim i prosiła go, aby był z nią w kontakcie i zdawał jej sprawę, gdyby narzekała na zdrowie. Uważał, że córka powinna wiedzieć o jej kontuzji. Nie przewidział jednak jej reakcji.

– Wiedziałam, że coś się stanie, mama ostatnio jest taka rozkojarzona. Nie wiem, czy tak dostała w kość pomagając tacie stanąć na nogi, czy też sama niedomaga. Skarżyła mi się ostatnio na zdrowie, była słaba.

– Nie odnoszę wrażenia, że jest rozkojarzona. Na koncertach wspinała sobie radzi. A ta kontuzja to zwykły wypadek. Sam miałem kłopoty w chodzeniu po kocich łbach, a co dopiero ona na tych swoich obcasach. W dodatku poszła sama przodem, więc nikt nie mógł uchronić jej przed upadkiem. Nawet sobie wyrzucam, że nie poprosiłem, by czekała na mnie, kiedy parkowałem. Ale gdybym wiedział, co jej grozi, pewnie bym to zrobił.

– Kto to może przewidzieć? Niech pan się nie obwinia. Te jej obcasy!

Tak więc córka zareagowała na wieść o kontuzji matki znacznie ostrzej, niż się spodziewał. Poprosiła też, żeby podał jej miejsca dalszych koncertów.

– A w ogóle czy ona nie powinna przerwać tej trasy? Jak taka okulawiona wchodzi na scenę?

– Nie wchodzi, wjeżdża na krzesło komputerowym. Publiczność reaguje na to spontanicznie, jest wdzięczna, że szanuje swoje zobowiązania.

– O Boże! To jakiś cyrk. To ile wam jeszcze tych zobowiązań zostało?

– Cztery. Jutro w Jaworze o dwunastej i w Prochowicach o siedemnastej. W piątek w Grębolicach o jedenastej i w Głogowie o siedemnastej. Potem wracamy do Warszawy.

Po zakończeniu rozmowy Zosia była roztrzęsiona, a Paweł czuł się winny, że pozwala koleżance pracować w takim stanie zdrowia. Chociaż wiedział, jak poważnie traktuje publiczność, podejrzewał, że robi to też dla niego, by nie zarobił mniej, niż było przewidziane.

Tymczasem Kasia zmagala się zarówno z ostrym bólem nogi, jak i z tym, jak w najbardziej delikatny sposób rozpocząć swoją misję związaną z jej zmarłą przyjaciółką. Czy ona naprawdę tego chciała, nie była pewna, ale zależało jej na tym, żeby chociaż teraz, kiedy już odeszła, jej rodzeństwo

pomyślało o niej jak o kimś bliskim.

Paweł ułatwił jej zadanie. Najpierw oboje z żoną komplementowali ją długo za koncert i hart w jego wykonaniu, za teksty, za głos. Było im przykro, że nie mogą jej pokazać całego domu i wielkiego, pięknego ogrodu, bo nie może się ruszać. W pewnym momencie Paweł powiedział:

– Smutno mi, że twoja wspaniała przyjaciółka nie żyje. Była to bardzo miła i mądra osoba. Również twoja obecna niemoc ruchowa mnie martwi. Gdybyś wiedziała – zwrócił się do żony – jaka to była iskra. Do dziś pamiętam, jak tańczyła na dyskotecie w sanatorium. Chodziliśmy tam jako łoża szyderców, świetnie się bawiliśmy.

– Co się tyczy mojej przyjaciółki... – nawiązała Kasia do tego, o czym chciała mówić.

– Właśnie! Miałaś mi coś powiedzieć na jej temat – przypomniał sobie Paweł.

– To nie jest dla mnie łatwe.

– Rozumiem to, pani Kasiu – wtrąciła się niespodziewanie żona Pawła. – Liczę na to, że pani to powie, bo chyba domyślam się, o co chodzi. Mnie też już ciąży pewien sekret.

– Pani? Jak to możliwe?

– O czym wy mówicie? – zdziwił się Paweł. Kasia też była zdziwiona.

– Śmiało pani Katarzyno, wiem, że niełatwo to powiedzieć. Ale jeśli się nie mylę, poczuję ulgę.

Mąż patrzył na nią z wyrzutem, a ich gość ze zdziwieniem. Kasia zachęcona w ten sposób przez kobietę, którą widziała pierwszy raz w życiu, dała za wygraną i powiedziała po prostu:

– Pawle, czy tobie nie przyszło do głowy, że Basia może być naprawdę twoją siostrą? Chociażby dlatego, że jesteś do niej bardziej podobny niż do swojej rodzonej siostry Zosi. Basia wiedziała to od swojej kuzynki. Twoja siostra słyszała o istnieniu Basi, pani Alinka jej powiedziała, ale zdecydowała, że nie będzie nawiązywać znajomości z córką swego ojca.

– Nic z tego nie rozumiem. Jak to możliwe? Przecież byliśmy jedyną rodziną ojca. Zwariowałyście? A może ja zwariowałem?

– To prawda, Pawełku – włączyła się jego żona. – Twoja siostra była tym zszokowana. Zwierzyła mi się kiedyś, że posiada wiedzę o was, z którą nie może się pogodzić. Jednocześnie wymogła na mnie przyrzeczenie, że nic ci na ten temat nie powiem. Było to dla mnie okropnym obciążeniem.

Paweł patrzył zdezorientowany to na Kasię, to na żonę. Nie był w stanie odezwać się w tej sprawie, czekał na wyjaśnienia.

– Zanim twój ojciec poznał waszą matkę – zaczęła Kasia – był żonaty z matką Basi. Wojenna zawierucha rozdzieliła go z żoną i córką. Był przekonany, że nie przeżyły one zsyłki na Syberię. Według wiadomości od znajomych, którzy dwudziestego drugiego czerwca byli na dworcu w Baranowiczach, obie zginęły w bombardowanym przez Niemców pociągu z zesłańcami. A on pogrążony w żałobie został uratowany przez ojca waszej matki. Zawdzięczał mu życie. Ten Ukrainiec pomógł mu przejść przez zieloną granicę, gdy zgodził się zabrać ze Lwowa jego córkę. Nawet nie wiem, czy wasi rodzice mieli prawdziwy ślub, bo matka wasza przebywała w Polsce mając papiery matki Basi.

– A więc to tak... ale dlaczego Zosia mi o tym nie powiedziała? Czemu zdecydowała za mnie? Przecież to jakieś zniewolenie – denerwował się Paweł.

– Musisz ją zrozumieć, sama przeżyła szok, pamiętam, jaka była roztrzęsiona, kiedy mi się zwierzała – stanęła w obronie swojej szwagierki żona Pawła.

– Tu nikt nie jest winien, tylko wojna. To ona tak pokiereszowała ludzkie losy. Wedle prawa wasz Bogu ducha winny ojciec był bigamistą. Jeździł do siostry pierwszej żony, wypłakiwał się u niej i zasięgał wiadomości o swojej pierwszej rodzinie, którą opuścił mimo swojej woli. Kochał je obie do końca i cierpiał nie mogąc się ujawnić. Nazwał swoje dzieci z nowego związku imionami Paweł i Zosia, czyli swoim i matki Basi. Komplikacją było to, że swoją nową rodzinę, czyli was, kochał również całym sercem. On nie był w tej sprawie winowajcą, tylko ofiarą. To wojna, tylko wojna zawiniła.

– Nie wiem, co mam powiedzieć – odezwał się Paweł. – Że jestem wstrząśnięty, to oczywiste. Żał mi ojca, żał matki, ale mam też do nich żal, że nam o tym nie powiedzieli. I żał mi, ogromnie żał Basi. Ta wspaniała kobieta była moją siostrą! Błogosławię los, że dał mi ją poznać, a jednocześnie żałuję tego, że tak wiele straciłem. I czemu ona mi o tym nie powiedziała? Czemu? Czemu?

– Nie miała serca do tego, żeby ci popsuć wizerunek ojca. Z drugiej strony czuła się podwójnie porzucona, najpierw przez ojca, potem przez rodzeństwo, a szczególnie przez przyrodnią siostrę, która odmówiła kontaktu z nią i odseparowała od niej brata. A przecież nikt z was nie był winny temu, że tak

potoczyły się losy rodziny. Dlatego postanowiłam ci o tym powiedzieć.

– Trudno tu szukać winnych... Ale do Zosi, mojej siostry, mam wielki żal. Nie powinna była tego przede mną ukrywać, decydować za mnie, czy chcę poznać własną siostrę...

– Najmocniej was przepraszam za to zamieszanie, jakie uczyniłam w waszych uczuciach. Nie zrobiłabym tego nigdy, gdybym nie wiedziała, jak było to ważne dla Basi. Nie masz pojęcia, Pawle, jak była z ciebie dumna.

– Ja też jestem dumny z takiej siostry. To cenny dar mego ojca z za grobu. Ale gdybym wiedział, gdybym tylko wiedział...

– Basia widziała moją relację z moim przyrodnim rodzeństwem. W mojej rodzinie również wojna rozdzieliła rodziców, z tym że ojciec zginął. Ale z moim bratem i siostrami kochamy się bardzo. A w ogóle nie wiem, co sobie o mnie pomyślicie. Wy mnie przyjmujecie, a ja wprowadzam zamęt w wasze serca.

– Ja jestem pani wdzięczna. Nareszcie mam czyste wobec Pawła sumienie – powiedziała jego żona.

– Ale że Zosia kazała ci mnie okłamywać, nie spodziewałem się po niej tego – wyrzucił z siebie Paweł.

– Musisz jej wybaczyć, nie mogła sobie z tymi wiadomościami poradzić. Były dla niej wstrząsem.

Paweł siedział w milczeniu i wpatrywał się w zdjęcie ich rodziny stojące na kredensie.

– Słuchajcie, nie wiem jak wy, ale ja chętnie poszłabym już do łóżka – przerwała w końcu ciszę jego żona. – Pani Kasia chyba też. Inaczej jak da radę odbyć jutrzejsze występy? Jest pani bardzo dzielna. Nie wyobrażałam sobie, że artyści mogą mieć tyle hartu.

– Na ogół ludzie nie podejrzewają nas o nic dobrego – roześmiała się Kasia. – Wydaje się im, że nasze życie to wieczna rozrywka, a to praca, praca i praca. Ale jesteśmy kochani za to, co robimy, i to nas trzyma przy życiu.

– Cieszę się, że się poznałyśmy, jestem Aga. Mówmy sobie po imieniu. Skoro jesteś na ty z Pawłem, to i my chyba możemy?

– Jako starsza powinnam pierwsza to zaproponować. A zatem: Katarzyna, przyjaciółka Basi, odnalezionej siostry twojego męża. Ago, bardzo mi miło. – Panie ucałowały się serdecznie.

– Idę ci pościelić łóżko. Tu, w tym pokoju, żebyś nie musiała nigdzie kuśtykać na tej twojej chorej nodze. Toaleta i łazienka są za drzwiami.

– Dziękuję ci. Bardzo mi pomogłaś w mojej misji. Tak się bałam tej rozmowy, że zapomniałam o bólu.

– A więc na dobre ci to wyszło – powiedziała Aga. – Chociaż wątpię, czy Paweł dzisiaj zaśnie... Natomiast ja odwrotnie, nareszcie zasnę z lekkim sercem. A ty, Pawełku, łyknij sobie kieliszek wódki, koniaku czy wina. Dobrze ci zrobi, rozluźni cię.

– Oto troskliwa żona. Namawia do złego. A co będzie, jak się rozpiję?

– Żartujesz. Ty się rozpijesz?

Kasia przyglądała się zgranemu małżeństwu brata przyjaciółki i zastanawiała się nad tym, jak Basia czułaby się w ich towarzystwie.

## **Rozdział osiemnasty**

Pod koniec występu w Jaworze, który zaczął się w samo południe i odbywał się w promieniach słońca wpadających przez duże okno, co dawało jednakowe ostre oświetlenie zarówno na scenie, jak i na widowni, wykonawczynie ujrzała otwierające się cichutko drzwi na końcu sali i wchodzącą przez nie swoją córkę, Zosię.

Skąd ona się tu wzięła? – zdziwiła się Kasia. Kiedy wczoraj wieczorem z nią rozmawiała, nic jej nie wspominała o swoim wypadku. Uznała, że nie chce jej martwić. A teraz przyjechała. Dlaczego? Musiała szybko oddalić tę myśl, żeby nie pomylić tekstu ostatniej piosenki. Jednak ona uparczywie wracała.

Po wielkim aplauzie, który ją zdziwił, pierwszy koncert w tym dniu miała już za sobą. Podejrzewała, że entuzjazm publiczności był częściowo podziękowaniem za to, że nie odwołała występu. Zosia patrząc, jak pianista wstaje i wywozi matkę ze sceny na krześle komputerowym, poczuła, że ma wilgotne oczy.

– Dlaczego przyjechałaś? Coś się stało w domu? – powitała ją matka w garderobie.

– Mamuś, ty mnie pytasz, dlaczego przyjechałam? Dziękuję ci, że mnie okłamywałaś wczoraj wieczorem. Czekałam, kiedy powiesz prawdę, bo znałam ją już od pana Pawła.

– Doniósł ci?

– Tak to nazywasz? A gdyby jemu coś się stało i ty nie zawiadomiłabyś jego rodziny? Czy to byłoby w porządku?

– Zawiadomiłabym, oczywiście, że bym zawiadomiła.

– Więc dlaczego własną rodzinę postanowiłaś okłamać?

– Żeby was nie martwić. Zostawiłaś dzieci same?

– Sa na tyle duzi, że dadzą sobie radę. Michał ma piętnaście lat, a Oliwka dwadzieścia dwa. Nie pamiętasz? Mnie też zdarza się zapominać, że to już stare konie. Przyjechałam, żeby cię zabrać do domu.

– Przecież mogę wrócić z Pawłem, tak jak przyjechałam.

– Dzięki za miłe powitanie. Po co przyjechałaś i po co przyjechałaś... Nic

innego nie masz mi do powiedzenia?

– Witam córeczko, niepotrzebnie się mną martwisz. Jak widzisz, daję sobie radę. Jeszcze trzy koncerty i będzie po wszystkim.

– Pod warunkiem że postaramy się teraz pójść do jakiegoś ortopedy i upewnimy się, że ta noga nie jest złamana. Przecież stłuczenie aż tak nie boli, żeby nie można było stanąć. Poza tym noga chyba powinna być unieruchomiona.

Kierowniczka domu kultury, która przysłuchiwała się ich rozmowie, wtrąciła:

– W Głogowie jest świetny ortopeda. Ma gabinet i wszelkie aparaty do badań. USG, rezonans, rentgen i tym podobne. Przyjeżdżają do niego ludzie z całej okolicy. Mogę paniom dać numer jego telefonu.

– Nasz ostatni koncert jest w Głogowie – dorzucił Paweł.

– A co ty, córeczko, mówisz o braku unieruchomienia, przecież mam ortezę.

– A skąd ją masz?

– Pożyczył mi lekarz z pogotowia w Brzegu Dolnym. Jego żona bardzo lubi moje teksty. Był zadowolony, że do nich trafiłam.

Zosia wzięła numer telefonu gabinetu lekarza z Głogowa i wyszła, żeby do niego zadzwonić. Wróciła rozpromieniona.

– Umówiłam cię na wizytę u tego lekarza w Głogowie. Wyobraź sobie, że wizyta z koniecznymi badaniami kosztuje u niego tylko sto złotych. W Warszawie kosztowałyby cię trzy razy więcej.

Chwała Bogu! – pomyślała Kasia. – Przynajmniej nie będziemy się targować o przerwanie trasy koncertowej. Głośno zaś powiedziała:

– Przestańmy już mówić o mojej kontuzji i medycynie. Mam tego po dziurki w nosie. Jedźmy już na obiad, żeby zdążyć na koncert w Prochowicach.

– Jest tam świetna restauracja „Zajazd dla łakomczuchów”. Mają znakomitą kuchnię – poinformowała wszechwiedząca kierowniczka Domu Kultury. – Stąd do Prochowic jest tylko trzydzieści kilometrów, a knajpa stoi zaraz przy wjeździe. O której macie państwo koncert?

– O siedemnastej.

– Spokojnie zdążycie.

– Ja nie lubię objadać się przed śpiewaniem – powiedziała Kasia.

– Za to po koncercie jesz bez opamiętania – wypomniała matce Zosia.

– Tak, to śmieszne. Po występach mam wilczy apetyt, nawet jeśli wchodzę na scenę na jedną piosenkę.

– No to jedziemy – ponaglał Paweł. – Czy skoro jedziesz z Zosią, mam przeładować twoje rzeczy do jej samochodu? – spytał.

– Chyba będzie to logiczne.

Wtedy muzyk otworzył tylne drzwi swojego samochodu i wytaszczył z niego gruby i długi pień wyrzeźbiony na kształt sowy.

– Co to jest? – zdziwiła się Zosia. – Sowa? Jaka śliczna. Mamy ją zabrać? Dlaczego?

– Dostałam ją na pierwszym koncercie w Ostroszowicach. Zachwyciłam się i pani kierowniczką mi ją podarowała. Postawimy tę sowę na werandzie w Leśnym Domu.

– Wyprosiłaś ją? Mamo, jesteś niemożliwa!

– Wcale nie. Tylko wyraziłam zachwyt. Na początku myśleliśmy, że nie da się jej wsadzić do samochodu, ale przyszli pomocnicy i jakoś się zmieściła.

– Umieścimy ją za moim siedzeniem – dyrygowała Zosia. – Z tyłu za mamą musi być luz, żebyśmy mogła rozłożyć jej siedzenie.

– Wyobraź sobie, że w następnym Domu Kultury był na ścianie pięknie wyrzeźbiony orzeł o skrzydłach rozpiętych mniej więcej na trzy metry. Na jego widok Paweł powiedział do mnie: „Tylko nie waż mi się nim zachwycać!” Ubawił mnie tym serdecznie.

– Ta wasza publiczność i organizatorzy tutaj są bardzo spontaniczni, widocznie potrzebują takich atrakcji, jak wasza dwójka – stwierdziła Zosia. – O! Proszę – dodała – co ja widzę. Masz buty na płaskim obcasie. Kupiłaś je?

– Nie, dostałam od Agi, żony Pawła Śliwińskiego. Mamy taki sam rozmiar stopy.

– Widzę, że obrabowałaś połowę Dolnego Śląska. To dobrze, bo kiedy usłyszałam o twojej kontuzji, poszłam do ciebie do domu poszukać bezpiecznych płaskich butów. Ale tam takich nie uświadczysz. Moja mama staruszka, babcia wnukom, jak o sobie lubi mawiać, osiemdziesięciolatka nie wypominając, ma buty tylko na wysokich obcasach. Nie wiem, jak można tak żyć.

– Dobra, dobra, mądralo! Nic, tylko mnie wychowujesz. Jajko mądrzejsze od kury. Porośliście wszyscy tak wysoko, że muszę chodzić na obcasach – broniła się Kasia. – Jakoś dotychczas nic się nie działo. Gdyby nie te kocie łby...



– Zawsze może być jakieś gdyby. Masz nauczkę, szkoda że tak bolesną – nie odpuszczała jej córka. – A potem kto musi cię ratować z opresji? Ja, na swoim płaskim obcasie. – I tak przekomarzały się jeszcze przez pół drogi.

Nazajutrz po dwóch kolejnych koncertach przedzielonych wizytą u ortopedy, trasę mieli z głowy. Zdecydowali się od razu wrócić do Warszawy i była to dobra decyzja, bo wieczorem ruch na trasie bardzo się zmniejszył.

Dopiero po skończeniu pracy Kasia zorientowała się, ile ją kosztował stres po urazie. Zasnęła jak niemowlę na rozłożonym siedzeniu. Zosia nie miała z kim zamienić słowa, więc piła kawę po drodze i włączyła radio, żeby nie zasnąć za kierownicą. Jej matka, zazwyczaj gadatliwa i dowcipkująca w podróży, teraz spała, pochrapując z cicha. Godzinę po północy dojechały na miejsce. I tu zaczął się problem z wejściem kontuzjowanej na drugie piętro.

– O! Kulawy piesek! – powitał ją Maciek. – Już nie tylko ja utykam. Jesteśmy dobraną parą.

– Cieszysz się? – dziwiła się Kasia. – Kochający mąż się wypowiedział...

– Oboje jesteście siebie warci – podsumowała Zosia. – Idę do dzieci. Łóżko masz pościelone. Tato, pomożesz mamie wejść pod prysznic?

– Pomogę, pomogę, nie martw się. Odpoczywaj, dzielny miś jesteś, sporo kilometrów dziś ukręciłaś.

Ujrzawszy, jak córka wysprzątała i wywietrzyła jej pokój, pościeliła łóżko i przygotowała koszulę nocną, Kasia wzruszyła się. Kiedy ona zdążyła to zrobić, skoro w takiej panice jechała po nią na trasę koncertową? Kochane dziecko – pomyślała. – Jest jedynaczką, a nie ma w sobie egoizmu za grosz. Jaka szkoda, że nie udało się dać Zosi rodzeństwa. Zawsze będę tego żałować.

Żeby szybciej wydobrzeć, Kasia musiała zrezygnować z wielu zajęć zapisanych w kalendarzu. Wezwała do siebie niezawodnego pana Jarka, który tak skutecznie wyrehabilitował Maćka, żeby ocenił, kiedy i jak zacząć walczyć o uruchomienie nogi. Ale przede wszystkim musiała zamienić lub oddać w biurze podróży bilety do Paryża, bo za dwa dni miała lecieć do Berni. Niestety nie udało się to. Na rezerwacji było dopisane drobnym druczkiem coś, czego nie doczytała. Jeśli po wyzdrowieniu zechce tam polecieć, będzie musiała kupić nowy bilet. Walczyła więc o uzdrowienie nogi, ale ta ciągle bolała. Po miesiącu od upadku Zosia zapisała ją na rezonans magnetyczny. Okazało się, że noga ma jednak pękniętą kość od połowy piszczela do końca kolana. Poza tym była cała sina od kolana w dół,

z przodu i z tyłu. Pan Jarek doradził jej na to pijawki, podając adres przychodni, która oferuje takie zabiegi.

– Wydaje mi się, że powinna pani to zrobić, żeby zlikwidować krwiaki.

Jeszcze i to... – pomyślała. – Bardzo brzydziła się takich metod i nie do końca w nie wierzyła, ale jak trzeba, to trzeba. Będzie musiała spróbować.

Ku jej zdumieniu pijawki pomogły. Noga po kilku zabiegach nabrała normalnej barwy i była mniej opuchnięta. Ale dopiero na Boże Narodzenie mogła chodzić po domu bez użycia kul. Przed Nowym Rokiem Maciek załatwił jej jeszcze wizytę u obleganego profesora, który go operował. Ten zbadał ją, kazał zdjąć ortezę i odrzucić kule. Uznał, że noga jest zrosnięta i żeby ją wzmocnić, trzeba zacząć normalnie na niej chodzić.

Sylwestra spędzili we dwoje przed telewizorem. Ledwo dotrwali do północy. Złożyli sobie życzenia, wypili po lampce szampana i poszli spać. Po jakimś czasie, kiedy ich życie radykalnie się zmieniło, usiłowała sobie przypomnieć szczegóły tego wieczoru. Nie wiadomo czemu nic nie pamiętała. Gdyby człowiek wiedział, co go czeka, zapisywałby i rejestrował wszystko dokładnie, bo los bywa podstępny jak diabeł.

W Nowy Rok Kasia z Maćkiem wysłuchali tradycyjnie koncertu Filharmoników Wiedeńskich prezentowanego w telewizji. Był to ich stary, starannie przestrzegany rytuał. Potem przyszła do nich na obiad Zosia ze swoją młodzieżą.

Jeszcze przed świętami Bożego Narodzenia, a dokładnie dzień przed Wigilią Kasia widziała się ostatni raz z Aldoną, przyjaciółką ze szkoły podstawowej. Była u niej kiedyś w szpitalu, a w ciągu ostatnich miesięcy dużo rozmawiały przez telefon. Kiedy Aldona powiedziała, że jest na morfinie, postanowiła ją odwiedzić natychmiast, chociaż zamierzała to zrobić dopiero, kiedy jej noga całkiem wydobrzeje. Namówiła ją do tego Zosia, która wysłuchawszy jej opowieści, powiedziała:

– Mamuś, nie czekaj z tym, żebyś potem nie żałowała.

I dobrze zrobiła, bo w nocy po Wigilii jej przyjaciółka zgasła. Jeszcze jedna bolesna strata. Odeszła mądra, twórcza i życzliwa światu osoba. Trzeciego stycznia Kalczyńscy uczestniczyli w jej pogrzebie na cmentarzu w Pyrach. Kasia bardzo to przeżyła. Łączyło ją z Aldoną dzieciństwo, młodość i życie paryskie, bo tam ciągle się spotykały.

W ciągu stycznia udało się Kasi nadrobić zaległości w pracy, a na drugiego

lutego kupiła sobie nowy bilet do Paryża.

## **Rozdział dziewiętnasty**

Nawykła do tego, że jeździ ze sporym bagażem, tym razem Kasia zrobiła od tego odstępstwo. Wystarczyła jej mała walizeczka, którą mogła zabrać z sobą do samolotu jako bagaż podręczny. Wypełniona była prawie wyłącznie polskimi przysmakami, które lubiła Berni. Były to torciki wedlowskie, suszone grzyby i zupy ogórkowe w proszku, za którymi przyjaciółka przepadała. Mogła je jadać codziennie.

Oczekując na lotnisku na swój lot Kasia czuła się dziwnie zmęczona. Zdjęła płaszcz, usiadła i zaczęła czytać. Mężczyzna siedzący obok niej trzymał na kolanach maleńką, na oko półtoraroczną dziewczynkę, która przyglądała się jej i wyciągała do niej rączki.

– Przepraszam – powiedział do Kasi – mała najwyraźniej zachwyciła się panią.

– Żartuje pan sobie?

– Chyba nigdy nie widziała tak bajecznie kolorowej osoby. – Kasia miała na sobie patchworkowy dres z India shopu w licznych żywych kolorach. – Mnie się to zresztą też podoba. Ma pani odwagę i pasuje to pani.

– Dziękuję. Wiem, że jestem szalona.

– Czemu? Ludzie starsi powinni ubierać się weselej.

Dziewczynka nie chciała ani chwili dłużej siedzieć przy ojcu. Wyrywając się mu zrobiła kilka zdecydowanych kroczków w jej kierunku. Nie miała innego wyjścia, jak wziąć ją na kolana.

Malutka była uszczęśliwiona. Dotykała jej twarzy, kolorowych kolczyków, starała się wyrwać kwiatki, motylki i zwierzątka z jej bluzy. Zabawy miała co niemiara, bo też rzadko można spotkać takie kolorowe dziwadełko, jak babcia Kasia.

Tak upłynął jej czas oczekiwania na samolot. Tuż po ogłoszeniu lotu pojawiła się matka dziewczynki, która wykonała rejs po butikach na lotnisku i oburzona, że dziecko jest na kolanach obcej osoby, zaatakowała męża.

– No wiesz, obarczasz panią opieką nad dzieckiem, bo nie chce ci się poświęcić uwagi naszej córce! Bardzo panią przepraszam – zwróciła się do Kasi i zabrała maleństwo z jej kolan. Rozległ się głośny płacz. Kolorowa

babcia zawojowała dziewczynkę bez reszty.

– Proszę nie mieć pretensji do męża – powiedziała Kasia do matki dziecka.

– Nie miał szansy przy moim szalonym stroju. To ja przepraszam. *Mea culpa!*

W taki oto zabawny sposób skrócił się jej czas oczekiwania na odlot samolotu.

Na lotnisku Charlesa de Gaulle’a czekała na nią przyjaciółka. Tak zmieniona, mizerna i poszarzała, jak przed laty po śmierci syna. Czyżby zdarzyło się coś, o czym nie wie? Jakaś podstępna choroba? – pomyślała Kasia i poczuła ukłucie w sercu.

Kiedy uścisnęły się serdecznie, Kasia poczuła się tak, jakby tuliła do piersi kogoś innego, osobę drobną i kruchą. Serce jej się ścisnęło, ale nie wypadało tak od razu zadawać pytań typu: „Co się dzieje, dlaczego tak źle wyglądasz?” No cóż, świat nie stoi w miejscu, zmieniamy się. Przyjdzie czas, żeby sobie wszystko opowiedzieć.

– Jesteś, *ma chère*, nareszcie! Jakże się cieszę. Bierzemy taksówkę. Chcę cię mieć w domu jak najszybciej – powiedziała Bernadette i ruszyła na postój taxi. Natychmiast jednak cofnęła się, mówiąc:

– Ależ mi pilno, a ty przecież nie odebrałaś jeszcze bagażu. Przepraszam cię.

– Nie wiem, za co mnie przepraszasz, bo cały mój bagaż mam przy sobie.

– To znaczy gdzie?

– W tej oto walizeczce.

– Naprawdę? Nie poznaję cię.

– Nie mogę dźwigać, poza tym nie przyjechałam do pracy, tylko żeby się z tobą nagadać, a do tego bagaż nie jest mi potrzebny.

– Brawo!

Tłumacząc się Kasia nie dodała, że w bagażu osobistym najwięcej miejsca zajmują prezenty z polskimi przysmakami dla przyjaciółki. Radość obdarowanej tymi prozaicznymi drobiazgami była miodem dla jej serca.

Po raz pierwszy po przylocie do Paryża zdecydowała, że nie wyjdzie tego dnia z domu, choć zawsze ciągnęło ją do przywitania się z ulubionymi widokami tego pięknego miasta. Tym razem była szczęśliwa, że dotarła bez szwanku do celu i jedynym jej pragnieniem w tym momencie był odpoczynek. A swoją drogą ciekawe – zastanawiała się – co sprawia, że ostatnio potrzebuję na niego coraz więcej czasu, późno wstaję, śpię po

obiedzie, wieczorem wcześniej kładę się do łóżka. Myśląc o tym zwróciła się do Berni, która już krzątała się w kuchni.

– Powiedz mi, moja droga, co robisz, że tak ostatnio zeszczupłałaś? Zażywasz coś?

– Naprawdę widać, że straciłam na wadze? Jestem tego świadoma, ale nie sądziłam, że jest to widoczne dla innych.

– Ależ tak! Aż się zmartwiłam, kiedy cię ujrzałam.

– Nic nie robię, żeby schudnąć. I nic mi nie jest. Po prostu tak się objawia moje zmęczenie życiem.

– Tak sądzisz?

– Co rusz dopadają mnie jakieś dolegliwości. Nikt mnie nie uprzedził, że w późnym wieku może to być tak męczące. Ostatnio leczę dziąsła.

– Propolis nadal ci pomaga? – zainteresowała się Kasia.

– Propolis? Tak. Oczywiście, że pomaga, ale już mi się skończył.

– Tak myślałam, dlatego przywiozłam ci buteleczkę.

– Och, Kati, ty zawsze o wszystkim pomyślisz! A powiedz mi, a czemu ty taka bledziutka jesteś?

– Sama się czasem zastanawiam. Tak już jest od jakiegoś czasu. Wiesz, ta złamana noga, rehabilitacja... to wszystko dało mi w kość.

– Opowiesz mi o tym wszystkim po kolei?

– Opowiem, ale mam prośbę: mówmy potem jak najmniej o sprawach medycznych. Nie wiem jak ty, ale ja mam ich na razie po dziurki w nosie.

– Dobrze, powiedz mi więc o twoich planach na przyszłość – zażądała Berni.

– Zdawać by się mogło, że wchodzę w życie i mam dwadzieścia lat. Zdziwisz się odpowiedzią: po powrocie do Polski jadę do sanatorium po to, żebym mogła mieć plany na przyszłość.

– A więc znów wracamy do tematów medycznych.

– Tak się porobiło. Weszłyśmy w ten przedział wieku, gdy bez medycyny żyć się nie da.

– Nie przesadzaj Kati. Ja weszłam, ty jeszcze nie.

– Myślisz, że te parę lat czyni różnicę?

– Ogromną. Będąc w twoim wieku mogłam o wiele więcej. Zresztą to nie parę lat, lecz prawie dwanaście.

– Nie pamiętam o tym, bo świetnie się trzymasz. Tylko za mało ważysz.

– Kurczy się we mnie wszystko: podzielność uwagi, wytrzymałość, apetyt

na jedzenie i życie, zdolność szybkiego chodzenia, widzenia, słyszenia. Dokąd to prowadzi? Znikam, po prostu znikam.

– Co za ponury horoskop! Daj spokój, nie wolno ci tak myśleć! A co z firmą, kto cię teraz zastępuje?

– Michelle Jacob, świetnie sobie radzi.

– Ale zaraz wrócisz?

– Otóż nie. Uznałam, że dobrze mi bez tego. Jeśli zagram od czasu do czasu, to i tak dużo.

– No to duże zmiany. Nie mówiłaś o tym przez telefon.

– Jeśli budzę się rano i uświadamiam sobie, że jeszcze żyję, to już dobrze.

– Berni, przestań, nie przyjechałam do ciebie po to, by popaść w przygnębienie. Nasze spotkania zawsze dawały nam pozytywnego kopa pamiętasz? Smutno mi, smutno, smutno! Chcę się z tobą cieszyć, a nie smucić!

– No to nie wiem, o czym mamy mówić.

– Ty nie wiesz? Ty taka dzielna, silna, energiczna...

– Taka byłam? Prawie zapomniałam. Nie wiem też, po co tyle napitrasiałam na kolację, skoro mam apetyt tylko na twoją ogórkową.

– Nie martw się, widzę, że przygotowałaś wszystko, za czym przepadam. I chociaż ostatnio z apetytem u mnie różnie bywa, na widok tego wszystkiego zrobiłam się głodna jak wilk.

– Gdzie jutro popędzisz?

– Chyba popędzimy, nie pójdziesz ze mną?

– To zależy.

– Od czego?

– Od tego, jak się będę czuła. Ja Paryż mam na co dzień. Chociaż twoje nim zauroczenie zawsze mnie pozytywnie do niego nastawia. Dokąd więc pójdziesz?

– Wszędzie! Chciałabym. Ale jutro zdecyduję.

Zdawało się Kasi, iż jest na tyle zmęczona, że po sutej kolacji sen ją zmorzy, ale gadały do północy. Już spokojniej, o wszystkim, co się zdarzyło, odkąd się nie widziały. O tym, co się dzieje w Polsce, we Francji i na świecie, o swoich córkach i wnukach, o dawnej swojej pracy.

Berni po kolacji zabrała się za toaletę. Złapała buteleczkę propolisu, aby zastosować go na swoje dolegliwości. Wierzyła w ten środek tak bardzo, że już samo użycie go zdawało się natychmiast przynosić jej ulgę. Za dziesięć

minut spała jak suseł.

Kasia natomiast zupełnie wybiła się ze snu. Nowiny dotyczące formy psychicznej i fizycznej przyjaciółki nie napawały jej otuchą. Obmyślała też, dokąd jutro pójdzie. Ułożyła sobie nawet trasę, ale żeby ją zrealizować, musiałaby maszerować dwanaście godzin. Zważywszy, że nie jest już sprawna i szybka jak dawniej, a w paryskim metrze wszędzie są tylko karkołomne schody i schody, uznała, że musi ją skorygować. Zasnęła przed drugą, po połknięciu tabletki nasennej.

Nazajutrz pojechała na Place Saint-Michel, zajrzała do księgarni Gilberta, wstąpiła do Notre-Dame i dotarła na piechotę do rue de Rivoli. Tu spotkało ją rozczarowanie. Słynna ulica nie wyglądała tak, jak zawsze, była zabałaganiona i brudna, zresztą Hôtel de Ville, paryski ratusz, też wyglądał na zaniedbany, był szary, a teraz prawie czarny. Przy wejściu do większych sklepów klientów poddawano rewizji. Poza tym wciąż było słychać sygnały policyjnych samochodów, a panujący na tej pięknej ulicy niezwykły tłok utrudniał poruszanie się po niej. We wnękach z rzeźbami i w pięknych podwórkach leżały tobołki, materace i kołdry, z których korzystali bezdomni i przepędzeni z tymczasowych obozów uchodźcy, co sprawiało przygnębiające wrażenie. Postanowiła nie wstępować już nigdzie, tylko iść aż do stacji Concorde, skąd miała bezpośrednią linię metra do domu Bernadetty. Kiedy była w pobliżu Luwru, odezwał się jej telefon. To była Zosia.

– Mamuś, gdzie ty teraz jesteś? – spytała podenerwowanym tonem.

– Jak to, gdzie jestem? Przecież wiesz, że w Paryżu.

– No właśnie, dlatego pytam. W jakim miejscu Paryża?

– Dochodzę do Luwru. Fajnie jest, tłumy! Chyba jakiś film kręcą, bo masa kamer na balkonach. Pewnie policyjny, bo pełno tu też policji. Jada, trąbia, stoją przy bramie do muzeum i przy stacji metra Louvre.

– O, masz ci los! Uciekaj mamuś stamtąd, przed chwilą był tam zamach!

– Co? A skąd ty wiesz, co tutaj się dzieje?

– Z telewizji! Pokazują to te twoje kamery – policję i tłumy. Uciekaj stamtąd gdzie pieprz rośnie, i to już. Zadzwoiłam ze strachu, żeby się upewnić, że jesteś daleko od miejsca zamachu, a ty akurat znajdujesz się w środku zdarzeń i nic o tym nie wiesz. Gdzie cię poniosło? Cała ty! Oddal się stamtąd!

– Nie krzycz na mnie, to nie jest łatwe. Panuje tu taki tłok, że poruszanie się to iluzja.



– Jak mam nie krzyczeć, skoro na tyle możliwości jesteś akurat tam, gdzie nie powinnaś?

– Poczekaj, policjant do nas podchodzi. Coś mówi. Aha, kieruje wszystkich do metra Saint-François-Xavier. Nie wiem, czy dotrę stamtąd do stacji Concorde. Nie mam już siły. Poczekaj, spytam policjanta o ten zamach.

– *Monsieur le policier, est-ce vrai qu'il y avait un attentat au Louvre?* – spytała Kasia.

– *Oui madame. Obéissez et partez d'ici*<sup>4</sup>.

– Mamuś, nie dyskutuj, tylko uciekaj z tego tłumu gdzieś w bezpieczne miejsce. Weź taksówkę.

– Będiesz mnie tak instruować przez telefon przez cały dzień?

– Nie rozumiesz, że się denerwujemy?

– No dobrze, nie martw się. Staram się stąd usunąć. Szukam taksówki. Muszę się rozłączyć.

– Daj znać, jak będziesz w domu.

– Dobrze, pa.

Zosia się rozłączyła, ale telefon natychmiast zadzwonił. Tym razem to Berni krzyczała do słuchawki.

– Gdzie jesteś, chyba nie poszłaś do Luwru!

– Niestety, jestem blisko tego miejsca. Wiem już wszystko, uciekam stąd.

– Weź taksówkę!

– Postaram się. Chyba nie będzie to łatwe, bo jest dużo amatorów taxi. Szczerze mówiąc, tłummy.

– Przyjedź jak najszybciej, bo umrę ze strachu o ciebie.

– Nie martw się. Pa, zaraz wrócę.

Wróciła za dwie godziny. Znalezienie taksówki, tak jak myślała, było nierealne. Za dużo było na nie chętnych. Ona już nie tak sprawna jak dawniej, nie miała szans w tym tłumie. Mimo że ludzie wokół niej byli spanikowani, nie czuła strachu. Notowała w pamięci wszystko, co się działo, i analizowała sytuację. Bo też to, co się działo, było tak nierealne, że trudno było w to uwierzyć. Policja chcąc zmienić trasę marszruty turystów, sprawiła, iż nagromadziło się ich tylu, że nie mogła nad nimi zapanować. Ludzie w większości byli bardziej głodni sensacji niż przestraszeni. Zwłaszcza że nie widać było realnego zagrożenia.

Po trzech godzinach i czterech przesiadkach w metrze dotarła do domu przyjaciółki.

– Nareszcie jesteś. Chyba cię więcej nigdzie nie puszcę.

– Nie wiem, czy będę chciała wyjść. Tak się dziś naspacerowałam, że mam na jakiś czas dosyć. Jestem zdumiona rozmiarem chaosu w mieście, jaki generuje takie zdarzenie. Dotychczas słysząc o zamachach myślałam o konkretnym miejscu, a to przecież dotyka całego miasta. Znasz szczegóły tego zdarzenia? Bo ja byłam blisko, ale nie wiem nic. Myślałam, że tam kręca film.

– A ja denerwowałam się przed telewizorem. Umiem to już na pamięć, bo o niczym innym nie mówią. – I Berni streściła jej szczegóły ataku na strażników przed Luvrem, a potem zapytała: – Głodna jesteś?

– Raczej zmęczona.

– Jadłaś gdzieś?

– Nie, skąd!

– No to musisz coś przekąsić, chcesz czy nie. Od śniadania upłynęło dziewięć godzin.

– Najpierw muszę zadzwonić do domu lub do córki, żeby ich uspokoić.

– To dzwoń, a ja robię kolację.

Nazajutrz jednak znów poszła w Paryż, aby poobcować z tym miastem. To było silniejsze od niej. Umówiła się z Jagodą w cichej kafejce przy rue du Commerce. Poznały się kiedyś w „Rasputinie”. Jagoda wyszła za mąż za malarza z Bułgarii. Żyją przez tyle lat jak dwa gołąbki. Przegadały trzy godziny i rozstały się z żalem.

W sobotę Kasia z Berni snuły się po domu, nie mając dość rozmów. Ich przyjaźń to jedna z tych, dla których czas rozstania nie ma znaczenia. Przyjaźniące się w ten sposób osoby zawsze odnajdują się dokładnie w tym co kiedyś miejscu i na tym samym stopniu porozumienia. Kasia i Berni wiedziały o sobie absolutnie wszystko i jedna na drugą działała terapeutycznie.

Wieczorem tego dnia Berni zamówiła dla nich stolik u swojego ulubionego Chińczyka. Objadły się jak tuczone gęsi. Niedzielę spędziły w Wersalu. Miło było jeszcze raz odwiedzić to miejsce.

Po kilku dniach Kasia przywykła do odmienionego Paryża. Chęć odwiedzenia lubianych miejsc była o wiele większa niż czający się strach, o którym przypomiwała natrętnie kręcąca się tu i tam policja.

Z Jagodą umówiła się tym razem przy metrze Anvers. Zanim doszły krętymi uliczkami do ulubionej kawiarni z widokiem na schody do bazyliki

Sacr -C eur, była przygn biona zmianami, jakie tu zastała. Tylko niekt re miejsca wyglądały jak dawniej. Wi kszość duŹych magazyn w była n dzna i pełna barachła w por wnaniu z najtańszymi kiedyś TATI, a sprzątać przestano tam chyba zupełnie.

Lecąc samolotem do Warszawy Kasia analizowała swoje wraŹenia z ParyŹa i doszła do wniosku, Źe jej ocena była teŹ skutkiem ciągłego zm czenia, kt re towarzyszyło jej tam bez przerwy.

Maciek z Zosią, niezawodni w takich razach, przyjechali po nią na lotnisko. W ich rodzinie zawsze piełegnowało si  tradycj  poŹegnań i powitań. Była potem wsp lna kolacja i opowieści.

Przed wyjazdem do sanatorium Kasia miała jeszcze troch  powinności zawodowych, kolidujących z całym zestawem badań, kt re musiała wykonać. Miała przed sobą dwa spektakle monodramu, recital autorski oraz wyjazd do Polanicy na koncert i do Kutna na spotkanie i wywiad z publicznością. Po zrealizowaniu tego wszystkiego czuła si  bardzo zm czona. Miewała teŹ ostre b le brzucha, kt re zdarzały si  jej teraz coraz cz ściej.

## **Rozdział dwudziesty**

Po powrocie od Berni Kasia postanowiła wrócić do pisania pamiętnika, w podarowanym jej pięknym zeszyte z wizerunkiem słonia.

W wyniku tego, co nastąpiło potem, pod koniec 2017 roku, obok tytułu „Rok 2017”, dodała jeszcze słowo: „Fatalny”.

Oto co w nim zapisała:

*Wróciłam z Paryża 8 marca 2017 – w PRL-owskie Święto Kobiet, wciąż u nas obchodzone. Dostałam tulipany od Maćka. Idę dziś na badania.*

*10 marca*

*No cóż, w końcu tak czy owak trzeba będzie się zmierzyć z tym, co przynosi los...*

*A może to wszystko jest karą za pychę, że jestem ponad to, że najgorsze mnie nie dotyczy ani się mnie nie ima.*

*Pamiętam, że kilka dni temu, powodowana nie wiem czym, powiedziałam nagle do córki:*

*– Czy ty sobie, moje dziecko, wyobrażasz, że ktoś mający tyle marzeń i projektów, co ja, miałby umrzeć? To niesprawiedliwe!*

*– Przestań mamó! Jak ty lubisz grać na uczuciach. Co to za pomysły, żeby mówić takie rzeczy!*

*Ugryzłam się w język, chociaż wiem, z czego zrodziła się myśl, którą nieopatrznie wyartykułowałam.*

*Między jednym a drugim wyjazdem na koncerty miałam sen. Pakowałam walizki, brakowało mi tylko butów, które oddałam do naprawy. Właśnie w trakcie przygotowań do wyjazdu zwrócono mi je. Czyste, ale zniszczone. Bez zelówek, poszarpane na strzepy. Było ich mnóstwo, ale w tej stercie nie zdołałam skompletować ani jednej pary. Wyglądały jak wyblakłe, pokrojone na plasterki mięsa. Obudziłam się złana potem. Nota bene zdarzało mi się to ostatnio coraz częściej. Zamiast wypocząć w czasie snu, wstawałam dziwnie zmęczona.*

*A więc to był tylko sen? Jakże wyrazisty, z tych, o których się potem myśli i*

*zapamiętuje na długo. Jeżdżę ostatnio tu i tam bez opamiętania... Co może znaczyć takie śnienie? Że sobie więcej nie pojeżdżę?*

*Tym razem wybierałam się do sanatorium „Włókniarz” w Busku. Na trzy tygodnie. Wyjazd prywatny, nie obowiązkowy, nie służbowy. Aczkolwiek być może właśnie służbowy, dla sprawności moich stawów i kości, a także żeby wieczorami w spokoju skończyć pisanie nowego monodramu. Zatem trzeba będzie zrobić szybko konieczne badania krwi, prześwietlenie klatki piersiowej i coś tam jeszcze. A! I elektrokardiogram.*

– Wiesz – powiedziała wtedy Kasia do Maćka przy śniadaniu – nie najlepiej się ostatnio czuję. Przesilenie wiosenne czy co?

– A co ci jest konkretnie?

– Miewam jakieś bóle, łatwo się męczę, źle sypiam.

– Jeśli idziesz na badanie, to zrób sobie przy okazji PSA – poradził jej.

– Ja? – roześmiała się.

Kilka lat temu na podstawie takich badań szybko wykryto u Maćka raka prostaty i dzięki temu udało mu się zwalczyć tę chorobę. Znowu był zdrowy jak rydz.

– Czemu się śmiejesz? – zdziwił się.

– Bo nie miałabym po co robić sobie badania PSA.

– A jednak warto, co ci szkodzi?

– To, że mnie wyśmieją. Kobiet to nie dotyczy.

– A ja ci mówię, zrób. Jeśli coś jest nie tak, badanie pokaże.

Kasia machnęła ręką na tę radę, śmiejąc się pod nosem. Cały Maciek. Świat zawężyła się do jego doświadczeń, sukcesów czy niemocy. A już jak się na coś uprze, żadne argumenty do niego nie trafiają, bo ich nie słucha.

Śmiała się z tego do siebie siedząc w kolejce przed gabinetem laboratoryjnym. Kiedy zauważyła nad drzwiami wyświetlony numer czterdzieści jeden, wstała i poszła w kierunku gabinetu. Jeden z oczekujących zagroził jej drogę.

– Proszę pani, teraz moja kolej.

– Czyżbyśmy mieli ten sam numer? – zdziwiła się Kasia.

– Proszę mi pokazać swoją kartkę – powiedział i wyjął numer z jej ręki.

– Przecież ma pani numer czterdzieści siedem, a czterdzieści dwa mam ja.

– Przepraszam pana – zawstydziała się Kasia. No tak. Nie spojrzała na swoją kartkę przez okulary.

Wśród oczekujących nastąpiło ożywienie. Uśmiechali się pod nosem. Nareszcie coś się działo. Ujrawszy ironiczne spojrzenia, nie wróciła już do kolejki. Postanowiła pospacerować po korytarzu. Gdy doszła do okienka rejestracji usług płatnych, zapytała kierowana nagłym impulsem:

– Czy można przy okazji badania krwi zrobić markery rakowe?

– Mamy tu tylko trzy podstawowe.

– To poproszę – powiedziała wbrew sobie. Zrobię to dla Maćka, będzie miał to swoje PSA, tylko w damskiej odsłonie – pomyślała.

Odchodząc od okienka z otrzymanym zleceniem, zobaczyła wyświetlony numer czterdzieści sześć. A więc za chwilę miała wejść do gabinetu.

Nazajutrz odebrała wyniki. Ciągłe rozbawiona nieporadną sugestią Maćka, spojrzała na wyniki markerów. Dwa z nich mieściły się w normie, ale trzeci przy normie od zera do trzydziestu trzech wynosił czterysta siedemdziesiąt jeden.

Schowała w torebce te dobre, a fełerny wynik wciąż trzymała w ręce. Zamierzała iść do domu, ale teraz zmieniła zdanie. Zapyta kogoś, co ten wynik znaczy. Ale kogo? Do lekarza trzeba się zapisać, a przecież nie ma dziś na to czasu, bo za pół godziny rozpoczyna próbę.

Niespodziewanie natknęła się na znajomą pielęgniarkę, swoją imienniczkę. Zmieniła kolor włosów na blond.

– Korzystnie – skomplementowała ją Kasia.

Kobieta ucieszyła się, a Kasia pokazała jej kartkę z wynikami.

– Pani Kasiu – spytała – czy sądzi pani, że powinnam się tym przejąć?

Pielęgniarka przeczytała wynik i spojrzała na nią spłoszona.

– Ja na pani miejscu natychmiast poszłabym do lekarza specjalisty – powiedziała. – I powtórzyłabym markery w innym laboratorium. Na wszelki wypadek, żeby mieć pewność, że nie zaistniała pomyłka. Bo wie pani, markery nie zawsze są adekwatne do choroby, ale trzycyfrowy wynik to jednak zmartwienie.

Teraz i Kasia się przestraszyła.

– Dziękuję, zrobię to – powiedziała ze smutkiem.

Postanowiła, że już nie wpadnie do domu, tylko idąc na próbę wstąpi do przychodni na Waryńskiego, żeby powtórzyć badanie. Zadzwoiła też do uroczej pani ginekolog, doktor Kozłowskiej, która z wielką miłością traktuje zawsze wszystkie swoje pacjentki. Kiedy powiedziała, dlaczego potrzebna jest jej konsultacja, znalazła dla niej czas na kolejny dzień. Umówiła ją też na

USG do swojej ulubionej i niezwykle kompetentnej doktor Wejnert. Tego dnia w pamiętniku Kasia zapisała:

*Tak niedawno jeszcze, bo czwartego marca, byłam w Polanicy na Zjeździe Kobiet Kreatywnych z recitalem autorskim. Sama jechałam tam pociągami z przesiadką we Wrocławiu. Męczyło mnie to. Dziwiłam się, że bardziej niż zazwyczaj. Brałam to na karb wieku i dolegliwości kostnych, toteż cieszyłam się, że pojedę do Buska.*

*Recital w Polanicy wyniknął z jesiennej trasy koncertowej, która zahaczyła o to miejsce. Tak się spodobałam, że znowu chcieli mnie u siebie widzieć i słyszeć...*

*Do dr Kozłowskiej poszłam z Zosią. Do tego czasu odebrałyśmy wynik z Waryńskiego. Był jeszcze gorszy od pierwszego. Przy normie do trzydziestu trzech wynosił sześćset dziewięćdziesiąt siedem.*

*Po zapoznaniu się z nim i obejrzeniu wyniku USG panie lekarki długo naradzały się ze sobą i zakomunikowały mi, co następuje. Mam trzy duże guzy w organach, nagromadzenie płynu i prawdopodobnie liczne przerzuty.*

*– Co mam więc robić, czy to wyrok? – spytałam.*

*– Wszyscy stoimy przed wyrokiem – powiedziała jedna z lekarek. – Trzeba się leczyć, ot co. Jest na szczęście taki cudowny doktor, pan profesor Mariusz Bidziński, ordynator jednego z oddziałów Centrum Onkologii na Ursynowie. Uratował niejedną moją pacjentkę. Dam pani telefon do jego gabinetu. Proszę sobie zamówić wizytę jak najprędzej. W tej chorobie czas gra wielką rolę.*

*Ogarnęło mnie przerażenie, Zosia też zbladła. Byłam zła na siebie, że ją ze sobą zabrałam. Teraz zrozumiałam motyw działania Maćka, który chronił nas przed wiedzą o jego chorobie.*

*Zapisałam automatycznie numer telefonu profesora. Nie mogłam w to wszystko uwierzyć. Miałam wrażenie, że uczestniczę w jakimś niewiarygodnym *qui pro quo*. Nie wiem czemu nie byłam przekonana do werdyktu, jaki usłyszałam. Z uporem maniaka trzymałam się tego, że to nie może dotyczyć mnie. Ot, głupota! Ale tak już jest, że słuchając mroźnych krew w żyłach opowieści ludzi chorych na raka nie dopuszczamy do siebie myśli, że ich problem mógłby kiedykolwiek stać się naszym problemem. Skąd się to bierze, nie wiem. We mnie tliła się jeszcze nadzieja, że wizyta u profesora nie potwierdzi diagnozy albo znacznie ją złagodzi.*

Zosia przejęła inicjatywę. Wzięła ode mnie numer telefonu do gabinetu profesora i zadzwoniła tam od razu. Telefon odebrała asystentka profesora i powiedziała, że może mnie zapisać na wizytę dopiero za dziesięć dni, czyli na dwudziestego marca, ponieważ profesor do tego czasu będzie przebywał w USA. Zaakceptowałyśmy ten termin, nie było innego wyjścia.

Zosia znalazła w Internecie opinie pacjentów o profesorze. Potwierdziły jego wysoki profesjonalizm.

Czym wypełnić dni niepewności? – Oto jest pytanie. Świat nagle zmalał przeokropnie do rozmiarów ewentualnej choroby, to ona zdawała się go wypełniać bez reszty.

Zawsze zastanawiałam się, jak czuje się człowiek dowiadując się, że dopadła go ta straszna choroba. Teraz już wiem.

Opowiedziałam o moich obawach Ani i Marioli. Zorganizowały spotkanie mające podnieść mnie na duchu. Okazało się to łatwe, bo ten cały koszmar jeszcze do mnie nie dociera. Śmieję się, żartuję, chociaż co rusz przebiega mnie zimny dreszcz.

Z Buska nici... Będę musiała odwołać rezerwację. Jeśli diagnoza jest prawdziwa (wciąż liczę na to, że nie), nie pojadę tam już nigdy. To sanatorium nie przyjmuje chorych na raka. Kropka!

Moja najdroższa córeczka stara się jak może, by zagospodarować mi czas do wizyty u profesora możliwie najbardziej rozrywkowo. Oglądamy razem filmy, chodzimy do teatru i do opery. Jest przestraszona. Powinnam była nie wciągać w to wszystko nikogo z rodziny. A taka byłam wściekła na Maćka, kiedy tak postąpił. I ciągle mam nadzieję, że to pomyłka.

Wreszcie nadchodzi dzień, który ma wszystko wyjaśnić. Wizyta ustalona została na dziewiętnastą.

Profesor Bidziński to sympatyczny człowiek w średnim wieku, szczupły, o dużych, wyrazistych oczach. Wydaje się być empatyczny. Obejrzał wyniki markerów i innych badań, a potem przeprowadził wywiad ze mną. Zapytał, czy się badałam pod kątem tej choroby i kiedy zaczęto podejrzewać, że mogę być nią zagrożona.

Owszem, badałam się dość regularnie. Znalezione tu i ówdzie jakieś odchylenia od normy, ale nikt mnie nie ostrzegał, czym to grozi. Mniej więcej dwa lata temu skierowano mnie na pobranie materiału do zbadania do szpitala przy ulicy Starynkiewicza. Ponieważ dowiedziałam się, że musi to odbywać się pod narkozą, zbuntowałam się. Nie chciałam skończyć jak



*Maciek. On po narkozie zachowywał się przedziwnie i niektóre odchyłki od normy zostały mu na potem. Bo jak inaczej wytłumaczyć zachowanie przed wyjazdem Pawła i jego rodziny z Leśnego Domu. Otóż ogłosił wszystkim, że po kolacji pożegnalnej odbędzie się jego RECITAL, składający się z piosenek, które sobie zapisywał po operacji w szpitalu. Mało tego, skorzystał z drukarki pobliskiego ośrodka i wydrukował afisz zapowiadanego wydarzenia. Skąd mu się to wzięło? – Bóg raczy wiedzieć. Był wprawdzie jako chłopiec członkiem znanego chóru harcerskiego, ale nie solistą. To cała jego kariera wokalna, nikt więc w rodzinie nie przypuszczał, że ma takie dążenia i ambicje. Lubił przemawiać, to prawda, ale recital?*

*Swoje wystąpienia oratorskie traktował zawsze bardzo serio i zanosilo się na to, że z RECITALEM będzie tak samo. Coś tam notował w zeszycie, pewnie ustalał repertuar. Myśleliśmy wszyscy, że to żart, ale okazało się, że nie.*

*Najpoważniej w świecie odśpiewał po kawałku stare piosenki, od przedwojennych przebojów począwszy po biesiadne, a nawet masowe hity z Peerelu. Jako finał koncertu wykonał pikantne góralskie przyśpiewki o takim zakończeniu:*

*„...nie zal mi tej babki ino jej kuciapki. Oj, byłoby z niej było futerko do capki...”*

*Trzeba było widzieć miny naszych gości, gdy wykonawca nobliwie kłaniał się publiczności, która z głupimi minami oklaskiwała go żarliwie. Siedemnastoletnia Paulina za słabo znała język polski, by to zrozumieć, ale piętnastoletni wnuczek barda dusił się ze śmiechu. I z tego właśnie powodu nie chciałam słyszeć o narkozie. Bałam się utraty mocy umysłowych.*

O swoim badaniu bez narkozy pacjentka opowiedziała profesorowi Bidzińskiemu, a on złapał się za głowę. Pomyślał pewnie, że ma do czynienia z wariatką.

Przedtem zbadał Kasię z użyciem aparatu USG i wygłosił diagnozę:

– Raczej pewne, że to rak z przerzutami. Jest płyn w otrzewnej, guzy na jelicie i nie tylko tam. Trzeba jeszcze zrobić tomografię komputerową, która pokaże wszystko dokładniej. Dziwi mnie pani fanaberia, by uniknąć narkozy, jak i moi koledzy, którzy jej ulegli. Czeka panią trudne leczenie, operacja i inne zabiegi, ale jeśli odmówi pani narkozy, nie będę pani leczył.

Wszystko odbyło się szybko i sprawnie.

Kasia wyszła z gabinetu profesora ze skierowaniem na tomografię oraz

kartką z podaną datą i godziną pierwszej operacji.

Pierwszej? – zdziwiła się. – A ile ich będzie?

*Świadoma tego, co usłyszałam, jak mam dalej żyć? Usunąć się w cień czy działać dalej, ile się da?*

Takim zdaniem kończył się pamiętnik Kasi z tamtych dni. Potem, kiedy zaczęło się leczenie i pojawiły się inne problemy, których nie przewidziała, zaniechała pisania.

Nazajutrz po wizycie u profesora umówiona była na spotkanie robocze u zaprzyjaźnionego kompozytora Adama i jego żony Madzi. Zwierzyła się im ze swego kłopotu. Byli zmartwieni. Dostała od Adama śliczne melodie i od razu zaczęła się zastanawiać, czy pisząc do nich teksty stać ją będzie na krzytną optymizmu. Bo przecież nie chciałyby tylko smęcić i smęcić. To materiał na nową jej płytę, nie wszyscy jej ewentualni odbiorcy mają chęć na smutki dotkniętej przez wyroki losu artystki.

Pierwszy tekst napisała zaraz po powrocie do domu. Smutne tango wyrażało jej obecne nastroje. Za tydzień była zaproszona na występ do Radia Retro. Postanowiła je tam zaśpiewać.

### *Tango życia*

*Życie loterią jest po prostu bez wątpienia.  
Jego meandry tak ustala los,  
by z naszych planów potem śmiać się w głos,  
kiedy je zmienia...  
Życie loterią jest, na której się przegrywa,  
tu nie pomoże fart.  
Na kogo padnie, tego nie ma już,  
już nie ma.*

*Możesz się starać nie wiem jak,  
możesz mieć skrzydła niby ptak,  
możesz najwyższy zdobyć szczyt,  
losu nie ograł nigdy nikt...*

*Życie to wielka niewzajemna nasza miłość,  
co bierze wszystko za to, co nam da.  
Taką metodę ono na nas ma,  
raczej niemiłą.  
My na kaprysy i humory jej skazani,  
służymy jej bez tchu.  
Taką nam rolę ktoś wyznaczył tu na ziemi.*

*Możesz się starać nie wiem jak,  
możesz mieć skrzydła niby ptak,  
możesz najwyższy zdobyć szczyt,  
losu nie ograł nigdy nikt...  
O życiu mogłabym bez końca, moi mili,  
mówić i pisać! Śpiewać, gdy kto chce.  
Nie tego teraz przecież trzeba mi,  
ja szukam chwili.  
By bałaganik mój posprzątać tu po sobie,  
bo go niestety mam...  
Chciałabym jednak jeszcze zdążyć z tym,  
czas pili.*

Napisała ten tekst, a potem włączyła płytę z podkładem i zaczęła śpiewać. Maciek, który robił coś w swoim pokoju, podszedł bliżej i słuchał w napięciu. Był poważny i blady.

– Nie chcę takiego zakończenia, skreśl „czas pili” – powiedział. – To może przynieść nieszczęście.

– Daj spokój. Czemu mam to zmieniać, jest logiczne i zgrabne.

– Proszę cię, skreśl „czas pili”. To jest zbyt dosłowne, nie chcę, żebyś tak śpiewała.

– Od kiedy to zaczęłeś ingerować w moje teksty? Nie za bardzo się nimi zajmowałeś do tej pory.

– Bo to co innego. Ten utwór jest przejmująco aktualny i zbyt dosłowny. Nie chcę, żeby miał takie zakończenie.

– Ale ja to będę śpiewać, nie ty.

– Co z tego? Proszę cię, zmień to!

Jak to Maciek, kiedy się na coś uparł, nie sposób było mu tego wyperswadować. Ona ćwiczyła przez kilka dni niczego nie zmieniając, a on słuchał i powtarzał: „zmień czas pili”.

Z drugiej strony było wzruszające to, że jej mąż najwyraźniej się o nią bał. Ale nie mogła i nie chciała tego zmieniać, bo sformułowanie było trafione.

Dzień, na który miała wyznaczoną tomografię, był jednocześnie dniem pożegnania jednego z największych lub największego z największych śpiewających poetów polskich, Wojciecha Młynarskiego. Przez wiele lat, kiedy ich dzieci były małe, przyjaźnili się. Ostatnio chorował ciężko i śmierć była dla niego wyzwoleniem. Nie mogła być na całym pogrzebie, ale przekazała wiązanek kwiatów koleżance, żeby położyła ją na jego grobie. Śpieszyła się na badanie.

Maciek podwiózł ją do szpitala, choć sam był niezwykle zmęczony. Tłumy na Powązkach były tak wielkie, że zaparkował samochód daleko od kościoła, a potem długo szedł i niemal spóźnił się na mszę. Bardzo bolała go noga, nie znalazł już w kościele miejsca siedzącego i ledwo dotrwał do końca ceremonii.

Kasia łudziła się jeszcze, że a nuż tomografia zmieni coś w opiniach o jej zdrowiu, dlatego mimo że wiedziała, jak bardzo to badanie jest dyskomfortowe, poddała się mu z ochotą.

Ale nadzieja zawiodła tym razem. Widać jej limit na dobre wiadomości wyczerpał się zupełnie. Pomyślała, że wkrótce dołączy do rzeszy tych, co przemieszczają się z domu do Centrum Onkologii i z powrotem. Spotkała tam osoby w swoim wieku, ale najbardziej poruszał ją widok młodych dziewcząt i chłopców, u których okropna choroba rozwijała się najszybciej. Podobnie jak u wychudzonych ciężarnych kobiet, w turbanach na wyłysiałych czaszkach. Ich widok bolał jak rana.

Najgorsze w tym wszystkim, co ją spotkało, było to, że sytuacja, w jakiej się znalazła, miała wpływ na całą rodzinę. Ona w końcu już się nażyła, ale po co młodzi mają trwać w smutku z jej powodu? Powinni się cieszyć życiem.

Na czwartego kwietnia ustalono termin jej pierwszej, jak zapowiedział profesor, operacji. Miała trafić na stół jako druga. Czas oczekiwania dłużył się jej, więc zatelefonowała do Maćka, żeby go uspokoić. Zapomniała, że po śniadaniu zaaplikowano jej tabletkę – mocny środek uspokajający, który ją wyciszył i natchnął optymizmem. Godzina, o której odbyła z nim rozmowę, zarejestrowana została w jego telefonie. Nie wiedzieli jeszcze oboje, jakie w

przyszłości będzie to miało znaczenie.

Czekała dość długo, zanim odebrał.

– Halo? Ach, to ty, Kasiu!

– Tak, to ja i dzwonię, żeby ci powiedzieć, że będę operowana jako druga.

Przyjadą po mnie lada chwila.

– Boisz się?

– A wiesz, że nie. Jestem spokojna i dobrej myśli. Ty też się nie martw, wszystko będzie dobrze.

– Musi być dobrze. Pa. Przyjedziemy do ciebie z Zosią.

– Pa. Uszy do góry!

I to był koniec tej rozmowy, jak się potem miało okazać, o wiele za krótkiej.

Po kilku godzinach przywieźli ją wybudzoną do sali pooperacyjnej. Na krótko wpuszczono do niej Zosię, czekającą na korytarzu. Uśmiechnęła się do matki, ale uśmiech jej zgasł, ledwie się pojawił. Kasia przejęła się znowu tym, że córka się martwi. Natomiast ucieszyła się, że ojca jednak z nią nie było. Kiedy rozmawiała z Maćkiem, wyczuła zdenerwowanie w jego głosie. On to za bardzo przeżywa – pomyślała i zasnęła. Kiedy się obudziła, córki już nie było. Ale nie żałowała tego, bo przebyta operacja zaczęła dawać się jej we znaki, czuła ból i zmęczenie.

Później nie mogła spać, bo ciągle coś przy niej robiono, a to kroplówka, a to opatrunek lub pigułka. Na wieczornym obchodzie lekarz, który ją operował, oświadczył lakonicznie:

– Po otwarciu wnętrza zorientowaliśmy się, że jest nieco gorzej, niż myśleliśmy. Pobraliśmy więc wycinki do badania i zaszyliśmy. Żeby guzy usunąć, trzeba je najpierw zmniejszyć za pomocą chemii.

A więc kolejna pesymistyczna wiadomość dotarła do jej półprzytomnej głowy.

Następnego ranka rehabilitantka zmusiła ją do kilku lekkich ćwiczeń, a następnie postawiła do pionu.

– Trzeba się uruchamiać, leżenie niczemu nie służy.

Łatwo mówić, kiedy Kasi właśnie niczego tak się nie chce, jak poleżeć w spokoju. Ale w tym szpitalu, jak w fabryce, akcja trwa bez żadnych przerw. Liczba ludzi, którzy przechodzą dziennie przez gabinety zabiegowe, jest nieprawdopodobna.

Zosia wpadała do niej na chwilę, jakaś taka nieobecna duchem,

zmartwiona i zatroskana. Maciek nie był ani razu. Chciała nawet zapytać, dlaczego nie przychodzi, ale zaniechała tego, żeby nie pomyślał, że zmusza go do odwiedzin. Ale dlaczego nie dzwonił?

Dopiero w dniu wypisu do domu Zosia powiedziała jej całą prawdę. W czasie, kiedy Kasia była operowana, jej mąż dostał udaru mózgu. Ich szesnastoletni wnuczek, Michał, wezwał pogotowie, ale najpierw z pomocą policji i strażaków trzeba było wyważyć drzwi, bo dziadek zamknął się od środka. Zosia spod sali operacyjnej dowodziła tą akcją ratunkową, będąc w ciągłym kontakcie z synem, potem pędziła na złamanie karku najpierw do ich mieszkania, by zwolnić policjantów, ponieważ Michał był niepełnoletni, a potem do drugiego szpitala, do ojca, gdzie spędziła cały dzień aż do dwudziestej trzeciej.

– O Boże! I jak on się czuje? – zapytała Kasia.

– Coraz lepiej. Lekarze mówią, że jest szansa na cofnięcie się choroby.

– Chwała Bogu! Czemu mi nie powiedziałaś?

– Profesor mi zabronił.

– Coś podobnego! Dlaczego?

– Też pytanie. Musiałaś trochę wydobrzeć po operacji.

– A z kim Maciek teraz został?

– Jest w szpitalu. Oliwka u niego siedzi. Bardzo dobrze się nim opiekuje. Mamusiu, musisz wiedzieć, że zabieram cię do siebie.

– Czemu?

– A jak to sobie wyobrażasz inaczej? Jesteś słaba po operacji, Musisz dojść do siebie, nie możesz niczego dźwigać. W tę niedzielę mamy Wielkanoc, nie będziesz w czasie świąt siedzieć sama. Do tego my będziemy często w szpitalu u taty. On potrzebuje pomocy. Trzeba go karmić, sadzać.

– To aż tak jest chory?

– Zobaczysz sama, profesor pozwolił ci odwiedzić go w święta. Na szczęście był to udar lewostronny, niedokrwienny.

– To dobrze?

– Podobno lepiej się leczy. I prawą rękę ma sprawną.

Kasia zupełnie nie zdawała sobie sprawy z tego, co może taki udar oznaczać. Opowieści Zosi były lakoniczne. Sama kilka dni po operacji była jeszcze słaba i oszołomiona, nie wszystko do niej docierało we właściwej postaci. Rozumiała tylko tyle, że jej i Maćka choroby bardzo obciążły Zosię. Martwiło ją to, ale rozmiarów tego obciążenia jeszcze nie знаła.

Świadomość tego, jakie to niosło konsekwencje dla całej rodziny, organizacyjne i finansowe, pojawiła się znacznie później.

Mimo że wiedziała o chorobie męża, świąteczna wizyta u niego była dla niej szokiem. Maciek uśmiechnął się krzywo, bo jedną stronę twarzy miał porażoną. Jego lewa ręka była spuchnięta i leżała nieruchomo na poduszce. Podobnie było z lewą nogą. Miał trudności z mówieniem i nie mógł sam ani stać, ani usiąść. Kiedy to wszystko zobaczyła na własne oczy, ogarnęła ją rozpacz, nad którą nie była w stanie zapanować. Stała pod oknem jak skamieniała i łzy staczały się po jej policzkach. Jeśli nawet ten udar się cofnie, ile trzeba będzie na to pracować, ile ćwiczyć. Podobnie jak ona zareagował jego wieloletni przyjaciel, Janusz, który odwiedził Maćka w święta w szpitalu. Widać było łzy w jego oczach i słowa nie przechodziły mu przez gardło.

Lekarze ze szpitala Kasi uczulali ją na to, by nie odwiedzała męża bez maseczki, bo nie powinna złapać jakichś szpitalnych zarazków. Ale teraz, w tej bezsilnej rozpaczycy poczuła, że jeśli natychmiast nie zdejmie tej maski, po prostu się udusi. Bolało ją w piersi, dławiło w gardle. Widząc matkę z odsłoniętą twarzą, Zosia kazała Oliwce zabrać ją do domu, a sama miała jeszcze nakarmić ojca w czasie kolacji.

– Moje kochane, dzielne dzieci – powiedziała Kasia do wnuczki, kiedy wracały do domu. – Ile wy macie z nami kłopotów. Za co was to spotkało?

– Nie martw się, babciu, wszystko będzie dobrze. Damy radę.

– Tak myślisz? Nie zasłużyliście na to.

– A ty i dziadek? Czy wam się to należy?

– Myśmy się już nażyli, ale wy...

– Przestań tak mówić, babciu! Nie szarp nas, proszę. Wszyscy ledwo funkcjonujemy, trzeba się wspierać nawzajem, a nie dręczyć – ostro ucięła rozmowę dwudziestodwuletnia Oliwka.

## *Rozdział dwudziesty pierwszy*

Kasia siedziała w parku nad stawikiem sąsiadującym z ogrodem Zosi i przyglądała się roślinom budzącym się do życia. Krzewy i drzewa w pąkach, trawa coraz bardziej zielona, a na niej krokusy. Widziały to również ptaki, bo wyśpiewywały pod niebiosami. Słońce świeciło radośnie, dzieci i staruszki karmiły gołębie i kaczki – idylla!

Świat jest bezduszny – pomyślała. – Nic go nie obchodzi ludzkie nieszczęścia. A jest ich tyle, że nikt nie zliczy. Małe i duże. Takie, co dotykają ludzi na chwilę, i te, co ich opuścić nie chcą.

Przechodziła właśnie jej sąsiadka, więc Kasia uśmiechnęła się do niej.

– O, pani Kasia! Widzę, że lepiej się pani czuje, bo buzia roześmiana. A mąż, poprawia mu się? Byłam przy tym, gdy go zabierali. Proszę go pozdrowić i pani też zdrowia życzę.

– Dziękuję – odparła Kasia i pomyślała: Ten mój mylący uśmiech! Uśmiecham się do ludzi, bo taką mam naturę, uśmiecham się do świata, bo jest piękny, ale nie ma nic wspólnego z moim samopoczuciem ani z poprawą zdrowia Maćka. Bo mojego zdrowia nie ma, podobnie jak poprawy u mego męża.

Sąsiadka, która zagadała do Kasi, przysiadła się na jednej z ławek do swoich koleżanek. Najwyraźniej mówiły teraz o niej. Miały poważne miny słuchając relacji pani Haliny i przyglądały się Kasi bez pardonu.

Ta dzisiejsza wizyta Zosi i Oliwki u Maćka trwa okropnie długo – pomyślała Kasia. Też chciałyby go odwiedzić, ale córka jej nie pozwoliła.

– Daj spokój, mamuś! Wiesz, że masz zakaz wchodzenia do szpitala. Jeszcze tego brakuje, żebyś złapała tam jakąś zarazę! A zresztą tata nie potrzebuje towarzystwa, tylko pomocy, a ty się teraz do tego nie nadajesz.

Zosia rządzi – pomyślała Kasia – jak chce. Ma prawo, biedaczka, bo na nią spadły wszystkie nasze nieszczęścia.

Zanim Kasia wyszła ze szpitala, profesor Mariusz Bidziński i śliczna, młoda pani doktor Ania Skrzypczyk wezwali ją na rozmowę. Uświadomili jej, że duża liczba przerzutów rozsianych w jej organizmie utrudnia im leczenie, więc muszą odczekać miesiąc po operacji, by się wzmocniła, zanim



zaaplikują jej chemioterapię. Wszystko zależy od tego, jak ją będzie znosić...

A tymczasem dziś rano zatelefonowano, że ma się zgłosić do szpitala już czternastego kwietnia. Ciekawe, po co.

Odkąd Kasia dowiedziała się o chorobie Maćka, a zwłaszcza odkąd zobaczyła, w jakim jest stanie, przestała myśleć o sobie. Bo mimo wszystkich zagrożeń i ponurych horoskopów, a także generalnie złej sławy jej choroby, była samodzielna, sprawna i niezależna od pomocy innych. Toteż przestała o sobie myśleć jak o chorej.

Pomimo to rano, kiedy sortowała dokumentację medyczną, przy okazji przeczytała opis wyniku ostatniej pooperacyjnej tomografii. Przytłaczająca lektura, skóra cierpnie – pomyślała. Lepiej o tym nie myśleć. Tym bardziej że życie jej i Maćka zrobiło taki zakręt, że było nad czym główkować.

Rozmawiała ostatnio z Zosią, która starała się całe ich leczenie i opiekę organizować. Kiedy Maciek wyjdzie ze szpitala, będzie potrzebował stałej całodobowej asysty, której Kasia w swojej obecnej sytuacji nie da rady mu zapewnić. Trzeba będzie kupić mu specjalne łóżko dla niepełnosprawnych, będzie potrzebował wielu sprzętów do pielęgnacji i higieny oraz drogich leków. To wszystko musi kosztować. A zatem ich życie codzienne będzie dwa lub trzy razy droższe niż dotychczas. A rehabilitacja? Na jak długo wystarczą ich niezbyt wielkie zapasy finansowe? Było o czym myśleć...

Dzisiejsza wizyta Zosi u ojca w szpitalu była niezmiernie ważna również z tego powodu, że miała tam dostać dla niego skierowanie do jednego z ośrodków rehabilitacyjnych. Taki ośmioletniowy turnus pod okiem fachowców mógłby poprawić jego kondycję. Dlatego też Kasia nie mogła doczekać się powrotu córki ze szpitala. To zrozumiałe, że czas zdaje się inaczej płynąć komuś, kto po prostu czeka, a inaczej temu, kto ma dużo do załatwienia i działa. Tak więc matka czekająca niecierpliwie na powrót córki i wnuczki zaczynała mieć tego dosyć. Tym bardziej że słońce było już znacznie niżej i odczuwała zimno, a przyrzekła Zosi, że w czasie ich nieobecności posiedzi na powietrzu. Po długich trzech godzinach wreszcie zobaczyła je obie zbliżające się do ławeczek.

– Cały czas tu siedzisz? – zdziwiła się Zosia. – Myślałam, że trochę sobie pospacerujesz. Musisz się ruszać, inaczej się nie usprawnisz.

– Dobrze, „mamusiu”. Czy ty musisz mnie bez przerwy strofować?

– Muszę, dla twojego dobra.

– Co udało ci się załatwić?

- Na dziś wszystko.
- Masz skierowanie do ośrodka rehabilitacyjnego dla taty?
- Nie mam, ale wiem, że jest już przygotowane, ze wszystkimi niezbędnymi podpisami i pieczętami. Szpital je wysłał do Konstancina.
- Przydzielili mu Konstancin? To świetnie, podobno tam jest najlepiej.
- Zobaczymy. Mają go tam zawieźć przed długim weekendem pierwszomajowym. Tylko żeby nie zachorował do tego czasu albo nie zrobiła mu się odleżyna, bo wtedy go nie przyjmą, podobnie jest z infekcjami. Póki co wyniki są dobre, więc jestem dobrej myśli. Poza tym sam ordynator zaangażował się w załatwienie mu tam miejsca, rozmawiał podobno z szefową tamtejszego oddziału poudarowego. Mam nadzieję, że się uda, to szansa dla niego.
- Nareszcie jakaś pozytywna wiadomość. Aha, wiesz... dzwonili do mnie z Centrum Onkologii. Mam się zgłosić czternastego na badanie. To dziwne, bo byłam umówiona za miesiąc po operacji. Może trzeba tam zatelefonować, zapytać, czy się nie pomylili.
- Gdzie masz się zgłosić?
- Do pani doktor Skrzypczyk.
- Jutro idziesz na zdjęcie szwów, pojedę z tobą i zajrzę na górę, żeby zasięgnąć języka.
- Biedactwo, do kiedy będziesz tak ze mną jeździć?
- Póki nie zobaczę, że dajesz radę sama. Na razie jesteś zbyt słaba i roztargniona. Połowy z tego, co ci tam zalecają, nie pamiętasz. Nie słyszysz, co mówią.
- Jak jestem tam, to się denerwuję. Nie moim stanem, ale atmosferą. Te wszystkie młode osoby, które mają to samo, co ja stara, tak mnie rozstrajają... Jakże to niesprawiedliwe.
- Powinnaś jednak myśleć o sobie...
- Ja nie wiem, czy to dobra metoda.
- Chodzi mi o to, że to, czy wyzdrowiejesz, zależy również od ciebie. I od tego, czy będziesz stosować ich zalecenia.
- No dobrze już. A jak tata dzisiaj? Rozmawiał z wami trochę czy spał?
- Trochę rozmawiał, jak zwykle. Oliwka potrafi go rozruszać. Nawet dyktował jej artykuł o leczeniu udarów.
- Logiczny?
- Całkiem zgrabny, ale miejscami od rzeczy.

- Biedaczek...
- I pytał o ciebie. Jak się czujesz.
- Powinnam była wpaść do niego na chwilę.
- Przyjdzie na to czas.

Wizyta Kasi w Centrum Onkologii okazała się szansą na szybsze leczenie. Po zbadaniu krwi lekarze postanowili, że chemię podadzą jej już po dwóch tygodniach od operacji, bo w tej chorobie czas ma znaczenie. A więc jej szanse urosły.

Kasia wśród znajomych była teraz osobą uprzywilejowaną. Wieść o jej kłopotach rozeszła się błyskawicznie w „środowisku”. Dziwiła się, jak dużo ludzi dzwoni do niej ze słowami otuchy. Doświadczyła od znajomych znacznie więcej życzliwości, niż się spodziewała. Wzruszyła ją Bogusia, koleżanka z „Mazowsza”, która dowiedziawszy się o jej chorobie płakała do telefonu jak bóbr. W czasach pomazowszańskich często ze sobą pracowały. Kasia znając jej możliwości angażowała ją do swoich autorskich programów i polecała do innych. Były razem w show na pokładzie „Batorego”, naszego reprezentacyjnego statku oceanicznego, podczas jego rejsów do Kanady.

Te rozmowy telefoniczne z jednej strony były dla Kasi krzepiące, z drugiej jednak czuła strach tych ludzi przed ewentualnym przegraniem z chorobą, podczas gdy ona sama takich myśli do siebie nie dopuszczała. Jej choroba wydawała się niczym wobec niemocy Maćka. Kiedy zadawano jej pytania typu: „Jak się czujesz?”, odpowiadała: „Dziękuję, dobrze”. Poza tym nie miała wiele do powiedzenia. Natomiast jej rozmówcy wręcz odwrotnie. Musiała wysłuchiwać litanii ich dolegliwości, dziwiąc się temu, jak ludzie lubią rozmawiać o swoich chorobach. A może się myliła? Może to była taktyka, aby nie czuła się ze swoim zmartwieniem wyobcowana. Przypomniała sobie, co wyczytała w autobiografii Miry Zimińskiej o tym, jak odwiedzała umierającą Zulę Pogorzelską. Zauważyła mianowicie, że kiedy opowiadała jej, co się dzieje w teatrze, Zula smutniała. Uznała więc, że ją tym rani i zaczęła opowiadać, jak to ją bolała głowa czy ząb. Tak jakby w bólu przynosiło człowiekowi ulgę to, że innemu też coś dolega. W pojęciu Kasi było akurat odwrotnie. Uważała, że ból i niemoc uwrażliwiają, wyobraźnia się ożywia i słuchanie o czyichś cierpieniach tylko wzmacnia własne cierpienie.

Dla wciąż będącej w ruchu Kasi oczekiwanie na skierowania, na pobranie krwi, na rejestrację, wysiadanie przed gabinetami lekarskimi w tłumie

podobnych do niej pacjentów było katorgą, dopóki nie nauczyła się cierpliwości. Musiała jednak przyznać, że w molochu, jakim jest Centrum Onkologii, panował idealny porządek. Każdy papierek miał swoje miejsce, trzeba było tylko uważnie słuchać poleceń i poddać się rytuałom. Oddział podający chemię też budził jej szacunek. Codziennie od poniedziałku do piątku przybywało tam około dwudziestu osób z całego kraju i Warszawy. Zajmowali łóżka w trzech przeznaczonych do tego salach. Śliczna, filigranowa, poruszająca się szybko na wysokich obcasach, a przede wszystkim bardzo kompetentna pani doktor Anna Skrzypczyk dla każdej z tych osób opracowywała inny zestaw środków chemicznych, wypisywała zlecenia, czuwała nad podaniem leku.

Niektóre pacjentki odpadały zaraz na początku. Miały uczulenia, duszności, zasłabnięcia. Trzeba było odłączać kroplówki. Kasi to się nie zdarzyło. W czasie wielu godzin dożylnego podawania leków czuła się doskonale, podobnie następnego dnia. Wobec tego zdecydowała, że skorzysta z zaproszenia Radia Retro. Chciała tam zrobić premierę *Tanga życia*.

Piosenka spotkała się z dużym aplauzem, ale wykonawczynie pod koniec programu poczuła się niedobrze. A potem było już coraz gorzej. Ból głowy, ból w kościach, słabość, mdłości – cały wachlarz dolegliwości nie do wytrzymania. Zastryk z „cudownym” środkiem na przerzuty, który miała w domu zrobić jej Zosia, okazał się nie do wykonania, ponieważ nie potrafiły otworzyć ampułki.

Pojechały na dyżur pielęgniarski do przychodni, ale wszystkowiedząca pielęgniarka miała ten sam problem, co one. W końcu zamiast zastrzyku dała jej kilkanaście porad zielarskich (i nie tylko) na jej chorobę. Zaleciła stosować wymienione środki zamiast chemii. Zastrzyku nie potrafiła otworzyć. Dopiero inna z pielęgniarek, zaintrygowana całym tym zamieszaniem, wykryła, że mechanizm skomplikowanej ampułki został uszkodzony. Wciągnęła lekarstwo do innej strzykawki i zaaplikowała je Kasi.

Po dwóch godzinach, a była już ciemna noc, biedna ofiara medycznych eksperymentów uznała, że nie wytrzyma już mąk, które kłopotliwy zastrzyk jeszcze nasilił, i zaczęła przeglądać wypis ze szpitala, na którym znajdowały się instrukcje, co robić w razie złego samopoczucia. Znalazła też telefon do dyżurującego w szpitalu lekarza, który w razie potrzeby udzielał szybkiej pomocy. Zosia, która u niej nocowała, usłyszała jej krzątanie przy szukaniu telefonu i wstała z łóżka.

- Co się dzieje mammo?
- Bardzo źle się czuję. Chcę zadzwonić na dyżur lekarski na moim oddziale, aby dowiedzieć się, co robić, żeby sobie ulżyć.
- To może ja zadzwonię?
- Śpij, miałaś ciężki dzień.
- Myślisz, że mogę spać, kiedy obok cierpisz?
- Powinnam być sama. Przynajmniej mogłabyś się wyspać.
- Przestań, mamuś, mówić głupoty, daj mi spokojnie zadzwonić i połóż się wreszcie! Wszystkiego się dowiem. Powiedz tylko, co ci dolega.
- Nie mogę leżeć, wszystko mnie boli.
- To siedź i bądź już cicho, bo mam połączenie.

Okazało się, że dyżur ma „siłaczka”, wspaniała doktor Skrzypczyk. Przy całej pracy logistycznej i koncepcyjnej, którą musiała wykonać, żeby wszyscy jej pacjenci dostali odpowiedni dla siebie zestaw chemii, jeszcze dyżurowała, żeby czuwać nad reakcją ich organizmów na podane specyfiki. Bohaterka! Ilu ich jest, takich lekarzy na wszystkich oddziałach w tym szpitalu, a ilu we wszystkich tego rodzaju placówkach w Polsce – myślała Kasia – jeśli, jak mówią statystyki, już jedna trzecia społeczeństwa zapada na tę chorobę, a jest to proces progresywny.

A zatem jedna trzecia Polski, którą politycy dzielą na swoje elektoraty, nie ma głowy do tego, żeby zajmować się ich sprawami. Co nie znaczy, że nie dotyczą ich głębokie podziały, jakie zmieniły nasz kraj. Bo tak, jak teraz, nie było jeszcze nigdy. Ani w czasie zaborów, ani w czasie komuny nie było takiej zapiekłej nienawiści tylko z tego powodu, że bliźni ma czelność myśleć inaczej. Aczkolwiek kiedy się człowiek zanurzy w naszą historię, zauważy, że ona uparcie się powtarza.

Pogrążywszy się w tych myślach, które błyskawicznie przemknęły przez jej głowę, Kasia na chwilę zapomniała o bólu. Na ziemię sprowadził ją głos córki.

- Ubieraj się, mamuś, jedziemy do szpitala! Pani doktor położy cię na oddziale i tam zrobią, co trzeba, żebyś tak nie cierpiała.
- Teraz, w nocy? Śpij moje dziecko.
- Spać to ja będę mogła wtedy, kiedy przekonam się, że przestałaś cierpieć.
- Dobrze, jedźmy tam, żebyś miała już spokój.
- Raczej żeby tobie ulżyli. Chodź, pomogę ci się ubrać.

Kasia nie zastanawiała się więcej. Opieka jej dzielnej córki nad dwojgiem ciężko chorych rodziców, znokautowanych w tym samym czasie, to za dużo, o wiele za dużo na jej barki – pomyślała z goryczą. Zwłaszcza że jest podwójnie sama – jako jedynaczka i jako samotna matka. W dzień i nocami jeździ często do dwóch szpitali pod rząd. Od rana musi być przytomna, pracować we własnej firmie, w której jej kochana współpracowniczka pomaga jej, jak może, ale jednak nie jest w stanie we wszystkim jej zastąpić, gdyż idealnie się uzupełniają. Zosia musi też samotnie zajmować się sprawami swoich dzieci – Michał właśnie zdaje egzaminy do liceum, Oliwka pomaga dzielnie przy dziadku, ale ma przecież swoje młode życie, studia i pracę. Larek, były mąż Zosi i ojciec dzieci, całkowicie ignoruje ich bardzo trudną, niecodzienną sytuację. Nie poświęca w tym czasie Oliwce i Michałowi ani grama więcej uwagi. Zosia stała się więc oparciem dla każdego z nich, nawet dla swoich psów, bo jej stara suka kundlica ma już piętnaście lat i też nie domaga. A więc jej Zosia to siłaczka! W końcu nie bez kozery nosi dumnie imię po swojej babci sybiraczce, też siłaczce, Zofii. Och, mamusiu, gdybyś ty wiedziała... – zadumała się Kasia.

Ubierając się tak szybko, jak pozwalała na to jej kondycja, stwierdziła w duchu, że skoro potrafi borykać się w czasie swoich bólów z takimi myślami, to może nie jest z nią tak bardzo źle. A to, że pobędzie w szpitalu, odciąży Zosię.

W szpitalu przeleżała pod kroplówką cztery dni, zanim poczuła się na tyle dobrze, że mogli ją wypisać do domu. A tu spotkała ją niespodzianka. Zosia przy wszystkich swoich zmartwieniach i nawale pracy załatwiła stałą pomoc domową dla niej i jednocześnie opiekunkę dla Maćka.

– Czy nie za wcześnie? – spytała poinformowana o tym Kasia. – Przecież on ciągle leży w szpitalu.

– Będzie mi pomagać w jego pielęgnacji, pomoże przystosować mieszkanie do jego potrzeb. Przecież on będzie poruszał się na wózku, więc trzeba sporo przemeblować przed jego powrotem. Poza tym pomoże ci w domu. Nie masz siły na sprzątanie, zakupy i gotowanie. Nie potrzebujesz tego? Bo ja po prostu już nie daję rady.

– Wiem, wiem, moje dziecko. Oczywiście, że potrzebuję.

Kiedy jednak podjechały pod dom i Kasia zobaczyła to młode stworzenie, ogarnęły ją wątpliwości. Podzieliła się nimi z córką.

– Mamo, ona od piętnastego roku życia pracuje w Polsce. Ostatnio przez

rok u taty Anity, mieszkała z nim sama. On był sparaliżowany, ale ostro popijał i źle ją traktował. Przeszła tam piekło. Anita współczuła jej i szukała dla niej pracy, a my przecież kogoś takiego potrzebujemy. Wierzę rekomendacji Anity. Zresztą sprawdziłam już, że Natasza jest szybka, bardzo dobrze sprząta i jest uważna.

Dziewczyna była niewysoka, mocno zbudowana, o wyrazistej azjatyckiej urodzie, wielkich oczach i zadziornym uśmiechu. Wyglądała jak nastolatka.

– Ile ty masz lat, moje dziecko? – spytała ją nowa pracodawczyni.

– Prawie dwadzieścia dwa, to znaczy dwadzieścia jeden i pół.

– Pracowałaś już kiedyś opiekując się kimś niepełnosprawnym?

– Oczywiście. Cztery lata. Zresztą jestem tu z polecenia Anity, córki pana Janusza.

– Jesteś z nią na „ty”?

– No pewnie.

Według Kasi rozeznania Anita była od niej starsza o dwadzieścia parę lat, ale jeśli tak chciała, co to komu szkodzi.

W pierwszych dniach Natasza podbiła serce Kasi. Była energiczna, zręczna, świetnie sprzątała, a nawet potrafiła trochę gotować, przede wszystkim ruskie pierogi, jak wszystkie Ukrainki. Mówiła niezle po polsku i zasób słów miała zdumiewająco duży. Była też, jak wszyscy młodzi, biegła w obsłudze urządzeń elektronicznych. Pierwsze, co zrobiła, to sprawdziła, czy Kasia ma w domu łącze z Internetem i wpisała jego hasło do swego telefonu. Później okazało się, że każdą wolną chwilę spędza na rozmowach z rodziną, koleżankami i chłopakami z Ukrainy.

Któregoś dnia postanowiła odkurzyć i poukładać książki Kasi i Maćka.

– Poukładałam je według wielkości, dobrze?

– Dobrze, dobrze – odrzekła z roztargnieniem Kasia, odrywając się od czytania. Pryncypałka nie wiedziała jeszcze, na co się zgodziła. W zadziwiająco szybkim tempie zapowiedziana praca została ukończona. Ta dziewczyna rzeczywiście miała ikrę! Odkurzone książki stały w obu pokojach w równiutkich rzędach, dobrane rozmiarami. Tyle że zrobił się nieprawdopodobny bałagan, bo nie zostały ułożone tematycznie. Niczego nie można było znaleźć bez poświęcenia temu wielu godzin. Na każdej półce absolutny misz-masz. Praktycznie książki były, ale jakby ich nie było. Szybkie znalezienie czegoś potrzebnego było nieosiągalne.

Chwała Bogu – pomyślała Kasia – że muszę się teraz skupić na czymś

innym niż praca. Trzeba będzie te książki jakoś inaczej poustawiać. Kiedy jednak uświadomiła sobie, jak to będzie trudne, zrezygnowała. Nie miała sumienia zareagować ostro na wilczą przysługę swojej robotnej pomocnicy, a poza tym po prostu zaczęła się jej bać. Kiedy napomknęła, że książki układa się tematycznie, dziewczyna obraziła się śmiertelnie. Zaczęła pyskować i wręcz krzyczeć na nią, że ona się stara, a nikt nie potrafi tego docenić, że jeśli tak, to ona może odejść i tak dalej. Zaczęła się nawet pakować.

Z opowieści Zosi i Oliwki Kasia wiedziała, że przy Maćku Natasza sprawdza się doskonale. Jest dokładna i silna, z łatwością przenosi go z łóżka na wózek i odwrotnie. A to było najważniejsze. Kasia pryncypałka zaczęła więc żarliwie Nataszę przepraszać. Udało się, dziewczyna dała się udobruchać.

Jednak to był błąd. Gdyby tamtego dnia go nie popełniła, jej relacje z Nataszą ułożyłyby się inaczej. W chwilach, gdy była słaba, bezradna i potrzebowała nade wszystko pomocy i spokoju, nie musiałaby znosić fochów i awanturowania się dziewczyny. Ale o tym teraz Kasia jeszcze nie wiedziała.

Ze skierowania Maćka do Konstancina rodzina Kalczyńskich nie cieszyła się długo. Szpital, w którym dotąd przebywał, wysłał go tam zgodnie z obietnicą, ale dyrekcja szpitala rehabilitacyjnego widząc, że nie jest w obiecującym stanie, gwarantującym im sukces, zaczęła intensywnie poszukiwać przeciwwskazań do rehabilitacji w ich ośrodku. Pani doktor, która po przeanalizowaniu wyników i dokładnym zbadaniu Maćka najpierw zatwierdziła przyjęcie go na oddział, teraz kręciła nosem i powtarzała cały czas coś, co zastanowiło Zosię: „Powinnam być bardziej asertywna”. W końcu z pełną asertywnością doszukała się u niego infekcji pęcherza, którą pominął podobno lekarz kierujący go na rehabilitację.

Tak więc zawieziono Maćka z powrotem do szpitala przy Banacha i w ten sposób zakończył się ich czarowny sen o rychłym jego powrocie do sprawności. W szpitalu teoria o infekcji nerek nie potwierdziła się, natomiast z powodu długiego weekendu Maciek utknął tam na dobre, bo nabawił się uporczywej infekcji szpitalnej. Do tego wszystkiego okazało się, że bezduszny system NFZ uznał jego dwudniowy pobyt w Konstancinie jako wykorzystanie przydziału ośmiotygodniowej nieodpłatnej rehabilitacji na rok bieżący, ponieważ jej dolna granica nie była w przepisach określona.

Zosia, która walczyła jak lwica o miejsce dla ojca w Konstancinie, była zrozpaczona. Pojechały razem z Kasią do dyrekcji ośrodka, domagać się



przywrócenia Maćkowi bezpłatnej rehabilitacji, ale nic nie wskórały. Bezwzględna dyrektorka poradziła Zosi, by oddała ojca do zakładu opieki, skoro oboje rodzice chorują.

Biedny Maciek. Przez całe dotychczasowe życie był nieprawdopodobnym szczęściarzem, a teraz, kiedy odrobiny szczęścia było mu trzeba, wszystko układało się na opak. Nieprzemyślana decyzja kierownictwa CKR-u w Konstancinie zbudowała trudne do pokonania schody. Bo gdyby trafił od razu do innego ośrodka, miałby szansę na długą rehabilitację. Wkrótce Maciek poza szpitalną infekcją dorobił się odleżyn i wizja powrotu do porządných ćwiczeń odpłynęła w bliżej nie określonej dal.

Po miesiącu leczenia ze szpitala zaczęły dochodzić sygnały, że wyczerpuje się limit pobytu chorego w nim i że powinien on być zabrany do domu lub placówki rehabilitacyjnej.

Zaczął się rozpaczliwe poszukiwanie miejsca, w którym mógłby otrzymać pomoc. Zwłaszcza że według opinii lekarzy rehabilitacja zaczęta odpowiednio wcześniej po udarze mózgu jest najbardziej skuteczna.

Zosia już wcześniej znalazła rehabilitanta, który odwiedzał go w szpitalu, a jednocześnie szukała odpowiednich placówek, zbierała informacje o nich i porównywała ceny. Ich wybór padł na ośrodek w centrum Warszawy, na tyłach ulicy Świętokrzyskiej. Opłaciły pobyt na trzy tygodnie i zabiegi. Maciek nareszcie opuścił szpital.

Tymczasem Kasia przeszła drugą chemioterapię. Przez pierwsze dwa dni czuła się znośnie, zgodziła się nawet na półrecital z jednym z kolegów. Ponieważ oklaskiwano ją gorąco, zaśpiewała na bis jeszcze dwie piosenki. A potem się zaczęło. Uświadomiła sobie, gdzie jest teraz jej miejsce. Prosto z radia pojechała na „swój” oddział w Centrum Onkologii. Zosię zawiadomiła o tym telefonicznie. Nie chciała, żeby patrzyła na jej męki.

Ku swemu zdumieniu Kasia powoli zadomowiła się w szpitalu. Tu znajdowała pomoc, poznawała nowych ludzi i ich historie. Upewniała się, że świat nie jest wyspą szczęścia ani polem walki o przyziemne sprawy materialne, o poglądy polityczne, o karierę czy popularność. Tu wszyscy byli równi, trwała nieustająca walka o życie i zdrowie, dla jednych beznadziejna, dla wielu zakończona sukcesem. Czasami Kasia na spokojnie starała sobie tłumaczyć, że człowiek jest istotą śmiertelną i nic na to nie poradzi. Nawet jeśli na jakiś czas pokona raka, może umrzeć na serce lub ulec wypadkowi. Oswajała się z wyrokiem, przed którym stoi każdy od chwili swoich

narodzin, jak i z tym, że świat jej zawęży się teraz do spraw medycznych. Czasem rodził się w niej bunt, że nie chce tak żyć, że tyle ma jeszcze do zrobienia, ale nawiedzały ją też nastroje odwrotne, kiedy poddawała się i chciała tylko spokoju. Jednak takie myśli nie zadomawiały się w jej głowie na dłużej. Nieraz dziwiła się reakcji przyjaciół na jej chorobę. Zachowywali się tak, jakby była już jedną nogą po tamtej stronie. Ona tak nie czuła i w chwilach, kiedy ją nic nie bolało, była aktywna i pełna optymizmu w patrzeniu na przyszłość.

Natomiast to, co spotkało Maćka, przytłaczało ją. Nie chciała przyjąć do wiadomości, że może już nie wrócić do pełnej formy. Szczęściem w nieszczęściu było to, że jej mąż, przedtem dominujący i raptusowaty, zrobił się teraz życzliwy światu, gotów do pomagania bliźnim i hojny, oczywiście w mowie. Bo to, że niewiele może, niezupełnie docierało do jego świadomości. Żył w dwóch światach – część rzeczywistości odbierał i rozumiał prawidłowo, druga część była jego fantazją i fikcją. Mieszały mu się też zdarzenia z przeszłości. Ci, którzy odeszli z tego świata, wciąż – według niego – żyli. Po powrocie z ośrodka rehabilitacyjnego nie poznał własnego pokoju ani mieszkania. Może dlatego, że aby przystosować je do jego przemieszczania się po nim wózkim inwalidzkim, musieli poprzestawiać meble, a także dużo z nich usunąć. Pamiętał jednak wciąż języki obce, które znał przed udarem, i nadal posiadał wiedzę zawodową. W swoim mniemaniu często przebywał w Zakopanem, a nogi dokuczały mu dlatego, że właśnie wrócił z Kasprowego, gdzie porządnie najeździł się na nartach. Ukochana góra wciąż wracała w jego wspomnieniach. Poznawał członków rodziny i był dla nich czuły i życzliwy. Ale tylko dla tych, co byli blisko... Kiedyś odezwał się do żony:

– Co mam sądzić o siostrze, która mieszkając w Warszawie ani razu mnie nie odwiedziła?

– Zuza nie jest w Warszawie, ale na cmentarzu – odpowiedziała. – Nie pamiętasz o tym?

Pomilczał chwilę i powiedział:

– Tak, pamiętam, że umarła.

Innym razem prosił Kasię, aby wyszła jego matce naprzeciw lub wyjechała po nią samochodem, bo wraca sama przez las z portu w Rucianem. Był też taki moment, gdy wzruszył ją do łez wyznaniem, za co kocha swoją żonę, będącym reakcją na słowa Nataszy, czemu wciąż pyta o Kasię, gdy nie ma jej

w domu.

– Kasja i Kasja bez przerwy. Nie może pan bez niej wytrzymać?

– A nie mogę. Bo Kasia ma ładną twarz, dobrą figurę, jest dobra i mądra. Więc chciałbym, żeby zawsze była blisko mnie.

Jeśli rozmawiało się o jakichś wydatkach, zawsze gotowy był je pokryć. Zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, że nie dysponuje już takimi możliwościami.

A Natasza, no cóż... Była świetną jego opiekunką. Z pomocą tylko jednej osoby – Zosi, Michała albo Oliwki – zносиła go z wózkiem z drugiego piętra, spacerowała z nim po parku, karmiła jak dziecko, pilnowała, by zażywał lekarstwa, opierała go, opatrywała jego odleżyny, była jego fryzjerką i manikiurzystką. Kasia zdawała sobie sprawę, jak uciążliwa musi być taka praca dla młodej dziewczyny, nawet jeśli miała do niej dryg. Toteż nie zdziwiła się, gdy Natasza oświadczyła im, że musi wybyć na miesiąc nad morze oraz na ślub koleżanki i chrzciny małego kuzyna. Obdarowana dużą ilością ubrań i innymi prezentami wyjechała więc, a zastąpiła ją niejaka Ania.

Działo się to już wtedy, gdy przetransportowali Maćka do Leśnego Domu. Był to pierwszy sezon po remoncie. Parter ich domu zmienił się zupełnie, główny właściciel nie poznawał go. Twierdził, że dom należy do prezesa PZM-otu i co wieczór czekał na jego przyjazd. Pytał też, czy właściciele domu zgadzają się na jego pobyt.

To wszystko pozornie było zabawne, ale praktycznie strasznie smutne. Całe to zamieszanie w jego świadomości i postrzeganiu rzeczywistości nie wróżyło nic dobrego. Kasia kiedy tylko mogła, spędzała z nim czas na wsi i tłumaczyła mu wszystko, ale miewała w tym duże przerwy, bo kursowała nieustannie między domem a szpitalem.

Po czwartej chemii zrobiono Kasi badania i ustalono termin kolejnej operacji na dwudziestego czwartego lipca. Zosia została z ojcem i jego nową opiekunką na Mazurach, by wdrażać kobietę do zadań, a ona pojechała do Warszawy. Trochę wcześniej, bo szesnastego lipca chciała jeszcze odbyć dawno zapisany w kalendarzu recital autorski w klubie na Goławiu, który szczęśliwie nie kolidował z żadnym terminem leczenia. Przez cały ranek tego dnia śpiewała gamy i wprawki, żeby rozgrzać coraz rzadziej używany aparat wokalny. Przyjechała do klubu taksówką i kiedy tam weszła, poczuła się tak zmęczona, że pomyślała, iż nie da rady sprostać zadaniu.

Od dawna czuła się coraz gorzej. Zastanawiała się, czy to za przyczyną

aplikowanej jej chemii, czy postępu choroby. W normalnych warunkach takie myśli w ogóle nie przychodziły jej do głowy, bo to nie jej choroba skomplikowała życie rodziny, przynajmniej tak jej się zdawało. To Maciek był bardziej spektakularnie chory, wzruszający w swojej bezradności.

Gdy tylko dotarła do klubu na swój koncert, poproszono ją, by sprawdziła aparaturę nagłaśniającą. Publiczności jeszcze nie było. Mimo że przez cały dzień martwiła się, że nie ma siły śpiewać i głos jej nie jest taki, jak dawniej, w mikrofonie brzmiał świetnie. Wobec tego postanowiła trochę zmienić ułożony przedtem program, a dokładnie dać mu inny początek. Po krótkim przywitaniu się z publicznością uznała, że zaśpiewa swój największy przebój wylansowany przez jej koleżankę. Ich wykonania piosenki *Nie warto było* były tak różne, że nie dało się ich porównywać. Renia zaśpiewała wszystko wokalem, a Kasia interpretacją, zawsze wychodząc od treści. Wybranie na początek tej unikanej przez nią, acz znanej piosenki było strzałem w dziesiątkę. Od pierwszego refrenu cała sala śpiewała z nią razem. Bisowała. Dodało jej to skrzydeł, nie czuła zmęczenia. Cały koncert poszedł jak po maśle.

Ale kiedy druga taksówka dowiozła ją do domu, nie miała już na nic siły. Nawet nie jadła, chociaż zazwyczaj po pracy scenicznej miała wilczy apetyt. Zatelefonowała tylko do Zosi, która została w Leśnym Domu z Michałem, Anią i Maćkiem.

Podobno Maciek pytał o nią bez przerwy. To wzruszające – pomyślała, a głośno spytała:

– A jak się sprawuje Ania? – Ciekawa była zastępczyni Nataszy.

– Ma dwa oblicza. Jest staranna wobec taty, dobrze gotuje, ale ma ciężką rękę do wszelkich sprzętów. W ciągu twojej trzydniowej nieobecności stłukła już trzy talerze, dwa kubki i popsuła czajnik elektryczny. Dzisiaj myjąc się wyrwała drzwi od kabiny prysznicowej. Dobrze, że tata tego nie widzi. Ta dziewczyna za nic w świecie nie przyzna się, gdy coś zniszczy.

– Czajnik popsuła? – zmartwiła się Kasia. – Przecież dopiero co kupiłam nowy.

– Taki to jej urok, no ale wykonuje wielką robotę przy biednym tacie. Nie wiem, czy niszczy wszystko, bo jest zmęczona, choć pomagam jej, jak mogę, czy taka z niej gapa. A jak ty się czujesz, mamuś?

– Jestem okropnie zmachana. Ale koncert był udany i nareszcie poczułam się sobą, a nie pacjentką. Zależało mi, żeby zaśpiewać, może już ostatni raz.

– Też wymyśliłaś! Wiesz, że nie mogę słuchać takich przewidywań. Zaśpiewasz jeszcze nie raz. Trzymaj się kochana. Przyjadę w dniu twojej operacji.

– Po co? Nic mi nie pomożesz. Bardziej przydasz się tacie.

– Dobrze, dobrze, jeszcze będzie czas o tym pogadać. Śpij dobrze.

– Ty także i ucałuj wszystkich ode mnie, psice też.

– Nie omieszkam.

Kasia odłożyła słuchawkę i poszła do łazienki. Spała bez budzenia się ponad dwanaście godzin.

Zostało jej jeszcze kilka dni do operacji. Lekarze kazali jej się oszczędzać, jakby postępowała inaczej. Chodziła na spacer i do kina. Miasto było opustoszałe. Wszyscy znajomi byli gdzieś na wakacjach. Cóż więc miała robić? Czytała, oglądała telewizję i starała się nie myśleć o tym, co ją czeka. I co czeka jej męża, który o nią pytał po kilka razy dziennie. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek w życiu była takim nierobem. Nawet nie chciało się jej gotować dla siebie samej. Zresztą nie miała apetytu.

Zosia za każdym razem, gdy dzwoniła, napominała ją, by nie zapomniała o dokumentacji lekarskiej i wcześniej zapakowała rzeczy do szpitala. I żeby dużo ich nie brała.

– Pamiętaj mamo, mała walizeczka na kółkach ma ci wystarczyć, bo inaczej nie dasz rady – ostrzegała.

Osiem dni dzielących Kasię od pójścia do szpitala upłynęło jej szybciej, niż się spodziewała. Spacer i traktowana z przywróceniem oka krzątania w domu (po czterech seriach chemii było to raczej snucie się po nim), a nade wszystko czytanie książek tak wypełniało jej czas, że ani się spostrzegła, a już trzeba było się pakować.

Zosia dzwoniła do niej po kilka razy dziennie. Udało się jej wreszcie załatwić dla Maćka rehabilitantkę. Będzie przyjeżdżać pięć razy w tygodniu przez całe lato. Chwała Bogu! Nareszcie będzie miał fachową pomoc i jego stan zacznie się poprawiać. Z odtransportowaniem go na Mazury był ogromny kłopot. Trzeba było również tam poczynić zmiany w domu, usunąć progi, wypożyczyć specjalistyczne łóżko i tak dalej. Ale warto było. Miał tam świeże powietrze, bliskich wokół siebie i swoje ukochane miejsca. Wyraźnie mu służyły.

W pewnym momencie jego żona zdała sobie sprawę, jak bardzo ich choroby są od siebie uzależnione. Maciej miał udar w czasie jej operacji,

prawdopodobnie martwienie się o nią też miało na to wpływ. Było to wielką zadrą w jej sercu. Kiedyś wymknął się jej niestosowny żart, że jakoby „ukradł jej show”, gdyż zapadł sam na chorobę bardziej kłopotliwą dla otoczenia, spektakularną i wymagającą więcej zachodu i nakładów finansowych. A zatem wygrał konkurs na najbardziej chorego domownika. Miało to taki skutek, że ta, które przegrała, paradoksalnie uwolniła się od niebezpiecznego pogrążenia się w depresji, co często dzieje się z chorymi na nowotwór. U niej nie istniał strach o siebie, tylko ciągnęła troska o to, jak rozwiązać niekończące się problemy związane z jego niemocą.

A Zosia martwiła się o oboje rodziców. Ostatnio o to, że nie będzie mogła odwiedzić matki do szpitala przed kluczowym, poważnym zabiegiem w jej leczeniu, ponieważ musiała wdrażać do opieki nad ojcem nową opiekunkę i nową rehabilitantkę.

– Dziecko moje, nie zamartwiaj się tym – prosiła ją Kasia. – Przecież nie możesz być w dwóch miejscach naraz. A tacie możesz pomóc będąc przy nim. Ja będę miała w szpitalu całodobową opiekę. I nie przyjeżdżaj aż do czasu wypisania mnie ze szpitala.

– Czy ty nie rozumiesz, że ja się o ciebie boję? Chcę spotkać się z profesorem.

– Nie ma potrzeby, twarzą ze mnie sztuka. Zresztą Oliwka mnie odwiedzie, zanim pójdzie do pracy. Nie muszę przybywać do szpitala z całym orszakiem.

Tak też się stało. Po rytualnym wyczekiwaniu w różnych gabinetach izby przyjęć dotarła na oddział operacyjny, który był jej już znany. Po południu tego dnia odwiedził ją syn przyjaciół, anestezjolog, który – jak się okazało – został wyznaczony, by nazajutrz podać jej narkozę. Uznała, że to optymistyczna wiadomość.

Przyjaciele i znajomi nie opuszczali jej w zmartwieniach, wciąż dzwonili i ustaliła się istna procesja odwiedzających.

Wezwano ją do gabinetu profesora Bidzińskiego, który nakreślił jej plan operacji, którą osobiście przeprowadzi. Nie przejmowała się jej zasięgiem, chociaż może powinna. Usłyszawszy listę części lub całości organów z guzami do usunięcia, zrozumiała, że jedno jest pewne – od jutra będzie ważyć mniej!

Dostała sporą ilość tabletek do połknięcia – na sen, na uspokojenie, na krzepliwość krwi, wzmocnienie serca i diabli wiedzą na co jeszcze. To

prawdopodobnie ich działaniu zawdzięczała dobrze przespaną noc i spokój ducha.

Kiedy po wszystkim przewieziono ją na górę do sali pooperacyjnej, pierwszą osobą, którą zobaczyła na korytarzu, była jej córka Zosia.

– Jak się czujesz? – zapytała z troską. – Rozmawiałam z profesorem, operacja poszła dobrze.

– Jeszcze nie wiem, jak się czuję – odpowiedziała chora słabym głosem. – Mam zamęt w głowie. Ale nic mnie nie boli, pewnie narkoza działa.

– To dobrze. Nie będę mogła długo siedzieć, bo tu nie pozwalają.

– Jedź do taty. O mnie się nie martw.

„O mnie się nie martw, o mnie się nie martw, ja sobie radę dam!” – zabrzmiała jej w myślach piosenka zmarłej przed siedmiu laty koleżanki. Opiekowała się nią do końca, nie wiedząc, że wkrótce będzie pacjentką tej samej, co ona, placówki.

Podłączona do cewników, odsysaczy i kroplówek przeleżała w szpitalu dwa tygodnie. Bardzo powoli wracała do formy. Ale co to była za forma. Mnóstwo dolegliwości, uciążliwości i utrudnień w normalnej egzystencji. Przez kilka dni nie mogła nawet czytać. Przyjmowała wizyty przyjaciół, choć trudno jej było wstawać. Starła się solidnie spełniać polecenia rehabilitantki, która poganiała ją do ruchu – marszu po korytarzu. Co to był za marsz, pozał się Boże! Wolała o tym nie myśleć.

Szpitalne posiłki nie poprawiały jej apetytu. Dopiero ubierając się do wyjścia mogła zobaczyć, jak bardzo schudła. Nie wierzyła własnym oczom. Obcisłe dawniej rzeczy wisiały na niej, jak na manekinie. Kiedy Zosia zabrała ją na wieś i Kasia zobaczyła tam swego męża, też uznała, że mimo tego, iż się nie rusza, traci na wadze. Cóż z nich teraz była za para! Wyglądali oboje jak cienie samych siebie.

Stan Maćka poprawił się o tyle, że więcej czasu spędzał na siedząco, miał apetyt i sam jadł prawą ręką, był bardziej rozmowny. Jeśli zaś chodzi o sens tego, co mówił, różnie z tym bywało. Podczas rutynowych codziennych czynności na pytania, czy czegoś chce czy nie, odpowiadał logicznie. Domagał się przykrycia, gdy było mu zimno, potrafił poprosić o picie, ale również niespodziewanie zapowiadał, że idzie sam do ogrodu lub jedzie na Kasprowy. Nie mógł czy też nie chciał uwierzyć w to, że nie porusza się samodzielnie. Od czasu do czasu zerkał na ekran włączonego telewizora, przeważnie wtedy, kiedy pokazywał się na nim samochód lub zwierzęta. Nie

skupiał się jednak na filmach i nie interesowały go programy informacyjne. Niezależnie od tego, czy wnuk był gdzieś pod ręką czy nie, zawsze gdy potrzebował w czymś pomocy, wołał głośno Michała. Gdy w weekendy odwiedzała ich na Mazurach Oliwka, dyktował jej długie listy do różnych znajomych, również w obcych językach.

W jego wspomnieniach z przeszłości zapanował kompletny misz-masz. Na co dzień, jak dawniej, lubił zwierzęta, dokarmał psy tym, co udało mu się znaleźć na stole zdrową ręką.

Był cierpliwy i uprzejmy, wdzięczny za pomoc i opiekę, zachowywał się jak grzeczne dziecko. Sypiał dwa razy dziennie. Wożono go po lesie, po wsi i nad jezioro. Bliscy zawsze starali się mu towarzyszyć, kiedy nie spał, i wierzyli święcie, że ćwiczenia przywrócą mu sprawność i normalne funkcjonowanie. Czy dla tego żywiołowego niegdyś człowieka życie, na jakie był teraz skazany, było męką, trudno było to stwierdzić, bo nie był do końca świadomy i właściwie nigdy się nie skarżył.

Jeśli chodzi o ukraińskie opiekunki, przyzwyczyił się do ich obecności i tolerował je, natomiast mylił często ich imiona, głównie dlatego, że zmieniały się co miesiąc, gdyż trudno im było dłużej znieść pracę, jaką wykonywały. Najambitniejszą z nich niewątpliwie była Natasza. Całymi godzinami starała się utrwalić mu swoje imię, ale trafiała na opór materii, bo on i tak wołał na nią Oliwka. Brała to za niewdzięczność.

Ania, zmienniczka Nataszy, zdołała przed swoim wyjazdem wyrwać jeszcze drzwi z pralki automatycznej i zrobić dziurę w dywanie o średnicy trzydziestu centymetrów, a także urwać pokrętko od ogrodowej polewaczki. Jak jej się to udało zrobić, nikt nie wie, bo nigdy do tych przewinień się nie przyznała.

Pobyt Kasi w Leśnym Domu tuż po operacji był dla niej ciężkim doświadczeniem. Dolegliwości żołądkowe przeszkadzały jej we wszystkim. Nie miała apetytu i siły, żeby chodzić po schodach, a tym bardziej po lesie. Dopiero jesienią, kiedy zaczęły się grzyby, zawzięcie wzięła się do ich zbierania. Brała z sobą plecak na kółkach i szła pokonując niemoc. Ogólnie biorąc, cały okres letni w pamięci Kasi skrócił się nieprawdopodobnie. Zachowywała się po trosze jak somnambuliczka. Pochłonięta dyskomfortem, który narzucały dolegliwości, nie liczyła dni.

Najgorzej jednak wspominała okres, gdy Zosia z Michałem pojechali nad morze, a Anię zmieniła znowu Natasza. Przede wszystkim była wściekła, że



nie ma młodych, których uważała za swoją kompanię. Oliwkę, która została w Warszawie, gdyż pracowała, uznała za zdrajczynię. Zosię też. Usiłowała wmówić jej matce, że to nie *fair*, że ona w takiej sytuacji nigdy nie postąpiłaby podobnie.

– Daj spokój, Natasza! – mówiła jej Kasia. – Zosia ostatnio tyle przeszła, a dziesięciodniowy pobyt nad morzem w wypróbowanym towarzystwie tylko jej pomoże. Czeka ją trudna jesień. Od kwietnia w każdy dzień jest tylko nami zajęta, załatwia różne nasze sprawy, a nocami pracuje. Ja osobiście cieszę się, że trochę odpocznie.

– A wy? Pan i pani? Ja bym nie pojechała.

– Przecież właśnie wróciłaś znad Morza Czarnego. Wypoczęłaś? To daj spokój innym. Nam nic złego się nie dzieje. Nie zostaliśmy przecież bez opieki, mamy wspaniałą pomoc, czyli ciebie.

Uznanie zawarte w tych słowach nie udobruchało jej wcale i zaczęła na swojej pracodawczyni wyładowywać swoje złe humory. Dochodziło do tego, że nękana Kasia płakała po kątach i starała się nie nadepnąć Nataszy na odcisk.

A ta w wymyślaniu jej wad przechodziła samą siebie. Obwiniła ją o fałsz, bo „aktrisy zawsze igrajut”, o to, że „z jej winy Maciek ma nową odleżynę”. Ciekawe skąd ten pomysł, skoro sama wykonywała przy nim zabiegi pielęgnacyjne.

W końcu pewnego dnia, kiedy Maciek zasłabł, uznała, że to również wina Kasi, która „nie interesuje się mężem”. Zauważyły, że coś się z nim dzieje, bo zaczął bardzo szybko mówić i skarżyć się na ból głowy. Kasia zmierzyła mu ciśnienie i okazało się, że jest bardzo wysokie, zadzwoniła więc po pogotowie. Natasza nie przestawała w tym czasie pyskować.

– Czy ty się opanujesz i zamilkiesz wreszcie? – powiedziała głośno Kasia.

– A, to już do tego doszło, że będzie pani na mnie krzyczeć. Jak tak, to ja dziękuję. Wyjeżdżam. Zobaczymy, jak sobie pani poradzi.

Odpowiedzią na to były łzy pracodawczyni. Też błąd, ale nie potrafiła zareagować inaczej, tego już było za wiele. Sama słaba i znękana, bała się o męża, nie miała siły na awantury ze smarkulą.

Pogotowie, które przyjechało po trzydziestu minutach, miało w obsłudze tylko wyszkolonych sanitariuszy, lekarza wśród nich nie było. Pochwalili Kasię za przytomne działanie, bo dzięki temu, że przed ich przybyciem

podawała mu własne leki na obniżenie ciśnienia, chory się uspokoił i puls zaczął mu się wyrównywać. Panowie z karetki zrobili mu zastrzyk, poobserwowali przez pół godziny i ujrawszy zdecydowaną poprawę, odjechali.

Tymczasem młoda histeryczka nadal szalała. Powyjmowała ze swoich pinkli wszystkie podarowane jej przez Kasię rzeczy i ułożyła z nich na malowanej skrzyni wysoką stertę. Głośno dopięła swoją prawie pustą walizkę.

– Co robisz? – spytała Kasia, mimo że znała na to odpowiedź.

– Nie potrzebuję prezentów od „takiej” osoby.

„Taka” osoba zamiast z nią dyskutować, zadzwoniła do Zosi i zdała jej relację z tego, co się zdarzyło. Skupiła się oczywiście na tym, co działo się z mężem, ale też opisała krótko scysję z Nataszą i jej skutki. Córka rozłączyła się z nią i zadzwoniła do awanturnicy. Długo rozmawiały, podczas gdy Kasia siedziała na górze. Maciek nakarmiony lekami spał spokojnie. Efekt rozmowy Zosi z Nataszą był taki, że smarkuła zgodziła się zostać. Pracodawczyni sama przygotowała sobie kolację, zajrzała do męża i poszła spać.

Rano Kasia zauważyła, że sterta odrzuconych prezentów leżąca na skrzyni znacznie zmalała. I tak było przez najbliższe dni, aż zupełnie zniknęła. Śmiała się z tego w duchu. Jak widać, oskoma na ciuszki od „takiej” osoby była ponad honor.

Kiedy Zosia z Michałem wrócili znad morza, Kasia musiała pojechać do Centrum Onkologii na kolejną chemioterapię. Jednak na wieczornym obchodzie śliczna pani doktor Ania zatrzymała się dłużej przy jej łóżku i powiedziała:

– Po naradzie z panem profesorem postanowiliśmy nie dawać pani więcej chemii. Ona w niewielkim stopniu pani pomaga, a bardziej szkodzi.

Kasia poczuła, że ziemia osuwa się spod jej nóg. Co to ma znaczyć? Rezygnują z leczenia? Przecież ma w wielu miejscach rozsiane przerzuty. Co będzie, jak się rozrosną? Czy będzie dogorywać z drenami w rozdętym brzuchu, jak jej sąsiadka z sali?

– I co ze mną będzie? To koniec leczenia? – zapytała.

– Skądże. Dostanie pani leki do łykania, a gdyby choroba dała znać o sobie, zgłosi się pani do nas i pomożemy.

– No, jeśli tak zdecydowaliście, to pozostaje im zaufać...

– A więc jutro idziemy do domu?

– Jeśli trzeba...

Pani doktor roześmiała się.

– Powiedziała to pani tak smutno, jakby w szpitalu lepiej pani było niż w domu. A chyba tak nie jest?

– Oczywiście, że nie. Po prostu przestraszyłam się, że już nie będę leczona.

– Chemia mniej pomoże, niż zaszkodzi. Profesor się boi, że może panią zabić.

Rozmawiały jeszcze chwilę, po czym „opuszczona” pacjentka zadzwoniła do Zosi i opowiedziała jej o decyzji lekarzy.

– To świetnie, nie będą cię tak radykalnie truć – ucieszyła się Zosia. – Przyjeżdżam po ciebie.

– Dasz radę?

– Muszę, chcę pogadać z lekarzami.

Biedna Zosia, ledwie trochę odpoczęła od naszych spraw i znów wszystko na jej głowie – martwiła się Kasia. Ponieważ miała ciekawą książkę do czytania, nie rozmyślała już tego wieczoru o swojej chorobie.

W Leśnym Domu zaczął się najmiłszy okres – grzybobranie! Zbieranie, suszenie i przetwarzanie grzybów. I tak aż do końca wakacji, a potem Kasia została znów sama z Nataszą i Maćkiem. Mieli zamiar posiedzieć tam przynajmniej jeszcze przez miesiąc, ale pechowy Maciek stracił właśnie rehabilitantkę, która wróciła do swojej etatowej pracy w ośrodku dla dzieci i szkole specjalnej. Kasia wydzwaniała na wskazane przez nią numery telefonów koleżanek po fachu, rehabilitantki szukała też Zosia, ale nie udało się im nic załatwić. Po trzech tygodniach poddały się. Postanowiły wracać do Warszawy, gdzie przysługiwała Maćkowi rehabilitacja domowa, którą Zosia załatwiła przezornie już w czerwcu.

Wspaniałą niespodziankę przed wyjazdem sprawiły im rydze. Wyrastały z mchu pod drzewami na ich terenie i kusiły rudymi kapelusikami. A jak smakowały!

Dzień przed wyjazdem Zosia stanęła za wózkiem ojca, który wyglądał przez okno na ich jesienny ogród, i zapatrzyła się razem z nim.

– Szkoda mi tego, że sezon już się kończy – powiedział z trudem Maciek.

– My też, kochany. Ale wrócimy tu za rok – pocieszyła ojca Zosia. – Wszyscy będziemy w lepszej formie.

Oby! – pomyślała Kasia.

Rozwazały różne wersje przetransportowania Maćka do warszawskiego mieszkania i skończyło się na tym, że Zosia musiała załatwić to sama. Potrzebowała tylko pomocy w umieszczeniu go w samochodzie, a w Warszawie dwóch siłaczy, którzy przesadziliby go na wózek i zanieśli na górę.

Niedługo po powrocie do Warszawy nadszedł z Florydy list od Pawła. Był on bardzo przejęty chorobą Maćka, którego uważał za swojego guru, i postanowił przyjechać do Polski, żeby spędzić z nimi Wigilię. Jego matka z partnerem od lat odwiedzali w święta Kalczyńskich i teraz on w rewanżu postanowił wynająć w pobliżu ich domu apartament i urządzić w nim kolację wigilijną, aby znękana chorobami rodzina nie zawracała sobie głowy przygotowaniami. Wszyscy przyklasnęli temu pomysłowi i czekali na to z niecierpliwością. Maciek cieszył się razem z nimi.

Ukrainki zmieniały się co miesiąc, w razie ich nieobecności zastępowała je Zosia, a czas tykał jak szalony.

Kasia w listopadzie zauważyła, że czuje się coraz lepiej. W związku z tym jej wizyty kontrolne ulegały przesunięciom. Niedługo stała się bardziej aktywna i przestała w ogóle myśleć o swoim zdrowiu.

Natomiast martwiła się o Maćka. Jego rehabilitacja nie przynosiła żadnego postępu. Nadal nie mógł sam wstać ani usiąść, tylko jego chora ręka po masażu była mniej spuchnięta. Prawdziwą zmorą bezwładnego ciała są odleżyny i on miał z nimi ciągłe problemy. Jedne się goiły inne pojawiały i tak bez przerwy. Ale nigdy się na nic nie skarżył i charakter miał wciąż czarujący. Zawsze cierpliwy, życzliwy światu i ludziom, gotów wszystkim dziękować i okazywać wdzięczność. Wzruszenia, których w tym okresie dostarczał rodzinie, przykryły wszystko, co kiedyś bywało nie tak, jak trzeba. Z czego to wynikało? Może między innymi z tego, że w swojej niepełnej świadomości widział skupioną przy nim rodzinę, jej ustawiczną troskę i poświęcenie. To, że jego wnuki często go odwiedzały i pomagały mu, to, że czuwała nad nim żona i córka. Bo poza kilkoma dniami, gdy Kasia miała latem operację i Zosia pojechała ją odwiedzić, nigdy nie zostawał z opiekunkami zupełnie sam.

W drugiej połowie grudnia zaczął mieć jednak kłopoty z połykaniem. Rehabilitantka zauważyła, że zwiększyły się u niego przykurcze w nogach i rękach. Znowu trzeba go było karmić, klepać po plecach, żeby się nie

zadławił, i trudniej mu było ćwiczyć. Siłą rzeczy z powodu gorszej pogody, a szczególnie drugiego piętra bez windy, rzadziej wychodził na dwór. Miasto mu nie służyło. Jedyne pani doktor Dorota Dzwonnik-Matusiak okazała mu dużo serca, odwiedzała w domu, doradzała rodzinie jak pielęgnować chorego. Uradzono w przychodni, że dobrze byłoby mu podać leki rozkurczowe, które pomogą poczynić postępy w ćwiczeniach. Zosia ściągnęła do domu jego ulubionego rehabilitanta Roberta ze szpitala, w którym operowano mu kolano, żeby również on go skonsultował. Za podwójną poradą zaaranżowali wizytę u neurologa i z eskortą Kasi, Zosi i Michała pojechali do pobliskiego gabinetu.

Leki rozkurczowe wziął tylko raz. Nazajutrz miał zamglone oczy i nie do końca wszystko kojarzył. Nie chciał też odpowiadać na żadne pytania. Przestał jeść.

Po dwóch dniach, gdy stan jego zdrowia jeszcze się pogorszył, wezwali pogotowie. Ratownicy osłuchali go i z podejrzeniem zapalenia płuc zabrali do szpitala. Równiutko tydzień przed Wigilią. Na trzeci dzień lekarka powiedziała, że choć stan jego jest ciężki, organizm dobrze reaguje na antybiotyk. Otucha zagościła w ich sercach, ale kontaktu z chorym wciąż nie było. Nie reagował na to, co się do niego mówiło.

Nie wypuszczono go do domu na święta. Rozczarowany Paweł i jego rodzina nie dali poznać po sobie, że tę Wigilię urządzali głównie dla niego. Mogli o nim tylko myśleć i życzyć mu wyzdrowienia. Wybrali się zresztą wszyscy razem do niego w dzień wigilijny, ale nie było wiadomo, czy ich rozpoznał. Kasia mająca zakaz chodzenia do innych niż jej szpitali złamała go i odwiedziła męża. Chciała, żeby poczuł jej bliskość.

Zosia przychodziła do niego codziennie. To ona rozmawiała z lekarzami, którzy przez cały czas nastawiali ją na najgorsze. Przychodziła też do niego Oksana, kolejna jego opiekunka. Przed nią była Ania numer dwa, krzykliwa i głośna tak, że ciągle trzeba było ją uciszać. Kiedy zbliżała się do Maćka, wciąż głaskała go po głowie, powtarzając czule: „mój, mój, mój”. Aż pewnego razu jej podopieczny przestraszony tymi karesami poskarżył się żonie: „będę spał u ciebie, nie będę spał z nią”. Biedactwo, nie wiedział, co ma o tych czułościach myśleć... Ania miała pięćdziesiąt parę lat i traumę, którą leczyła na ławce w parku alkoholem. Jej dwudziestosześcioletni syn, który wrócił z wojny w Doniecku, został zarżnięty przez kolegę na weselu. Biedne ukraińskie kobiety, ich życie nie było usłane różami.

Dwudziestego siódmego grudnia wcześniej rano Zosia poszła do szpitala odwiedzić ojca i porozmawiać po świętach z lekarzami. Zazwyczaj dzwoniła do domu najwyżej po piętnastu minutach po przyjsciu do ojca, żeby zdać relację z tego, w jakim on jest stanie. Tym razem była tam już dwie godziny i nie odezwała się jeszcze. Zniecierpliwiona Kasia wybrała jej numer.

– Zosiu, czemu nie dzwonisz? Co z tatą?

Usłyszała zapłakany głos córki:

– Mamuś, on... odszedł piętnaście minut temu... trzymałam go za rękę...

– O Boże, nie, nie, nie! – zawołała Kasia i zaczęła szybko się ubierać.

Nie wierzyła, że to się mogło stać. Mimo jego ciężkiej choroby wciąż miała nadzieję, że sobie z nią poradzi.

Muszę go natychmiast zobaczyć, inaczej nie uwierzę! – wykrzyczała w myślach.

Ubrała się najszybciej, jak mogła, i poprosiła Oksanę, żeby z nią poszła, bo tragiczna wiadomość uderzyła w nią jak obuch i bała się, że po drodze zasłabnie.

Przy łóżku siedziała zapłakana Zosia i Oliwka. Maciek miał wygładzoną skórę na twarzy i zamknięte oczy. Leżał spokojnie i wcale nie wyglądał jak umarły. Kasia w napięciu sprawdziła, czy na pewno nie oddycha.

– Mamo, lekarka tu była, potwierdziła wszystko... – wyszeptała Zosia.

Co czuje żona po pięćdziesięciu pięciu latach wspólnego życia, nie trzeba nikomu mówić. Przede wszystkim nie może uwierzyć w to, że ich długa, długa historia, pełna wspólnych dążeń, radości i smutków dobiegła właśnie końca.

\*\*\*

Dopiero trzeci maja, a upał już jak w środku lata. Kasia została w Leśnym Domu, sama z psami. Zosia z Michałem pojechali do przyjaciół, mających posiadłość koło Szczytna, żeby obejrzeć ich nowy pomost.

Rozciągnięta na leżaku między małym i dużym domem, z jedną z suczek leżącą u jej stóp, podczas gdy druga sprawuje wartę w cieniu drzew przy bramie wjazdowej, Kasia rozmyśla o tym, jak dalece jej życie uległo zmianie. Kiedy patrzy na ten dom z zewnątrz, wydaje się taki sam, ale naprawdę taki sam już nie jest. Odkąd brakło szefa, który sam się nim mianował, wszyscy czekają na jego dyspozycje, a potem smutnieją uświadamiając sobie, że już

ich nie będzie.

Kiedy przyjechali tu przed kilkoma dniami, drzewa miały zaledwie pąki liści, teraz są już całe zielone. Śliwy przekwitły, jabłonka i wiśnie pokryły się kwiatem. Wybijałe tuje przed tarasem trzeba było popodcinać, jak też ściąć do końca sosnę, która uparcie kładła gałęzie na dachu dużego domu. Ani Zofia, ani Maciek nie zobaczą już zmian, które tu następują. A może ich duchy krążą tu gdzieś w pobliżu i wszystko widzą? Może też zzymają się na wycinki leśne, które przerzedziły pobliski las prowadzący do łąki, pozbawiając go najpiękniejszych, największych i najstarszych drzew? Co stąd, że to rezerwat leśny jak wynika z tablic? Odkąd Nadleśnictwo podpisało intratne umowy, nie ma dla nich ratunku. Nie pozwalają sosnom dożyć sędziwego wieku.

Ogródek przy domu jeszcze nie wygląda ładnie. Powoli wschodzą wieloletnie kwiaty, róże najprawdopodobniej zmarzły, bo nie wypuściły jeszcze ani jednego listka.

Pomimo, że Maciek przechorował niemal cały poprzedni rok, nie uczestnicząc w tym, co się działo wokół niego, nie wspierał jej w chorobie, nie krzątał się przy swoich nie zawsze docenianych pracach wokół domu, jego brak odczuwa się tu boleśnie. W zeszłym roku wszystko było zaaranżowane tak, żeby na swoim wózku przetrwał, w jak najbardziej komfortowych warunkach swój, jak sądzili wszyscy „stan przejściowy”. Kasia uczestniczyła w tym logistycznie i finansowo, ale dużo z tego zatarło się w jej pamięci, gdyż latem i wczesną jesienią kursowała między szpitalem a domem, bardzo cierpiąca i wyczerpana.

Niedawno upłynęły cztery miesiące od śmierci jej męża, a jeszcze nie potrafi sobie do końca radzić z samotnością, chyba że ma jakieś odpowiedzialne zajęcie.

Pogrzeb Maćka zgromadził mnóstwo ludzi. Byli wszyscy przyjaciele, rodzina z Warszawy i spoza, a także delegacje związane z jego pracą zawodową i społeczną. Mnóstwo kwiatów, poczty sztandarowe i przemówienia. On sam, który lubił przy różnych okazjach przemawiać, byłby dumny z tego, jak go jego świat pożegnał. Najbardziej wzruszające było wystąpienie Zosi:

„Nasz Tata, zwany Wujem kochał przemawiać. Gdyby mógł, przemówiłby dzisiaj do nas wszystkich.

Co by powiedział? Jak podsumowałby swoje życie? Powiedziałby pewnie,

że bardzo kocha nas, swoją rodzinę. I żeby Mamuśka dbała o zdrowie. Michałowi powiedziałaby: trzymaj się dalej tak dzielnie, chłopie, a Oliwce, żeby ruszała w świat. I żeby uczyli się języków.

Powiedziałaby na pewno, że kocha swoją Siostrę, za którą ostatnio bardzo tęsknił. Żeby Dobromir się trzymał. I że kocha swoich Rodziców. I cieszy się, że dziś się spotykają.

Podziękowałaby swoim przyjaciołom za wszystkie piękne chwile. I że jest szczęśliwy, że tyle osób przyszło go pożegnać.

Że jest szczęśliwy, że dzięki temu, że tak bardzo kochał samochody całe życie pracował z pasją.

Że nadal kocha Tatry, Zakopane i Kasprowy, gdzie szusował od czwartego roku życia. I że tam wyrывa się jego dusza.

Że jego dusza zawsze będzie na Mazurach, w Puszczy Piskiej i nad Jeziorem Nidzkim. Mieszka w każdym nadłamanym drzewku, które starannie podpierał.

Powiedziałaby też pewnie, żeby pocieszyć nasze psice. Bo tęsknią za nim i wiedzą, że bardzo kochał zwierzęta.

Czy to właśnie by powiedział? Tego się nie dowiemy.

Śpij sobie śpij, kochany”.

Wszystko odbyło się bardzo ładnie i wzruszająco, ale przemknęło jak burza. A potem nastąpiła cisza, coraz bardziej przygnębiająca cisza. Zupełnie, jakby nie było jego dokonań, setek a może tysięcy mądrych artykułów, książek, które po sobie zostawił.

Życie jest rozpaczliwie krótkie, nawet u ludzi długowiecznych. Bo czas pili. Pędzi jak szalony, biorąc ze sobą wszystko, co może zgarnąć po drodze, a jego patyna pokrywa to najskuteczniej, jak potrafi.

Dążąc do celu nie zastanawiamy się, co tu po nas zostanie, bo też nikt tego nie wie, czy tworzy rzeczy nieśmiertelne, to okazuje się dopiero potem, po wielu, wielu latach.

Kasi takie myśli często przychodzą do głowy, kiedy jest sama. W pustym domu po pogrzebie Maćka czuła się fatalnie, toteż nabrała zleceń na tłumaczenia i z nimi osiadła na jakiś czas w Domu Pracy Twórczej w Konstancinie. Bo Kasia radość czerpie ze szczęścia bliskich, zaś dla siebie chciałaby, póki ma siły, więcej niż ostatnio zajęć i pracy na scenie, bo to ją leczy ze wszystkich słabości.



Ani w warszawskim mieszkaniu, ani w Leśnym Domu nigdy nie będzie już tak, jak było. Co innego mijać się w biegu – wyjeżdżać, powracać, wiedząc, że ktoś czeka, a co innego żyć ze świadomością, że w tym domu będzie kogoś brakować na zawsze.

Ale jednak Kasia ciągle żyje. Bo życie, jak zwykła mawiać Zofia, zawsze jest silniejsze od śmierci. Niesie nadzieję, chęć zrobienia czegoś jeszcze, zaistnienia w sercach bliskich. Nawet w takim świecie, jaki zrobił się teraz, nadzieja umiera ostatnia.

Nadzieja, że jej wnuki nie będą musiały zmagać się z wojną, czy z faszyzmem, że Polacy nie będą unikać się nawzajem, by nie okazywać sobie nienawiści, a słowo będzie znaczyć to, co znaczy naprawdę. Że jakiś szalenciec nie naciśnie guzika, który wszystko obróci wniwecz, że zamachy przestaną nękać ludzi.

Także nadzieja, że jej wnuki, teraz tak piękne i rosłe jak młode brzozy, znalazłszy swoje pasje przejdą przez życie z miłością do tego, co robią. Że jej córka Zosia, która zawsze myśli o wszystkich poza sobą, znajdzie czas na własne szczęście.

Słońce pięknie oświetla dom, różnicując odcienie zieleni. Ptaki śpiewają w niebogłose, jakby nic nie wiedziały, że w prognozie na dzisiejsze popołudnie jest burza, a może i trąba powietrzna? Na razie na niebie gromadzi się coraz więcej chmur, ale świat stanął i wiatr ucichł. Może więc prognoza się nie sprawdzi? Albo to cisza przed burzą? Kasia westchnęła i rozejrzała się.

Jest pięknie – pomyślała. – Świat pyszni się urodą nie zważając na tragedie i niefarty istot, które go zapełniają. Ma swój rytm i to tylko się dla niego liczy. Słabi i nieszczęśliwi odejdą, żeby zrobić miejsce innym mocniejszym i pełnym planów, na których spełnienie nie mają wielkiego wpływu.

A kto powiedział, że człowiek niemłody i niezdrowy nie ma planów? Może nie są zbyt ambitne, ale jednak są, choć czasem prozaiczne: zobaczyć, czy przyjmą się rdesty posadzone przy płocie, jak wysoko wyrosną zasiane słoneczniki i czy grzyby w tym roku wysypią szcudrze?

– Nie wiem, co uda mi się jeszcze zdziałać – zastanawiała się Kasia. – Ile napiszę tekstów, ile piosenek zaśpiewam, co pożytecznego zrobię dla bliskich? Ale nikt tego nie wie. I z tym przekonaniem żyję. W pewnym sensie moja saga, moja opowieść się kończy. A Zosia, Oliwka i Michał? Jaką im historię wymyśli życie? Mam nadzieję, że piękną, bo zasługują na to.

W tym momencie zadzwonił telefon. Od pana Janka z radia. Z propozycją,

żeby swoimi piosenkami wypełniła program ostatniej przed wakacjami kawiarenki Radia Retro. Może nagrają z tego płytę? Myśli już tylko o tym, i czuje, że rosną jej skrzydła, ma mnóstwo nowych pomysłów – może zdąży je do końca czerwca zrealizować. Jest co robić. Nie może się doczekać, kiedy dzieci wrócą od przyjaciół, żeby im o tym opowiedzieć. Od jutra bierze się do pracy.

A więc jest jakieś jutro!

Optymizmu uczyła się od dziecka. Jako mała istotka skazana na głód i wyczekiwanie na matkę kiedy ta pracowała ciężko, gdy były na zsyłce, z natury rzeczy jak to dziecko nieskłonna była do pesymizmu. Jej scenariusz na powrót mamy zawsze miał dobre zakończenie. Szybko zrozumiała, że świat jest tak urządzony, że trzeba mieć dużo chęci i sprytu, żeby na nim przetrwać. „Musi być dobrze” – mówiła sobie i tak jej zostało. Mimo przeciwności z pogodną twarzą wita więc i teraz każdy budzący się dzień.

Koniec  
Krzyże, 3 maja 2018 r.

---

1 – A ty co? Zamiast pracować, gapisz się w dół. Ducha zobaczyłeś czy jakiś skarb?

– Nożyk mi upadł.

– Rozumiem.

2 – Witaj moja droga, podróż dobrze ci minęła?

– Bardzo dobrze. Twoja córka jest urocza i ma cudowne dzieci. Świetnie mówi po francusku.

– Dziękuję, kochana. A więc do jutra! Jestem szczęśliwa, że cię wreszcie zobaczę.

– Do jutra.

3 – Moja matka... Jej już nie ma.

– Och, moja biedna! Jak ja cię rozumiem! Kiedy to się stało?

– Cztery godziny temu.

– A kiedy będzie pogrzeb?

4 – Panie policjancie, czy to prawda, że był zamach w Luwrze?

– Tak, proszę pani. Proszę słuchać poleceń i oddalić się stąd.

Dzieje bohaterek sagi Barbary Rybałtowskiej zawarte są w tomach:

CZEŚĆ I *Bez pożegnania*

CZEŚĆ II *Szkoła pod Baobabem*

CZEŚĆ III *Koło Graniaste*

CZEŚĆ IV *Mea Culpa*

CZEŚĆ V *Czas darowany nam*

CZEŚĆ VI *Jak to się skończy*

CZEŚĆ VII *Co to za czasy*

CZEŚĆ VIII *Co tu po nas zostanie*